

Maggie O'Dell i Ryder Creed znowu w akcji!

ZŁOWROGIE NIEBO



ALEX
KAVA

Alex Kava

Złowrogie niebo

Przełożyła
Katarzyna Ciężyńska

Spis treści

Dedykacja

Motto

Dzień pierwszy

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy

Rozdział dwudziesty ósmy

Dzień drugi

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Rozdział trzydziesty

Rozdział trzydziesty pierwszy

Rozdział trzydziesty drugi

Rozdział trzydziesty trzeci

Rozdział trzydziesty czwarty

Rozdział trzydziesty piąty

Rozdział trzydziesty szósty

Rozdział trzydziesty siódmy

[Rozdział trzydziesty ósmy](#)
[Rozdział trzydziesty dziewiąty](#)
[Rozdział czterdziesty](#)
[Rozdział czterdziesty pierwszy](#)
[Rozdział czterdziesty drugi](#)
[Rozdział czterdziesty trzeci](#)
[Rozdział czterdziesty czwarty](#)
[Rozdział czterdziesty piąty](#)
[Rozdział czterdziesty szósty](#)
[Rozdział czterdziesty siódmy](#)
[Rozdział czterdziesty ósmy](#)
[Rozdział czterdziesty dziewiąty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty pierwszy](#)
[Rozdział pięćdziesiąty drugi](#)
[Rozdział pięćdziesiąty trzeci](#)
[Rozdział pięćdziesiąty czwarty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty piąty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty szósty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty siódmy](#)
[Rozdział pięćdziesiąty ósmy](#)
[Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty](#)
[Rozdział sześćdziesiąty](#)
[Rozdział sześćdziesiąty pierwszy](#)
[Rozdział sześćdziesiąty drugi](#)
[Rozdział sześćdziesiąty trzeci](#)
[Rozdział sześćdziesiąty czwarty](#)
[Rozdział sześćdziesiąty piąty](#)
[Rozdział sześćdziesiąty szósty](#)
[Rozdział sześćdziesiąty siódmy](#)
[Rozdział sześćdziesiąty ósmy](#)
[Rozdział sześćdziesiąty dziewiąty](#)
[Rozdział siedemdziesiąty](#)
[Rozdział siedemdziesiąty pierwszy](#)
[Rozdział siedemdziesiąty drugi](#)
[Rozdział siedemdziesiąty trzeci](#)
[Rozdział siedemdziesiąty czwarty](#)
[Dzień trzeci](#)
[Rozdział siedemdziesiąty piąty](#)
[Rozdział siedemdziesiąty szósty](#)
[Od Autorki](#)
[Podziękowania](#)
[O autorze](#)

Polecamy
Redakcja

Dedykuję tę powieść wszystkim psom ratownikom oraz ich opiekunom i przewodnikom, którzy ryzykując własne życie, ratują naszych najbliższych poszkodowanych na skutek klęsk żywiołowych, a także odnajdują ciała tych, którzy mieli mniej szczęścia.

Poświęcam tę powieść także pamięci mojego ukochanego Scouta (marzec 1998-maj 2014), który stał się inspiracją do powstania tej serii.

*Każdy z nas przeżywa w życiu jakąś burzę, z której wychodzi inny,
niż był wcześniej. I po to właśnie jest ta burza.*

Haruki Murakami

DZIEŃ PIERWSZY

Piątek, 8 marca

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Chicago

Kiedy telefon komórkowy Frankie Russo rozbrzmiał głośną salsą, pulsujący ból głowy już dawał jej się we znaki. Natychmiast pożałowała, że ustawiła nowy dzwonek. Była piąta rano. Wychodząc z łazienki niepewnym krokiem, usiłowała odsunąć od siebie złe przeczucia.

Nikt nie dzwoni z dobrymi wiadomościami o piątej rano.

Drepcząc wzdłuż ściany, po omacku szukała włącznika w tej wciąż obcej przestrzeni. Gdzież ona zostawiła telefon? Gdy jej palce wreszcie trafiły na włącznik, potknęła się. Poruszanie się w nowym i nadal zagraconym nierozpakowanymi pudłami mieszkaniu przypominało błąkanie się w labiryncie. Poprawiła ręcznik, wciąż ociekając wodą i po cichu licząc, że telefon zamilknie, nim do niego dotrze.

Proszę, przełącz się na pocztę głosową.

Jeśli miało to coś wspólnego z jej ojcem, wołałaby najpierw tego wysłuchać. Nagranie nie oczekuje od człowieka natychmiastowej reakcji.

W końcu Frankie dojrzała telefon na kuchennym blacie. Nim go dotknęła, sprawdziła, kto dzwoni, i zalała ją fala ulgi. Uspokoila się, a zaraz potem się zirytowała, bo ten ktoś prosił o wideorozmowę. Mocniej owinęła się ręcznikiem i sięgnęła po telefon.

- To nie jest zabawne, Tyler - powiedziała do uśmiechniętej twarzy na ekranie telefonu. Poprawiła drugi ręcznik, z którego zrobiła turban, i omal nie straciła równowagi. - Wiesz, że nie znoszę tak rozmawiać, kiedy jestem w domu.

- Miałem nadzieję, że złapię cię w samym ręczniku. - Chłopak uśmiechnął się szerzej, i to bez cienia zażenowania.

Wiedziała, że jest za stara dla Tylera. Był od niej młodszy o czternaście lat. Tak, policzyła to sobie. A jednak gdy usłyszała jego niestosowny komentarz, lekko się zaczerwieniła. I zamiast zbesztać kolegę z pracy, udała, że nic wielkiego się nie stało. Ustawiła telefon pod innym kątem, więc Tyler widział tylko jej twarz oraz sporą połąć kuchennego sufitu.

Czuli się w swoim towarzystwie swobodnie, może nawet za bardzo się spoufalili. Pracując razem od prawie roku przy rozmaitych kampaniach reklamowych, zbliżyli się do siebie także na płaszczyźnie prywatnej. Frankie miała sobie za złe, że nie postawiła żadnych granic. To ona była starsza i mądrzejsza. Profesjonalistce

ze sporym doświadczeniem przydzielono do współpracy młodego waśniaka, który dopiero co skończył college. Aż tu nagle Frankie i Tyler stali się obiektem zazdrości w McGavin Holt. Paul McGavin, wspólnik zarządzający firmy reklamowej, raz za razem zlecał im zadania, podkreślając przy tym ich sukcesy, jakby zawdzięczali je jego genialnej decyzji, by stworzyć z nich zespół. Frankie nie przejmowała się przechwałkami McGavina ani tym, że sobie przypisywał sukces. Dużo ważniejszy był dla niej rozwój kariery. A na dodatek wypadło to w dobrym czasie i pozwalało jej nie myśleć o niedawnych porażkach w życiu osobistym. Na przykład o tym, czemu znalazła się w tym oto nowym mieszkaniu.

- Nie uwierzysz, co odkryliśmy z Deaconem - podjął Tyler. - To wszystko zmienia.

Przyjrzała mu się baczniej i zauważyła lekki zarost na jego brodzie i potargane włosy. Jeszcze się nie ogolił, a już gdzieś wędrował. Widziała uliczne latarnie, ceglane budynki i fragmenty pustych ulic. Tyler miał dziwnie błyszczące oczy, najprawdopodobniej za mało spał i wypił za dużo kawy. Gdyby nie знаła go lepiej, powiedziała by, że jest pijany, ale Tyler i jego przyjaciele nie pili alkoholu. Byli uzależnieni od red bulla i monstera.

- Właśnie wyszedłem od Deacona. Pamiętasz, jak ci mówiłem o moim kumplu Deke'u? To Deacon K. Powiedziałaś, że tak mógłby nazywać się jakiś raper. Swoją drogą, bardzo mu się to spodobało - mówił chaotycznie Tyler.

- Czemu do mnie dzwonisz, Tyler?

- Pamiętasz, jak ci mówiłem, że zmuszę go do tego, żeby wykorzystał jedno z ich laboratoriów i zbadał skład chemiczny organicznych batonów śniadaniowych, którymi się zajmujemy?

- Pamiętam też, jak ci odpowiedziałam, że nie płacą nam za badanie składu chemicznego. Do nas należy przygotowanie kampanii reklamowej.

- Ale co z uczciwością, Frankie? W tym produkcie nie ma nic organicznego.

- Z uczciwością? - Zaśmiała się, odkładając telefon, żeby nalać sobie filiżankę kawy. Dobrze, że przynajmniej rozpakowała i postawiła na miejscu ekspres. Kuchnię wypełnił cudowny aromat, tworząc pozory normalności w jej wywróconym do góry nogami życiu. - Pracujemy w agencji reklamowo-marketingowej, Tyler. - Poprawiła rącznik na głowie i mocniej ściągnęła ten, którym się owinęła, potem znów sięgnęła po telefon. - Ten napój energetyczny, nad którym pracowaliśmy w zeszłym miesiącu, tak naprawdę nie daje nikomu supermocy.

- Nie, ale przynajmniej nie powoduje raka. - Tyler już się nie uśmiechał, natomiast ona po tych słowach zmarszczyła czoło. A po chwili usłyszała dużo więcej: - Frankie, oni we wszystkich próbkach znaleźli glifosat. Ale to nie wszystko, bo poziom glifosatu jest wysoki, przekracza limity bezpiecznego poziomu. Glifosat występuje w środkach chwastobójczych. Światowa organizacja zdrowia uznaje go za czynnik rakotwórczy, który może spowodować raka u osób mających z nim regularny kontakt, dlatego nie powinien znajdować się w produktach żywnościowych. W firmie Carson Foods doskonale o tym wiedzą i z premedytacją to ukrywają. Frankie, jeśli glifosat może wywołać raka u ludzi, którzy mają z nim kontakt, to tylko sobie wyobraź, co się dzieje z tymi, którzy go spożywają! - Przybliżył telefon do warg i powiedział: - A jeśli zjadasz go codziennie na śniadanie?

Wyrecytował to wszystko ze zbyt dużą brawurą, przypominając Frankie, że jeszcze trochę mu brakuje do prawdziwej dorosłości. Mówił lekko zdyszonym głosem, ale nie zatrzymywał się, szedł przed siebie.

- Posłuchaj, Tyler, w takim razie może poprosisz pana McGavina, żeby cię zdjął z tego projektu.

- Rak, Frankie. - Gdy upijając łyk kawy, przewróciła oczami, spytał: - Naprawdę przewróciłaś oczami?

- Wiesz, ile rzeczy może powodować raka? - Uniosła kubek. - Nawet kawa. Wszystko zależy od tego, wyniki których badań czytasz. I wciąż pojawiają się nowe. Nie tylko kawa, słońce też powoduje raka, ale to jeszcze nie znaczy, że spędzę resztę życia w zaciemnionym pokoju i bez kawy.

- Batony śniadaniowe to nie wszystko. Dałem Deke'owi próbki innych produktów Carson Foods. Mój młodszy brat każdego ranka je ich płatki śniadaniowe i czasami drugą miskę po szkole. Przepisy nakazują pracownikom, którzy mają do czynienia z glifosatem, nosić rękawiczki, żeby nie dochodziło do kontaktu z ludzką skórą, ale Carson Foods nie ma problemu z tym, że glifosat znajduje się w naszej żywności. Najgorsze jest to, że szefowie firmy, ci na samej górze, wiedzą nie tylko o obecności glifosatu, lecz także o tym, że jego zawartość jest zbyt duża. Manipulują danymi.

Frankie powstrzymała się przed kolejnym wzniesieniem oczu do nieba. Doceniała entuzjazm Tylera i zaangażowanie, z jakim podchodził do kolejnych zadań. Wszystko było dla niego nowe i ekscytujące. Świeżo upieczony absolwent college'u wierzył, że może zmienić świat. Trochę pamiętała to uczucie. Czasami jednak bywał męczący.

- Więc czemu do tej pory nikt ich nie pozwał? - spytała.

Widziała, jak Tyler mocniej przycisnął telefon, jakby bał się, że puste ulice usłyszą to, czym zamierza się z nią podzielić. Gdy się odezwał, mówił niewiele głośniejszym niż szeptem:

- Jest jedno postępowanie w toku. Tyle że parę dni temu tego gościa, który złożył pozew, potrącił samochód.

Urwał, jakby czekał, aż jego rewelacja w pełni do niej dotrze, ale Frankie tylko pokręciła głową, a potem rzuciła ze specyficzną intonacją:

- Tyler...

- W zeszłym tygodniu włamaliśmy się z Dekiem do skrzynki szefa Carson Foods. Wymienia mejle z jakimś senatorem na temat dużego międzynarodowego kontraktu na ich produkty. Ściągnąłem te mejle, mam je w swoim laptopie. Wysłałem ci kopie. Frankie, oni wiedzą! Wiedzą, że to jest trujące gówno. Ukrywają to gówno i robią wszystko, żeby nie wypłynęło na światło dzienne.

- Włamaliście się?! - Głośno odstawiła kubek na blat, żeby nie wyłączyć kawy. - Zwariowałaś? Możesz za to siedzieć. Nie mieszaj mnie w to, niczego mi nie przysyłaj.

- Posłuchaj, Frankie. Zaproponowałem detektywowi z policji, że pokażę mu te mejle, a on powiedział, że bym dał sobie z tym spokój.

- Tyler, on ma rację.

- Wiem, że policja nie jest zainteresowana. Musimy zapukać wyżej, do federalnych. Mówiłaś, że znasz kogoś z FBI.

- Powiedziałaś ci, że znam kogoś, kto zna kogoś z FBI. Naprawdę powinieneś o tym zapomnieć.

- To jest poważna sprawa, Frankie.

- Może porozmawiamy z panem McGavinem, żeby przydzielił cię do innej kampanii.

- Już z nim rozmawiałem, ale nie o tym, żeby dał mi inną robotę. Powiedziałem mu o glifosacie i że nie powinniśmy zajmować się marketingiem tych produktów.

- Co? Kiedy z nim rozmawiałeś?

- W poniedziałek.

Frankie wzięła sobie tydzień wolnego na przeprowadzkę. Jeden tydzień. Czemu, do diabła, jej pierwszej tego nie powiedział? Mieli tworzyć zespół. Zamiast jednak zadać mu to pytanie, spytała trochę niecierpliwie:

- I co? Jak zareagował?

- Odparł, że się temu przyjrzy. Ale założę się, że tego nie zrobi.

- Czemu tak sądzisz?

- Słyszałem, jak to mówił. Zaczekaj, widzę jakichś dwóch gości, wyglądają, jakby się zgubili.

Tyler opuścił rękę z telefonem. Frankie miała teraz na ekranie

chodnik i fragment nóg Tylera. Za nim widziała jakiegoś człowieka od kolan w dół. Miał ładne wypastowane błyszczące buty, w niczym nie przypominały zniszczonych i brudnych tenisówek Tylera. Wciąż mu powtarzała, że buty świadczą o człowieku, zwłaszcza w ich biznesie. Jeśli przedstawiciel firmy reklamowej nie przykładą wagi do swojego wyglądu, jak może przekonać jakiegoś prezesa, żeby powierzył mu wizerunek całej firmy?

- Co jest?

Frankie usłyszała Tylera, jego głos był przytłumiony, ale spokojny.

Czekając na niego, sięgnęła znów po kubek z kawą, myśląc o tym, ile kłopotów narobił. Zastanawiała się, czy pan McGavin uznał, że ona działa razem z Tylerem. Poświęciła temu projektowi mnóstwo czasu i energii. Nie chciała, żeby ją wyrzucili z pracy. Jaką miałyby potem opinię?

Prawie nie słyszała obcych mężczyzn, ale ton Tylera ze spokojnego zmienił się nagle na ostrożny. Telefon w jego ręce drgnął, a wtedy Frankie przez ulotny moment widziała twarze mężczyzn. Obaj byli biali. Jeden był dość potężny, drugi raczej przeciętnej postury. Obaj w strojach do biegania. Rozmowa stała się ożywiona, wciąż jednak nie słyszała dokładnie ich słów.

Tyler podniósł głos. Coś było nie tak. Uniósł rękę z telefonem, jakby zasłaniał się przed ciosem.

- Tyler, co się dzieje?

Usłyszała trzask, coś jakby strzelanie gaźnika samochodu. Tyle że to nie był samochód. Ulica była pusta. Tyler zniknął jej z pola widzenia i znów się pojawiał. Nagle ujrzała jego twarz. Oczy miał szeroko otwarte.

Czy na jego czole jest krew?

Kiedy jego ręka opadła, widziała tylko chodnik. Telefon upadł ekranem na beton.

- Tyler! - krzyknęła do swojego telefonu. - Co tam się, do diabła, dzieje?

Potknął się? Nie, wiedziała, że się nie potknął. Czy jeden z tych mężczyzn go uderzył? Czy na jego twarzy naprawdę widziała krew?

Musi zadzwonić na 911, ale nie chciała się z nim rozłączać.

- Tyler? Nic ci nie jest? Odpowiedz mi.

Mijały sekundy, w końcu ujrzała smugę światła, a potem chodnik. Telefon zaczął się unosić, pole jej widzenia się powiększało. Słyszała stłumiony głos, ale to nie był głos Tylera.

- Rozmawiał przez telefon - nie kryjąc niezadowolenia, stwierdził mężczyzna niskim głosem.

Chodnik zniknął, ekran wypełniła twarz mężczyzny. Patrzył na nią, mrużąc ciemne oczy. Miał orli nos i ciemne gęste brwi na

szerokim czole. Odsunął się, odwrócił głowę i powiedział coś bezgłośnie do drugiego mężczyzny. Poruszając się, odsłonił paskudną bliznę wyglądającą spod kołnierzyka koszuli.

Kubek Frankie roztrzaskał się na podłodze. Mężczyzna gwałtownie wrócił spojrzeniem do ekranu. Frankie trzymała telefon w wyciągniętej ręce i mrużąc oczy, próbowała się rozłączyć. Wreszcie ekran zgasł, a potem pokazał się wygaszacz ekranu. Rzuciła telefon na blat.

Brakowało jej tchu. Trzęsła się, mocniej owinęła się mokrym ręcznikiem. Jej myśli krążyły jak szalone. Musi coś zrobić.

Kiedy dźwięk salsy odbił się od granitu, Frankie omal nie podskoczyła. Jej telefon ożył. Na ekranie pulsował numer Tylera. Czy to możliwe, że nic mu się nie stało?

Nie podnosząc telefonu, wyciągnęła rękę, upewniając się, że znajduje się poza okiem kamery aparatu. Dotknęła jednego z przycisków i ekran obudził się do życia. Ale nie było na nim twarzy Tylera.

Większą część ekranu wypełniało ciemne niebo z poświatą ulicznej latarni. Widziała fragment mężczyzny, który trzyma telefon w wyciągniętej ręce. Jego milczenie powiedziało jej, że dzwoni po to, by lepiej jej się przyjrzeć. Tym razem Frankie dostrzegła, że dół ekranu jest czymś pobrudzony. Czymś ciemnoczerwonym. W zasadzie to nie była smuga, tylko krople. Bryzg.

O Boże, czy to krew?

Pozostając poza polem widzenia aparatu, przesunęła rękę po blacie i nacisnęła „rozłącz”. Kiedy była już pewna, że połączenie zostało przerwane, chwyciła za telefon. Trzymając go, jakby trzymała węża, który może ją ukąsić, zaczęła naciskać i stukać w przyciski, aż ekran zrobił się czarny, aż nabrała pewności, że telefon został kompletnie wyłączony. Że nie będzie nawet wibrował. Że nie jest przełączony na tryb samolotowy, tylko wyłączony. Potem znów posunęła go po blacie, ale tym razem zrobiła to z taką siłą, że uderzył o płytę kuchenną.

Mimo to nadal patrzyła na telefon, jakby znów miał rozbrzmieć salsa. Było jej zimno, drżała na całym ciele. Serce waliło jej o żebra. Dotąd wstrzymywała oddech, teraz powoli próbowała znów oddychać.

Musi komuś o tym powiedzieć. Musi zadzwonić na 911. A jednak bała się włączyć telefon.

Co się tam, do diabła, stało?

ROZDZIAŁ DRUGI

Panhandle, Floryda

Ryder Creed czuł na sobie jej wzrok.

Podtrzymywał dużego psa, woda rozpryskiwała się wokół nich. Choć pies miał kamizelkę ratunkową, która utrzymywała go na powierzchni - i chociaż Creed go zabezpieczał, trzymając ręce pod jego brzuchem i szyją - pies odchylił do tyłu uszy i szeroko otworzył oczy.

- W porządku, świetnie sobie radzisz - zapewnił go Creed cichym, kojącym tonem, którym wcześniej skutecznie uspokajał psa. Ale to było wtedy, kiedy zwierzak znajdował się w niedużej wannie służącej do rehabilitacji. Może to błąd, że przeniósł go do olimpijskiego basenu. Może jeszcze na to za wcześnie.

Pies był nowym nabytkiem ośrodka szkoleniowego dla psów poszukujących K9. Creed i jego partnerka biznesowa Hanna Washington zgodzili się go przyjąć po eksperymentalnej operacji, którą przeszedł. Knight był dwuletnim belgijskim psem pasterskim o czarnym pysku. Służąc w Afganistanie, stracił większą część prawej przedniej łapy. Jego proteza była cudem nauki i technologii medycznej. Creed wciąż nie mógł się nadziwić, jak dobrze pies przystosował się do sztucznej kończyny. Zanurzenie w dużej ilości wody miało służyć nie tylko temu, by Knight przyzwyczaił się do protezy i nauczył się nią posługiwać. Chodziło też o zaufanie do nowego opiekuna.

- Nie pozwolę, żeby coś ci się stało - powiedział Creed, widząc, że pies porusza nozdrzami. Knight mógł ją wyczuć. Wiedział, że jest tam jakaś obca osoba. - W porządku. - Creed wyjął z wody rękę i pogłaskał psa. - Wszystko w porządku.

Kątem oka Creed wypatrzył ją, jak chowa się w cieniu hali. Jego siostra Brodie wyglądała i zachowywała się jak dziewczynka. Pod wieloma względami pozostała dokładnie taka, jak ją zapamiętał. Przez szesnaście lat wyobrażał sobie siostrę jako jedenastoletnią dziewczynkę, którą odprowadzał wzrokiem, kiedy podskakując na deszczu, szła przez parking do toalety, po czym zniknęła bez śladu, jakby rozplynęła się w powietrzu.

Minęło niespełna pięć miesięcy, odkąd znów się odnaleźli, i dwa miesiące od chwili, gdy Brodie zamieszkała z Creedem i Hanną.

Podobnie jak Knight, Brodie pojawiła się tu mocno poraniona, i te rany wymagały leczenia. Więc nawet teraz, choć powinien jej powiedzieć, że budzi w psie lęk, pozwolił na to, by przyglądała im

się z ukrycia. Gdyby dał jej znak, że ją zauważył, sama też pewnie by się przestraszyła. Wiedział, że Brodie stara się nad tym zapanować. Robiła, co w jej mocy, żeby być dzielną, gdy wszystko wokół niej było nowe i trudne.

Kiedy przez długie lata przebywała w niewoli w zimnym i ciemnym miejscu, cierpiała głód, była poniżana i prześladowana fizycznie, nauczyła się tłamsić emocje, bo inaczej nie poradziłaby sobie z codziennymi potrzebami i wyzwaniem. Jednak choć bardzo starała się pokazywać, że wszystko jest w porządku, Creed widział prawdę w jej oczach. Podobnie jak Knight, wyczuwał jej psychiczny dyskomfort, rozchwianie, niepewność.

Kiedy Brodie tu przyjechała, by z nimi zamieszkać, chodziła za nim krok w krok, bojąc się stracić go z oczu. Creed miał wrażenie, że to jakiś duch w milczeniu śledzi go zza drzew i wypatruje zza rogów. Czas, który spędziła bez niego – a tak naprawdę w niewoli nie miała żadnego kontaktu ze światem – był dłuższy niż ten, który spędzili razem. Brodie wciąż sprawdzała swoją wolność, testowała granice i przekraczała je, szukała ograniczeń, a potem je przełamywała.

Creed zobaczył, że nieco się zbliżyła.

Odezwał się do psa:

– Nie bój się, wszystko w porządku. – Tym razem powiedział to głośniej, licząc na to, że jego słowa dotrą również do Brodie.

Przyznała mu się, że boi się psów, wyjawiała też powód. Otóż gdy Brodie podjęła próbę ucieczki, kobieta, która ją więziła, Iris Malone, poszczuła ją psem. Creed widział bliznę na jej kostce, więc pies musiał ją ugryźć aż do kości.

Nie potrafił słowami zmienić nastawienia siostry do psów. Za to Grace, pełna animuszu suczka rasy jack russell terier, odniosła prawdziwy sukces w przekonywaniu Brodie, że nie wszystkie psy muszą się na nią rzucać. Creed wiedział, że Brodie, jeśli nadal chce tu mieszkać, musi się tego dowiedzieć bezpośrednio od psa.

Centrum szkoleniowe K9 dla psów poszukujących zajmowało teren wielkości ponad dwudziestu hektarów, w dużej części porośnięty przez las. W tej „psiej rezydencji”, w której mieszkało mnóstwo psów różnych ras i wielkości, był ogromny wybieg i duże ogrodzone podwórze. Większość zwierzątek pochodziła ze schronisk, a niektóre zostały podrzucone na końcu podjazdu przed domem Creeda. Hanna lubiła powtarzać, że ratują porzucone i nikomu niepotrzebne psy, a potem zamieniają je w prawdziwych bohaterów. Kiedy powiedziała to Brodie, widać było, że zrobiło to na niej wrażenie. Rozumiała, co to znaczy zostać odrzuconym.

Nagle Brodie znalazła się tuż przy basenie. Creed nawet nie

słyszał jej kroków. Przez lata, kiedy starała się być niewidzialna, nauczyła się poruszać niemal bezgłośnie. Może powinna zainteresować się jakąś tajną pracą, skoro Creed nie zauważył, jak podeszła do brzegu basenu. Ledwie ją teraz widział, za to pies wyraźnie dał mu znak, że ona tu jest. Gwałtownie wciągał powietrze i poruszał łapami, żeby się obrócić, i próbował jej się przyjrzeć. Nie był przy tym spanikowany, tylko podekscytowany.

Creed skupił uwagę na psie, kierując go w stronę płycizny.

- Co mu się stało w łapie? - spytała Brodie, jakby to było całkiem normalne, że nagle wychodzi z cienia i podejmuje zwyczajną rozmowę.

Jedną z pierwszych rzeczy, o jaką poprosiła brata, było to, żeby zawsze mówił jej prawdę, niezależnie od tego, jak bardzo wyda mu się bolesna. Dodała też, żeby nigdy niczego nie upiększał.

- Wyszukiwał bomby w Afganistanie.

- Jak Rufus?

Creed opowiadał siostrze, jak z Rufusem szukali min pułapek w Afganistanie i oczyścili drogę, żeby oddziały piechoty morskiej mogły przejść bezpiecznie. Aż pewnego dnia młody chłopak z wioski przyniósł bombę do ich obozu. Ukrytą pod ubraniem, przymocowaną do szczupłego ciała.

Rufus ostrzegł Creeda, ale zanim ten go zrozumiał, było już za późno.

Creeda odesłano do domu, ale Rufus został, bo jego obrażenia nie były zbyt groźne. Opatrzono go i wrócił do pracy z innym żołnierzem z piechoty morskiej. Jednak po jakimś czasie Creed odzyskał Rufusa. Opiekun i pies znów się spotkali, choć Ryder Creed musiał wyświadczyć przysługę człowiekowi, którego nie darzył szacunkiem, oraz złożyć przysięgę milczenia. Pies nadal sypiał przy łóżku Creeda.

- Tak, tak jak Rufus - odparł Creed.

- Ale ładunek wybuchł? A on go nie wyczuł? - Brodie wyglądała na skonfundowaną.

- Nie - poprawił ją Creed. - To jego opiekun nawalił.

- Czy opiekun też stracił nogę?

- Jego opiekun stracił życie.

Spojrzał na twarz Brodie. Patrzyła na psa, ale w jej oczach nie widział emocji. Jeśli chodzi o Brodie, to była jedna z tych rzeczy, które najtrudniej mu było zaakceptować. Okazywała tak niewiele emocji. Wyłączenie uczuć pozwalało jej przetrwać. Obecnie miała dwadzieścia siedem lat, ale spędziła tyle czasu w izolacji, że Creed nie mógł uciec od myśli, czy siostra kiedykolwiek będzie w stanie włączyć ten mechanizm.

Pies zaczął płynąć w jej stronę. Wyraźnie był nią zainteresowany, jakby chciał ją poznać. Creed spodziewał się, że siostra odskoczy, a przynajmniej się odsunie.

Ku jego zdumieniu Brodie nachyliła się, potem usiadła na brzegu basenu i zamoczyła nogi w wodzie. Nie bała się wody, wciąż świetnie pływała. Iris Malone nie udało się jej odebrać przynajmniej tych paru rzeczy.

Pies był tak niecierpliwy, że zapomniał o wspomaganiu Creeda. Płynął samodzielnie, a Creed płynął za nim. Widać było wyraźnie, że jest bardzo zmęczony. Brodie też to wyczuła, bo spontanicznie zsunęła się do wody w T-shircie, butach i krótkich spodenkach. Woda sięgała jej w tym miejscu do pasa. Zdawało się, że Brodie jej nie zauważa, a może się nią nie przejmuje. Chwyciła kamizelkę psa, a on wpadł prosto na nią, wdzięczny i gotowy na przyjęcie pomocy w wyjściu z wody.

Kiedy Creed do nich podpłynął, Knight polizał twarz Brodie, w nagrodę otrzymując jakże rzadki uśmiech. Creed był pod wrażeniem, że siostra nie skrzywiła się ani nie cofnęła.

Brodie zauważyła jego zdziwienie, lecz zamiast je skomentować, zapytała:

- Czy może chodzić samodzielnie?

- Tak, ale muszę mu pomóc wyjść z basenu. Nie chcę, żeby się pośliznęła na stopniach.

Brodie pozwoliła Creedowi przejąć inicjatywę, bo nie miała tyle siły w rękach, żeby skutecznie pomóc psu.

- Pływanie pomoże mu odbudować mięśnie bez nadwyrężania łapy - wyjaśnił, trzymając psa przy sobie i wchodząc po mokrych stopniach.

Brodie wyszła z basenu i stanęła obok nich. Creed podał jej ręcznik. Zauważył, że Brodie znów zachowuje dystans. Nie pochyliła się, żeby pogłaskać psa. Niezdarnie wytarła swoje ręce i nogi, ale nie owinęła się ręcznikiem.

Creed podniósł wzrok na okna biegnące wzdłuż budynku. Podobnie jak tam, gdzie mieszkały psy, zaprojektował je tak, by znajdowały się powyżej poziomu oczu, żeby psy nie mogły wyglądać przez nie na zewnątrz i żeby nic ich nie rozpraszało podczas treningu. Teraz zobaczył, że poranne słońce przesłoniły ciemne burzowe chmury. Niebo przecięła błyskawica. Brodie też to dostrzegła, ale nie wywołało to w niej niepokoju, tylko sprawiała wrażenie, że coś jej to przypomniało.

- Och, zapomniałam ci powiedzieć - odezwała się. - Hanna przysłała mnie, żeby cię uprzedzić, że zbliża się burza i musisz wyjść z basenu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zaraz potem usłyszeli grzmot, który rozległ się gdzieś w oddali. Creed uśmiechnął się pod nosem. Najwyraźniej grzmoty i błyskawice nie budziły w Brodie lęku, w ogóle nie robiły na niej specjalnego wrażenia.

- Może bym z wami kiedyś popływała.

Nadal skupiała się na psie. Gdy kolejna błyskawica rozświetliła niebo, Brodie ledwie zerknęła w tamtą stronę. Creed podniósł na nią wzrok, wycierając Knighta ręcznikiem. W ciągu kilku ostatnich miesięcy widział, jak siostra wzdrygała się na widok strzykawki i podskakiwała na dźwięk stukania do frontowych drzwi, ale w obliczu nadchodzącej burzy pozostała niewzruszona.

W Nebrasce pogoda zapewne często dawała się we znaki. Tam wreszcie, na głębokim odludziu, znaleźli Brodie. Była zamknięta na farmie w opuszczonym domu.

- Nie boisz się grzmotów ani błyskawic? - spytał Creed, gdy w końcu ciekawość wzięła górę.

Brodie rzuciła szybkie spojrzenie na okna. W ułamku sekundy Creed zobaczył w niej tamtą małą dziewczynkę, którą zachował w pamięci. Co prawda nie nosiła już długich włosów, obciąła je na krótko, i to tak bardzo, że miejscami sterczały. Upierała się, że muszą być krótkie i nieraz sięgała po nożyczki, żeby je obciąć. Choć była teraz wyższa, miała bardzo szczupłą chłopcęją figurę, wąskie biodra i płaski biust. Było to skutkiem niedożywienia. Wyglądała raczej jak nastolatek niż kobieta, która powoli zbliża się do trzydziestki. W tym momencie sprawiała wrażenie lekko zażenowanej faktem, że nie poświęca burzy należytej uwagi. Zerknęła na Creeda, wzruszając ramionami.

- Zwykle przebywałam w piwnicy - powiedziała zwyczajnie, jakby to była tylko piwnica, a nie więzienie. - To było jedyne miejsce, gdzie nie słyszało się burzy. - Znów spojrzała na okna, a potem na Creeda. - Powinniśmy zejść do piwnicy?

Uważnie przyjrzał się ciemniejszemu niebu. Skoro Hanna przysłała tu Brodie, pewnie słuchała prognozy pogody. Zaczekał na kolejną błyskawicę, potem zaczął liczyć w myśli: raz, dwa, trzy, cztery, aż rozległ się grzmot.

- Burza jest jeszcze kilka kilometrów od nas - odparł wreszcie. - Muszę zaprowadzić Knighta do psiarni i sprawdzić, co z pozostałymi psami. Ale ty możesz wracać do domu, jeśli chcesz.

Kiedy zbliżyli się do oszklonych drzwi, Brodie rzuciła spojrzenie

w stronę psiarni. Z zewnątrz przypominała nowoczesny magazyn, który wyremontowano i zamieniono na budynek mieszkalny. Prawdę mówiąc, na piętrze znajdowało się mieszkanie Creeda. Brodie wchodziła do niego prowadzącym z zewnątrz wejściem, ale rzadko zaglądała do psiarni.

Ostatnio jakby mniej bała się psów. Choćby to, jak rozwijały się jej kontakty z Knightem, dawało Creedowi nadzieję. Rozumiał też, że psiarnia może działać na nią przytłaczająco, już choćby ze względu na dużą liczbę psów. Widział, jak obchodziła to miejsce, byle nie zbliżyć się do ogrodzenia, za którym psy biegały i bawiły się na podwórzu.

Już miał jej powiedzieć, że spotkają się w domu, kiedy go zaskoczyła, i to po raz kolejny.

- Może bym ci pomogła? - spytała.

- Jesteś pewna?

Patrzył jej w oczy. Brodie kiwnęła głową. Zdawało się, że nic nie umyka jej uwadze. Nieustająco się rozglądała, rzucała wzrokiem tu i tam, wszystko sprawdzała, a potem zaczynała od początku.

Kiedy Creed otworzył drzwi, w twarz uderzył go silny powiew. Wiatr niósł ze sobą wilgoć, był słony i ciepły, zupełnie jakby Zatoka Meksykańska znajdowała się tuż za lasem. Creed podniósł wzrok i przyjrzał się badawczo ciemnym nabrzmiałym chmurom płynącym powoli w jednym kierunku. Niski dźwięk grzmotu sugerował, że zostało im najwyżej kilka minut.

Gdy przemierzali niewielką odległość dzielącą ich od psiarni, Creed zerknął na Brodie i powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem. Patrzyła na tylne wejście psiarni. Jason taszczył właśnie do środka nową dostawę psiej karmy.

Jason Seaver był jedynym opiekunem i treserem psów, który mieszkał razem z nimi na terenie ośrodka. Jego podwójna przyczepa stała niedaleko głównego budynku mieszkalnego i psiarni. Dołączył do nich przed dwoma laty, był weteranem z Afganistanu, którego odesłano do domu po wybuchu miny pułapki. Kiedy Creed ujrzał go po raz pierwszy, Jason miał pretensje do całego świata i rwał się do kłótni z każdym, kto uniósłby brwi, patrząc na jego pusty lewy rękaw. Był agresywny i ponury, a nawet miewał myśli samobójcze, ale Hanna twierdziła uparcie, że Jason przypomina jej Creeda z czasów, gdy go poznała. Zaproponowała Jasonowi pracę i naukę zawodu. Jason i Creed czasami się nie zgadzali, i wtedy Creed kręcił głową, zastanawiając się, czym kierowała się Hanna, przyjmując tu tego człowieka. Ale tak jak ona nigdy się nie sprzeciwiała, kiedy sprowadzał do domu kolejnego psa, niezależnie od tego, czy był wychudzony, parchaty i pokryty świerzbelem, tak on nie

kwestionował mądrości jej decyzji. Zresztą musiał przyznać, że pomimo różnic mieli z Jasonem coś wspólnego. Obaj wrócili z Afganistanu pełni złości i psychicznie rozbici. W końcu Creed zaoferował chłopakowi dwie rzeczy, które go uratowały przed autodestrukcją, a może nawet samobójstwem: psa i cel w życiu.

Kiedy dotarli do drzwi, za którymi zniknął Jason, Creed obejrzał się na Brodie. Jason zerknął na nich, nie przerywając rozpakowywania i układania karmy. Nie robił wrażenia, że dziwi go obecność Brodie, która od chwili przyjazdu unikała tego jednego miejsca. Creed spojrział na siostrę po raz kolejny i chyba zrozumiał, dlaczego zmieniła zdanie. Przyglądała się Jasonowi z fascynacją, jakiej Creed do tej pory nie widział na jej twarzy.

Czy to coś nowego? A może dotąd tego nie zauważył? Jak mógł to przeoczyć? Jason mieszkał tu i pracował, był stałym elementem ich codzienności, częścią ich małej rodziny, niemal każdego wieczoru siadywał z nimi przy stole.

- Wszystkie są już nakarmione - oznajmił Jason. - I bezpieczne.

- A Molly? - spytał Creed. - Ostatnim razem była niespokojna.

Od października nie było u nich burzy z błyskawicami i piorunami. Creed uratował mieszańca o imieniu Molly prawie rok temu. Suka jako jedyna z całej jej rodziny przeżyła lawinę błotną w Karolinie Północnej. Bolo, pies Creeda, uparcie grzebał pazurami w ziemi, gdzie ratownicy widzieli tylko wystający kawał metalu. Okazało się, że ten metal był podwoziem samochodu.

- Jest w porządku - odparł Jason. - Skuliła się obok Bola. Trzymają się razem. - Uśmiechnął się do Brodie. - W sumie to Bolo ją uratował. Opowiadałem ci tę historię?

Brodie skinęła głową.

- Tak, pamiętam. Lubię ją.

Creed przeniósł wzrok z Brodie na Jasona i z powrotem. Coś w jego twarzy musiało ostrzec Jasona, bo nagle jego uśmiech zgasł.

- Opowiadałem Brodie o psach, żeby je lepiej poznała. - Jason błędnie odczytał zdziwienie Creeda jako dezaprobatę i tłumaczył się dalej: - No wiesz, żeby się ich nie bała, nie?

Creed nawet nie zauważył, że ci dwoje spędzają razem czas. Jak mógł tego nie dostrzec?

- Jason tak opowiada, jakby psy były bohaterami powieści - powiedziała Brodie, która uwielbiała czytać. Nazywała to swoją codzienną terapią.

- Świetny pomysł - powiedział Creed do Jasona, myśląc przy tym, dlaczego sam wcześniej na to nie wpadł.

Bo to był świetny pomysł. A jednak nie wiedzieć czemu niepokoiło go, że ci dwoje spędzają razem czas. Może po prostu był

nadopiekuńczy. Zapewne tak właśnie było, a jednak czuł nerwowy ucisk w żołądku.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Chicago

August Braxton zawdzięczał swoją reputację temu, że sprzątał cudzy bałagan i przywracał porządek. Drobiazgowo zaplanował tę operację, śledząc oba cele dzień za dniem. W Waszyngtonie był znany z tego, że przykłada wagę do szczegółu, oraz że nadzwyczaj umiejętnie eliminuje wszelkie czynniki ryzyka. Jak mógł nie zauważyć, że Tyler Gates rozmawia przez telefon? A nawet więcej, że prowadzi wideorozmowę?

Nie mógł nawet winić o to Rexa, choć z drugiej strony ten wielki głupek nie powinien brać do ręki telefonu, a już na pewno nie powinien się pokazywać. Jego ciekawość zbyt często prowadziła do błędów i w rezultacie mieli kolejny bałagan do sprzątnięcia.

Na szczęście Gates także był skrupulatny. Obok numeru Francine Russo, w swoich kontaktach miał nie tylko jej zdjęcie, lecz także adres mejlowy i adres profilu na Facebooku. To dobrze, ponieważ Rex powiedział, że przystroiła się w turban z ręcznika. Nawet gdy przyjrzał się uważnie jej miniaturowemu zdjęciu, pokręcił tylko głową i wzruszył ramionami.

To bez znaczenia. W ciągu kilku sekund Braxton kazał centrali znaleźć domowy adres Francine Russo. Było jeszcze dość wcześnie, więc zdążą złożyć jej wizytę, nim wyjdzie do pracy. Zajmą się tą drobną niedogodnością i załatwią sprawę.

Gdy zbliżali się do budynku, gdzie mieszkała Russo, Braxton rozejrzał się, czy nie ma tu gdzieś glin. Bo ona z całą pewnością zadzwoniła na 911. Czy mogli już tu przyjechać, żeby odebrać jej zeznanie? Nie, upłynęło za mało czasu. W najlepszym wypadku dopiero wysłali radiowóz.

Braxton nie był z Chicago, ale orientował się na tyle dobrze, by mieć pewność, że gliny mają wystarczająco dużo innej roboty i nie pędzą z miejsca do jakiejś rozhisteryzowanej kobiety, żeby spisać jej zeznanie. Poza tym być może Russo potrafiłaby opisać Rexa, ale zdecydowanie nie byłaby w stanie go zidentyfikować. A gdyby wiedziała, gdzie znajdował się Gates, kiedy z nią rozmawiał, skierowałaby tam gliny. Przecież to miejsce zbrodni zawsze jest oczywistym priorytetem.

Kiedy przeszli holem do windy, centrala przysłała Braxtonowi nową podobiznę Francine Russo. To było profesjonalne zdjęcie wzięte ze strony agencji reklamowej, które potwierdzało, że Russo i Gates pracowali razem.

Ciekawe, pomyślał. Współpracownicy prowadzą ze sobą wideorozmowy o piątej rano? Musiała być dla niego kimś więcej niż tylko koleżanką z pracy. To, że Gates zadzwonił do niej natychmiast po opuszczeniu domu przyjaciela, doprowadziło Braxtona do konkluzji, że Russo z pewnością zna plany ich obu, a może nawet brała w tym udział. I znów musiał się zastanowić, jakim cudem do tej pory umykał mu ten element układanki.

Budynek, w którym mieszkała Russo, był niebrzydki, ale jako starszy przedstawiciel agencji – a takie stanowisko wymieniono na stronie agencji reklamowej – najwyraźniej nie zarabiała wystarczająco dobrze, by zamieszkać w apartamentowcu z portierem i całodobową ochroną. Do tego winda była łatwo dostępna i bez żadnych ograniczeń zatrzymywała się na wszystkich piętrach.

Braxton poprawił krawat i pokazał Rexowi, by zrobił to samo. Zdjęli już ciuchy do biegania i pozbyli się ich wraz z plamami krwi ofiary. Przed wyruszeniem do akcji Braxton był święcie przekonany, że wszystko pójdzie jak z płatka. Nie znosił, gdy coś stało na przeszkodzie jego zamiarom, ale cóż, zajmą się tym. I będzie po sprawie.

Kiedy wysiedli z windy, z niejaką ulgą stwierdził, że na piętrze znajdują się tylko cztery lokale. Nim zapukał do drzwi, kazał Rexowi stanąć z boku, tak żeby nie było go widać. Russo najprawdopodobniej widziała Rexa, ale Braxton był pewien, że jemu nie mogła się przyjrzeć.

Odwrócił głowę, prezentując przed judaszem swój lepszy profil. Na samym początku kariery nauczył się perfekcyjnie udawać ważną urzędową osobę, wzbudzającego respekt i zaufanie przedstawiciela władzy. Sedno tkwiło w postawie. Zwykle tak skutecznie odgrywał tę rolę, że ludzie nawet nie prosili go o pokazanie dokumentu. A nawet gdy tak się zdarzało, ledwie rzucali okiem na papier, który podsuwał im pod nos.

Tym razem, gdy drzwi się otworzyły, Braxton musiał ukryć swoje zdumienie. Zamiast Francine Russo w drzwiach stanął zaspany mężczyzna w średnim wieku z ciemnymi potarganymi włosami. T-shirt podkreślał jego świetną formę fizyczną. Szczecina na brodzie i kubek kawy w ręce wskazywały na to, że niedawno wstał z łóżka.

- Tak, co jest?

Twardziel, a przynajmniej za takiego się uważał.

Braxton zerknął na numer na drzwiach, choć wątpił, żeby się pomylił, i powiedział:

- Muszę porozmawiać z Francine Russo.

- Ona już tu nie mieszka.

- Jest pan pewien? Mam taki adres.
- Wyniosła się z początkiem tygodnia.
- Naprawdę muszę z nią porozmawiać. Gdzie teraz mieszka?
- Nie mam bladego pojęcia.
- Słucham? Chyba pan nie rozumie, jakie to ważne, żeby z nią porozmawiać.
- A kim pan jest, bo nie dosłyszałem? - Mężczyzna zerknął w bok i dostrzegł Rexa. - Czy ona ma jakieś kłopoty?
Więc facet wciąż coś do niej czuł, choć się od niego wyprowadziła.
- Nie będzie miała kłopotów, jeśli jak najszybciej z nią porozmawiam. Może poda mi pan jej nowy adres.
- Nie znam go. - Kiedy mężczyzna zobaczył, że Braxton mu nie wierzy, dodał bez pytania: - Zerwaliśmy ze sobą, jasne? Nie mam prawa znać jej nowego adresu. Pewnie w jej pracy go znają. Jeśli faktycznie ma pan do niej aż tak ważną sprawę, to musi pan wiedzieć, gdzie ona pracuje. - Zatrzaskał drzwi.
Braxton nie zdążył nawet wsadzić stopy w drzwi. I w sumie tak lepiej. Owszem, bez trudu mógłby złapać gościa za gardło, podnieść go z podłogi i trzymać tak długo, aż wydusiłby z siebie adres Russo. Rex miał na to wielką ochotę, ale Braxton powstrzymał go ledwie widocznym gestem. Brutalna przemoc nie doprowadzi ich do celu. Popełnili już jeden błąd. Muszą się uzbroić w cierpliwość.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Francine Russo westchnęła sfrustrowana. Być może Tyler właśnie wykrwawia się gdzieś na chodniku, a ten gliniarz traktuje ją bardziej jak zbrodniarza niż świadka.

- Jaki jest pani związek z domniemaną ofiarą?

Już mu to powiedziała, gdy tylko tu przyszła. Dyspozytorka z 911 poradziła, żeby zgłosiła sprawę, ale wtedy Frankie uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, gdzie jest Tyler.

- Chce pani zgłosić napad, ale nie potrafi pani powiedzieć, gdzie do tego doszło?

Spokój, z jakim ją wypytywała, doprowadzał Frankie do jeszcze większej hysterii.

W ciągu tych kilku ostatnich minut zdała sobie sprawę, jak mało wie o Tylerze. Wiedziała, w jakiej okolicy mieszka, ale nie знаła dokładnego adresu. Nie potrafiła też powiedzieć dyspozytorce, gdzie mieszka przyjaciel Tylera, Deacon. Nie wiedziała nawet, czy K. to środkowy inicjał, początek nazwiska czy część przydomku.

W końcu dyspozytorka podała Frankie wskazówki, dokąd ma się udać, żeby zgłosić napad.

- Pracujemy razem w McGavin Holt - powiedziała Frankie policjantowi po raz kolejny.

- I nie łączy was nic więcej poza pracą? - Detektyw mówił monotonnym głosem, ale w tym momencie podejrzliwie uniośł brwi.

- Nic więcej.

- Nie chodzicie razem na drinka po pracy?

- Tyler nie pije alkoholu.

- No to na kawę.

- Nie pije też kawy.

- Ale rozmawiacie przez telefon.

- Tak.

- Prowadzicie nawet wideorozmowy. Poza pracą.

- Zawsze dotyczą pracy.

- O piątej nad ranem?

Frankie znów westchnęła i odchyliła się na metalowym składanym krześle. Więc to akurat usłyszał.

- Tak. - Nie zamierzała mu wyjaśniać, że czasami, kiedy razem pracują przy jakiejś kampanii, rozmawiają o różnych dziwacznych porach. Kochali swoją pracę i bardzo się angażowali. Ale jakie to teraz miało znaczenie? Dodała pośpiesznie: - Może pan sprawdzić, czy nic mu nie jest? Proszę.

- Przecież nie wie pani, gdzie doszło do tego zdarzenia.
- Nie wiem.
- Bo pani tam nie było.
- Byłam w swoim mieszkaniu.
- Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, czemu sądzi pani, że został zaatakowany?

- Powiedział, że było tam dwóch mężczyzn. Wydawało mu się, że chyba zabłądzili, i wtedy opuścił rękę z telefonem. No wie pan, opuścił rękę wzdłuż ciała, tak? Słyszałam, jak z nimi rozmawiał.

- Co mówili?

- Nie słyszałam dokładnie, co powiedzieli do Tylera, ale w jego głosie pojawiła się nerwowość. Uniósł rękę, jakby się bronił, zasłaniał. Wtedy usłyszałam trzask.

- Trzask?

- Przypominał dźwięk gaźnika, ale ulica była pusta, żadnego auta.

- Co dalej?

- Zobaczyłam fragment twarzy Tylera i zdawało mi się, że upadł. Telefon też upadł. Widziałam, jak spada. Widziałam chodnik.

- Nie widziała pani tych mężczyzn?

- Fragment jednego z nich.

- Jak wyglądał?

- Miał ciemne oczy. Głównie je widziałam. I orli nos.

- Czarny, biały, stary, młody?

- Biały. - Frankie zamknęła oczy i usiłowała coś sobie przypomnieć. - Widziałam go pod dziwnym kątem. Jakbym patrzyła na niego z dołu.

Policjant pokiwał głową i nic nie mówiąc, czekał.

- Aha, miał bliznę. Na szyi. - Uniosła rękę do swojej szyi i pokazała to miejsce. - Jakies pięć, może siedem centymetrów. Część była taka jakaś wypukła, skrzyta jak sznur.

Na szczęście policjant to zanotował. Wszystko inne w jego notesie wyglądało na bazgroły i esy-floresy.

- Nie widziała pani żadnych znaków ulicznych? Nic znajomego w tle?

- Nie, niczego nie rozpoznałam. - Nie przyznała, że nie zwracała na to większej uwagi. Była wkurzona na Tylera, że dzwoni tak wcześniej. Nie wspomniała też, że kiedy zadzwonił, właśnie wyszła spod prysznic i była w samym ręczniku.

- Ten pani kolega, Tyler, nie powiedział, gdzie jest?

- Nie, powiedział tylko, że właśnie wyszedł od przyjaciela.

- Jak się nazywa ten przyjaciel? - Długopis detektywa zawisł nad notesem.

- Deacon, a raczej Deacon K., jak mówi o nim Tyler. Ale nie wiem,

czy K. to inicjał drugiego imienia, czy pierwsza litera nazwiska.

Frankie zauważyła, że notując imię chłopaka, detektyw zerknął na zegarek. Był to leniwy gest, facet nie śpieszył się z robotą. A może po prostu jej nie wierzył?

Wyciągnął wizytówkę i na odwrotnej stronie naskrobał numer telefonu. Podał ją Frankie przez stół i powiedział:

- Gdyby pani sobie coś jeszcze przypomniała, proszę do mnie zadzwonić.

- To wszystko? - spytała. - Nie mógłby pan sprawdzić, czy ktoś nie zgłosił, że znalazł postrzelonego mężczyznę?

- Postrzelonego? Jesteśmy w Chicago. Prawdopodobnie w ciągu minionej doby zabito więcej niż jednego człowieka.

- To może trzeba sprawdzić szpitale albo jego mieszkanie?

- Sama pani powiedziała, że nie wie pani, gdzie mieszka.

- Nie wiem, ale... jest pan policjantem. Nie jest pan w stanie tego sprawdzić?

Spojrzał na nią sponad okularów, a ona zrozumiała, jak głupio zabrzmiały jej słowa. Nawet gdyby zadzwoniła do agencji reklamowej, nie podano by jej osobistych danych Tylera, w tym jego adresu. A ilu Tylerów Gatesów mieszkających w Chicago znalazłby Google?

- Jeśli pani sobie coś przypomni - detektyw wskazał na wizytówkę

- niech pani do mnie zadzwoni.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zła i sfrustrowana Frankie pojechała do domu. Od rozmowy z Tylerem minęły zaledwie cztery godziny, a ona już zaczęła się zastanawiać, co tak naprawdę widziała i słyszała. Może to wcale nie był wystrzał z broni palnej. Chociaż była gotowa przysiąc, że widziała krew na jego twarzy.

Mogli go uderzyć. Może po prostu go napadli. W takim razie mógł zostać ranny, bo inaczej zadzwoniłby do niej. Czy to możliwe, że stracił przytomność? Może znalazł się na oddziale ratunkowym i jest w szoku? Kiedy mężczyzna, który go zaatakował, zadzwonił do niej, Frankie wyłączyła telefon. Włączyła go tylko na moment, żeby zadzwonić na 911.

A jeśli Tyler próbował się z nią skontaktować?

Zjechała z zatłoczonej drogi i wybrała boczne ulice, które prowadziły do jej osiedla mieszkaniowego. Przeprowadziła się w nowe i nieznane miejsce. Było bogatsze i bardziej eleganckie niż te wszystkie inne, do których w swym życiu przywykła. Skręciła w prawo na parking przed kościołem. O tej porze w piątek był pusty, przy tylnych drzwiach stała tylko jakaś furgonetka.

Frankie pojechała do odległego narożnika, z dala od okien, i ustawiła samochód przodem do najbliższego wyjazdu. Nagle po raz pierwszy w życiu była wdzięczna ojcu za to, że wpoił jej nieco swojej chorej paranoi.

Nie wyłączyła silnika. Dokładnie sprawdziła, czy wszystkie drzwi samochodu są zamknięte. Włączyła radio i nastawiła lokalną stację informacyjną na wypadek, gdyby pojawiły się jakieś wieści na temat Tylera. Wygrzebała telefon z dna torebki, ale zamiast od razu go włączyć, trzymała go przed sobą, wlepiając w niego wzrok.

Incydent - czy cokolwiek to było - którego była świadkiem, wytrącił ją z równowagi. Nie włączała telefonu nie tylko z obawy, że mężczyzna, który zaatakował Tylera, znów do niej zadzwoni. Chodziło o coś więcej. Bała się, że ten człowiek ją wyśledzi. Z pewnością widział jej twarz, no i znał numer jej telefonu. Zależnie od tego, jak Tyler opisał ją w kontaktach, mógł też znać jej nazwisko. Niewykluczone nawet, że na liście kontaktów obok jej imienia i nazwiska Tyler umieścił jakieś całkiem dobre zdjęcie. Wszystkie te informacje pomogłyby napastnikowi ją odnaleźć.

Rozejrzała się po parkingu, przeniosła wzrok na drugą stronę ulicy. Domy były nieduże, ale urocze, podwórka i trawniki dobrze utrzymane. Gdzieś w oddali czekał pies, domagając się, żeby

wpuszczono go do środka. Wysokie klony i drzewa wiecznie zielone tłumili szum samochodów. Na tej ulicy nie parkowały żadne pojazdy. Nie widziała pieszych, nikt też nie biegał. Na pobliskim podjeździe stała furgonetka jakiejś firmy remontowej. Cichy piątkowy ranek w spokojnej okolicy.

To musiał być bandycki napad, powiedziała sobie Frankie. Tak wcześnie rano? A co innego mogło się tam zdarzyć? I czemu drobny złodziejasek miałby jej szukać? Nie mogła go zidentyfikować ani na niego donieść.

Zachowuje się idiotycznie. Wzięła głęboki oddech i włączyła telefon. Kiedy ekran obudził się do życia, jej tętno się rozszalało. Siedem wiadomości tekstowych, dwa nieodebrane połączenia. Jedno z nich mogło być od Tylera.

Nie знаła numerów nieodebranych połączeń. Przejrzała wiadomości. Większość była od Angeli, jej nowej asystentki. Frankie wzięła tydzień wolnego na przeprowadzkę i rozpakowanie się. Pan McGavin wyraził na to zgodę. Prawdę mówiąc, to on nalegał, żeby wzięła cały tydzień. Ale Frankie już nie mogła znaleźć sobie miejsca i poprzedniego dnia powiedziała Angeli, że wpadnie do biura na parę godzin. Chciała sprawdzić, co się dzieje i jak dziewczyna sobie radzi. Wystarczył rzut okiem na wiadomości, żeby zatęskniła za swoją dawną asystentką Holly. Szkolenie nowej pracownicy równocześnie z przeprowadzką nie było dobrym pomysłem.

Zaczęła uważniej przeglądać wiadomości. Wszystkie pochodziły od Angeli. W krótkim czasie wyrażające zaniepokojenie pytania zamieniły się w nerwowe ponaglenie.

Tylko sprawdzam, co słyhać.

Kiedy wpadniesz?

Zadzwoń najszybciej, jak to możliwe.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała Frankie, było to, żeby McGavin zdenerwował się na nią, zwłaszcza jeśli ze słów Tylera wyciągnął wniosek, że w jakiś sposób zaangażowała się w jego szalony protest.

Spojrzała na zegarek. Raz jeszcze zlustrowała okolicę. Nikt jej nie śledził, nikt za nią nie jechał.

- Weź się w garść, Francine - nakazała sobie stanowczym tonem.
- Zachowujesz się jak wariatka.

Wybrała numer Angeli i czekała. Chciała ściszyć radio, ale ponieważ akurat podawano prognozę pogody, pogłośniła je, czekając na wiadomości. Nie chciała stracić ewentualnej informacji na temat Tylera.

- McGavin Holt - odezwała się Angela.

- Cześć, Angela, mówi Frankie. Co słyhać?

- O, cześć, kiedy się pojawisz? Zaglądałam do twojego kalendarza, nie masz dzisiaj żadnych spotkań.

- Zgadza się. Pamiętaj, że oficjalnie mam tydzień wolnego.

- Tak, jasne. Nie no, pamiętam, ale... - Angela urwała, a Frankie słyszała szelest papierów. Kiedy Angela znów się odezwała, mówiła prawie szeptem: - Jest tu dwóch mężczyzn. Powiedzieli, że muszą z tobą porozmawiać. A skoro wspomniałaś, że wpadniesz, pomyślałam, że może się ich spodziewasz?

- Z nikim się nie umawiałam. To jacyś nowi klienci? Weź od nich nazwiska i namiary. Zadzwoń do nich, jak przyjadę. Albo umów ich na przyszły tydzień.

- Nie, nie wydaje mi się, że to nowi klienci. - W tle rozległ się jakiś stłumiony dźwięk. Tym razem Angela mówiła tak cicho, że Frankie ledwie ją słyszała. - Powiedzieli, że to sprawa oficjalna.

Frankie poczuła strużkę potu na plecach, a przecież w samochodzie było zimno. Mocniej ścisnęła poły żakietu.

- Oficjalna? To ktoś z policji? - Czy to możliwe, że policja już wysłała dwóch detektywów, żeby sprawdzili Tylera? - Mówili, o co chodzi?

- Nie. Powiedziałam im, że możesz się pojawić dużo później, ale uparli się, że zaczekają. - Zanim Frankie o cokolwiek jeszcze zapytała, Angela dodała szeptem: - Tak między nami, jeden z nich wygląda nieciekawie.

- Co masz na myśli?

- Nie chcę wyjść na osobę, która ocenia ludzi po wyglądzie, ale on ma paskudną bliznę na szyi. To znaczy tę bliznę niby zaślania kołnierzyk, ale i tak ją widać.

Frankie nerwowo rzuciła wzrokiem dokoła. Panika kazała jej natychmiast uciekać, w głowie słyszała głos, który krzyczał: O mój Boże, to on!

Z trudem przełknęła ślinę i zapanowała nad drżeniem rąk.

- Przekaż im, że powinnam być za jakąś godzinę. Może za trzy kwadranse. Dzięki, Angela. Muszę kończyć. - Zakończyła rozmowę, zanim asystentka mogłaby usłyszeć walenie jej serca czy przerażenie w głosie.

Oparła plecy o fotel, potarła twarz, w głowie miała mętlik.

Czy to możliwe, że po prostu chcieli jej przekazać jakąś informację na temat Tylera? Czy ona traci rozum?

Zacisnęła powieki i usiłowała się skupić, choć jej myśli zagłuszało walenie serca. Wciąż słyszała nerwowy pośpiech w głosie Tylera. Widziała, jak unosi rękę, jakby osłaniał się przed ciosem. Miała w pamięci przytłumione głosy. Szeroko otwarte ze zdumienia oczy Tylera. Krew na jego twarzy. Potem zamiast twarzy Tylera

zobaczyła te ciemne oczy patrzące prosto na nią, niczym oczy jastrzębia, który obserwuje kolejną ofiarę. Wyśledził ją, tak jak się obawiała. A teraz na nią czeka.

Czy powinna zadzwonić na policję? Tylko co miałyby im powiedzieć? Nie była pewna, czy za pierwszym razem potraktowali jej słowa poważnie.

Frankie po raz kolejny zerknęła na zegarek. Miała godzinę na podjęcie decyzji. Co mogli jej zrobić w biurze McGavin Holt, w miejscu publicznym?

Prognoza pogody dobiegała końca. Przedwczesny powiew wiosny miała zastąpić kolejna fala chłodu. Kiedy Frankie sięgnęła do dźwigni zmiany biegów, lokalne wiadomości zaczęły się od doniesienia o zabójstwie młodego mężczyzny. Do zbrodni doszło we wczesnych godzinach porannych. Frankie nastawiła radio na cały regulator i dowiedziała się, że:

- Policja w końcu ujawniła tożsamość ofiary.

Wstrzymała oddech i tak mocno ścisnęła kierownicę, że knykcie jej pobieleły. Trzymała nogę na pedale gazu.

- Policja z Chicago twierdzi, że przed świtem doszło do włamania, na skutek którego jedna osoba poniosła śmierć. Dwudziestopięcioletni Deacon Kaye otrzymał dwa strzały...

To nie Tyler. Frankie zaczęła oddychać. Ale tylko przez sekundę czy dwie, do chwili, gdy coś sobie uprzytomniła. Deacon... Deacon Kaye. Przyjaciół Tylera.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Panhandle, Floryda

Ryder i Brodie zostawili Knighta w psiarni razem z innymi psami. Kiedy dotarli do domu, lało jak z cebra. Hanna, która stała w tylnych drzwiach, podała im ręczniki, a gdy grzmot zatrzęsł szybami w kuchennych oknach, powiedziała:

- Panie, zmiłuj się, nie śpieszyło się wam. - Szybko zamknęła drzwi.

Creed wiedział, że Hanna nie znosi burz z piorunami. Czasami krążyła od okna do okna, obserwując chmury, a jednocześnie nie spuszczać wzroku z małego telewizora stojącego pod wiszącą szafką kuchenną. Zazwyczaj oglądała programy kulinarne. Ale tego ranka prezenter pogody stał przed mapą, która aż raziła w oczy plamami oranżu i czerwieni. Hanna ściszyła głos, lecz wciąż rzucała okiem na mapę za prezydentem pogody.

Panhandle, czyli północno-zachodnia część Florydy, mogła się poszczycić największą w kraju liczbą błyskawic w ciągu roku. Z tego właśnie powodu Creed zadbał o to, by ośrodek posiadał zapasowy generator prądu o takiej mocy, która pozwoli im przetrwać okresowe przerwy w dostawie prądu. To jednak nie stanowiło dla Hanny wystarczającego pocieszenia.

Wskazała na ciemne niebo za kuchennym oknem. Spotkała się wzrokiem z Creedem. Wiedział, że nie chciała, żeby Brodie wpadła w panikę, jednak przed nim nie mogła ukryć niepokoju. Zerknąwszy na niebo widoczne między zasłonkami, Creed zobaczył, co tak martwi Hannę.

Północną część ich terenu zajmował gęsty sosnowy las, ale z tego okna widać było prześwit między drzewami, który pozwalał zobaczyć horyzont. Creed dojrzał zielonkavo-żółty blask rozjaśniający niebo tuż pod czarnymi burzowymi chmurami. Zwykle znaczyło to, że burza jest wystarczająco silna, by powstało tornado. Ale te chmury przesunęły się na wschód i Creed miał nadzieję, że zatrzymają się na północ od nich. Mimo wszystko niebo wciąż ciemniało. Ściany zawibrowały od kolejnego grzmotu, a Hanna rzuciła Creedowi kolejne zatroskane spojrzenie.

- Moja siostrzyczka nie boi się burz - powiedział, wycierając ręcznikiem jej krótkie sterczące włosy.

Brodie uśmiechnęła się tak szeroko, że pomyślał, iż się zaśmieje.

- To prawda? - Hanna spojrzała na nią, wsparła rękę na krągłym biodrze i rzekła: - Kwiatuśku, jesteś lepszą kobietą niż ja, bo mnie

napedzają okropnego stracha.

- Czy musimy chować się w piwnicy? - Brodie porządnie złożyła i odłożyła na bok ręcznik, wzięła na ręce kotkę i zaczęła ją głaskać.

Creed nawet nie zauważył, kiedy kotka weszła do kuchni. Ta dwójka była nierozłączna. Dopiero niedawno Brodie odważyła się wyjść z domu, nie zabierając jej ze sobą. Kiedy się tu pojawiła, Creed obawiał się, jak młoda kotka odnajdzie się w posiadłości pełnej psów, lecz wyglądało na to, że niczego się nie boi. Psy szybko się nauczyły, że lepiej trzymać się od niej na dystans. Wystarczyło, że raz i drugi pacnęła łapą uzbrojoną w ostre pazurki.

Creed poczuł, że Hunter trąca go nosem w nogę, więc pochylił się i podrapał czarne miejsce za uchem złotego labradora. Border collie o imieniu Lady wierciła się w drzwiach do pokoju. Wszystkim w mniejszym lub większym stopniu udzielił się niepokój Hanny.

- Nie, nie, Brodie - odpowiedziała Hanna, znów rzucając wzrokiem na ekran telewizora. - Willis Dean mówi, że w naszej okolicy będzie tylko dużo grzmotów i błyskawic. Wygląda na to, że groźne nawałnice zatrzymają się na północ od nas.

Bardzo groźne, jak podejrzewał Creed, ale nie podzielił się tymi obawami. Tornado już mogło dotknąć ziemi. Nagły błysk piorunu i grzmot wstrząsnęły całą kuchnią. Hanna mimo woli podskoczyła, choć bardzo się starała zachować spokój.

- Żałuję, że wysłałam chłopców do szkoły, mogli zostać w domu - powiedziała. - Ale to dopiero początek marca. Dobry Boże.

Creed wiedział, że czeka ich paskudny weekend. Ciepłe i wilgotne masy powietrza znad zatoki zderzą się z zimniejszym powietrzem płynącym ze środkowej części kraju. Nie oglądał telewizji tak pilnie jak Hanna, ale regularnie sprawdzał prognozę pogody, żeby wiedzieć, jak przygotować psy i jak się nimi zająć. Niestety kilka jego psów nie tolerowało piorunów i grzmotów. Zwierzaki potrafią wyczuć zmiany w atmosferze.

Podczas pierwszych burz w sezonie Creed bacznie obserwował najnowszych lokatorów psiarni. Niektóre zwierzaki chowały się w klatkach, bo tam czuły się bezpiecznie, inne szukały osobników alfa w tym stadzie i przytulały się do nich.

Wszystkie psy przebywające w ośrodku zostały kiedyś porzucone. Wiele z nich trafiło na ulice, okoliczne drogi czy autostradę. Niektóre pochodziły ze schronisk, jeszcze inne ich właściciele podrzucali na podjeździe ośrodka. Hanna mówiła o tych ludziach, że mają dobre intencje, ponieważ z jakiegoś powodu pozbywając się domowego zwierzaka, przynajmniej próbowali dać mu drugą szansę.

Natomiast Creed uważał ich za tchórzy.

Całkiem niedawno przyłapał jakiegoś mężczyznę, który podrzucił mu świeżo oszczenioną sukę. Gdyby Creed go nie widział i gdyby się z nim nie skonfrontował, jutowa torba pełna szczeniaków trafiłaby do najbliższej rzeki. Creed musiał mocno zaciskać zęby, żeby nie powalić tego gościa w błoto. Zamiast tego postawił Bola na straży - tak, także po to, żeby gość najadł się strachu - a potem wyciągnął z tyłu samochodu poruszający się bagaż i zabrał go razem z matką, ratując psom życie.

Wszystkie szczeniaki i matka przeżyły. Jeden z tych szczeniaków, bystry i zabawny, wyrósł na jednego z najlepszych psów poszukujących. Creed był też przekonany, że szceniak Scout uratował jego nowego opiekuna i tresera psów, Jasona Seavera. Wciąż nie mógł się nadziwić, jak szybko ci dwaj stali się nieocenionymi członkami ich zespołu.

Ostatniego wieczoru Jason pomagał Creedowi sprawdzić generatory, pozamykać bramy, dodać nowe klatki i pośłania. Chłopak naprawdę troszczył się o bezpieczeństwo i wygodę psów. Nauczył się od Creeda, czego który pies potrzebuje, i z wielkim zaangażowaniem dbał o zwierzaki.

Dla Creeda dbanie o psy było drugą naturą, szybko jednak zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, jak uspokoić Hannę.

- Jeśli chcesz, pojedę po chłopców - zaproponował. Zrobiłby wszystko, żeby choć trochę jej pomóc. Zwykle to ona starała się ukoić nerwy innych. Jej kuchnia, gdzie wyśmienicie karmiła i nie szczędziła mądrych słów, była azylem dla wszystkich, których Hanna otoczyła opieką.

- Wiesz tak jak ja, że podczas tornada samochód to najgorsze schronienie - powiedziała, nie podnosząc na niego wzroku. Wróciła spojrzeniem do ekranu małego telewizora, a ręce opierała na biodrach. Wciąż miała ściągnięte brwi, ale na jej twarzy Creed dostrzegł cień ulgi. Wściekle czerwone plamy na mapie pogody wciąż znajdowały się na północ od nich, w południowej Alabamie, choć i tutaj deszcz z furją walił o szyby. Niebo przecięła błyskawica, za to na grzmot trzeba było poczekać nieco dłużej.

- Dzięki, Rye. - W końcu Hanna na niego spojrzała, ale baczniej przypatrywała się Brodie. Zerknęła znów na Creeda, jakby chciała powiedzieć, że nie wierzy, że burza w ogóle nie przeraża jego siostry.

Brodie siedziała przy stole i głaskała kotkę, która rozłożyła się na jej kolanach. Patrzyła przez okno na pociemniałe niebo. Naprawdę nie wyglądała na przestraszoną, Creed powiedziałby raczej, że odpłynęła myślami. Mieszkała z nimi zaledwie dwa miesiące, ale już co najmniej kilkanaście razy przyłapał ją na takim właśnie patrzeniu

w dal. Zastanawiał się, co wtedy widziała i jakie wspomnienia ją nawiedzały. Żałował, że nie może ich wymazać.

Jej terapeutka poinformowała Creeda, że Brodie cierpi na zespół stresu pourazowego, a to oznaczało, że w miarę jak zewnętrzna sytuacja będzie się stabilizować, jej stan psychiczny może się pogorszyć. Creed wiedział, co to jest zespół stresu pourazowego. Był żołnierzem piechoty morskiej i służył w jednostce specjalnej K9 w Afganistanie, ale z powodu wybuchu miny pułapki został wcześniej odesłany do domu.

Każdy inaczej radzi sobie z zespołem stresu pourazowego. Rozumiał to, a jednak z bólem serca patrzył na Brodie, gdy wlepiła wzrok w czarne chmury, on zaś nie miał pojęcia, co siostra myśli i czego się boi. Wiedział, że choć uparcie twierdziła, iż nie boi się burzy, przeżywa całą masę wewnętrznych burz. A niektóre z nich potrafią rozerwać człowieka od środka.

Kiedy zadzwonił telefon, wszyscy w kuchni - w tym psy i kotka - wzdrygnęli się.

Hanna chwyciła telefon z blatu. Kiedy zerknęła na ekran i zobaczyła, kto dzwoni, jej rysy złagodniały. Powiedziała z uśmiechem:

- Dziewczyno, jesteśmy w samym środku burzy. Mogę do ciebie oddzwonić? - Ale gdy usłyszała odpowiedź, szeroko otworzyła oczy i spoważniała. - Powoli - poprosiła. - Zaczynij od początku.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Birmingham, Alabama

Willis Dean był na nogach od sześciu godzin, które niemal w całości spędził przed zielonym ekranem z wycelowaną w niego kamerą. Telefon z redakcji pogody obudził go około drugiej w nocy. Prawdę mówiąc, wcale go nie obudził. Willis nie czuł się dobrze w sypialni najmłodszego syna. Choć syn już od trzech lat studiował w college'u, jego pokój wciąż był wypełniony drobiazgami i szkolnymi trofeami sportowymi zdobytymi przez nastolatka. Poza tym jakim cudem miałby zasnąć po rewelacjach, którymi żona uraczyła go podczas kolacji?

Szczerze mówiąc, Willis wiedział, że to będzie zły dzień, zanim się okazało, że to bardzo zły dzień.

Co gorsza, z ulgą wyszedł z domu i z taką samą ulgą rzucił się w wir pracy w studiu, zonglując wciąż nowymi ostrzeżeniami Krajowej Służby Meteorologicznej, wpisami z mediów społecznościowych, nagraniami z kamer wideo oraz zamieszczanymi na żywo i wciąż aktualizowanymi przekazami łowców burz. Gwałtowna pogoda wywoływała u niego skok adrenaliny. Czuł, że żyje, a było tak, odkąd skończył dziesięć lat.

To było czterdzieści osiem lat temu. Od tamtej pory włosy mu posiwiały, głos stał się niższy, talia nieco szersza, ale ekscytacja pozostała taka sama. Zawsze potrafił przewidzieć zbliżającą się burzę. Niestety zabrakło mu talentu do przewidywania złych nastrojów żony.

Jednak ta wczesnowiosenna burza zaskoczyła Willisa. Owszem, spodziewał się gwałtownej pogody w najbliższy weekend, ale to, co się wydarzyło, zdumiało wszystkich. Nawet biuro Krajowej Służby Meteorologicznej nie dostrzegło żadnej zapowiedzi, żadnej przygrywki. To, co zebrało się w ciemnych godzinach przed świtem, właśnie uderzyło w południową Alabamę i północno-zachodnią część Florydy.

Willis ledwie zauważył, że zmienia się personel w studiu telewizyjnym. Jakies dwie godziny wcześniej burze zaczęły rozkwitać na radarze w takim tempie, że trudno było za tym nadążyć. Prezenterzy codziennych porannych programów energicznie zabrali się do pracy, pomagając Willisowi i jego zespołowi, zupełnie jakby wokół niego zaczęła działać mała armia. Kilkanaście kolejnych ekip pracowało w terenie i przekazywało stacji informacje oparte na bezpośredniej obserwacji nieba. Ci

ludzie ryzykowali życie, tworząc nieformalny, ale wprost bezcenny system ostrzegania.

Willis zdjął marynarkę i rzucił ją na bok. Dawno temu usłyszał, że widzowie wiedzą, kiedy pogoda jest naprawdę zła, bo wtedy Willis Dean nie tylko zdejmuje marynarkę, lecz także podwija rękawy koszuli. Jego najnowszym znakiem firmowym były czerwone szelki, podobnie jak buty żeglarskie firmy Sperry, choć te rzadko pojawiały się na ekranie.

Kamery skupiły się na radarze, a Willis i jego asystentka Mia Long zamienili się miejscami. Mia pokazywała mu coś zza biurka – jak się domyślił, jeden z iPadów ustawiony między monitorami a ekranami z materiałami wideo. Willis skinął głową, a kiedy Mia włączyła mikrofon, on wyłączył swój. Płynnie przejęła narrację, podejmując w miejscu, gdzie skończył, i w dalszym ciągu przedstawiała alerty pogodowe dla widzów i słuchaczy.

Willis pochylił się nad iPadem. Ekran wypełniały czarne burzowe chmury. W kwadraciku w górnym rogu ledwie rozpoznał twarz jednego z łowców burz, Gary’ego Fletchera.

Willis przesunął okulary na czoło i jeszcze się nachylił.

– Gary, gdzie jesteś? – Kiedy głos się włączył, Willis natychmiast usłyszał huk wichury.

Wciąż patrząc na niebo, Gary odkrzyknął:

– Jakies trzynaście kilometrów na zachód od Smith Crossing. To jest naprawdę coś. Jeszcze kilka sekund temu tak lało, że nic nie było widać.

Willis spojrział na mapę radarów na jednym z monitorów, szukając tego małego miasta. Oto i ono, dokładnie w samym środku rozlewającego się morza czerwieni. I oczywiście przed jego oczami tworzył się gniewny przecinek. Radar nie jest w stanie stuprocentowo potwierdzić obecności tornada, ale promień radaru odbija się od przedmiotów uniesionych przez wir powietrzny, tworząc coś, co kolokwialnie nazywane jest kulą śmieci. Na radarze widać to jako miejsce o dużej zdolności odbijania. Willis mógł się przypatrzeć, jak tornado nabiera kształtu i nad przecinkiem pojawia się kropka.

– Dobra robota, Gary. Poszukaj jakiegoś bezpiecznego miejsca.

– Myśleliśmy, że je znaleźliśmy. – Głos Gary’ego chrypiał w tunelu transmisyjnym. – Ale już się stąd zmywamy. Nie podoba mi się to.

Współpracujący z Willisem łowcy burz starali się trzymać z dala od ścieżek tornad. Zdenerwowanie Gary’ego sprawiło, że Willis też się zdenerwował. W Alabamie trzymanie się z dala od ścieżki tornada nie jest łatwym zadaniem. Nie bardzo jest jak uciekać, bo zbyt liczne kręte boczne drogi tylko stwarzają iluzję ucieczki,

pozwalając ci skrócić, po czym prowadzą z powrotem w sam środek nawałnicy.

Willis usłyszał brzdęk, a zaraz potem zobaczył grad.

- Zwijaj się stamtąd - powiedział, patrząc, jak Gary wskakuje na siedzenie pasażera. Kierowca wcisnął gaz, zanim drzwi porządnie się zamknęły, a Willis wskazał na mapę radarów, mówiąc do jednego ze współpracowników: - Tu mamy dowód poparty obserwacją. Przekaż to Mii. - Wrócił wzrokiem do iPada, mając nadzieję, że jeszcze zobaczy łowców burz, ale ekran był już czarny. - Boże, dopomóż im - powiedział pod nosem, śpiesząc z powrotem w stronę kamer.

Musiał wierzyć, że łowcy burz zrobią wszystko, żeby znaleźć bezpieczne miejsce. Gdyby się o nich zamartwiał, nie byłby w stanie pracować.

Doskonale rozumiał tę adrenalinę, tę gorączkę. Tak groźna i silna burza widziana z tak bliska wzbudzała podziw i respekt. Sam zaczynał jako łowca burz. Nadal trzymał iPada przymocowanego do konsoli swojego SUV-a. Jego żona tego nie znosiła. Ilekroć wybierali się gdzieś razem, nalegała, żeby wzięli jej samochód.

Może miała nadzieję, że jego fascynacja osłabnie wraz z upływem lat, tymczasem zamiast osłabnąć, wciąż się zwiększała. To już nie była tylko praca, dzięki której zarabiał na utrzymanie, to stało się częścią jego tożsamości. Poważnie traktował odpowiedzialność i obowiązki, można by rzec, że nawet zbyt poważnie. Każdej wiosny podczas każdej burzy Willis Dean wzdrygał się i kulił, zastanawiając się, ile osób zginie tym razem. A choć ludzie szanowali go i słuchali, mieszkańcy Alabamy przywykli do syren ostrzegających przed wiosennymi tornadami.

Krajowa Służba Meteorologiczna nalegała, żeby syreny wyły w całym stanie, nawet jeśli zagrożenie dotyczyło tylko jego skrawka, przez co dochodziło do zbyt wielu fałszywych alarmów w pozostałej części dużego stanu. W rezultacie na dźwięk syren wiele osób wychodziło na zewnątrz, by spojrzeć na niebo, zamiast w pośpiechu szukać schronienia. Zadaniem Willisa było przekonanie ich, że zagrożenie jest poważne. Właśnie w tym momencie mieszkańcy Smith Crossing słyszeli swoje syreny.

Mia zobaczyła, że Willis wraca przed kamerę i zgodnie z ich utrwalonym zwyczajem zwróciła się do niego, zanim pojawił się na ekranie.

- Willis, wydano ostrzeżenie przed tornadem w Smith Crossing i okolicy. Co możesz nam powiedzieć na ten temat?

Tworzyli zgrany tandem, przekazując sobie pałeczkę, ale gdy Willis stanął przed zielonym ekranem, Mia odsunęła się na bok.

Innymi słowy, zrezygnowała ze swojego miejsca, by oddać głos autorytetowi. Willis poważnie traktował tę pracę. Żona powiedziała mu kiedyś, że powinien się cieszyć swoim statusem celebryty. Śmiała się, że ma na Twitterze więcej obserwatorów niż niektóre z jej ulubionych hollywoodzkich gwiazd.

Willis uważał, że to była właśnie jedna z tych rzeczy, którą żona lubiła w jego pracy. Nie musieli czekać na stolik w restauracji, nawet kiedy była kolejka. Inni miejscowi celebryci pozdrawiali ich podczas tych rzadkich okazji, gdy wybrali się na koncert czy przedstawienie. Jednak po ostatnim wieczorze Willis zdał sobie sprawę, że to wszystko było dla niej za mało. Szczerze mówiąc, nie wiedział już, czy naprawdę zna swoją żonę. Dla niego tak zwany status celebryty często był ciężarem, dokuczliwym balastem, zwłaszcza kiedy widział następstwa nawałnicy.

Kilka lat temu poprosił stanowego koronera, żeby podzielił się z nim raportem z autopsji ofiar wyjątkowo brutalnego tornada, które zabrało życie czterem osobom. Nikomu nie opowiedział o zdjęciach pokazanych mu przez koronera. Fragmenty ciała z oderwaną skórą. Ludzie przebici i przygwożdżeni fragmentami własnych domów. Byli też ci zassani i wypluci przez tornado. Te obrazy wciąż go nawiedzały. Od tamtej pory starał się przekazywać informacje jak najwcześniej, nawet jeśli oznaczało to złamanie protokołu i ogłoszenie ostrzeżeń sekundy przed Krajową Służbą Meteorologiczną.

Właśnie w tej chwili to robił. Włączył mikrofon.

- Zgadza się. Nasi łowcy burz potwierdzają, że w tamtej okolicy pojawiło się tornado. - Wskazał miejsce na mapie radarowej.

Nauczył się zachowywać umiar, mówił spokojnie, ale z powagą, żeby nikt nie lekceważył jego słów. Jednak patrząc na czerwone i żółte plamy, nie mógł uwierzyć, jak wyraźnie zarysowała się „kula śmieci” w ciągu zaledwie kilku sekund. Ta nawałnica miała się jeszcze rozszerzyć i wybuchnąć.

- W tym momencie tornado znajduje się jakieś osiem, może dziesięć kilometrów na zachód od Smith Crossing w hrabstwie Butler. - Kliknął i powiększył mapę. - Mieszkańcy Smith Crossing, powinniście teraz słyszeć syreny, ale nawet jeśli ich nie słyszycie, musicie schronić się w bezpiecznym miejscu. Jeśli nie macie podziemnego schronu, ukryjcie się w najmniejszym pomieszczeniu na najniższym piętrze. W garderobie, w łazience, która jest w środkowej części domu. Odejdźcie od okien. Tornado przemieszcza się na północny wschód. Lada moment przekroczy drogę międzystanową numer sześćdziesiąt pięć. Jeżeli jedziecie akurat tą drogą gdzieś na południe od Montgomery w pobliżu drogi

numer dziesięć albo trzydzieści jeden, uciekajcie stamtąd. Natychmiast stamtąd uciekajcie najbliższym zjazdem. Jedźcie do jakiegoś sklepu albo na postój. Jeśli to możliwe, wejdźcie do budynku.

Willis mówił prosto do kamery, nauczył się wyobrazać sobie, że mówi do tych, którzy go oglądają albo słuchają. Nieustającym wyzwaniem było przekonanie widzów do określonych działań bez budzenia w nich paniki.

- Nie parkujcie pod mostami ani wiaduktami - kontynuował. - Powtarzam, to bardzo niebezpieczne tornado, które jest już na ziemi. Za parę minut zacznie przekraczać międzystanową numer sześćdziesiąt pięć i ruszy prosto na Smith Crossing. Ci, którzy znajdują się po drugiej stronie ścieżki tornada, także powinni szukać schronienia. W Midway, Honoraville, Black Rock i Ruthledge.

Kątem oka Willis widział Mię. W jednej ręce trzymała kartkę papieru, drugą wskazywała na ekran pokazujący radary. Poprosił, żeby do niego dołączyła.

- Krajowa Służba Meteorologiczna właśnie wydała ostrzeżenie przed tornadem - oznajmiła Mia - dla hrabstw Butler oraz Crenshaw.

Willis znalazł te hrabstwa na mapie i zakreślił je.

Mia podjęła:

- Jeden z naszych łowców burz, który jest na parkingu przy międzystanowej numer sześćdziesiąt pięć blisko skrzyżowania z drogą numer dziesięć, odnotował wystąpienie gradu wielkości piłeczki pingpongowej. Do tego występuje tam silny wiatr i ulewny deszcz. Uważajcie na zalane drogi.

Kiedy Mia opisywała warunki pogodowe, Willis nie mógł nie zauważyć, że plama oznaczająca nawałnicę na radarze właśnie wchłonęła dokładnie to miejsce, gdzie międzystanowa numer 65 krzyżuje się z drogą numer 10. O tej porze, czyli rano, było to ruchliwe skrzyżowanie.

Willis poczuł ucisk w żołądku. To była najgorsza część jego pracy. Miał świadomość, że ucierpią dziesiątki ludzi, a wielu zostanie rannych. I pomimo jego najlepszych wysiłków, będą też ofiary śmiertelne.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Chicago

Frankie wysiadła z samochodu w garażu budynku, gdzie znajdowało się jej nowe mieszkanie. Poranek był zimny, więc miała na sobie lekką kurtkę. Większość ubrań wciąż leżała spakowana w pudłach, podobnie jak co najmniej trzy czwarte posiadanych przez nią rzeczy.

Biegając między pokojami, czuła się jak lunatyczka. Stojące wszędzie pudła tylko zwiększały jej dezorientację. Znalazła czerwony plecak, z którym każdego dnia chodziła do pracy. Choć jej koleżanki dumnie paradowały z modnymi skórzanymi listonoszkami albo torbami o dwóch rączkach na ramię, Frankie najlepiej czuła się z czerwonym płóciennym plecakiem, który nie tylko pamiętał lepsze czasy, lecz także mieścił w sobie to wszystko, co chciała w nim upchnąć. Krążyła po sypialni i łazience, napełniając plecak rzeczami, które mogą jej się przydać. Na koniec wsunęła tam laptop, umieszczając go bezpiecznie między bielizną a butami do biegania. W tyle głowy odtwarzała instrukcje przyjaciółki:

- Przyjeżdżaj do domu - powiedziała jej Hanna, gładko wchodząc w rolę starszej siostry, którą odgrywała w dzieciństwie. Wakacje spędzane z Hanną i jej dziadkami należały do najlepszych i najbardziej ulubionych wspomnień Frankie.

Z górnej szuflady komody Frankie wyjęła sfatygowanego pluszowego misia, kolejny skarb z dzieciństwa, niemal tak stary jak ona. Chciała wepchnąć go do plecaka, ale to był głupi pomysł. Zachowywała się, jakby już nigdy nie miała tu wrócić. Ostrożnie wyciągnęła nitkę ze szwu na pupie misia, aż szew rozpruł się na długości kilku centymetrów. Wsunęła do środka palce i w wypełniaczu pluszaka wymacała coś twardego. Wyciągnęła to ostrożnie, żeby nie porwać luźnych nitek.

Zwitek banknotów był grubszy, niż Frankie pamiętała. Po raz drugi tego dnia poczuła wdzięczność dla ojca za jego życiową paranoję. Rozwinęła banknoty, podzieliła stosik na dwie połowy, które znów ciasno zwinęła. Jeden zwitek schowała w zamykanej na suwak kieszonce w plecaku, a drugi w torebce.

Ojciec zmierzyłby ją gniewnym spojrzeniem. Nawet usłyszała w głowie jego słowa:

- Jak zgubisz torby, stracisz wszystkie pieniądze.
- Nic lepszego nie wymyślę, tato - odparła mu, patrząc na zegarek. Postukując w tarczę, zauważyła, że zrobiła już tego dnia

4575 kroków, a to dzięki temu kręceniu się w kółko.

Założyła na ramię plecak i torebkę, jak robiła to każdego dnia, gdy wybierała się do pracy. Wydawało się, że jej bagaże nie są cięższe niż normalnie. Ogarnęła ją nagła panika. Źle się spakowała. Zanim wyszła z mieszkania i zamknęła drzwi na klucz, raz jeszcze spojrzała na to, co stanowiło podsumowanie jej dotychczasowego życia: sterty pudeł i kilka mebli. Poprzedniego wieczoru pomyślała, że po tych wszystkich zmianach, przeprowadzce i zatrudnieniu nowej asystentki, życie wymyka jej się spod kontroli. No i znów była sama, po raz pierwszy od lat. Ale teraz wszystkie te zmartwienia wydawały się banalne.

Może reaguje przesadnie. Może Tyler trafił na oddział ratunkowy. Jest ranny, ale bezpieczny. Może mężczyźni, którzy czekają na nią w McGavin Holt, chcą od niej tylko jakichś informacji.

Frankie przeszła trzy przecznicę, żeby wsiąść do pociągu.

Przeszła spacerkiem, bez pośpiechu.

Jedną z rzeczy, która tak jej się podobała w nowym miejscu zamieszkania, było to, że miała krótszy i łatwiejszy dojazd do pracy. Koniec z codziennym staniem w korkach na ulicach Chicago, żeby dostać się do centrum. Zamiast jechać samochodem, mogła wybrać pociąg. Spojrzała na rozkład jazdy, a potem przeniosła wzrok na ludzi czekających na peronie. Zdawało się, że nikt nie zwraca na nią uwagi.

Włączyła komórkę i ignorując nowe wiadomości, szybko napisała parę słów do Angeli:

Stoję w korku, ale jestem w drodze. Czekają jeszcze?

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast:

Tak, przyniosłam im kawę.

Frankie zdawała sobie sprawę, że musi zachowywać pozory normalności. A ponieważ pracowały razem tak blisko, postanowiła spytać:

Czy jest Tyler?

Wstrzymała oddech i czekała z nadzieją, że to jedno pytanie nie obróci się przeciw niej. Że Angeli nie przyjdzie do głowy spytać, czy Frankie może wie, dlaczego Tyler jeszcze nie zjawił się w pracy.

Przysłał rano SMS-a, że dzisiaj go nie będzie.

Frankie patrzyła na ekran telefonu. Jak to możliwe? Dlaczego do niej nie napisał?

Kolejny SMS od Angeli zmroził jej krew w żyłach:

Zdaje się, że Sylvia mówiła, że umarł ktoś z jego bliskich.

Frankie wyłączyła telefon, zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Mężczyźni, którzy na nią czekali, mieli telefon Tylera. W żołądku jej się przewracało na tę myśl.

Wrzuciła telefon do torebki, mocniej ścisnęła rączki plecaka i torebki i wstała.

Nie myśl o tym. Skup się. Nie możesz myśleć o tym, co stało się z Tylerem. Nie teraz.

Mimo wszystko nie była w stanie zapomnieć podanej przez radio informacji na temat jego przyjaciela Deacona: „Doszło do włamania, na skutek którego jedna osoba poniosła śmierć... Denat otrzymał dwa strzały”.

Po paru minutach Frankie wsiadła do pociągu. Zamiast pojechać do centrum, wybrała jednak inny pociąg, który jechał na lotnisko międzynarodowe O'Hare.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Panhandle, Floryda

Creed zwrócił uwagę, że niebo pojaśniało, chociaż deszcz nie ustawał. Nie minął też niepokój Hanny. Z telefonem w ręce ruszyła do drugiego pokoju. Coś było nie tak, ale z tego, co słyszał – czyli głównie długie chwile ciszy – Hanna niemal cały czas słuchała swojego rozmówcy.

- Myślisz, że to koniec burzy? – spytała Brodie.

- Trudno powiedzieć, ale chyba tak. Przynajmniej dla nas.

Wskazał na ekran telewizora, gdzie prezenter pogody nadal pokazywał mapę pełną czerwonych plam. Na pasku na dole ekranu wymieniano listę hrabstw, dla których wydano ostrzeżenia przed tornadem. Z tego, co widział, najgroźniejsze burze uderzyły w południową Alabamę, na północ od nich.

- Nie będziesz się gniewał, jak pójde napisać coś w moim dzienniku albo poczytać? – spytała Brodie.

Bolało go, że wciąż pyta go o pozwolenie, niezależnie od tego, ile razy powtarzał, że nie musi pytać.

- Oczywiście, że nie. Co teraz czytasz?

- *Robinsona Crusoe*. Jason mówi, że to jedna z jego ulubionych książek.

- Podoba ci się?

- Dopiero zaczęłam. To ta książka, którą dała ci babcia. Pamiętasz ją?

- Tak, pamiętam, bohaterem jest rozbitek, który przeżył katastrofę statku podczas sztormu.

- Lubię patrzeć na pismo babci – powiedziała Brodie, wychodząc z pokoju, a kotka ruszyła jej śladem.

Creed cieszył się, że siostra nadal lubi czytać, tak samo jak wtedy, gdy miała jedenaście lat. Znajdował w tym pocieszenie i napawało go to nadzieją.

Przeczytała już wszystkie książki z jednej półki w jego biblioteczce. Wciąż pamiętał dzień, kiedy po raz pierwszy zaprosił ją do siebie. Otwarty plan mieszkania nad psiarnią sprawił, że Brodie od razu zobaczyła wbudowane półki biblioteczne. Chyba przez godzinę stała przed ścianą książek, przekrzywiając głowę i czytając tytuły. Choć jej powiedział, że może zdjąć książki z półki i przeczytać streszczenie na ostatniej stronie okładki, przez tę pierwszą godzinę nie odważyła się ich tknąć.

W dzieciństwie oboje uwielbiali czytać, zachęceni do tego przez

babcię. Kupowała im najnowsze książki na urodziny, na święta i bez okazji. Zawsze dokonywała dobrze przemyślanego wyboru, a na wewnętrznej stronie okładki starannie pisała datę oraz:

Dla Rydera z miłością. Babcia

albo:

Dla Brodie z miłością. Babcia

Teraz te wymyślone, a tak rzeczywiste światy, pełne przygód i tajemnic, pomagały Brodie poradzić sobie nie tylko z tym, co przeżyła, lecz także z powrotem do normalnego świata.

Przez wszystkie te lata, a dokładnie przez szesnaście lat jej nieobecności, Creed nie miał pojęcia, czy jego siostra żyje. Obsesyjnie rozważał różne scenariusze odpowiadające na pytanie, co się z nią stało. Oczami wyobraźni widział tortury, okaleczenie, gwałt i jej ciało pogrzebane lub porzucone w głębi lasu, gdzie natura i dzikie zwierzęta w brutalny sposób dopełniły dzieła.

Choć jej historia była niewiarygodnym koszmarem, los oszczędził jej wielu wyobrażanych przez Creeda horrorów. Prawdę mówiąc, przestał wierzyć w ten cud, że odnajdzie ją żywą i całą. Dlatego stworzył firmę K9 CrimeScents. Podczas każdego poszukiwania dziewczyny czy młodej kobiety budziła się w nim nadzieja, że przywiezie do domu szczątki swojej siostry i w końcu pochowa ją na wieczny odpoczynek.

Aż wreszcie ostatniej jesieni Maggie O'Dell natrafiła na stare zdjęcie z polaroidu. Była to jedna z dziesiątek fotografii przypiętych na tablicy pewnego mordercy, którego podejrzewano również o handel ludźmi. Przedstawiała nastoletniego chłopca i młodszą od niego dziewczynkę. Na białym brzegu zdjęcia widniały data oraz imiona Ryder i Brodie. Te imiona powiedziały Maggie, że to nie może być przypadek. Zaś fakt, że Creed posiada niemal identyczne zdjęcie z polaroidu, które zostało zrobione sekundy po tym pierwszym, stanowił bolesne potwierdzenie, że szaleniec Eli Dunn miał coś wspólnego ze zniknięciem Brodie.

Odkrycie całej prawdy wymagało trudnych i skomplikowanych gier oraz poszukiwań na terenach rolniczych Nebraski. Mimo wszystko Creed oczekiwał, że trafi na grób Brodie. Dunn tyle mu obiecał.

Brodie lubiła mówić, że Creed ją uratował. Przyznawała mu zbyt duże zasługi. Bo gdyby nie Tommy Pakula, detektyw z Omaha, być może nigdy by jej nie znaleźli. To Pakula poskładał elementy tej układanki w całość, która doprowadziła ich na opuszczoną farmę. Siostra Dunna, Iris Malone, oraz jej syn Aaron przetrzymywali tam Brodie przez wszystkie te lata. Z pomocą brata Iris szukała dziewczynki, która zastąpi jej zmarłą córeczkę Charlotte. Trwało to

całe dekady. Kolejne dziewczynki pojawiały się i znikaly, a te odrzucone przez Iris trafiały do Dunna, który mógł z nimi zrobić co tylko chciał. Creed miał świadomość, że Brodie jest jedną z tych Charlotte, którym dopisało szczęście, jakkolwiek paradoksalnie by to brzmiało. Teraz już wiedzieli, że Dunn molestował wiele młodych dziewcząt, handlował nimi, a czasem nawet je mordował. Niektóre z nich należały wcześniej do Iris. Zmęczona próbami ucieczki Brodie Iris ostatecznie ją też przepędziła ze swojego domu i uwięziła. Tydzień wcześniej Maggie i lokalna policja aresztowali Eliego Dunna tydzień wcześniej. Creed nie chciał nawet myśleć o tym, jak niewiele brakowało, by stracił Brodie na zawsze.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Mam na imię Brodie.

Każdy wpis zaczynała tak samo. Jej terapeutka doktor Rockwood zasugerowała, żeby zamieszczała te słowa na początku każdego wpisu.

- Wiem, że to brzmi dziwnie - powiedziała - ale przez ostatnich szesnaście lat była pani Charlotte. Przyzwyczajenie się do tego, że ma pani na imię Brodie, może ci zająć trochę czasu.

Nie było w tym nic dziwnego. Wciąż zdarzało się, że ktoś zwracał się do niej imieniem Brodie, a do niej docierało to dopiero za drugim razem. Jeszcze trudniej było jej utożsamić się z tym imieniem. Brodie była dla niej małą dziewczynką, która nie posłuchała rodziców i wsiadła do tamtego kampera na parkingu.

Iris Malone powiedziała jej, że jest bardzo niegrzecznym dzieckiem. Tak nieznośnym, że rodzice postanowili się jej pozbyć. Prosił Iris, żeby ją zatrzymała i nie przywoziła z powrotem do rodzinnego domu. Brodie była małą przerażoną dziewczynką, która zasypiała zmęczona płaczem. Tęskniła za rodziną i chciała wrócić do domu. Brodie była słaba, była dzieciuchem.

Za to Charlotte... Charlotte była dzielna.

Teraz znów wszyscy od niej oczekiwali, że będzie Brodie, a ona nie bardzo wiedziała, jak to zrobić. Nikomu tego nie zdradziła, nawet tej miłej i wszystkowiedzącej terapeutce. Brakowało jej odwagi. W głębi duszy czuła, iż jakaś jej część pozostała Charlotte, i miała świadomość, że to nie jest w porządku.

Jak to możliwe?

Przecież nigdy nie spotkała prawdziwej Charlotte. Tamta dziewczynka zmarła na długo przed tym, zanim Brodie została porwana, by zająć jej miejsce.

Teraz to wszystko nie miało już znaczenia. Burza przywołała wspomnienia i Brodie chciała je zapisać, nim jej umkną. W ciągu kilku ostatnich dni wspomnienia pojawiały się częściej. Doktor Rockwood uprzedziła ją, że może tak się zdarzyć.

- Proszę się nie dziwić, jeśli odżyją pani wspomnienia. Proszę się ich nie bać, nie zranią pani. Proszę je zapisać, dzięki temu będzie pani miała wrażenie, że to pani ma nad nimi władzę, a nie na odwrót.

- Ale czemu - chciała wiedzieć Brodie - właśnie teraz, kiedy jestem nareszcie wolna i bezpieczna, wracają do mnie same złe wspomnienia?

- Przeżyła pani wielką traumę - odparła terapeutka. - Była pani otepiana lekami, odwodniona i niedożywiona, a pani umysł i ciało działały w trybie umożliwiającym przetrwanie. Czasami zespół stresu pourazowego tak właśnie się objawia. Kiedy sytuacja się uspokaja, kiedy czuje się pani bezpieczna, umysł również czuje się na tyle bezpieczny, żeby przypominać sobie wydarzenia, które były zbyt bolesne, gdy czuła się pani bezbronna.

- To nie oznacza pogorszenia? - spytała znów Brodie.

- Wręcz przeciwnie, to pozytywny sygnał.

- Ale nie czuję się z tym dobrze - przyznała Brodie.

- Proszę spisywać wspomnienia, w ten sposób będzie je pani kontrolować. Staną się pani własnością. Potem proszę odłożyć je na bok i żyć dalej.

Brodie sumiennie prowadziła dziennik od chwili opuszczenia Omaha. Jednak wspomnienia zaczęły do niej napływać dopiero całkiem niedawno, choć były to bardziej koszmary niż wspomnienia. Poranna burza przywołała kolejne z nich.

Nie okłamała Rydera. Nie bała się burzy. Ale gdy szli z psiarni do domu pod ciemnym niebem, Brodie zaczęła słyszeć głosy niesione przez gwałtowny wiatr.

Gdzieś z tyłu głowy wciąż słyszała Iris, która stała u szczytu piwnicznych schodów i wołała Aarona. W jej głosie był niepokój, taki na granicy paniki.

Brodie pamiętała wywołane grzmotem wibracje. Zdawało się, że drżą belki nośne, które trzymają konstrukcję domu. Iris chyba też to poczuła, bo nagle zaczęła krzyczeć, żeby Aaron się pośpieszył.

- Co się dzieje? - spytała Brodie, kiedy Iris zeszła po schodach, ciężko stąpając, a strumień światła latarki prowadził ją w ciemności.

Poświeciła prosto w oczy Brodie. Jeszcze teraz, na wspomnienie ostrego bólu spowodowanego nagłą jasnością, Brodie gwałtownie zamrugwała. Nie miała pojęcia, ile dni minęło od chwili, kiedy Iris zabrała jej jedyną żarówkę. Nie pamiętała też, czym zasłużyła na karę kompletnej ciemności. A nie był to pierwszy raz.

Ale tamtego dnia, kiedy zbliżała się do nich burza, Iris krążyła jak szalona, ciężko tupiąc i pokrzykując. Przeszukiwała puste szafki i przeklinała Brodie - czy też Charlotte - jakby to ona była winna, że nie mają żadnych zapasów. Ani jednej zapasowej żarówki.

Brodie pamiętała krótki ulotny impuls, który kazał jej pobiec po schodach do otwartych drzwi. Uciec w sam środek burzy. Iris bałaby się za nią wybiec. Powstrzymałby ją lęk przed piorunami. Jednak Brodie szybko zrezygnowała z tego pomysłu. Nie ze strachu przed burzą, ale dlatego, że była zbyt słaba i chora, żeby się choćby

ruszyć. Z powodu skurczów żołądka leżała skulona na materacu, zaciskając palce na starym zniszczonym kocu. Iris dbała o to, żeby Brodie otrzymywała minimalne porcje jedzenia. Żeby była słaba. Zaś w tym, co Brodie dostawała, często ukrywała leki stanowiące dodatkowe zabezpieczenie przed ucieczką.

- Sama jesteś sobie winna - powiedziała jej kiedyś Iris. - Mówiłam ci, że jak będziesz się dobrze zachowywała, nie będę musiała cię karać.

Tyle że nie tylko próba ucieczki gwarantowała karę. Zawsze znajdował się jakiś pretekst. Kawałek owocu, który Brodie zdołała ukraść. Instrukcja obsługi pieca, którą ukryła, żeby mieć coś do czytania. Znaleziona różowa wstążka, którą związała długie tłuste włosy.

Jednak tamtej nocy Brodie nawet nie próbowała - bo nie była w stanie - uciec. Zacisnęła powieki, chroniąc oczy przed laserowymi promieniami latarki. Pamiętała, jak przełknęła podchodzącą do gardła żółć i mocniej się skuliła, nękana skurczami żołądka. Pamiętała też dziką przyjemność, jaką sprawiały jej ciche pojękiwania Iris i przyśpieszony oddech Aarona, ilekroć rozległ się grzmot.

Dom nad ich głowami jęczał na wietrze, ściany trzeszczały. Wydawało się, że trwa to długo, a sądząc po tych dźwiękach, można by pomyśleć, że dom podda się i zawali im się na głowę.

Ale przynajmniej ten jeden raz porywacze Brodie byli bardziej przestraszeni niż ona.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Creed siedział przy stole i popijał kawę, kiedy weszła Hanna. Bez słowa nalala sobie kawy i usiadła naprzeciw niego.

- Pamiętasz moją przyjaciółkę, Francine Russo?

Creed kiwnął głową i czekał. Francine odwiedziła ich parę razy, ale było to ze dwa albo trzy lata temu. Oczywiście, że ją pamiętał. Była atrakcyjna, miała oliwkową cerę, piwne oczy, gęste ciemne włosy. Wydawała się trochę zbyt nerwowa. Przesiadwały z Hanną do późnej nocy, rozmawiały, śmiały się, opowiadały sobie, co im się przydarzyło w ostatnim czasie, ale trzeciego dnia Francine zaczynała nosić.

Hanna zawsze z niej żartowała, że jest dziewczyną z miasta, przyzwyczajoną, że do Starbucksa idzie spacerkiem kilka kroków, a Frankie przyznawała, że na tym ich odludziu jest dla niej zbyt cicho. Creed wiedział jednak, że przyjaciółki utrzymują ze sobą kontakt i rozmawiają przez telefon. Przed laty połączyły je jakieś wspólne przeżycia z dzieciństwa, ale nigdy o to nie dopytywał. Po prostu z natury nie był wścibski. Uważał, że gdyby Hanna chciała, żeby wiedział, sama by mu o tym powiedziała.

Teraz słuchał jej, nie przerywając.

- Znamy się z Frankie od dziecka - powiedziała w pewnej chwili Hanna. - Nigdy nie była w takiej rozsypce, jest skrajnie przerażona.

- Włamali się do systemu komputerowego korporacji? - spytał Creed.

- Tak jej powiedział Tyler, jej kolega z pracy.

- A ona jest przekonana, że jego przyjaciel został zastrzelony. A co z Tylerem?

- To się stało dzisiaj bardzo wcześnie rano. Frankie ma nadzieję, że on się znajdzie na jakimś oddziale ratunkowym. Jeśli mężczyźni, którzy go zaatakowali, ukradli jego portfel z dokumentami, w szpitalu mogą mieć kłopoty z identyfikacją nieprzytomnego pacjenta.

- Skąd ona wie, że w biurze czekają na nią ci sami mężczyźni? - spytał Creed.

- Mówi, że rozpoznała jednego po bliźnie. Tak, wiem, to brzmi jak jakieś szaleństwo, ale znam Frankie i wiem, że nie wyciąga pochopnych wniosków. Nie jest też strachliwa. - Urwała, opierając łokcie na stole i ściskając kubek z kawą. - A teraz jest przerażona, Rye.

- Przyjedzie tu samochodem czy przyleci?

Hanna patrzyła na niego przez chwilę, potem jej twarz przecięła uśmiech ulgi. Sięgnęła przez stół i ścisnęła jego dłoń.

- Jesteśmy jak dwie krople wody. Jedzie na lotnisko.

Cofnęła rękę i znów objęła nią kubek. Nie powiedziała mu wszystkiego, Creed to czuł, widział, że Hanna ze sobą walczy, jakby ta druga część informacji była bardziej kontrowersyjna.

- Frankie pytała, czy mogłabym poprosić moją znajomą z FBI, żeby to sprawdziła.

- Maggie? - Starał się mówić spokojnie, ale przełknął zbyt głośno.

- Tak.

- Myślisz, że to jest sprawa dla FBI?

- Pewnie nie - przyznała Hanna. - Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że nie. Ale Maggie może korzystać ze źródeł, do których my nie mamy dostępu. Na przykład może się dowiedzieć, co wie policja z Chicago. Jeśli ci młodzi ludzie faktycznie włamali się do systemu komputerowego, to jest przestępstwo federalne.

- Powinnaś do niej zadzwonić.

- Nie masz nic przeciw?

- Ja? Czemu miałbym mieć coś przeciw? Poza tym, jakie to ma znaczenie, co ja myślę? Przyjaźnisz się z Maggie.

- No ale... wiesz, od ostatniej jesieni, za każdym razem, gdy wspominam o Maggie, zachowujesz się jak kot z długim ogonem w pokoju pełnym foteli na biegunach.

- Naprawdę? - Zaśmiał się. - To takie powiedzonko?

- Moja babka wciąż to powtarzała. - Hanna znów spoważniała. - Nie zmieniaj tematu. Coś się między wami wydarzyło w Nebrasce. Znaleźliście tam Brodie, ale najwyraźniej działo się tam coś więcej.

Creed wstał od stołu, poszedł z kubkiem do zlewu i zaczął go myć. Miał pretekst, żeby stanąć tyłem do Hanny, nie zachowując się niegrzecznie.

- Wiem, to nie moja sprawa, Rye - podjęła. - Nic nie mówiłam, bo byliśmy zbyt zajęci i martwiliśmy się o Brodie. Ale teraz, kiedy już mnie słuchasz, powiem to. Mam nadzieję, że nie zaprzepaścisz przyjaźni.

- Jesteśmy z Maggie przyjaciółmi - odparł, odwracając się do niej twarzą.

- Ale gdy o niej mówię, zawsze wpadasz w panikę.

- W panikę? Jak ten kot z długim ogonem w pokoju pełnym foteli na biegunach?

Gdy machnęła na niego ręką i uśmiechnęła się, Creed dodał:

- Nie martw się o Maggie i o mnie. - Zaciśnął palce na skórzanym pasku zegarka. Nowego zegarka z GPS-em. Prezencie od Maggie. - Mam nadzieję, że będzie w stanie pomóc Frankie.

Hanna wciąż mu się przypatrywała, czekając na coś więcej, ale nie miał ochoty rozmawiać na ten temat. Bo niby co mógłby powiedzieć? Nie był pewny własnych uczuć i nie mógł udawać, że zna uczucia Maggie O'Dell.

- A skoro mowa o przyjaźni - podjął, jednak zmieniając temat - wiedziałaś, że Jason i Brodie spędzają ze sobą sporo czasu?

- Zaprosił ją na swoje treningi ze Scoutem. Zaczęli jakieś dwa tygodnie temu. Jason uważa, że to pomoże jej pozbyć się strachu przed psami. Chyba działa.

Creed zastanowił się, jakim cudem mu to umknęło. Od przyjazdu Brodie nie przyjął żadnego zlecenia, chciał być na miejscu, na wypadek gdyby go potrzebowała. Otrzymywali prośby o współpracę z całego kraju. Czasami wyjeżdżał na kilka dni, a nawet tygodni. Terapeutka Brodie powiedziała mu, że przynajmniej na razie jest dla siostry jedynym oparciem. Z jej słów i tonu wynikało, że jego obecność w domu jest ważna. Wydawało się jednak, że Brodie nieźle sobie radzi. Poza tym, oczywiście, w domu zawsze było coś do zrobienia - zakupy, odebranie nowych psów. Na przykład pojechał do Marylandu, żeby przywieźć Knighta do ośrodka. Teraz zastanowił się, czy przypadkiem nie opuszczał domu na zbyt długo.

- To dobrze, że nawiązuje kontakt z innymi ludźmi - stwierdziła Hanna, a kiedy nie odpowiedział, dodała: - Nie możesz jej chronić dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Przez okna do kuchni wpadało słońce, wciąż jednak o szyby stukwały krople deszczu. Creed wiedział, że Hanna ma rację. Tyle lat myślał o tym, co stało się z Brodie, wyobrażał sobie rozmaite scenariusze. Towarzyszyło temu tyle emocji: niepokój, strach, smutek, bezradność, groza, i wszystkie mocno się ze sobą splatały. Nie powinien się dziwić, że choć odnalazł Brodie, nie odpuszczają tak szybko i łatwo. I nie tylko ją odnalazł, ale żywą przywiózł do domu. Niestety nie od razu mógł to zrobić.

Znaleźli ją w Nebrasce uwięzioną na starej opuszczonej farmie. Wstępne lekarskie oględziny odbyły się w Omaha, tam też zaczęło się leczenie Brodie. Przez wiele tygodni Creed krążył w tę i z powrotem. Brodie cierpiała na zespół stresu pourazowego, a do tego była niedożywiona i odwodniona. Ludzie, którzy ją wzięli, nie dość, że trzymali ją w zamknięciu, to jeszcze głodzili i odurzali lekami.

Iris trafiła do więzienia. Aaron nie żył. To Brodie go zabiła. Stwierdzono, że było to zabójstwo w samoobronie, lecz dla Brodie, już i tak psychicznie i emocjonalnie okaleczonej, była to dodatkowa trauma. Creed nie wiedział, jak jej pomóc, i to go frustrowało. Przez tyle lat myślał, że ją stracił, a teraz, kiedy była obok, nie miał

pojęcia, jak ją lepiej poznać.

Hanna w swojej mądrości poradziła mu, żeby był cierpliwy. Przypominała mu, że nawet sama Brodie jeszcze nie wie, kim tak naprawdę jest.

Przez lata poszukiwań i marzeń o odnalezieniu siostry, oczami wyobraźni zawsze widział jedenastoletnią dziewczynkę. Małą siostrzyczkę, która przeskakuje przez kałuże.

- Rye? - Hanna stanęła obok niego, położyła rękę na jego ramieniu i patrzyła na niego z troską zwykle zarezerwowaną dla innych. - Może pora, żebyś wrócił do roboty - powiedziała.

Na ten weekend zaplanowali pierwsze spotkanie Brodie z matką. Olivia jechała do nich samochodem z Atlanty. Hanna powiedziała Creedowi, że chyba byłoby lepiej, gdyby zostawił je same, by nie szukały w nim wsparcia.

Niespełna pół godziny później, gdy do Creeda zadzwonił szeryf hrabstwa Butler w Alabamie, Hanna oznajmiła, że to znak, który potwierdza, że również tym razem instynkt jej nie zawiódł. Już tyle razy miała rację, że z nią nie dyskutował.

Najpierw jednak chciał sprawdzić, jak się ma Brodie.

- Nie musisz mnie niańczyć - powiedziała mu siostra. - Poza tym jesteś w tym kiepski.

- Nieprawda - odparł takim głosem jak nastolatek, który naprawdę jest kiepski w opiece nad młodszymi dziećmi.

- Zawsze palisz pizzę.

- To akurat prawda - przyznał i nie dodał nic więcej. Nie chciał jej pokazać, jak bardzo go cieszy, że wciąż potrafi wywołać jej uśmiech.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Lotnisko międzynarodowe O'Hare Chicago

Podczas podróży pociągiem Frankie udało się kupić ostatni bilet na najbliższy lot do Atlanty. Niemal natychmiast otrzymała też mejla z powiadomieniem, że mimo wszystko musi się zgłosić do kasy biletowej.

Teraz czekała przy ladzie. Kasjerka lotnicza uniosła brwi, patrząc na ekran swojego komputera, a serce Frankie zabiło mocniej. Nigdy dotąd nie kupowała biletu lotniczego trzy godziny przed odlotem. Może obowiązują jakieś specjalne przepisy w tym względzie. Na dodatek po chwili zamieniła jeden lot na inny. Czy powinna zapytać tę kobietę, w czym problem? Czy tylko przyciągnęłyby do siebie uwagę i zdradziła się ze swoją paranoją?

Potem nagle kasjerka podniosła wzrok, podała Frankie kartę pokładową i numer bramki.

- Przyjemnej podróży.

Frankie starała się zachowywać normalnie i nie pokazać, jak bardzo jej ulżyło. Zaczęła już myśleć o tym, co usłyszała od Hanny, i głęboko zadumana omal nie wpadła na kobietę, która stała za nią w kolejce. Hanna zaproponowała jej schronienie, ale Frankie martwiła się, że naraża przyjaciółkę - a także jej dzieci - na niebezpieczeństwo. Hanna obiecała też, że zaaranżuje jej spotkanie ze znajomą agentką FBI.

- Po prostu tu przyjeźdź - powiedziała.

Frankie przeszła przez stanowisko ochrony i znalazła swoją bramkę, ale zatrzymała się dopiero dwie bramki dalej. W ciągu minionych trzech lat odbyła wiele służbowych podróży, spotykała się z klientami agencji w całym kraju, więc знаła lotnisko O'Hare, a zwłaszcza ten terminal. Znalazła krzesło, na którym mogła usiąść plecami do ściany i widzieć wszystkich przechodzących przez punkt kontrolny, skręcających i idących w dół rampy do bramek. Do tego siedziała blisko telewizora, więc mogła przeczytać najnowsze wiadomości na pasku na dole ekranu. Zadowolona, że nikt nie zwraca na nią uwagi, włączyła komórkę.

Pokazały się nowe nieprzeczytane wiadomości. Zerknąwszy na nie, Frankie zobaczyła, że nie ma wśród nich SMS-a od Hanny. Wszystkie wysłała jej Angela, która coraz bardziej traciła cierpliwość.

Gdzie jesteś?

Nadal stoisz w korku?

Jak myślisz, kiedy się pojawisz?

Ostatnia wiadomość pochodziła sprzed dwudziestu siedmiu minut.

Frankie usiadła prosto, pokręciła głową i westchnęła. Tęskniła za Holly, Angela to nie to samo.

Zacząła się zastanawiać, co powinna odpowiedzieć nowej i młodej asystentce. Ledwie się znały, więc Angela nie miała wobec niej żadnych prywatnych zobowiązań, nie była jej winna żadnej przysługi ani nie czuła się zobowiązana do szczególnej lojalności. Poprzednia asystentka pracowała dla Frankie pięć lat i z jej pomocą niedawno została awansowana na menadżera projektu. Holly szybko poradziłaby sobie z tymi mężczyznami, potrafiłaby ich zagadać i odwrócić uwagę. Frankie nie musiałyby jej o to prosić. Z drugiej strony Holly znała ją zbyt dobrze i nie dałaby się zbyć wymówką, jakiej Frankie zamierzała teraz użyć. Holly by ją przejrzała i chciałyby wiedzieć, co się dzieje.

Frankie napisała:

Źle się czuję. Pewnie zaszкодziło mi coś z tych nowych delikatesów. Wracam do domu. Proszę, zajmij się wszystkim.

Wyłączyła telefon, nie czekając na odpowiedź. Angela albo wpadnie w panikę, albo skorzysta z okazji i wykaże się swoimi umiejętnościami.

Na szczęście pan McGavin nie spodziewał się Frankie w tym tygodniu. Nawet jeśli Tyler zdenerwował go swoimi zastrzeżeniami wobec płatków, wiedziała, że szef nie zakłóci jej wolnych dni. Był zagorzałym orędownikiem ciężkiej pracy, ale wiedział przy tym, że twórczy umysł musi co jakiś czas doładować akumulatory.

Frankie z ociąganiem podniosła się z krzesła, żeby kupić coś do jedzenia, dwie butelki wody i dwa telefony na kartę, przez co niestety jej plecak stanie się jeszcze cięższy. Kiedy wróciła na swoje ulubione miejsce, miała godzinę i dwadzieścia minut do wejścia na pokład. Działała w takim pośpiechu, a teraz musiała siedzieć i czekać. Starła się zrelaksować, popijała wodę z butelki, wciąż siedząc tyłem do ściany, rozglądała się i obserwowała ruch w terminalu.

I wtedy go zobaczyła.

To niemożliwe.

To musi być ktoś inny.

Powinien czekać na nią w centrum przed jej gabinetem. Choć, rzecz jasna, skoro Angela nie miała od niej żadnej wiadomości, mógł też wyjść z biura. Albo zrezygnować z czekania po jej ostatnim SMS-ie. Kiedy go wysłała? Zerknęła na zegarek. Postukała w tarczę.

Cholera jasna.

Nie obchodziło jej, ile kroków zrobiła, chciała wiedzieć, która godzina.

Minęła godzina z małym okładem. Mnóstwo czasu, żeby tu dotrzeć.

Ale skąd wiedział, że ona jest na lotnisku?

Może to jednak nie on.

A jednak Frankie wiedziała, że nigdy nie zapomni tych oczu, tego orlego nosa i szerokiego czoła. Z odległości jakichś dziesięciu metrów widziała, że pociągnął za kołnierzyk koszuli jak ktoś, kto nie przywykł do noszenia krawata. Gdy zabrał rękę, dojrzała wystarczająco duży fragment paskudnej blizny, by zyskać pewność, że to ten sam człowiek.

Tak, to na pewno on. Nieważne, co go tu sprowadziło.

Nie spostrzegł jej... jeszcze. Starał się zmieszać z tłumem, bez przerwy kręcąc kwadratową głową osadzoną jakby wprost na szerokich grubych ramionach. Przyglądał się badawczo pasażerom czekającym przy bramce numer 2.

Jej bramce.

Musi natychmiast stąd wyjść. Serce Frankie zaczęło walić. Tętno jej przyspieszyło, czuła się pod tą ścianą jak zwierzę uwięzione w pułapce. Mężczyzna stał niespełna dziesięć metrów od niej. Co gorsza, blokował jej przejście. Nie mogła opuścić terminalu, nie mijając go.

Frankie założyła na ramię plecak i torebkę, trzymając je dość wysoko, by lekko przygarbiona mogła choć częściowo ukryć za nimi twarz. Wstała i przekonała się, że nogi ma miękkie w kolanach.

Zachowaj spokój, nie patrz na niego.

Fala pasażerów oddzieliła Frankie od mężczyzny. Weszła w ten posuwający się naprzód tłum niezauważona, nie stając nikomu na drodze, pozwoliła, żeby ta fala ją połknęła. Tyle że tłum poruszał się w niewłaściwym kierunku. Oddalając się od wejścia do terminalu, szedł w stronę bramek i w głąb pułapki. Gdzieś na tej drodze znajdowała się damska toaleta. Frankie wiedziała, że jest niedaleko.

Z walącym sercem przemieściła się na drugą stronę posuwającego się przed siebie tłumy. Szła dalej naprzód, a gdy znalazła się na wysokości toalety, gwałtownie się odwróciła i dała nura do środka. O mały włos nie wpadła na wózek pracownika gospodarczego wciśnięty obok drzwi.

Znalazła pustą kabinę w rogu, więc większą, gdzie można było oddychać. Kiedy zamykała zamek, zauważyła, że ręce jej się trzęsą.

Co ona teraz robi? Czy ma tu pozostać, aż ogłoszą jej lot? Mężczyzna nie wejdzie za nią na pokład. A może przekona stewardesę, że jest kimś ważnym? Angelę najwyraźniej przekonał.

Fakt, że się tu zjawił, że wiedział, gdzie ją znaleźć, rozwiązał jej nadzieję, że chce z nią tylko porozmawiać. Że chce jej tylko przekazać informacje na temat Tylera. Miejsce publiczne wcale go nie zniechęcało. Wciąż widziała jego oczy na ekranie telefonu, kiedy na nią patrzył, oczy pełne złości, gdy sobie uświadomił obecność nieoczekiwanego świadka ich zbrodni.

Musi pomyśleć. Musi się skupić. Musi być twórcza i wymyślić jakieś rozwiązanie. Płacili jej za wymyślanie przekonujących scenariuszy. To, co jest ważne dla jednego segmentu rynku, nie liczy się dla innego. Jej zadaniem było doprowadzenie do tego, żeby ludzie widzieli to, co kampania reklamowa każe im widzieć, żeby uwierzyli w to, w co każe im wierzyć.

Mężczyzna widział jej twarz w telefonie, ale włosy miała owinięte ręcznikiem. Kogo ona oszukuje? Tyler zapewne miał jej zdjęcie na liście kontaktów. Mężczyzna nie miał jednak pojęcia, jakiego wzrostu jest Frankie, jak się porusza ani co ma na sobie.

Spojrzała na swoje ubranie. A jeśli śledził ją od jej mieszkania? Czy ktoś stał na peronie, kiedy czekała na pociąg? Ale skąd by wiedział, jakim samolotem leci? Skąd znał numer bramki? Czy śledził ją jeszcze ktoś inny, kogo nie zauważyła?

Niemal natychmiast zdjęła kurtkę oraz pozostałe ubrania i powiesiła je na haczyku na drzwiach. Z plecaka wyciągnęła dzinsy i czarny T-shirt. Zamieniła płaskie skórzane buty na sportowe do biegania.

Na dnie torebki znalazła opaskę do włosów. Związała je w koński ogon i przeciągnęła go przez otwór w czapce z daszkiem. Złożyła i zrolowała swoje ubrania i schowała je do torby, modląc się w duchu: „Niech on wciąż tu będzie. Niech on wciąż tu będzie, proszę”.

Wzięła kilka głębokich oddechów i opuściła bezpieczną kabinę. Bez pośpiechu umyła ręce, a ich drżenie jeszcze bardziej wytrąciło ją z równowagi. Spojrzała sobie w oczy w lustrze i naciągnęła czapkę z daszkiem mocniej na czoło, nasłuchując przez kolejną minutę. Dwie kabiny były zajęte, ale przy umywalkach nikogo nie było. Będzie miała sekundy, nie minuty, żeby dotrzeć do celu.

Kiedy wyszła zza rogu, omal nie westchnęła z ulgą.

Dzięki Bogu.

Wózek pracownika gospodarczego wciąż stał na miejscu. Wrzuciła swoje torby do żółtego winylowego pojemnika, nie zwracając uwagi na śmieci, na których wylądowały. Chwyciła za rączki i skierowała wózek do wyjścia. Mop zastukał o wiadro. Kółka zaskrzypiały. Starła się nie skrzywić, słysząc to skrzypienie, kiedy pchała wózek po kafkach toalety, aż wjechała na wykładzinę.

Jeszcze bardziej naciągnęła czapkę na czoło. Skuliła ramiona, jakby robiła to co dzień, i ruszyła przed siebie. Nie miała odwagi się rozejrzeć.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Ona tu jest. W tym terminalu.

- Nie widzę jej.

Rozmawiali przez słuchawki, mały biały guziczek w uchu i ledwie widoczny kabelek długości dwóch i pół centymetra. Niemal identyczne jak te, których używał Tyler Gates. Gdyby zauważył ten drobny szczegół, nie znaleźliby się w kłopotcie.

Zazwyczaj nowinki technologiczne ułatwiały Augustowi Braxtonowi pracę. Pewnie powinien się bardziej zainteresować ich możliwościami. Lata temu może by się zainteresował, ale teraz? Za stary się zrobił na te wszystkie bzdety. Zostawiał nowinki ekspertom. Co więcej, uważał to za jeden ze swoich atutów, że polega na ludziach, którzy są od niego mądrzejsi. W pewnych kwestiach, rzecz jasna. Bo nikt nie miał lepszego instynktu niż on. Dlatego wciąż był na liście płac.

Co za ironia. Pomimo wszystkich tych technologicznych nowinek i sztucznej inteligencji nadal potrzebowali przedstawiciela starej szkoły, który kieruje się instynktem.

Braxton po raz kolejny wyświetlił podobiznę kobiety na ekranie swojego telefonu. Postukał w niego i powiększył zdjęcie. Na tej portretowej fotografii Francine Russo w niczym nie przypominała siebie ze zdjęcia w prawie jazdy. Była tu w pełnym makijażu, natomiast na tym drugim całkiem naturalna i włosy też miała krótsze. Wyglądała kilka lat młodziej.

Zlustrował zatłoczoną halę. Ogłaszano kolejne loty i coraz więcej pasażerów gromadziło się przy bramkach. Potarł brodę, jakby mógł w ten sposób pozbyć się zmęczenia.

Jak dziś wyglądasz, Francine Russo, do którego wizerunku jesteś podobna?

Zamknął zdjęcie, zastępując je mapą. Czy to możliwe, że coś mu umknęło? A jednak czerwone światełko mrugało niczym serce w jednym miejscu, jakby siedziała niedaleko. Gdzieś w zasięgu ręki.

System nie był aż tak zaawansowany, żeby pokazać mu dokładną lokalizację. Wskazywał jedynie pewien obszar. Każdy ruch obserwowanego obiektu był widoczny na ekranie jako raptowne powiększenie się tego obszaru, opóźnione o sekundę czy dwie w stosunku do ruchu rzeczywistego. Może gdyby eksperci centrali siedzieli w Chicago, a nie w Waszyngtonie, sprzęt do inwigilacji elektronicznej działałby lepiej. A jednak udało im się skierować go do bramki numer 2. Podali mu nawet nazwę linii lotniczej, numer

lotu, czas odlotu i numer miejsca. Nie pytał, jak do tego doszli. Przypuszczał, że zdobyli informację w ten sam sposób, w jaki dowiedzieli się, że Deacon Kaye włamał się do serwera korporacji.

Cóż za ironia losu! Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Ta sama firma, która zwróciła się do szefa Braxtona, żeby włamał się do pewnych komputerów i powiedział im, gdzie znajduje się Russo i dokąd się wybiera, musiała przełknąć gorzką pigułkę, gdy się przekonała, że ich własny system okazał się dla hakerów równie łatwym łupem. Na dodatek hakerami byli dwaj młodzi ludzie, którzy dopiero co skończyli college. Korporacji, a także szefowi Braxtona woda sodowa uderzyła do głowy. Uważali, że są niezatapialni... tak jak Titanic.

Braxton uśmiechnął się pod nosem. Lubił książki historyczne. Titanic był jego najnowszą fascynacją, z tym że fascynowało go nie tylko samo zatonięcie statku, lecz także konsekwencje zatonięcia niezatapialnego statku dla całej ówczesnej epoki. Czyli efekt domina.

W brzuchu mu zaburczało, przypominając, że od wypicia kawy i zjedzenia batonu proteinowego minęło zbyt wiele godzin. Skurcze żołądka tylko bardziej go zirytowały. Może to jego ostatnia robota. Odłożył dość kasy, żeby starczyło na długie wakacje, na domek w górach. Mógłby chodzić na wycieczki, czytać, szykować sobie eleganckie żarcie i popijać kosztowne wina, a zgromadził wiele butelek.

Spojrzał znów na głośny zaaferowany tłum. Rex nie przestawał kręcić głową osadzoną na szerokich barach. Wszyscy go lekceważyli jako nierozgarniętego prostaka i brutala. Czoło jaskiniowca mu nie pomagało. Za to jego świdrującym oczom prawie nic nie umykało. Przypominał Braxtonowi ogromną jaszczurkę rozmiarów dinozaura. Nigdy nie powie mu prosto w twarz, jak wymyślił jego przydomek. Rex, skrót od T-Rexa. Chociaż podejrzewał, że Rex mógłby się ucieszyć z porównania do dinozaura. Jaszczurka mogłaby się mniej spodobać.

Ale najważniejsze, że gość słuchał rozkazów i był lojalny aż do przesady. W tym biznesie te dwie cechy są na wagę złota i uratowały go więcej razy, niż chciałby przyznać.

Czerwona kropka na ekranie telefonu nadal pulsowała, prawie się nie poruszając. Ta kobieta wciąż tu była... Gdzieś tu. Braxton wyciągnął szyję, by spojrzeć ponad tłumem i zajrzeć pomiędzy ludzi. Musi uspokoić żołądek.

Postukał w słuchawkę w uchu i powiedział do Rexa:

- Kupię sobie kanapkę. Chcesz coś?
- Nie, dzięki.

Oczywiście, że nie chciał. Między dwoma akcjami pożarł trzy śniadaniowe kanapki z fast foodu. Ten gość był w stanie zjeść niezależnie od okoliczności.

Po drugiej stronie terminalu Braxton wypatrzył mały sklepik. Kolejka nie była długa. Owinięta w folię i przygotowana nie wiadomo ile godzin temu kanapka nie budziła w nim entuzjazmu, ale musiał się nią zadowolić. Zaczekał, aż minie go pracownik gospodarczy z wózkiem, a potem zaczął przebijać się przez tłum.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Gdzieś w tyle głowy Frankie powtarzała sobie, że musi spełniać oczekiwania ludzi. Wyglądać tak, jak według ludzi wygląda pracownik gospodarczy lotniska.

Iść tak, jakby szła do jakiegoś celu. Ale nie za szybko.

Musi dotrzeć do kolejnej toalety. Ale znów nie za szybko.

Pamiętaj, mówiła sobie, sprzątanie toalet nie sprawia ci aż takiej przyjemności, żebyś się tam śpieszyła. Nie zmieniaj tempa.

Ludzie ustępowali wózkowi z drogi, ale nikt nie tracił czasu, żeby na nią spojrzeć. W ciągu kilku sekund znalazła się przy bramce numer 2, rączka od mopa obijała się o wiadro, szczotka była wsunięta z lewej strony wózka, włosie zasłaniało jej widok, ale częściowo ukrywało też twarz Frankie.

Mimo wszystko, kiedy dostrzegła mężczyznę z blizną, jej nerwy były w stanie pogotowia. Patrzył na rampę, przyglądał się nowym pasażerom, którzy przechodzili z punktu odprawy do bramki. Przez całą drogę będzie się znajdowała na linii jego wzroku. Czy w kobiecie pchającej wózek zauważy coś, co zwróci jego uwagę?

Słyszała, jak wali jej serce. Czy usłyszałaby, gdyby prawdziwy pracownik gospodarczy zaczął coś do niej wołać?

Pasażerowie otaczali ją z obu stron. Trzymała się bliżej prawej strony, idąc bez pośpiechu. Nie zatrzymywała się, nikogo nie wymijała, szła prosto przed siebie.

Z głośników rozlegały się wezwania do wejścia na pokład. Ludzie rozmawiali przez komórki. Rodziny pędziły, by zdążyć na samolot. Pasażerowie zderzali się walizkami na kółkach, nie zwalniając i nie przepaszając się nawzajem. Frankie szła naprzód, pchając wózek i licząc na to, że nie natknie się na innego pracownika z wózkiem.

Cały czas czuła obecność mężczyzny z blizną. Znajdował się teraz za nią, patrzył na jej plecy. Jeszcze trochę i skreśli za róg do hali z kilkoma przejściami do innych bramek. Usiłowała sobie dokładnie przypomnieć, gdzie jest winda. Kiedy już skreśli za róg, zniknie z pola widzenia mężczyzny.

Chyba że chodzi wzdłuż rampy, w tę i z powrotem, i szuka jej. Nawet w tym momencie mógł być tuż za nią. Nie miała odwagi się obejrzeć.

Trzymała się ściany.

Już prawie dotarła na miejsce.

Skreśliła w prawo. Trzy metry dalej mieściła się kolejna damska toaleta. Frankie skierowała wózek w stronę wejścia i zaczęła, aż

grupka kobiet opuści to miejsce. Rzuciła wzrokiem dokoła, żeby się upewnić, że nikt jej nie widzi, potem wyciągnęła swoje torby z pojemnika na śmieci. Nie przejmowała się, że z plecaka zwisa coś obrzydliwego. Strzepnęła to, założyła plecak i torebkę na ramię i wyszła z toalety.

Tym razem ruszając w stronę windy, szukała wzrokiem mężczyzny. Maszerowała żwawo.

Nie biegnij.

Kiedy jednak zjechała na dół, powstrzymanie się przed biegiem wymagało od niej wysiłku.

Po prostu idź. Wmieszaj się w tłum.

Frankie podniosła wzrok na tabliczki informacyjne, choć tak naprawdę ich nie potrzebowała. Dokładnie wiedziała, dokąd iść. Podczas gdy inni pasażerowie szli do miejsca odbioru bagażu, ona śpieszyła do wyjścia. Gdy tylko znalazła się za drzwiami, nabrała w płuca haust powietrza. Nieważne, że było zatrute oparami benzyny i diesla. Była o krok bliżej od ucieczki.

Kiedy autobus zaczął ruszać, podniosła rękę, zwracając na siebie uwagę kierowcy. Zatrzymał się, otworzył drzwi, a Frankie wbiegła po stopniach do środka. Drzwi zamknęły się, autobus znów ruszył. Frankie o mały włos nie straciła równowagi. Celowo minęła kilka wolnych miejsc, rzucając wzrokiem za okna. Chciała się przekonać, czy mężczyzna z blizną wyszedł za nią na zewnątrz. Idąc chwiejnym krokiem między siedzeniami, nie spuszczała wzroku z okien.

Niewielu pasażerów podniosło na nią wzrok znad telefonów. Zwykle Frankie irytowało, że ludzie są przyklejeni do ekranów, uzależnieni od elektronicznych zabawek. Tego dnia była wdzięczna za tę ich obsesję. Nie chciała, by ktokolwiek zobaczył panikę i pośpiech na jej twarzy, w jej gestach. Wreszcie dotarła na koniec autobusu, gdzie miała całe szerokie siedzenie dla siebie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ciężko dyszy.

Nie miała czasu do stracenia. Wyjęła telefon, włączyła go i zignorowała nowe wiadomości, które dobijały się do niej dźwiękami i światełkami. Wyszukała wypożyczalnię samochodów, którą kiedyś dodała do zakładek. Nie tę, z której korzystała na polecenie McGavin Holt. Tę, do której należał jej chłopak. Jej były chłopak. Gordon prosił, żeby z niej skorzystała, kiedy organizowała ich weekendowy wyjazd przed Bożym Narodzeniem. Zanim się zorientowała, ten kłamliwy drań zaczął sypiać ze swoją trenerką fitnessu. Która była jej przyjaciółką. I tak Frankie za jednym zamachem straciła dwoje najbliższych przyjaciół.

Zapomnij o tym, powiedziała sobie. Nie możesz teraz o tym myśleć.

A jednak była pod wrażeniem, jak bardzo jego członkostwo ułatwiło jej wypożyczenie samochodu. Wyświetliła stronę firmy. Wciąż pamiętała numer złotej karty Gordona, nazwisko użytkownika i hasło. Pamiętała nawet numer jego karty VISA. Miała talent do zapamiętywania rozmaitych szczegółów i liczb. Nazwijmy to zemstą. Najlepsze w tym było to, że choć w bazie danych figurowała jako drugi kierowca, nikt nie mógł jej połączyć z wypożyczonym samochodem. Wszystko było na nazwisko Gordona.

W ciągu kilku sekund zarezerwowała SUV-a. Kilka minut później jej zegarek zawibrował, powiadamiając o nadejściu mejla. Zalogowała się na swoje konto i znalazła numer potwierdzenia rezerwacji, a także numer miejsca parkingowego. Kluczyki miały być w samochodzie gotowym do drogi, jeśli Frankie zjawi się w ciągu kolejnych dziesięciu do piętnastu minut.

Okej, ale jazda samochodem zajmie jej trochę więcej czasu. Powinna pomyśleć o tym wcześniej. Oszczędziłaby sobie kosztów biletu na samolot i groźby konfrontacji z oprawcą Tylera. Zamknęła telefon, wrzuciła go do torebki i powiedziała sobie, że od tej pory powinna korzystać z telefonów na kartę. Gdy tylko minie granicę Chicago, zadzwoni znów do Hanny.

Oparła głowę o siedzenie. Choćby na krótko mogła się zrelaksować. A jednak wciąż słyszała swoje walące serce. Nie spuszczać wzroku, wiedziała, że ręce jej się trzęsą.

Poradzi sobie, musi tylko wydostać się z Chicago. Zgubić tych gości. Cokolwiek się dzieje, Hanna pomoże jej wymyślić, co zrobić dalej.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

*Old Ebbitt Grill
Waszyngton DC*

Maggie O'Dell przyjechała spóźniona, ale miała dobrą wymówkę. Po raz trzeci w ciągu niespełna miesiąca szef wezwał ją do swojego gabinetu na niezaplanowane spotkanie. Dwa poprzednie improwizowane zebrania oceniła jako stratę czasu. Chodziło o sprawdzenie po raz nie wiadomo który przedłożonych raportów. Jednak patrząc z perspektywy czasu, Maggie zastanawiała się, czy tamte dwa wezwania nie były tylko zwykłą rozgrzewką. Bo za dzisiejszym spotkaniem kryła się grubsza sprawa.

Pomachała do właściciela zajętego dwoma politykami, których rozpoznała. Biedny Ermelo musiał się nasłuchać, ale kiwnął jej głową, żeby szła dalej, i wskazał na tył sali. Maggie znalazła Gwen Patterson w ich ulubionym narożnym boksie, gdzie przyjaciółka popijała wino.

- Przepraszam - powiedziała Maggie, zajmując miejsce naprzeciw niej. Wcześniej wysłała SMS-a z wyjaśnieniami.

Do ich stolika podszedł kelner ze schłodzonym pilznerem i piwem marki Sam Adams. Kiedy się oddalił, Maggie spojrzała na przyjaciółkę i spytała, unosząc brwi:

- Najpierw wino, a potem piwo na lunch?

- Jest piątek. Zamówiłam już coś do jedzenia. Umieram z głodu.

Maggie ucieszyła się na te słowa, bo chemia na długo pozbawiła Gwen apetytu, jakby nie dość, że jej piękne blond włosy przybrały odcień stalowej szarości. Kiedyś sięgały do brody, teraz nosiła je ostrzyżone niemal po męsku, dzięki czemu pomimo siwizny wyglądała młodziej.

- Wszystko w porządku? - spytała Gwen, a gdy Maggie uśmiechnęła się, nalewając piwo do szklanki, rzuciła trochę zaczepnie: - No co?

- Tyle przeszłaś, a wciąż się o mnie martwisz.

- Ktoś musi to robić - odparła rzeczowo Gwen i wypila łyk piwa.

Była od niej starsza o piętnaście lat i stała się mentorką Maggie, gdy ta zaczynała pracę jako profilerka. Gwen była psychiatrą i konsultantką FBI. Razem z Maggie rozpracowywały najgroźniejszych morderców, którzy zapisali najkrwawsze karty w dziejach współczesnej kryminalistyki.

- Zastępca dyrektora Kunze raczył mnie poinformować, że dyrektor jest pod wrażeniem, w jaki sposób poradziłam sobie ze

sprawą handlu ludźmi w Nebrasce.

- Moje gratulacje. - Gwen uniosła szklankę

- To było minionej jesieni. Czemu czekał cztery miesiące, żeby mi to powiedzieć?

- Dyrektor czy Raymond?

Maggie powściągnęła grymas. Czasami złościło ją, że Gwen jest po imieniu z jej szefem, ale pytanie przyjaciółki tylko potwierdzało to, co myślała Maggie. Kiedy dyrektor oznajmił Kunzemu, że jest pod wrażeniem dokonań agentki O'Dell? A może to bez znaczenia?

Przyniesiono zamówione przez Gwen dania. Maggie usiadła prosto. Kelner przyniósł też kolejny kieliszek wina dla Gwen. Spytał, czy Maggie ma ochotę na drugie piwo, ale podziękowała. Ledwie zamoczyła usta w szklance. Ze zdziwieniem zobaczyła, że postawił na stoliku dwa talerze z burgerami. Gwen świetnie gotowała, a gdy poprzednio były w tym lokalu, zamówiła owoce morza, ale tylko grzebała widelcem na talerzu i ledwie co zjadła.

Maggie spojrzała na Gwen, która szykowała sobie kanapkę, posoliła ją i popieprzyła, sięgnęła po leżące obok dodatki - ogórek konserwowy, paprykę jalapeño, cebulę i sałatę, po czym starannie położyła je na kanapce. Już od dawna Gwen nie poświęcała tyle uwagi jedzeniu. Maggie zajęła się swoją kanapką, udając, że apetyt przyjaciółki to rzecz najzupełniej normalna.

- Mów dalej - powiedziała Gwen, krojąc swoje dzieło na pół. Fachowo uniosła pierwszą połowę, niczego nie upuszczając na talerz. Zatrzymała rękę z kanapką przy wargach. - No powiedz - zachęcała. - Czemu on ci w końcu przekazał słowa dyrektora?

- Bo dyrektor tworzy nową jednostkę specjalną, która ma pomagać miejscowej policji w rozwiązywaniu sadystycznych przestępstw. Właśnie zainwestowali miliony w unowocześnienie ViCAP-u i naszego laboratorium kryminalistycznego. Może szuka czegoś, co usprawiedliwi te wydatki.

ViCAP to Program Ścigania Brutalnych Przestępców FBI, który zbiera i analizuje dane na temat bestialskich przestępstw i przestępstw na tle seksualnym.

- Prawdę mówiąc, to świetny pomysł - stwierdziła Gwen. - Powrót do wyjaśniania zbrodni zamiast mieszania się w politykę.

- Naprawdę myślisz, że Kunze się z tym pogodzi? On kwitnie dzięki tym wszystkim koneksjom.

Gwen wzruszyła ramionami, po czym stwierdziła:

- Wygląda na to, że może nie mieć wyboru, jeśli dyrektor Bowman tak zdecyduje.

Nowy dyrektor FBI sprawował swoją funkcję od niespełna roku, ale już dał jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie, by agencja była

wykorzystywana do politycznych rozgrywek. Maggie nie mogła się nie zastanawiać, co na to jej bezpośredni szef, zastępca dyrektora Kunze, który zrobił karierę dzięki wymianie przysług z politykami. Zbyt wiele razy wysyłał ją z misją mającą na celu załatwienie spraw rozmaitych członków Kongresu. Pewnego razu polecił nawet Maggie uratować rodzinę pewnego senatora, która podczas groźnego sztormu znajdowała się na pokładzie łodzi mieszkalnej na środku Zatoki Meksykańskiej. Zwykle przekazywał jej tylko część posiadanych przez siebie informacji i bez wahania narażał ją na niebezpieczeństwo, byle uchronić znajomych polityków przed medialnymi atakami czy skandalem.

- Ta nowa komórka - dodała Gwen, podkreślając słowo „komórka” stuknięciem widelca - to interesujący pomysł. Wygląda na to, że Bowman chce, żebyś do niej dołączyła.

Maggie kiwnęła głową i uniosła palec, żeby Gwen dała jej chwilę, by mogła przełknąć. Wciąż analizowała rozmowę z Kunzem. Wydawała jej się trochę surrealna. W końcu przełknęła, wytarła wargi płócienną serwetką i oznajmiła:

- On chce, żebym stanęła na jej czele.

- Och, Maggie, to fantastycznie. - Twarz przyjaciółki pojaśniała. - Dyrektor musi być pod wielkim wrażeniem.

- Kunze powiedział, że mogę sobie dobrać ludzi, przy czym nie omieszkał przedstawić listy osób, które rekomenduje mi do rozważenia. Na liście jest twoje nazwisko.

- Moje?

Gwen, oprócz prowadzenia cieszącej się powodzeniem praktyki psychiatrycznej, od wielu lat była konsultantką FBI. Kiedy dowiedziała się, że choruje na raka piersi, zwolniła tempo, przyjmowała mniej pacjentów, rezygnowała z zaplanowanych wystąpień publicznych. Zdiagnozowano ją przed dwoma laty, a Maggie wciąż pamiętała swoje osłupienie i przerażenie, z jakim obserwowała, jak jej mentorka stopniowo ogranicza swoją aktywność, żeby przystosować się do nowej rzeczywistości. Gwen Patterson należała do najsilniejszych ze znanych jej kobiet. Maggie nie była w stanie patrzeć na tę dzielną kobietę nagle tak przepełnioną lękami i wątpliwościami, że niemal ją to paraliżowało.

- Mówiłaś, że przyda ci się przerwa w wysłuchiwanie przedstawicieli klasy politycznej stolicy w stanie załamania nerwowego.

Do pacjentów Gwen należeli pracownicy Kongresu i żony senatorów, a nawet czterogwiazdkowy generał.

- Niezła alternatywa. - Gwen się zaśmiała. - Wysłuchiwanie załamanych polityków albo ściganie przestępców?

Maggie wiedziała, że Gwen pomogła rozwikłać niejedną z najbardziej zagadkowych i najtrudniejszych spraw, z jakimi borykało się FBI. Była ekspertką od zachowań przestępczych, napisała na ten temat liczne artykuły i kilka książek. Przeprowadzała rozmowy z mordercami, zdarzyło się też parę razy, że została przez nich wciągnięta w ich chorą grę. Maggie byłaby szczęściarą, gdyby Gwen dołączyła do tworzonego przez nią zespołu.

- Masz tylu utalentowanych agentów do wyboru - po chwili dodała Gwen.

- Ale żadnemu z nich nie ufam tak jak tobie - odparła Maggie.

- Tak... - Gwen skinęła głową. - Ale pozwól, że to przemyślę, okej?

- Jasne, nie ma sprawy. - Maggie usłyszała w swoim głosie rozczarowanie, zanim zdołała je ukryć.

Gwen też to wychwyciła.

- Bo wiesz, może najpierw powinnam porozmawiać o tym z R.J.

Agent specjalny FBI R.J. Tully był drugą połówką Gwen i dawnym partnerem zawodowym Maggie.

- Obawiasz się, że nie będziecie mogli pracować razem?

- Chcesz poprosić R.J., żeby dołączył do twojego zespołu?

- Oczywiście! - I nawet nie brała pod uwagę jego odmowy.

- Więc tym bardziej powinnam się z nim rozmówić.

- Dziesiątki razy pracowaliście razem.

- Przed rakiem. Teraz R.J. jest trochę nadopiekuńczy.

- To zrozumiałe. Nie chce cię stracić.

- Ja nie działałam na linii ognia, jak wy dwoje.

Gwen przełknęła ostatni kęs hamburgera. Maggie cieszyła się, że ta rozmowa nie odebrała jej apetytu.

- Ty i Ben pracowaliście razem i nie zawsze wychodziło wam to na dobre.

- To nie to samo. - Maggie wypila łyk piwa. - Ben i ja nie jesteśmy... no wiesz. Nie jesteśmy w związku.

- Czy on o tym wie?

- Oczywiście, że wie. To była jego decyzja, pamiętasz?

Doktor Benjamin Platt był dyrektorem USAMRIID-u, czyli Wojskowego Instytutu Badawczego Chorób Zakaźnych. Zbliżyli się do siebie, kiedy Maggie zaraziła się wirusem ebola i trafiła pod opiekę Bena. Był taki czas, kiedy wierzyła, że mogą być dla siebie kimś więcej niż tylko przyjaciółmi, ale Ben dawał jasno do zrozumienia, że pragnie mieć dzieci. Jego jedyna córka zmarła z powodu komplikacji pogrypowych, kiedy służył w Afganistanie. Był oficerem i lekarzem, więc uznał to za ironię losu, że ratował

życie żołnierzy, a nie był w stanie uratować swojego jedyne­go dzie­cka, od którego dzieliły go tysiące kilometrów.

- A co z Ryderem Creedem? Sądzisz, że moglibyście razem pracować, skoro już... no wiesz, byliście ze sobą?

Maggie nie miała ochoty poruszać tego tematu.

- Umówiliśmy się z Ryderem, że nie będziemy o tym rozmawiać. - Wypiła łyk piwa. - Poza tym on jest ode mnie młodszy, dopiero niedawno skończył trzydziestkę.

- Wiesz, że to żadna wymówka. R.J. też jest ode mnie młodszy. A przy okazji, co mu kupiłaś na urodziny?

Maggie wiedziała, że Gwen ma rację. Wiek to głupia wymówka. Ryder miał starą duszę. Czasami wydawało jej się, że jest mądrzejszy i bardziej dojrzały niż ona.

- Zegarek z GPS-em - odparła w końcu, gdy zdała sobie sprawę, że Gwen czeka na odpowiedź.

- Fiu, fiu, ale prezent. - Gwen popatrzyła na nią z uwagą. - Kosztowny. Taki prezent daje się kochankowi.

- Och nie. Tak uważasz? Nie chciałabym, żeby odniósł mylne wrażenie.

- Sądzę, że odniósł je już po seksie. - Gdy Maggie się skrzywiła, Gwen roześmiała się i spytała: - Czemu tak bardzo cię to krępuje? Odnoszę wrażenie, że wam obojgu naprawdę na sobie zależy. Razem przeżyliście różne szalone i trudne sytuacje. Lawinę błotną, wybuch bomby, ptasią grypę. Co jeszcze musiałyby się zdarzyć, żebyś sobie uświadomiła, ile ten facet dla ciebie znaczy?

- Może po prostu jestem beznadziejna w związkach. Nie nadaję się. Może mnie to przeraża.

- Przeraża cię? Gówno prawda. To znów wymówka, po prostu się wymigujesz.

Maggie uniosła brwi. Rzadko słyszała przekleństwa z ust Gwen. Ta rozmowa stała się zbyt poważna.

- Hej, daj spokój - powiedziała z uśmiechem. - Wbrew powszechnemu mniemaniu nie jestem pozbawiona uczuć.

- Przecież wiem. Jesteś też odważniejsza i silniejsza niż większość osób, które znam. Widziałam, jak stałaś twarzą w twarz z mordercą. Potrafisz być nieustraszona. A jednak kiedy chodzi o bliskość z drugim człowiekiem, o obdarzenie kogoś zaufaniem, to zachowujesz się jak wielkie strachajło.

- Tak.

- Czemu?

- Bo to jedyna rzecz, która może mnie naprawdę zranić. I nie mogę tego kontrolować. Nie mam jak się przed tym bronić.

- Och, kochanie, takie lęki w mniejszym lub większym stopniu

towarzyszą wszystkim. Wiesz, że po mastektomii wmawiałam sobie, że R.J. mnie zostawi?

- Naprawdę? On szaleje na twoim punkcie.

- Chodziło bardziej o mnie, o moje lęki, o to, że czułam się wybrakowana. Tak naprawdę to miało niewiele wspólnego z R.J. Jednocześnie uprzytomniłam sobie, jak bardzo chcę z nim być. Jak bardzo potrzebuję go w swoim życiu. - Gwen odsunęła talerz i przysunęła bliżej swoje piwo, nie spuszczając wzroku z przyjaciółki.

- Łatwiej jest polegać tylko na sobie - powiedziała w końcu Maggie. - Za każdym razem, kiedy na kogoś liczyłam, spotykał mnie zawód. Oczywiście poza moją jedyną przyjaciółką. - Gdy Gwen milczała, Maggie wypełniła ciszę, dodając: - Czy to takie straszne?

- Och, po prostu się martwię, że kiedy tak kryjesz się i chronisz, omija cię wielkie szczęście. A tak à propos, co z Ryderem? Sprawia wrażenie kogoś, kto przeżył własne piekło. Zaryzykowałabym twierdzenie, że też ma problem z zaufaniem i zaangażowaniem. Okej, więc spytam, czy jesteś wobec niego sprawiedliwa? Nie ufasz mu po tym wszystkim, co razem przeszliście?

- Ufam mu. Dwa razy uratował mi tyłek. Więc rzecz jasna z zaufaniem powierzam mu swój tyłek.

- Ładnie to ujęłaś. - Gwen uśmiechnęła się. - Tyłek i pozostałe części ciała. - I jakby nie dość jej dopiekła, dodała: - Ale nie serce.

Z kieszeni Maggie dobiegł stłumiony dźwięk. Wyjęła telefon najszybciej, jak to możliwe, ale i tak kilku gości lokalu spojrzało na nią z wyrzutem.

- Przepraszam - powiedziała do Gwen. - Zapomniałam wyłączyć.

- Odbierz. Mnie to naprawdę nie przeszkadza.

Kiedy Maggie spojrzała na ekran, jej pierwszą myślą było, że osoba, która do niej dzwoni, czyta jej w myślach.

- Cześć, Hanno. Jak się masz?

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

*Południowa Alabama
80 km na południe od Montgomery*

Przez ostatnie kilka kilometrów Ryder Creed musiał gwałtownie skręcać, żeby ominąć różne przeszkody. Najpierw dostrzegł pozbawione liści drzewa, w niektórych przypadkach odarte też z kory. Dwukrotnie musiał się zatrzymać i usunąć z drogi konary, raz nawet użył piły łańcuchowej. Słupy elektryczne pochylały się, kable wisały i kołysały się na wietrze. Potem napotykał już nie tylko gałęzie, ale całe drzewa przewrócone na bok i odsłaniające macki korzeni. Wyglądało to tak, jakby jakiś olbrzym wyrwał je z ziemi i odrzucił na bok.

Po drodze widział również złamane sosny, całe ich rzędy, całe lasy zmiecione z powierzchni ziemi. Widział też przesłonięty wcześniej horyzont. Ta część południowej Alabamy była gęsto zarośnięta sosnami, pekanami i stuletnimi dębami. Gdzieniegdzie kudzu tak bardzo obrodziło, że zarastało przerwy między drzewami i łapało je w swoją sieć. Rozprzestrzeniające się pnącze oplatało opuszczone szopy i zardzewiałe traktory, przykrywając je zielonym pledem. Teraz to wszystko zniknęło, zostało wysane, pozostały tylko kikuty w kałużach błota.

Creed skręcił i ostro zahamował. Tuż przed nim asfalt się wyrzucił, a sporych kawałków brakowało, jakby ktoś wydłubał fragmenty układanki i zostawił tylko okruchy. Rowy były wypełnione wodą, która miejscami przelewała się na autostradę, wypełniając głębokie spękania.

Creed spojrział w tylne lusterko. Uparł się, żeby Grace siedziała w klatce zamiast zajmować normalne miejsce na składanym siedzeniu za jego plecami. Postawił pojemnik z twardego tworzywa na środku siedzenia, drzwiami do przodu, by suczka czuła powietrze z otworów wentylacyjnych ponad konsolą dżipa.

- Co powiesz, Grace?

Stała, patrząc przez przednią szybę, a gdy się odezwał, zerkała na niego i głośno wciągała powietrze nosem. Była gotowa do pracy. Dla niej to nie był problem, że okolica wygląda jak spustoszona eksplozją. Creed pracował już w miejscach uderzenia huraganu i tam, gdzie zniszczeń dokonały lawiny błotne, ale to... to przypominało mu Afganistan.

Jechał bez pośpiechu z włączoną klimatyzacją. Chmury odpłynęły. Po deszczu niebo znów było niebieskie, za to gdy wyszło słońce,

zrobiło się gorąco i wilgotno. Creed nastawił radio na lokalną stację informacyjną i słuchał prognozy pogody na przemian z najnowszymi informacjami. Nie dał się oszukać niebu, które nagle stało się cudownie błękitne. Kiedy wcześniej pracował piłą łańcuchową, czuł w powietrzu sól i sporą wilgotność. Burze wcale nie odeszły na dobre. To była tylko cisza przed kolejnym atakiem.

Spojrzał na GPS w samochodzie. Część drogi międzystanowej numer 65 była wciąż zamknięta, więc wybrał alternatywną trasę, biegnącą równoległe drogę numer 31. Był zaskoczony, gdy nie zobaczył tu żadnych pojazdów, ale potem sobie uprzytomnił, że większość służb przeszkolonych do pierwszego kontaktu w czasie wypadków będzie tu docierała z przeciwnego kierunku, z Montgomery.

Znał tę okolicę dość dobrze i wiedział, że jest tu tylko kilka prosto biegnących dróg. Nieutwardzone boczne drogi wiły się i zakręcały, czasami tworząc pętlę i wydłużając podróż. Większość z nich to były drogi gruntowe albo żwirowe, bywało, że na tych gruntowych tak naprawdę było głównie błoto. Jeśli tornado wessało i wypluło asfalt, nieutwardzone drogi zamieniły się pewnie w kompletną ruinę.

- Poczekaj, dziewczyno - powiedział do Grace, cofając się odrobinę, żeby przyjrzeć się, w jakim stanie jest droga za wyrzuceniem. Wyglądało na to, że zalega tam jeszcze więcej śmieci, ale przynajmniej powierzchnia zdawała się dość gładka. W końcu uznał, że dżip sobie z nią poradzi.

Pokonując kolejne osiem kilometrów, dwa razy musiał się zatrzymać, żeby pociąć piłą następane konary i odciągnąć na bok metalową płytę. Zbliżając się do drogi międzystanowej 65, znów zobaczył rozmaite rupiecie i większe fragmenty czegoś, co potrafił zidentyfikować. Prawie żałował, że może to zrobić. Drzwi od samochodu, wygięty zderzak, fragmenty ogrodzenia, rozrzucone cegły.

Jeszcze dalej pojedyncze przedmioty zostały zastąpione całymi stertami, na przykład stosem powyginanych metalowych elementów. Jakiś billboard utkwiał na drzewie. Wieża transmisyjna zgięła się w połowie swojej wysokości. Później w polu widzenia Creeda zaczęły się pojawiać samochody: jeden na drugim, rozbite, rozerwane na kawałki.

Widział wiele wypadków drogowych. Samochody, które wjeżdżały na siebie na międzystanowej i takie, które dachowały w rowie. Ale ta scena w niczym nie przypominała tego, co widział do tej pory. Może poza Afganistanem.

Na polu, po jego prawej stronie, leżała na boku przyczepa do przewozu zwierząt. Krowy jakoś wyciągnięto z wraku. Trochę się

potykały, ale wyglądały nie najgorzej. Spojrzał w tylne lustro i zobaczył, że Grace przygląda się bydłu.

- Chyba nic im się nie stało - powiedział do psa. - Jak to możliwe?

Samochoodu nie było nigdzie widać. Creed zlustrował pole, przewrócone drzewa, sterty zniszczonych rzeczy. Do pozbawionych liści gałęzi ogromnego dębu, któremu udało się zachować pozycję pionową, przyczepiła się różowa wata cukrowa. Dąb stał na spustoszonej ziemi niczym latarnia morska na morzu. Wokół pnia owinał się duży kawałek metalu. Creed poczuł ucisk w żołądku, rozpoznając chromowany zderzak.

Potrząsnął głową. Okrutna ironia matki Natury - bydło wyszło bez szwanku, ale co z kierowcą ciężarówki? Nie wyobrażał sobie, że mógł przeżyć w szoferce.

Obejrzał się na Grace. Unosiła nos, wachała, przyglądała się. Pewnie było tam zbyt wiele zapachów. Krwi i śmierci tych ciągniętych po ziemi, ciśniętych na nią, rozrzuconych dokoła. Creed pracował na terenach dotkniętych dwoma huraganami i lawiną błotną. Po takich katastrofach naturalnych akcja ratunkowa szybko zamienia się w akcję poszukiwania ciał. I to jest w tym najtrudniejsze. Grace jako pies wyszkolony do wykrywania rozmaitych zapachów znajdowała zarówno zaginionych, jak martwych. Potrafiła też wyczuć kokainę i metamfetaminę, bakterię *Clostridium difficile* i ptasią grypę. Dwa lata wcześniej Creed i Grace trafili na pierwsze strony gazet, gdy poszukując narkotyków na łodzi rybackiej, znaleźli drugi ładunek kartelu narkotykowego. To właśnie Grace dokonała tego odkrycia pod pokładem wypełnionym złotą makrelą. Zamiast kokainy pod deskami pokładu znajdowało się pięcioro dzieci. Kartel porwał je, żeby je sprzedać.

Nawet Creed był zdumiony tym, że Grace wyczuła obecność dzieci pod grubą na prawie metr warstwą ryb. O ironio, słowo ryba było ich hasłem podczas poszukiwania narkotyków. Dzięki temu, że na zatłoczonym lotnisku Creed prosił Grace o znalezienie ryby, nie zwracali na siebie niepotrzebnej uwagi i nie wywoływali paniki.

Creed zatrzymał dżipa przytłoczony otaczającymi go zniszczeniami. Zdał sobie sprawę z trudności tego zadania. Grace będzie potrzebowała jego pomocy. Będzie musiał dawać jej wskazówki, i to tak, żeby jej nie przeszkadzać.

Czas przeżycia pozbawionych pomocy ofiar takich katastrof nie jest zbyt długi. Nie mógł jednak prosić Grace, żeby ignorowała zmarłych i szukała tylko żywych, ponieważ zapachy nie będą się aż tak bardzo różnić. Tuż po tornadzie krew pachnie po prostu jak krew. Może też być przywleczona albo jej zapach przyniesiony silnym powiewem z odległego miejsca, gdzie znajduje się ciało.

Bardziej niż kiedykolwiek będzie zmuszony przestrzegać pierwszej rady, jakiej udzielał wszystkim swoim treserom: trzeba zaufać psu.

Sprawdził, czy ma tam zasięg. Obiecał Hannie, że kiedy dotrze na miejsce, wyśle jej SMS-a. Przede wszystkim jednak chciał ją prosić, żeby przysłała tu Jasona i Scouta. W oddali widział blask światła odbijającego się od szkła i metalu. Samochody leżały tu dosłownie wszędzie, jakby jakiś olbrzym rozrzucił kolekcję resoraków. On i Grace za żadne skarby świata sami nie dadzą sobie rady.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Birmingham, Alabama

Willis Dean podniósł wzrok i zobaczył Mię Long, która stała naprzeciw jego biurka. Ledwie kilka minut temu wrócił do swojego zabałaganionego pokoju. Zeszli z anteny po ostatnich ostrzeżeniach, ale Willis nie mógł oderwać wzroku od nieustannie napływających zdjęć. Martwił się o syna i był wdzięczny, że żadna ze szkół w okolicy nie ucierpiała. Dotąd jednak nie myślał o drodze międzystanowej.

Powgniatane i powyginane samochody leżały rozrzucone na polach. Cała okolica została obsypana najrozmaitszymi przedmiotami, z paru ocalałych tam drzew zwisały różne śmieci. Wszystko, co pozostało ze stacji benzynowej, restauracji z fast foodami i niewielkiego sklepu z podstawowymi artykułami na skrzyżowaniu międzystanowej, to sterty cegieł i desek, stłuczone szło oraz rozbite ciężarówki i samochody osobowe. Patrząc na zdjęcia zrobione przez drony, Willis zastanawiał się, jakim cudem ktokolwiek tam przeżył.

- Cztery ofiary śmiertelne - powiedział, kręcąc głową.

- Cud, że nie więcej - odparła Mia.

Tym razem, kiedy podniósł wzrok, zauważył, że w jednej ręce trzymała pojemnik z jedzeniem na wynos, a w drugiej kubek kawy. Pokazała mu, żeby zrobił miejsce na biurku, bo chciała je postawić.

- Przyniosłaś mi coś do jedzenia?

- Nie jadłeś, odkąd tu przyjechałeś. Paul zamówił kanapki. Wzięłam dla ciebie z szynką i serem.

- Dzięki.

Zamiast uprzątnąć biurko, Willis wziął od niej pojemnik i kubek, potem obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, przytłoczony otaczającym go bałaganem, który zwykle mu nie wadził. W końcu uznał, że stos rzeczy na szafce za jego plecami wygląda wystarczająco solidnie, by położyć na nim pojemnik. Usiadł z powrotem i wypił łyk kawy. Była wciąż gorąca, z odpowiednią ilością śmietanki, bez cukru. Mia dobrze zapamiętała, jaką kawę lubi jej szef.

- Mieliśmy wiadomości od Gary'ego.

- I? - Uniósł brwi, a jednocześnie poczuł ucisk w żołądku, przygotowując się na najgorsze.

- Jego ekipie nic się nie stało. Parę zadrapań i skaleczeń. Nadal są w lekkim szoku.

- Jak blisko byli?

- Za blisko. Powiedział, że obróciło ich samochód dookoła. Poleciały wszystkie szyby.

Willis zdjął okulary i przetarł oczy. Był wykończony, ale natychmiast poczuł, że napięcie w ramionach odpuszcza. Kiedy zaczęły napływać raporty o zniszczeniach, zdał sobie sprawę, gdzie uderzyło tornado. Łowcy burz zawsze ryzykowali, niezależnie od wszelkich przedsięwziętych przez nich środków ostrożności.

Spojrzał na monitor na biurku. Ekran właśnie się odświeżył.

Przychodziły nowe raporty Krajowej Służby Meteorologicznej.

- Jak chcesz ułożyć grafik? - spytała Mia.

Pierwsze tornado w sezonie. Wszyscy będą w pogotowiu, i oczywiście wszyscy jego współpracownicy będą chcieli się tym zajmować. Bo wszyscy mieli świra na punkcie pogody. Nawet kiedy nie pracowali w studiu, sprawdzali radary w telefonach i iPadach i co chwila zerkali na niebo.

- Mia, może pojedziesz do domu i trochę odpoczniesz - powiedział. - Dziś po południu mam wywiady radiowe. Mogę zostać.

- Okej, zobaczymy się później.

Odwróciła się do wyjścia, a Willis odetchnął z ulgą, że go nie przejrzała. To był tylko pretekst. Mógł spokojnie robić wywiady radiowe z domu. Bywało już tak wiele razy. Kiedy Mia zatrzymała się w drzwiach, serce zabiło mu mocniej.

- Nie zapomnij zjeść.

- O, jasne. Raz jeszcze dzięki.

Gdy telefon na biurku zaczął dzwonić, Mia pomachała na pożegnanie i wyszła.

- Willis Dean - odezwał się.

- Tato, próbowałem dodzwonić się do ciebie, ale chyba masz wyłączoną komórkę.

- Robbie, nic ci nie jest? - Willis chwycił kurtkę z oparcia krzesła i wyciągnął komórkę z kieszeni.

- Co się dzieje? Mama mówi, że się rozwodzicie.

Willis opadł ciężko na krzesło i posunął telefon komórkowy po blacie biurka. To w stylu Beth. Zawsze jest taka tajemnicza, ale kiedy już podejmie jakąś decyzję, rozgłasza ją wszystkim.

Nigdy nie okłamywał synów, więc nie zacznie robić tego teraz.

- Na to wygląda.

- Więc dla ciebie to też była niespodzianka?

Willis nie mógł powstrzymać uśmiechu. Wyglądało na to, że najstarszy syn świetnie zna swoich rodziców.

- Tak, owszem.

To, że żona czuje się nieszczęśliwa, było dla niego prawdziwą

niespodzianką. Miał świadomość, że praca zabiera mu mnóstwo czasu. Na ile rodzinnych imprez się spóźnił? Ile opuścił? A jednak kochał synów. Kochał żonę. To nigdy nie podlegało dyskusji.

W tym właśnie momencie przyszło mu do głowy, że jego trzech synowie dadzą sobie radę. Wszyscy mieszkali już poza domem i budowali własne życie. Beth też tak mówiła. Willis jako jedyny zostanie wyrzucony z domu, w którym spędził trzydzieści lat, z ogrodu różanego, o który dbał. Odsunięty od magnolii i lagerstremii, które zasadził, od karmników dla ptaków, które sam zrobił i powiesił.

Stało się dla niego jasne, że za dużo czasu spędzał na podwórzu za domem z głową w chmurach.

- Tato... - Głos syna przywrócił go do rzeczywistości. - Może to przycichnie, jak burza. Znasz mamę. Jutro może zmienić zdanie i zabrać się do przestawiania mebli w jakimś pokoju.

Willis znów się uśmiechnął, ale poczuł też ukłucie smutku. Może w tym właśnie tkwi problem, pomyślał. Może naprawdę nie zna swojej żony. Nagle poczuł się tak, jakby tak właśnie było.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

*Południowa Alabama
80 km na południe od Montgomery*

Szeryf Krenshaw rzucił okiem na Grace, potem cofnął się, jakby chciał lepiej widzieć przewodnika i psa.

- Psy poszukujące, z którymi wcześniej pracowałem, zwykle były większe. Labratory, owczarki. Co to, do diabła, jest?

- Jack russell terier. Nazywa się Grace.

- Skąd jesteś, synu?

Creed już się do tego przyzwyczaił. Nie obrażał się. Zamiast tego powiedział po prostu:

- Z Panhandle na Florydzie. Niedaleko Pensacoli.

- Posłuchaj synu, bez urazy, ale...

Creed przyjął bardziej swobodną postawę, choć oczekiwał obraźliwych słów, ponieważ gdy ludzie zaczynają swoją wypowiedź od „Bez urazy”, to prawie zawsze powiedzą coś obraźliwego.

- ...to dopiero początek - mówił dalej szeryf, zataczając ręką szerokie koło, jakby chciał podkreślić ogrom katastrofy. - Nadchodzą kolejne burze, a to oznacza, że nie mamy wiele czasu na szukanie tych, którzy przeżyli. Mówią, że ten weekend może być tak zły jak w dwa tysiące jedenastym. Więc bez urazy, synu, ale w dwa tysiące jedenastym pewnie pływałeś na desce na plaży w Pensacoli i nawet nie pamiętasz tamtego koszmaru.

- Ma pan rację, nie pamiętam. Byłem w Afganistanie.

Szeryf Krenshaw zamrugał kilka razy. Creed widział, jak zacisnął zęby i skrzywił się, jakby właśnie ugryzł coś gorzkiego, aż wreszcie spytał:

- W wojsku?

- W piechocie morskiej. - Creed odczekał moment i dodał: - Byłem przewodnikiem psa.

- No tak... - Tym razem szeryf pokręcił głową. - Pierwsi w polu, pierwsi do piachu.

Creed skinął głową.

- Operacja Pustynna Burza. - Szeryf postukał się w pierś. - Pamiętam jednego przewodnika z psem. Dość krótko był w naszej jednostce, ale parę razy uratował nam tyłki.

Przewodnik z psem przechodził po kolei z jednego plutonu piechoty morskiej do drugiego, w każdym spędzał parę tygodni. Z tego powodu Creed i Rufus zawsze byli outsiderami. Tak, wszyscy wiedzieli, że to oni pierwsi wychodzą w pole i pierwsi giną.

Żołnierze z plutonu wiedzieli, że nie powinni się do nich przyzwyczajać, nawet jeśli to od tej dwójki zależało, czy reszta przejdzie bezpiecznie przez zaminowane pola lub budynki z bombą pułapką. To, co robili Creed i Rufus – a zwłaszcza zdolność psa do ostrzegania przed niebezpieczeństwem – dla innych było trochę jak czary. Nigdy nie mieli pewności, czy pies z przewodnikiem ich uratuje, czy poprowadzi na śmierć. Jedno nie ulegało wątpliwości: to Creed i Rufus byli pierwsi w polu i pierwsi mogli stracić życie.

- Do diabła. - Krenshaw znów pokręcił głową. - Jestem panu winien przeprosiny.

- Proszę się tym nie kłopotać.

- Nie, nie, naprawdę mi głupio. - Jego postawa uległa zmianie. Opuścił ręce wzdłuż boków. - Moja żona ciągle mi powtarza, że z wiekiem robię się zbyt cyniczny. Mówi, że z powodu tych wszystkich dupków, z którymi przez całe życie miałem do czynienia, za szybko oceniam ludzi.

- Hej, widzę, że już się poznaliście – odezwała się jakaś kobieta, podchodząc do nich zza pleców Creeda.

- Norwich, właśnie zrobiłem z siebie cholernego głupka. Czemu mi nie powiedziałaś, że Creed był w piechocie morskiej?

Szeryf Norwich uściśnięła dłoń Creeda, a potem nachyliła się i podsunęła palce pod nos Grace. Nie próbowała jej głaskać. Na powitanie pozwoliła Grace powąchać swoją rękę, a suczka to doceniła.

- Zatrudnia też młodego komandosa. Bardzo bystry chłopak – powiedziała Norwich. - Pracowałam z nim zeszłej jesieni w mojej okolicy.

Norwich była szeryfem hrabstwa Santa Rosa na Florydzie. Creed wiedział zatem, że Alabama to nie jej jurysdykcja. Może miała wolne.

- Poprosiłem Jasona, żeby do mnie dołączył – oznajmił Creed – bo możemy z Grace potrzebować pomocy. W tym upale i przy tej wilgotności pies dość szybko się męczy.

- Czy ten pana komandos też ma coś takiego małego jak to? – Najwyraźniej Krenshaw wciąż nie był usatysfakcjonowany rozmiarami Grace.

Norwich odparła, zanim Creed zdążył coś powiedzieć:

- Pan Creed zabiera psy ze schroniska i szkoli je, uczy rozpoznawać rozmaite zapachy. To małe coś znalazło w zeszłym roku kobietę w rzece, w głębi lasu. Jak się tak zastanowić – Norwich podniosła wzrok na Creeda – znalazła też szeryfa Wyliego, prawda?

Creed potaknął skinieniem głowy. Oba tamte przypadki wyglądały na samobójstwa, dopiero po jakimś czasie uznano je za morderstwa.

Kiedy Grace znalazła dziewiętnastoletnią Izzy Donner, denatka leżała na dnie Blackwater River. Creed wciąż miał przed oczami wyдутą kurtkę, kieszenie wypchane kamieniami, które trzymały ciało na dnie płytkiej rzeki. Oczy Izzy Donner patrzyły prosto w niebo.

Creed wciąż widział też szeryfa Wyliego. Razem z Grace trafili na niego kilka dni później, nad rzeką, za drewnianym domem Wyliego. Tyle że on nie był w wodzie. Wisiał na jednej z gałęzi potężnego dębu.

Creed zlustrował horyzont. Pojawiało się coraz więcej ochotników i służb przeszkolonych do pierwszego kontaktu w czasie wypadków. Miał przeczucie, że katalog jego koszmarów powiększy się o całkiem nową kategorię makabry.

- Z tego, co dotąd wiemy, tornado ominęło Smith Crossing - powiedział do niego szeryf. - Uderzyło w kilka farm i domów na przedmieściach. To tutaj - wskazał ruchem głowy, trzymając ręce w kieszeniach - nawałnica najbardziej dała się we znaki. Z jednej strony to szczęście, że gęściej zaludnione tereny nie ucierpiały tak mocno, ale z drugiej to nie mamy pojęcia, ilu ludzi tu przebywało w chwili uderzenia tornada. Ani jak daleko mogło ich porwać. A stamtąd wyciągnęliśmy podróżnych, którzy utknęli w toalecie w tym małym sklepie.

Miejsce, które wskazał szeryf, było jakieś dziesięć metrów dalej i wyglądało, jakby ktoś wyrzucił tam rozmaite przedmioty i odpady z placu budowy. Była tam wysoka na trzy metry sterta pustaków, potłuczonego szkła, zdemontowanych półek, gontu i kantówek. Trzy ściany budynku zostały przesunięte, a fragment tylnej części wciąż stał nienaruszony. Creed domyślał się, że tam właśnie znajdują się toalety. Naprzeciw ściany stał sklepowy regał, który wydawał się nietknięty.

Szeryf Norwich zauważyła, czemu przygląda się Creed, i powiedziała:

- Tak, to torebki chipsów ziemniaczanych, i wciąż są na półkach. A to nie jest najbardziej niepojęta rzecz, jaką pan dziś zobaczy.

- Przy zjeździe z międzystanowej są sklep, stacja benzynowa i bar. Jak pan się przekona, wszystkie mocno ucierpiały. Cztery ofiary śmiertelne, dziewięć osób trafiło do okolicznych szpitali. - Krenshaw pokręcił głową. - Dwie z nich nie wyglądają dobrze. Tyle znaleźliśmy do tej pory. Nie mamy pojęcia, co nas czeka na tych polach.

- Widziałem po drodze przyczepę do przewożenia bydła - wspomniał Creed.

- Niestety kierowcę najprawdopodobniej trzeba będzie zaliczyć do

ofiar śmiertelnych. To znaczy jeśli go znajdziemy. Służby już wyciągnęły kilka osób z samochodów. Starają się, jak mogą, żeby wydostać jak najwięcej ludzi. - Szeryf zerknął na zegarek. - Od uderzenia tornada minęło pięć godzin. Wie pan równie dobrze jak ja, że czas nie jest naszym sprzymierzeńcem. Mam nadzieję, że pański pies wkroczy do akcji i trochę to przyspieszy. Mam nadzieję... Grace, tak? - Gdy Creed skinął głową, dodał: - Mam nadzieję, że powie nam, czy w tych samochodach są żywi ludzie. - Krenshaw odwrócił się, uniósł rękę, żeby osłonić oczy przed słońcem, i dodał: - Albo gdzieś na tych polach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Quantico, Wirginia

Po telefonie Hanny Maggie zostawiła Gwen i ruszyła z powrotem do swojego biura w Quantico. W tej przestrzeni, niewiele większej niż szafa wnękowa z półkami na książki i biurkiem, zawsze czuła się komfortowo. To był jej azyl, choć właśnie tu przez lata oglądała koszmarne zdjęcia z miejsc zbrodni i przeglądała teczki z dokumentami.

Trzymała tu niewiele osobistych przedmiotów. Kilka szafek na dokumenty z czasów, gdy dane gromadzono na papierze, było zapchanych po brzegi. Maggie zajmowała ten sam pokój od początku swojej pracy w Quantico, gdy pojawiła się tu jako stypendystka. Gdyby się tego domagała, zapewne otrzymałaby większe pomieszczenie, kiedy już została agentką. Ale tu było jej dobrze. Z jakiegoś powodu jej klaustrofobia tutaj się nie odzywała. W każdym razie zazwyczaj. Poza tym dokładnie wiedziała, gdzie co jest. Tak jak teraz, kiedy od razu podeszła do określonej szuflady i wyjęła potrzebną jej teczkę.

Hanna Washington prosiła ją o przysługę. Maggie znała ją dość dobrze i wiedziała, że Hanna nie ma zwyczaju o nic prosić. Należała do osób, do których inni zwracają się po pomoc i o radę, więc Maggie wiedziała, że niełatwo przyszło jej zadzwonić do niej z prośbą.

- Jak ją znam, Frankie jeszcze nigdy nie była tak przerażona - powiedziała o swojej przyjaciółce.

Maggie słuchała, robiła notatki w pamięci, a nawet zapisała nazwiska na okładce notesu, który Gwen wyciągnęła z torebki i podała jej w restauracji.

W teczce wyjętej z szafki z dokumentami Maggie znalazła wizytówkę detektyw z Chicago. Z tyłu odręcznie napisany był numer prywatnej komórki.

Maggie poznała detektyw Lexington „Lexi” Jacks w minionym roku. Jeżeli pamięć jej nie myliła, było to również w marcu. Kiedy wylądowała na lotnisku międzynarodowym O’Hare, powitała ją nagła i niespodziewana burza śnieżna. Jacks po nią przyjechała. To było ich pierwsze spotkanie, a Jacks martwiła się, że Maggie nie ma płaszcza. Prawdę mówiąc, zdaniem Maggie w grę wchodziło raczej zniecierpliwienie niż troska. Połączyło je to, że obie miały jeszcze mniej cierpliwości do biurokracji. Maggie liczyła na to, że Jacks nie zatraciła tego szczególnego zniecierpliwienia.

W Chicago było godzinę później niż w Wirginii, ale Maggie i tak była zaskoczona, kiedy detektyw odpowiedziała po trzecim sygnale.

- Jacks, słucham.

- Jacks, mówi agentka Maggie O'Dell.

Moment ciszy był bardzo krótki.

- Nie zrozum mnie źle, O'Dell, ale mamy tu dzisiaj piękny wiosenny dzień. Mam nadzieję, że nie chcesz mi go zepsuć i oznajmić, że FBI interesuje się jedną z moich spraw.

- Miło cię znów słyszeć. - Maggie się uśmiechnęła.

- Wybacz, chyba powinnam spytać, co słyhać. Kiedy ostatnio się kontaktowałyśmy, byłaś w izolacie.

- Na wszelki wypadek.

Ryder, Grace i Maggie, pracując przy sprawie, o której konsekwencjach wspomniała Jacks, zostali narażeni na kontakt z ptasią grypą. FBI zainteresowała się tą sprawą i doprowadziła do tego, że CDC, agencja rządowa zajmująca się walką z chorobami zakaźnymi, kazała zamknąć całe piętro luksusowego hotelu na Michigan Avenue. Jacks nie była zadowolona, że jej detektywi i policjanci zostali zredukowani do roli ochroniarzy, podczas gdy agencja federalna starała się upewnić, czy Chicago grozi epidemia śmiertelnego wirusa. Tak naprawdę Ryder, Grace i Maggie mieli dużo szczęścia. Bardzo dużo.

- Szczerze mówiąc - podjęła Maggie - dzwonię w sprawie paru morderstw, do których doszło w Chicago dziś rano.

- Naprawdę? Paru? Musisz zawęzić tę liczbę, bo o ile wiem, mieliśmy cztery zabójstwa, a słońce jeszcze nie zaszło.

- Mówię o tych, które popełniono wcześniej rano - wyjaśniła Maggie, nie marnując czasu detektyw. - Dwaj młodzi mężczyźni, w jednym wypadku wyglądało to na wtargnięcie do domu.

- Wicker Park.

- Twój wydział nazwał to wtargnięciem do domu, ale założę się, że to nie jest takie proste.

- Czemu FBI się tym interesuje? - chciała wiedzieć Jacks.

Utrudniała to bardziej, niż Maggie się spodziewała. Może jednak nie zbliżyły się tak bardzo, jak jej się zdawało.

- Skradziono komputer - dodała. - Domyślam się, że zginęła też komórka i inny sprzęt elektroniczny.

- Okej, skąd o tym wiesz? Czy po prostu przypadkiem zgadłaś?

- Przypadkiem zgadłam. Co wiesz na temat ofiary?

- Analityk komputerowy z Park House Labs. Średniego szczebla, o ile się nie mylę. Mieszkał sam. Siostra mieszka parę przecznic dalej i to ona go zidentyfikowała. Powiedziała, że przede wszystkim był maniakiem komputerowym. Unikał narkotyków, nawet nie tykał

alkoholu.

- Muszę wiedzieć, czy było drugie zabójstwo. Na ulicy, niedaleko domu pierwszej ofiary. Mogło wyglądać na nieudany rabunek z bronią w ręku.

- Znów przypadkiem odgadłaś?

W głosie Jacks Maggie usłyszała rosnące rozdrażnienie, ale brak zaprzeczenia oznaczał, że Maggie ma rację, a przyjaciółka Hanny nie wpadła w paranoję.

- Jeśli byliście w stanie zidentyfikować tego drugiego, to wiesz, że nazywa się Tyler Gates.

W słuchawce rozległo się syknięcie. Jacks najwyraźniej nie była zadowolona.

- Do diabła, skąd ty to wiesz? Nie wypuściliśmy informacji o drugiej ofierze.

- Podejrzewacie już, że te morderstwa są ze sobą powiązane?

- W tej okolicy raczej nie zdarzają się przypadkowe morderstwa w stylu egzekucji. Ale jeszcze nie znaleźliśmy wspólnego mianownika. Zechcesz mnie oświecić?

W stylu egzekucji.

Hanna powiedziała Maggie, że Frankie Russo wciąż ma nadzieję, iż jej przyjaciel i współpracownik został tylko ranny. Że może stracił przytomność i trafił na oddział ratunkowy albo na salę operacyjną.

- Jak zidentyfikowaliście Gatesa?

- Miał portfel w kieszeni kurtki. Nie miał telefonu. Wciąż sprawdzamy, czy kamery w okolicy nie zarejestrowały, co tam się stało, może uchwyciły wizerunek sprawców.

Maggie usiadła prosto i oparła łokcie na biurku. Frankie Russo powiedziała Hannie, że prowadziła z Tylerem wideorozmowę, kiedy do Tylera zbliżyli się dwaj mężczyźni. Jednego z nich widziała, ale obawia się, że on także miał szansę jej się przyjrzeć. Maggie zdała sobie sprawę, że to, czy mężczyzna ją widział, jest bez znaczenia. Miał lepszy sposób, żeby ją zidentyfikować, niż przez zerknięcie na ekran komórki. Jeżeli miał telefon Gatesa, to tym samym miał dostęp do wielu innych rzeczy, w tym do domowego adresu Frankie, a także być może wymienianych przez nich mejli i SMS-ów.

- Więc co jest grane, O'Dell?

Zadumana Maggie prawie zapomniała o Jacks.

- Ci dwaj młodzi mężczyźni się przyjaźnili - powiedziała. - Prawdopodobnie włamali się do pewnego serwera i znaleźli coś, czego nie powinni znaleźć.

Nastąpiła długa pauza.

- Okej - odezwała się w końcu detektyw. - Lepiej powiedz mi wszystko, co wiesz, zanim ja powiem ci coś więcej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Nashville, Tennessee

Frankie czuła odpływ adrenaliny. Kawa już jej nie pomagała. Po kawie chciało jej się tylko sikać, a nie zamierzała się zatrzymywać, dopóki nie będzie musiała napęlnić baku. Czyli wypije kawę i skorzysta z toalety na stacji benzynowej.

Zadzwoiła wcześniej do Hanny z jednego z telefonów na kartę, żeby ją poinformować, że jedzie samochodem. Powiedziała jej też o mężczyźnie na lotnisku, którego rozpoznała po bliźnie na szyi.

- Hanno, oni znali numer bramki. Jak to możliwe?

Hanna była jedną z najspokojniejszych i najbardziej opanowanych osób, jakie знаła Frankie, a jednak usłyszała w jej głosie wyraźny niepokój.

- Przyjeżdżaj do domu, dziewczyno - powiedziała. - Bądź ostrożna. Bądź mądra. Na pewno temu zaradzimy. I proszę, informuj mnie, gdzie jesteś, choćby krótkim SMS-em.

Przez pierwsze cztery godziny jazdy Frankie wciąż zerknęła w tylne lustro. Bez żadnej potrzeby korzystała ze zjazdów po to tylko, żeby zawrócić na międzystanową. Cały czas sprawdzała, czy nie jedzie za nią jakiś samochód. Powtarzała sobie, że to szaleństwo myśleć, iż śledzą ją od lotniska. Ale przecież pojawili się we właściwym terminalu i przy jej bramce. Czy mogą mieć dostęp do danych jej karty kredytowej? Choć to nie tłumaczyło, skąd znają numer jej lotu.

Kim, do diabła, są ci goście?

Potrząsnęła głową i powiedziała na głos:

- Tyler, w jakie gówno ty się wpakowałeś?

Może pewnego dnia będą się z tego śmiać.

Spojrzała sobie w oczy w tylnym lusterku i znów potrząsnęła głową.

Wiesz, że coś mu się stało. Czemu się oszukujesz?

Może dlatego, że miała jeszcze przed sobą wiele godzin podróży, a jechała sama. Jak mogła zapomnieć, że z Chicago do Panhandle na Florydzie jedzie się czternaście godzin? Na swoją obronę miała tylko to, że nie pokonywała tej trasy od ponad dekady. Kiedy odbywała rzadkie wizyty u ojca, leciała samolotem, co trwało dwie godziny.

Wypożyczony samochód nie posiadał GPS-u. Jej błąd. W pośpiechu zapomniała o to poprosić. Była wdzięczna, że czekał na nią czarny ford escape na miejscu parkingowym I-24

z kluczykiem i dokumentami wozu na siedzeniu kierowcy. Kiedy stamtąd wyjeżdżała, podała parkingowemu wydruk i swoje prawo jazdy, a ten ledwie na nie spojrział.

Po raz pierwszy od telefonu Tylera mogła oddychać.

Ale nie na długo. To była krótkotrwała ulga. Ledwie wyjechała z labiryntu wypożyczalni samochodów, poczuła się, jakby krążyła w kółko, nie wiedziała, który zjazd wybrać, żeby uciec od kłębówiska skrzyżowań drogi międzystanowej. Zdawało się, że wszystkie prowadzą na lotnisko O'Hare. Zrozumiała, że bardzo potrzebuje wskazówek.

Zjechała na parking przed barem z fast foodami i wcisnęła samochód między dwa SUV-y. Nigdy wcześniej nie korzystała z telefonu na kartę i spanikowała, uprzytamniając sobie, że nie ma dostępu do Internetu, nie mogła się nawet połączyć z Wi-Fi. A zatem skorzystała ze swojego telefonu, choć obiecywała sobie, że tego nie zrobi. Rozpaczliwie potrzebowała GPS-u, żeby wydostać się z Chicago.

Później, zatrzymując się na jednej z pierwszych stacji benzynowych, zapytała sprzedawcę, czy mają jakieś mapy. Spojrzał na nią, jakby spadła z Marsa. W końcu powiedział:

- Nie - a potem dodał, że w pobliskim McDonalddie mają darmowy dostęp do Wi-Fi.

Frankie ograniczyła się do krótkiego podziękowania, nie chciała zobaczyć jego miny, gdyby mu oświadczyła, że nie może korzystać ze swojej komórki. Choć popełniła już błędy, wiedziała, że jeśli ktoś za nią jedzie i będzie o nią pytał, ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje, to zwrócić na siebie uwagę, przez co zostanie zapamiętana.

Upłynęło już siedem godzin, odkąd Frankie opuściła Chicago. Minęła zjazd do Nashville. Według znaków drogowych na odcinku kilku kilometrów miały pojawić się kolejne zjazdy do tego miasta. Normalnie słońce powinno zająć za parę godzin, ale z zachodu płynęły czarne chmury. Frankie zauważyła, że temperatura i wilgotność powietrza zwiększały się odrobinę z każdym kolejnym postojem na stacji benzynowej. Kiedy wysiadała z samochodu, jej okulary przeciwsłoneczne zachodziły mgłą. Była dopiero w połowie drogi do celu, a zmęczenie już sączyło się do żył.

- Spójrz prawdzie w oczy, Frankie - powiedziała do siebie, przeglądając się w tylnym lusterku. Kiedy niebo pociemniało, zdjęła okulary przeciwsłoneczne i ujrzała swoje podpuchnięte oczy. - Nie masz siły jechać podczas burzy z piorunami.

Posłuchała rady sprzedawcy ze stacji benzynowej na obrzeżach Indianapolis, gdzie pytała o mapy, i zatrzymała się w McDonalddie. Nie jadła niczego prócz jabłka na lotnisku. Na parkingu McDonalda

zatrzymała się pod drzewem, gdzie jedząc, obserwowała wjeżdżające na parking pojazdy. Jeśli człowiek z blizną ją śledzi, zobaczy go pierwsza. Tak przynajmniej sobie mówiła.

Jedzenie nie tylko uspokoiło jej żołądek, ale też odrobinę ją wyciszyło. Dość, żeby sięgnęła po ładowarkę, podpięła swój telefon i włączyła go, odsuwając na bok wyrzuty sumienia. Sprawdziła pozostałą część drogi i zrobiła notatki, zapisując nazwy miast, zjazdów i dzielące je odległości. Miała jechać prosto drogą międzystanową numer 65. Powinna to zapamiętać, a jednak bez GPS-u czuła się bezradna. Przed opuszczeniem parkingu wysłała Hannie SMS-a:

Właśnie minęłam Indianapolis. Jak dotąd bez problemu. XXOO

Teraz Frankie zerknęła na zegarek, ignorując fakt, że to durne urządzenie wciąż pokazywało jej liczbę zrobionych przez nią kroków. Indianapolis było pięć godzin temu. Nic dziwnego, że zgłodniała i czuła się zmęczona.

Zacząła wypatrywać zjazdów z hotelami. Żaden motel, zdecydowała. To musi być miejsce, gdzie od osoby, która ewentualnie ją śledzi, dzielą ją więcej niż jedne drzwi. Hotel może być przy międzystanowej, ale z łatwą drogą ucieczki. I żeby ochrona nie ograniczała się do recepcjonisty. Byłoby miło, gdyby był room service. Kiedy już się tam znajdzie, nie będzie wychodzić na zewnątrz. Gdyby zaś śledzili jej kartę kredytową, to wciąż pamiętała numer karty Gordona.

- Bądź mądra - powiedziała jej Hanna.

Kierując się znakami drogowymi, Frankie wybrała zjazd. Zwolniła, żeby przekonać się, czy ktoś za nią jedzie. Zobaczyła tylko jeden biały samochód, ale gdy ona skręciła w lewo, on pojechał w prawo. Mimo wszystko po krótkim odcinku wróciła na międzystanową, wybrała kolejny zjazd i odetchnęła, widząc, że tym razem nikogo za nią nie ma. Przed sobą w niedalekiej odległości dojrzała znak kierujący do luksusowego hotelu należącego do znanej jej sieci. Pięć pięter, eleganckie lobby, room service, kamery i karty magnetyczne do drzwi. Wszystko, czego potrzebuje dziewczyna, żeby czuć się bezpiecznie i wygodnie. A jednak nerwowo przenosiła wzrok z jednego lusterka na drugie.

Jesteś gdzieś tam, a ja po prostu cię nie widzę?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Południowa Alabama

Pierwszą rzeczą, o którą służby poprosiły Creeda i Grace, było sprawdzenie wraku samochodu. Pojazd został przerzucony przez tornado jakieś półtora kilometra z drogi międzystanowej. Funkcjonariusz policji stanowej i szeryf Norwich prowadzili ich na miejsce. Do wraku można się było dostać tylko na piechotę. Przez większą część drogi woda sięgała im do kostek, więc Creed niósł Grace pod pachą. Na oleistej powierzchni połyskującej odłamkami szkła pływały śmieci. Creed ostrożnie przestępował rozłupane drewno i kawałki metalu. Nawet tak daleko od częściowo zniszczonej stacji benzynowej powietrze było przeniknięte wonią diesla.

Kiedy zbliżali się do celu, Creed dojrzał, że trzy z czterech kół zostały pozbawione opon. Maski i bagażnik sprawiały wrażenie, jakby zgniotła je spłaszczarka przygotowująca auta na złom. Szyby zniknęły, miejscami brakowało też farby. Stając tuż obok wraku, Creed zobaczył, że dach wygląda, jakby chwyciły go ogromne kleszcze, wbijając się w metal.

Choć szli tu przez płynącą wodę, w tym miejscu było sucho. Wysoka trawa wokół wraku zdawała się nietknięta. Creed dokładnie przyjrzał się ziemi, na której miał postawić Grace, i ze zdziwieniem stwierdził, że nie ma tu żadnych blach ani śladu różowej pianki izolacyjnej, a nawet odłamek szkła zaplątanego w trawie. Jakby tornado wessało samochód, przeżuło go i najpierw wypluło gdzieś jego drobne części, a potem porzuciło kadłub. Zdał sobie sprawę, że dotyczy to także pasażerów tego pojazdu.

- Wewnątrz jest ciało - rzekł policjant, jakby czytał w myślach Creeda. Przedstawił się jako Jim Sykes. Był wzrostu Creeda, miał spaloną słońcem twarz i szare oczy, którymi zdawał się nie mrugać, i poruszał się pewnym krokiem. Wszystko to powiedziało Creedowi, że Sykes widział już takie przerażające sceny. - Jest tam wciąż uwięzione.

Creed postawił Grace na ziemi, mocniej ściągając smycz. Miała na sobie kamizelkę, która jej sygnalizowała, że będą szukać ludzi - nie narkotyków, nie ptasiej grypy, nie bakterii *Clostridium difficile*. Choć gdyby Grace wykryła któryś z tych zapachów, mimo wszystko dałaby znak, bo psy wielozadaniowe nie potrafią się powstrzymać. I nie jest to zasługa tresera, a raczej umiejętności psa. Creed wiedział, że jest tylko oparciem dla Grace, chroni ją i dba o jej

bezpieczeństwo, kiedy ona wykonuje swoją pracę. Nigdy wcześniej nie miał takiego psa.

- Na jakiej podstawie sądzi pan, że tam ktoś jest? - spytał, nie spuszczać wzroku z Grace.

Uniosła nos, węszyła, wierciła się. Całą drogę, kiedy ją tu niósł, wąchała powietrze, ale teraz już szukała zapachu. Pewnie chodziło o ciało we wraku. Nawet Creed czuł lekką woń rozkładu, który zaczął się już w tej spiekocie.

Policjant nie odpowiadał, więc Creed podniósł na niego wzrok.

- Ciało jest uwięzione w środku. Na siedzeniu pasażera.

Norwich pochyliła się, żeby zajrzeć do samochodu, po czym gwałtownie się cofnęła i pokręciła głową.

- Widziałam mnóstwo kraks - oświadczyła - ale zawsze jestem w szoku, gdy widzę, co tornado może zrobić z człowiekiem.

Creed przyjrzał się temu dobrze i nawet się nie wzdygnął. Był przygotowany, spodziewał się, że ciało będzie przypominało ofiary wybuchu miny pułapki. Ale ten widok go zaskoczył. Zapięty pas trzymał tego człowieka na siedzeniu. Poduszka powietrzna nie miała szansy napełnić się powietrzem. Mężczyzna był do pasa nagi, został mu tylko skrawek materiału wokół szyi, więc można było zgadnąć, że wcześniej miał na sobie niebieski T-shirt z okrągłym wycięciem pod szyją. Na twarzy i klatce piersiowej miał mnóstwo śmieci. Do jego skóry przyłgnęły liście i igły sosnowe. Odłamki szkła i żwir tkwiły w niej jak odłamki pocisku. W jego włosy zaplątało się coś białego, co wyglądało jak wata. Z uszu i nosa zwisały zaschnięte strumyki krwi.

Na Creedzie zawsze największe wrażenie robiły oczy. Szeroko otwarte, przepełnione w tych ostatnich sekundach szokiem i przerażeniem.

- W kieszeni ma portfel - powiedział Sykes. - Zwykle robimy zdjęcia samej twarzy, żeby rodzinie było łatwiej zidentyfikować ofiarę. Ale jest jeszcze łatwiej, jak mamy prawo jazdy.

- Zrobił pan to już?

- Zrobię, jak skończymy. Albo jak pan nam powie, że skończyliśmy.

Creed zajrzał znów do samochodu. Sykes dodał, jakby po raz kolejny czytał mu w myślach:

- Proszę się nie martwić, zamknę mu oczy.

Grace pociągnęła za smycz. Niecierpliwiła się, że jest ignorowana. Creed spojrział na nią, rozpinając plecak, żeby wyjąć jej zabawkę. Musi nagrodzić psa. Kiedy znajdowali krew czy rozkładającą się materię - nieważne, czy było to dokładnie to, czego szukali - nagradzał swoje psy. To był bodziec, który zachęcał je do

dalszego poszukiwania. Bo pies traktuje to jak zabawę. Jeśli treser chce, żeby pies kontynuował zabawę, ważne, by nie zmieniać reguł.

Wymacał w plecaku nagrodę Grace. Był to różowy gumowy piszczący słonik. Jednak zanim go wyciągnął, zobaczył, że Grace wcale nie wskazuje na ciało w samochodzie. Nie miała czasu na zabawkę i była już zajęta kolejnym zapachem. Chciała iść jego śladem już, teraz.

- Przeszliśmy cały ten teren - powiedział policjant do Creeda, widząc, że Grace znów węszy. - Myśli pan, że coś wyczuła?

- W takich sytuacjach jak ta zapachy są rozproszone.

- Rozproszone?

Creed skupił się na Grace. Poruszała wąsami. Wciągając powietrze i węsząc, przekrzywiła głowę. Słońce prażyło na nich prosto z góry, ogrzewając powietrze i powodując jego unoszenie się, ale zaraz potem wilgoć dodawała mu ciężaru i zatrzymywała jak w pułapce.

Creed podniósł wzrok i zobaczył, że Sykes i Norwich czekają na wyjaśnienia. Zazwyczaj bywał delikatniejszy, ale tu miał do czynienia z dwojgiem doświadczonych funkcjonariuszy.

- W każdym przypadku, kiedy ciało jest ciągnięte po ziemi, ciśnięte na ziemię z góry z dużą siłą czy nawet rozerwane, występuje zjawisko, które nazywamy rozproszeniem zapachu. Pies wyczuwa krew i rozkład, co nie znaczy, że w danym miejscu jest ciało. Tam może być tylko krew. Albo fragmenty ciała.

- Czy coś by jej pomogło, gdybym wskazał, które miejsca już przeczesał?

- Nie, Grace mnie poprowadzi - odparł Creed. - Oczywiście możecie z nami iść, ale proszę, żebyście się trzymali kilka metrów za nami. - Po czym wydał polecenie: - Grace, szukaj - choć nie potrzebowała sygnału.

Była już skoncentrowana na zapachu. Parła naprzód, ciągnąc za sobą Creeda. Okoliczne drzewa były pozbawione nie tylko liści, lecz także kudzu, ale przynajmniej niektóre z nich wciąż stały.

- Powoli, dziewczyno - powiedział Creed.

Słońce prażyło bezlitośnie, nigdzie nie było cienia. Creed bał się, że Grace się przegrzeje. Temperatura przekraczała 30 stopni, wilgotność powietrza sprawiała, że wydawało się jeszcze goręcej. Psy poszukujące podczas pracy robią 140 do 200 wdechów na minutę, podczas gdy pies idący spacerem robi tych wdechów 30. Ale nie chodziło tylko o oddychanie. Grace wciągała powietrze, porządkowała i identyfikowała zapachy. Mogła szybko ulec odwodnieniu, Creed wiedział jednak, że nie zatrzyma się, dopóki nie znajdzie celu. Jego najważniejszym zadaniem było dbanie o to, żeby

pies nie zrobił sobie krzywdy.

Musiał się też upewniać, czy w wysokiej trawie nie kryją się ostre przedmioty. Grace zawsze sprzeciwiała się noszeniu ochronnego obuwia, ale żadne buty nie zapobiegają skaleczeniom spowodowanym odłamkami szkła czy ranom kłutym od wbitych w deski gwoździ. Tornado obracało w proch przedmioty codziennego użytku i rozrzucało je dokoła, tworząc niebezpieczny tor przeszkód. Z tego, co widział Creed, większość śmieci wyplutych przez tornado na to pole utworzyło zbite sterty. A przynajmniej taką miał nadzieję.

Po drodze dostrzegł dziesiątki puszek z wodą sodową, nieotwartych, ale zgniecionych. Były też strzępy materiału i papieru. Dwa razy pochylił się i podniósł fragmenty fotografii. Uśmiechnięte twarze, rodzinne spotkania, rozdanie dyplomów, ślub. Schował je do plecaka.

Sosny stojące w długim rzędzie w odległym końcu pola zostały przewrócone na bok niczym kostki domina i leżały jedna na drugiej. O ile wzrok go nie mylił, drzewa zachowały igły. Gałęzie pozostały nietknięte. Wyglądało to, jakby wiatr nie szarpał nimi, lecz pchnął je delikatnie. To właśnie tam prowadziła ich Grace.

Obejrzał się. Norwich i Sykes szli w ślad za nimi, trzymając się w odpowiedniej odległości. Creed chciał zobaczyć, jak bardzo oddalili się od wraku, w którym brakowało kierowcy. Ocenił odległość na jakieś tysiąc metrów.

Grace utrzymywała równe tempo, lecz jej oddech przyśpieszył. Szła zygzakiem i przemykała między przeszkodami, biegnąc prostopadle do linii przewróconych sosen. Gdy znajdowała jakieś miejsce, które ją zainteresowało, obwąchiwała je i pędziła dalej. Potem zwolniła, musnęła nosem jakieś zarośla i zatrzymała się, żeby obwąchać krzew. Creed chciał, żeby napiła się wody, ale wtedy znów go pociągnęła, kierując się w stronę leżących na ziemi drzew.

Obejrzał się po raz kolejny. Grace odciągała go coraz dalej od wraku i innych rupieci. Wiatr się wzmógł. Creed zdał sobie sprawę, że wieje od strony, gdzie prowadziła ich Grace. To dobrze, a jednak Creed jeszcze nie widział śladów żadnego celu, do którego dążyła. Czy to możliwe, że wyczuła jakieś środki chemiczne czy leki, które umieszcza się w domowej roboty ładunkach wybuchowych? Przy tylu porwanych przez tornado i porozrywanych obiektach, w powietrzu z całą pewnością znajdowało się sporo toksycznych środków chemicznych. Creed ufał Grace, jednak jej zdolność wykrywania rozmaitych zapachów oznaczała, że mogła ich prowadzić w stronę zapachu, którego nie szukali w danym momencie.

Nie wyobrażał sobie, żeby kierowca wraku został przerzucony aż tak daleko, choć zdarzało im się z Grace dokonywać dziwniejszych odkryć. Trudno to wyjaśnić, ale znalezienie ciała – nieważne, w jakim stopniu uszkodzonego – jest tak naprawdę łatwiejsze niż znalezienie zaginionej osoby. Brak odpowiedzi pozostawia pytania. Czyżby coś przeoczył? Czy Grace próbowała mu coś powiedzieć i gdzieś go zaprowadzić, a on mylnie odczytał jej intencje?

Procentowo spora liczba poszukiwanych ofiar nigdy nie została odnaleziona. Oczywiście niektóre znaleziska bywają przerażające. Creed pomyślał o gościu wciąż uwięzionym we wraku samochodu. Kierowca byłby w dużo gorszym stanie. Ale niezależnie od tego, w jak dużo gorszym, odnalezienie ofiary oznacza jednak sukces i kończy poszukiwania.

Wśród przewodników psów poszukujących krąży stare powiedzenie: „Rozpacz należy do rodziny, groza do opiekunów psów poszukujących”.

Otarł pot z czoła grzbietem dłoni.

Ufaj swojemu psu, przypomniał sobie. Grace rzadko się myli.

Zbliżywszy się do drzew i idąc wzdłuż nich, Creed nie mógł się nadziwić. Żadna gałązka, żaden pień nie został złamany. Naprawdę wyglądało to tak, jakby wiatr delikatnie pchnął sosny w dół jedną po drugiej. Z ziemi wystawały nietknięte korzenie.

Grace w podskokach zmierzała do miejsca pośrodku rzędu drzew i wsadziła nos w gęstwinę igieł. Gałęzie leżące na sobie i tworzące gęstwinę nie pozwalały zobaczyć, co znajduje się pod nimi. Grace wyciągnęła nos i potrząsnęła głową, aż igły uleciały w powietrze. Potem odwróciła się i spojrzała na Creeda. Patrzyła mu w oczy ze znajomym napięciem.

Znalazła swój cel i czekała na nagrodę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Laboratorium kryminalistyczne FBI Quantico, Wirginia

Maggie usiadła obok agenta specjalnego Antonia Alonza. To, co nazywał swoim gabinetem, wyglądało raczej na kabinę, gdzie montuje się filmy. Na ścianie naprzeciwko agenta wisiało sześć monitorów, a dzięki obrotowemu krzesłu w każdej chwili mógł się odwrócić do tradycyjnego biurka, zawsze nieskazitelnie czystego i pustego. Maggie za każdym razem zastanawiała się, czy biurko stoi tu tylko na pokaz, żeby goście, którzy przychodzą do niego nieprzygotowani na ten widok, nie czuli się niemile zaskoczeni.

Alonzo patrzył na Maggie, która obok jego pustego kubka po kawie postawiła kubek na wynos ze Starbucksa. Rozpoznał łąpówkę, a mimo to nagroził Maggie jednym ze swoich szerokich uśmiechów.

- Wiesz, że trochę zmienił mi się gust? - spytał, przyciągając kubek i głęboko wciągając płynący z niego zapach.

- Vanti caramel latte - powiedziała. - Z potrójnym espresso.

- I z dodatkowym karmelem?

- Pięć porcji karmelu i jedna mokki.

- Musisz mieć poważną prośbę. - Zdjął z kubka pokrywkę i wypił łyk. - No, to jest naprawdę coś w rodzaju cudu. Mów, pytaj, a otrzymasz odpowiedź.

Choć Alonzo uchodził za czarodzieja od analizy danych, nie przypominał stereotypowego maniaka komputerowego. W biurze, w którym panowały monotonne granatowe, czarne i brązowe garnitury, wyróżniał się jako modniś obeznany w aktualnych trendach. Tego dnia miał na sobie pomarańczową koszulę, która podkreślała jego brązową karnację. Oprawki okularów zawsze pasowały do krawata. Dzisiaj były w kolorze indygo. Miał na sobie spodnie khaki i lśniące brązowe skórzane buty. No i nieźle pachniał. Nie jakąś zwyczajną wodą po goleniu, ale czymś cytrusowym z nutą kokosa.

- Dziś rano w Chicago doszło do dwóch zabójstw - oznajmiła Maggie, otwierając puszkę dietetycznej pepsi. - Zginęli dwaj dwudziestoparoletni mężczyźni. Deacon Kaye został zastrzelony, i wygląda to na egzekucję podczas włamania do jego domu. Drugiego mężczyznę, Tylera Gatesa, zastrzelono na ulicy blisko domu Kaye'a. Być może był to nieudany napad rabunkowy, tyle że w kieszeni Gatesa został portfel. Złodzieje zabrali jego komórkę. Do

obu zabójstw doszło mniej więcej w ciągu godziny.

Alonzo usiadł prosto, popijając kawę, i słuchał jej pilnie. Wiedziała, że jej nie przerwie, dopóki nie skończy.

- Oni się przyjaźnili. Kaye był analitykiem komputerowym średniego szczebla w laboratorium chemicznym, a Gates młodszym przedstawicielem w agencji reklamowej. W zeszłym tygodniu włamali się do skrzynki pocztowej pewnej firmy.

Urwała i czekała, pozwalając mu to wszystko przetrawić.

Alonzo pochylił się lekko i zadał pierwsze pytanie:

- Kontrahent z branży wojskowej?

- Nie, to firma produkująca płatki śniadaniowe.

- Płatki? Jak Fruit Loopes i Cheerios?

- Akurat nie te dwa rodzaje, ale tak, płatki i batony śniadaniowe.

To firma spożywcza o nazwie Carson Foods.

- Skąd wiesz, że włamali się do ich komputerów?

- Pewna kobieta, Francine Russo, pracowała z Tylerem Gatesem w tej samej agencji reklamowej. Razem przygotowywali kampanię reklamową najnowszych organicznych batonów śniadaniowych Carson Foods. Gates postanowił sprawdzić, czy podejrzenia, że batony zawierają glifosat, są słuszne.

- Glifosat? To jakiś środek chwastobójczy?

- Zabija chwasty albo reguluje wzrost roślin. Czasami używa się go jako środka osuszającego.

- Ale jest toksyczny? - spytał Alonzo.

- Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku jest rejestrowany jako pestycyd. Według Agencji Ochrony Środowiska nie stanowi zagrożenia dla ludzkiego zdrowia, jeśli stosuje się go zgodnie ze wskazówkami na etykiecie. I nie jest rakotwórczy. To cytat.

- Rozumiem. - Alonzo odstawił kawę i złączył opuszki palców.

- Ale Światowa Organizacja Zdrowia i najnowsze badania wskazują, że zwiększa ryzyko zachorowania na raka.

- Aha, rozumiem - powiedział znów Alonzo. - I ten komputerowiec, kumpel Tylera, zbadał baton w laboratorium chemicznym i wyszło na to, że faktycznie zawiera niepokojącą ilość wstrętnego pestycydu.

- Tak. Russo prowadziła z Tylerem wideorozmowę, kiedy Tyler został zastrzelony.

Alonzo gwizdnął i postukał opuszkami palców jednej ręki o drugą.

- Nie podoba mi się, dokąd to prowadzi. Czego ode mnie potrzebujesz?

Maggie zawdzięczała już agentowi Alonzo materiały, które wydawały się nie do zdobycia, począwszy od satelitarnych zdjęć

miejsca, gdzie morderca grzebał swoje ofiary, aż do nagrań z kamer ochrony na parkingu WalMartu na Środkowym Zachodzie. Alonzo potrafił dotrzeć do najdrobniejszych dowodów, sprawdzić je w bazie danych i określić ich znaczenie. Był prawą ręką Maggie przy kilku prowadzonych przez nią sprawach, pozyskiwał istotne wiadomości w nadzwyczaj krótkim czasie. W jednym przypadku zdobył informację decydującą o czyimś życiu lub śmierci. Nie polegał wyłącznie na komputerach i bazach danych. Ten człowiek był chodzącą encyklopedią faktów i ciekawostek.

Maggie podała mu nazwiska trzech zaangażowanych w sprawę osób: Francine Russo, Tylera Gatesa i Deacona Kaye'a, szczegóły, którymi była w stanie podzielić się z nią Hanna, a także informacje od detektyw Jacks.

- Wszystko, co znajdziesz na temat Carson Foods i prezesa firmy, może okazać się pomocne - dodała.

- Przypominam sobie jakiś pozew dotyczący glifosatu. Założyłbym się jednak, że nie dotyczyło to żadnej firmy spożywczej.

- A jeśli mimo wszystko jest jakiś związek? Myślisz, że może chodzić o powstrzymanie ewentualnych pozwów?

- Trudno to wykluczyć. - Wzruszył ramionami. - Oboje wiemy, że ludzie zabijają z bardziej błahych powodów. - Zaczął już coś notować w swoim żółtym notatniku. - To ma więcej sensu, niż gdyby chodziło o same płatki.

- Batony śniadaniowe - poprawiła go.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej.

- Racja. To wielka różnica. - Postukał piórem w notes. - Powiedziałas, że morderca zabrał telefon Tylera Gatesa?

- Nie znaleziono go na miejscu zbrodni ani przy ofierze - odparła Maggie. - To ważne?

- Człowiek ma w telefonie masę informacji.

- Ale musiałyby znać kod dostępu Gatesa.

- Mówiłaś, że Gates prowadził wideorozmowę, kiedy spotkał tych gości. Nie potrzebowali kodu dostępu. Poza tym wielu ludzi nie zawraca sobie nim głowy, przecież żyjemy w świecie natychmiastowego dostępu. Wszyscy chcą być stale dostępni i podłączeni. Aktywują „zapamiętaj to”. Kto się wylogowuje z mediów społecznościowych, z Facebooka, Twittera, Instagrama? Czy choćby z konta na Amazonie lub poczty? Wiele osób tego nie robi, żeby mieć szybki dostęp. Kto ma czas na wpisywanie hasła za każdym razem? Aplikacje i konta nie przypominają nam, żebyśmy się wylogowali. Chcą, żebyśmy cały czas byli połączeni. Zauważyłaś, że nawet utrudniają wylogowanie się?

- Czyli osoba, która kradnie cudzy telefon, ma natychmiastowy

dostęp?

- Tak, a pomyśl o wszystkich tych rzeczach, do których wykorzystujemy telefony. E-recepty do wielokrotnego użycia. Wystarczy, że zeskanujesz kod kreskowy. To samo z czekami. Bank pozwala ci zeskanować kod i widzisz sumę na swoim rachunku. Jeśli ktoś zostawi taką aplikację otwartą i nie wyloguje się, wtedy każdy, w czyje ręce wpadnie jego telefon, ma natychmiastowy dostęp do tych rachunków. Nie tylko do mejli i wiadomości tekstowych, lecz także do danych rodziny i przyjaciół. Prawdę mówiąc, mordercy mogli wysłać mejle czy SMS-y do znajomych Gatesa, zanim znaleziono go martwego. Zwłaszcza jeśli wciąż czegoś szukają, na przykład z kim Gates mógł się podzielić informacją z tych zhakowanych mejli.

- To się wydaje niezbyt grzeczne.

Alonzo rzucił jej specyficzne spojrzenie.

- To ci dopiero nowina. Nieuprzejmy morderca. Hej, nie przypuszczam, żebyś mogła dla mnie zdobyć kopie tych mejli, które zhakowali?

- Na razie nie. Russo powiedziała, że Tyler miał wysłać jej kopie. Mam nadzieję, że jutro z nią porozmawiam. Jeśli coś dostała, zobaczę, czy będę mogła ci to przesłać.

- Byłoby lepiej, gdybyś dała mi jej adres mejlowy i hasło.

Maggie wciąż czekała na wiadomość od Hanny, czy Francine Russo zgodziła się z nią spotkać. Albo czy w ogóle będzie miała taką możliwość. Dwaj młodzi mężczyźni zginęli w ciągu godziny. Ktoś musiał to zorganizować. Cokolwiek Tyler Gates i Deacon Kaye znaleźli, wystarczyło, żeby ich zabić. Jeśli Alonzo miał rację, zabójcy dysponowali mnóstwem informacji na temat Russo. Prawdopodobnie wcale nie wpadła w paranoję, gdy twierdziła, że będzie ich następnym celem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Południowa Alabama

Creed grzebał po omacku w małym plecaku. Gałęzie sosen przesłaniały mu widok. Kiedy wreszcie wyciągnął różowego słonika, Grace przestała się nim interesować. Zamiast tego podskakiwała obok wskazanego przez siebie miejsca. Bardziej niż na słoniku zależało jej, żeby Creed zobaczył, co takiego znalazła.

Obejrzał się przez ramię. Norwich i Sykes zatrzymali się jakieś dziesięć metrów za nimi. Creed zgadywał, że od wraku samochodu dzieli ich co najmniej kilometr. Zawahał się pod wpływem nagłego lęku. Widział ciała w różnym stopniu rozkładu. Śmierć nie jest łaskawa, ale zapachy, które temu towarzyszą, rzadko mu przeszkadzały. W Afganistanie widział ciała tak spalone, że nie można było ich rozpoznać, a także rozerwane przez ładunki wybuchowe. Jednak nigdy dotąd nie miał do czynienia z ciałem w zmiądzonym wraku samochodu. A to ciało otaczały i chroniły tony stali. Nie wyobrażał sobie, co mogło się stać z człowiekiem porwanym przez tornado i z ogromną siłą rzuconym znów na ziemię kilometr dalej.

- Znalazła kierowcę? - zawołał Sykes.

- Jeszcze nie wiem - odparł Creed.

Grace nie spuszczała z niego wzroku, choć wciąż krążyła. Od czasu do czasu odwracała głowę w stronę przewróconych sosen, jakby nie mogła uwierzyć, że Creed jest aż tak powolny.

- Dobra dziewczyna, dobra Grace - pochwalił ją, chowając zabawkę do plecaka.

Coraz bardziej zniecierpliwiona suczka wsadziła nos w przestrzeń między gałęziami. Creed uklęknął i wyciągnął szyję, żeby zajrzeć pod pełne igieł gałęzie, ale było za ciemno. Wyjął z plecaka latarkę i poświecił między gałęziami, tam gdzie Grace wsadziła nos. Kiedy wciąż nic nie widział, rozsunął gałęzie rękami, a potem łokciami, i podczołgał się dalej, choć drobne gałązki uderzały go w twarz, a igły wbijały się w rękę.

W końcu dojrzał coś, co wyglądało jak tył oparcia samochodowego fotela. Leżał na boku, był zabłocony i oblepiony sosnowymi igłami. Potem zdał sobie sprawę, że to coś jest za małe na normalny fotel samochodowy. Uniósł się i cofnął gwałtownie, tracąc równowagę. Poleciał do tyłu, wypadając spomiędzy gałęzi i lądując na siedzeniu.

- Co to jest? - Szeryf Norwich była tuż za nim.

Sykes wyciągnął do Creeda rękę. Grace uderzała go łapą i lizała

po twarzy. Creed pomachał do Sykesa, że da sobie radę, poklepał Grace, a potem wstał i oznajmił:

- Myślę, że to fotel samochodowy. - Gdy Sykes zdjął kapelusz i podrapał się po głowie, patrząc w stronę wraku, dodał: - Nie z tego samochodu. To dziecięcy fotelik.

- O mój Boże - cicho powiedziała Norwich.

Creed brał już udział w poszukiwaniu zaginionych dzieci. Za każdym razem, gdy znajdowano martwe ciało, zapadała upiorna cisza, która obezwładniała nawet najbardziej doświadczonych funkcjonariuszy. Teraz wszyscy troje stali nieruchomo. Ale nagle Creed zwrócił uwagę na Grace. Nadal kręciła się w tę i z powrotem, zniecierpliwiona przekrzywiała głowę i popatrywała w stronę fotelika.

Dla psów poszukujących śmierć to gra. Znalezieniu ciała nie towarzyszą żadne emocje, z tym że na psa mogą wpłynąć nastrój i nastawienie jego opiekuna. Dlatego Creed wpajał nowym opiekunom psów, żeby nigdy nie okazywali zniechęcenia. Ale ból i żal trudniej było ukryć.

Grace, jakby miała dość czekania na swojego partnera, wsadziła całą głowę między gałęzie. Creed wytarł ręce z ziemi i sięgnął po latarkę, którą upuścił na ziemię. Kiedy znów podniósł wzrok, Grace zniknęła między gałęziami.

- Grace, wróć! - zawołał, a potem powiedział do Norwich i Sykesa: - Ona zwykle zabiera swoją zabawkę. Nie wiem...

Przerwał mu jakiś zduszony dźwięk, a zaraz za nim jakby skomlenie.

Creed natychmiast zanurkował między gałęzie. Zaczął się czołgać, przepychał się naprzód, ignorując zadrapania i ukłucia. Nie zatrzymywał się, dopóki nie dotarł do samochodowego fotelika. Miał przed sobą zabłocony skórzany tył fotelika, ale wiedział, że Grace jest już z drugiej strony. Widział tylko czubek jej ogona, machającego ogona.

Zza pleców i gdzieś z góry słyszał Norwich i Sykesa, którzy usiłowali podnieść i połamać gałęzie. Uniósł się na łokciach i wyciągnął rękę, aż mógł sięgnąć drugiej strony fotelika. Cienki promień słońca pozwolił mu zobaczyć przypięte do fotelika dziecko. Całe było pokryte błotem. Grace wylizała mu do czysta oczy, nos i usta, a teraz przeniosła się do lewego ucha. Dziecko nie płakało, tylko pojękiwało, pociągało nosem, kopało nóżkami i machało drobnymi rączkami. Chwytało i ciągnęło Grace, ale ona to tolerowała i nie przestawała go lizać.

Creed wyciągnął fotelik z dzieckiem spod powalonych na ziemię sosen. Własnym ciałem chronił maleństwo przed uderzeniami gałęzi

i sosnowymi igłami. Na plecach czuł ukłucia, gałęzie boleśnie ocierały się o jego ramiona, szyszki wbijały się w kolana. Kiedy wydostał się z gęstwiny, dziecko płakało, a ten płacz przypominał krzyk. Grace podskakiwała obok, rozpaczliwie pragnęła je uspokoić.

Szeryf Norwich i funkcjonariusz Sykes czekali gotowi do pomocy, ale malutkie rączki kurczowo zaciskały się na T-shircie Creeda. Zamiast próbować się od nich uwolnić, Creed poprosił Sykesa, żeby odpiął pasy fotelika. Dziecko jeszcze mocniej trzymało się jego T-shirtu, wtulając zabłoconą główkę w jego pierś.

Z twarzy Creeda kapwały krople potu, ale nie wycierał ich, tylko obiema rękami trzymał dziecko. Oparł brodę na sklejonych i potarganych włosach. Wciąż czuł ukłucia drobnych gałązek i igieł. Kiedy pasy fotelika opadły, wziął dziecko w ramiona. Potem przyklęknął, żeby Grace przestała skakać mu po nogach. Jej mokry nos i język niemal natychmiast uspokoiły dziecko.

Creed zza pleców usłyszał ciche słowa Norwich:

- Mój Boże... Jak to możliwe?

- Możecie sprawdzić, czy nie ma jakichś obrażeń? - poprosił Creed.

Podniósł wzrok na funkcjonariuszy, którzy wydawali się sparaliżowani tym odkryciem. Nie chciał rozstawać się z dzieckiem, żeby znów nie zaczęło płakać. Usiadł i przesuwając palcami wzdłuż małych rączek i nóżek.

Sykes uklęknął obok niego. Zaczął od główki dziecka, delikatnie dotykał sklejonych, miękkich i falujących włosów.

Grace oparła łapy na udzie Creeda, by nadzorować obu mężczyzn. Dyszała, język zwisał jej bokiem.

Creed spojrzał na Norwich i powiedział:

- Mogłaby pani podać nam trochę wody? - Wskazał na swój mały plecak.

Norwich, jakby nagle się przebudziła, rzuciła się do działania.

- Oczywiście.

Przez moment zmagala się z suwakiem. Creed czuł na plecach jej szukające po omacku ręce. Dopiero w tym momencie uprzytomnił sobie, w jakie osłupienie wprawilo ją odkrycie suczki.

- Jest tam też składana miska Grace.

Kiedy Sykes ostrożnie i nieśpiesznie kontynuował badanie dziecka, Norwich otworzyła butelkę i nalała wodę do miski. W pierwszej chwili Grace nie chciała opuścić swojego stanowiska, ale ostatecznie pragnienie zwyciężyło. Norwich podsunęła jej miskę, a Grace zaczęła chleptać. Dziecko odsunęło się od Creeda, żeby się temu przyjrzeć.

- Chcesz też trochę? - spytał. - Chce ci się pić?

Po raz pierwszy dziecko spojrzało w oczy Creeda, a on ucieszył się, widząc, że patrzy ze skupieniem i zainteresowaniem. Zauważył też, że w uszach ma wciąż pełno błota. Grace nie miała szansy wyczyścić ich do czysta. Delikatnie wyjął z jednego ucha grudkę brudu.

- Chcesz pić? - spytał znów i tym razem dziecko zareagowało gwałtownie na jego głos.

Norwich przykucnęła obok nich z butelką wody, nadal pełna wahania, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Świetnie pan sobie radzi z dziećmi - powiedziała.

Creed ugryzł się w język, bo już chciał jej powiedzieć, że między dziećmi a szczeniakami nie ma wielkiej różnicy. Nie każdemu spodobałoby się takie porównanie.

Norwich niezdarnie przystawiła butelkę do warg dziecka, po raz kolejny pokazując, jak niekomfortowo się czuje. Przechyliła ją tyle tylko, by malec wypił mały łyk. Potem to powtórzyła. I tak Grace i niemowlak opróżnili butelkę. Wreszcie pies szturchnął nosem panią szeryf, żeby się wycofała.

- Okej, okej, już sobie idę - powiedziała Norwich do Grace. Zażartowała, że musi ustąpić miejsce psu, ale Creed widział, że była z tego zadowolona.

- Jak pan sądzi, ile ma? - Creed zwrócił się do Sykesa, który stanął naprzeciw niego. Inaczej niż Norwich, czuł się już dość swobodnie.

- Nie ma jeszcze roku. - Funkcjonariusz Sykes lekko przesunął dłonie wzdłuż nóg dziecka, żeby się przekonać, czy pod warstwą błota nie ma złamań lub innych urazów. - Moim zdaniem dziesięć, jedenaście miesięcy. Wezwałem pomoc - rzekł cichym, spokojnym głosem. - Ratownicy już jadą. Wracają do nas. Będą mieli kroplówkę, chociaż on nie wygląda na odwodnionego. Dobrze, że trochę wypił.

- Sosny zapewniły mu schronienie i cień. - Creed rozejrzał się, szukając wzrokiem Norwich, i zobaczył, że ogląda fotelik samochodowy. - Zupełnie jakby się przewróciły po tym, jak fotelik tu wylądował. - Wiedział, że kiedy później opowie tę historię Hannie, ona uzna to za cud. I trudno się z nią nie zgodzić. - Moment, powiedział pan on. To chłopiec?

- Tak, chłopiec. - Sykes usiadł na piętach i odwrócił głowę. - I ma pełną pieluchę.

- Tak, pańska pielucha też byłaby pełna, gdyby przeleciał pan kilometr w foteliku samochodowym.

Sykes zaśmiał się, a chłopczyk przeniósł uwagę z Creeda i Grace na źródło nowego dźwięku.

- Znalazłam coś! - zawołała Norwich. Pocierała górną część fotelika, ręce miała ubłocone. - Tu jest naklejka z nazwiskiem i adresem. Pewnie zabierają ze sobą fotelik do samolotu.

- Czyli wiemy, czyj to dzieciak. Jeden problem mniej - stwierdził Sykes.

- Poza tym, że być może tylko on przeżył - odparła Norwich.

A Creed po raz kolejny przypomniał sobie, że jeszcze nie znaleźli z Grace kierowcy samochodu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Nashville, Tennessee

- Dziewczyno, najwyższa pora, żebyś zadzwoniła.

Frankie z uśmiechem wysłuchiwała dobrodusznym połajank przyjaciółki. Oczywiście ulżyło jej, kiedy znalazła się w hotelowym pokoju na trzecim piętrze. Nie przejmowała się nawet tym, że być może jest to fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Tak dobrze było znaleźć się we wnętrzu, z dala od międzystanowej, gdzie w każdej sekundzie czuła się jak na celowniku. Zrzuciła buty i zamówiła room service. Jedzenie na pocieszenie. Same ulubione smakołyki.

Teraz siedziała na brzegu łóżka, skąd miała widok na jedyny wjazd na hotelowy parking. Deszcz walił o szyby, błyskawica przecięła niebo. Frankie cieszyła się, że postanowiła zjechać z drogi i gdzieś się zatrzymać.

- Jestem w Nashville - poinformowała Hannę. - Zapomniałam już, jaka to długa podróż z Chicago do Panhandle.

- Jeszcze dłuższa, kiedy jedziesz sama.

- Święta racja.

- Czujesz się bezpiecznie w tym hotelu? - z troską spytała Hanna.

Frankie odparła po chwili wahania:

- Tak. - Przekazała przyjaciółce szczegóły, które zadecydowały o jej wyborze, i powiedziała, jakie środki ostrożności podjęła. - Przez cały dzień nie czułam się bezpieczniej. Zwłaszcza ze względu na te burze.

- Obawiam się, że przez cały weekend będziesz przed nimi uciekać. A teraz słuchaj, zanim tutaj dotrzesz, moja przyjaciółka z FBI chciałaby się z tobą spotkać. Dałabyś radę być w Montgomery jutro koło pierwszej?

- Jasne. - Frankie sięgnęła po notatki i sprawdziła trasę. - To cztery godziny od Nashville. Powinam dać radę.

- Próbuję znaleźć takie dwie godzinki, które by pasowały wam obu. Maggie leci do Atlanty, czyli do Montgomery będzie miała dwie godziny jazdy samochodem. Gdyby musiała przyjechać do Panhandle, zajęłoby jej to dwa razy tyle. Możecie zjeść razem lunch, wtedy będziesz miała dość czasu, żeby dotrzeć do nas za dnia. Przygotuję ci pokój.

- Hanno, jesteś pewna? Dużo o tym myślałam. Nie chcę narażać cię na żadne ryzyko, ciebie i twoich chłopców oczywiście.

- Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy? Dziewczyno, świetnie sobie poradzimy.

A jednak w głosie Hanny Frankie słyszała coś znajomego. Przyjaciółka wcale nie czuła się tak pewnie, jak można by sądzić z jej słów.

- Pamiętasz restaurację po naszej stronie Montgomery? Niebiańskie Smaki? - spytała Hanna.

- Oczywiście, twoi dziadkowie nas tam zabierali. Panna Opal przynosiła nam dodatkowe ciasteczka. Nie wierzę, że wciąż istnieje.

- Panna Opal zmarła przed paroma laty, ale nowi właściciele nic tam nie zmienili. Koniecznie przywieź do domu trochę tych ciasteczek.

Frankie świetnie wiedziała, co robi Hanna. Próbowwała udawać, że wszystko jest dobrze i normalnie. Nie powstrzymała jej.

- Powiedziałaś Maggie, że tam się spotkacie - podjęła Hanna. - O pierwszej. O tej porze mogą akurat sprzątać, ale w sobotę? Kto wie? Ona nazywa się Maggie O'Dell. Na pewno ją rozpoznasz. Będzie tam jedyną Jankeską.

Hanna zaśmiała się, tym razem szczerze. Frankie pamiętała tę melodię jej śmiechu. Uśmiechnęła się. Nie było jej na Południu niemal tyle lat, ile tam wcześniej mieszkała, ale wydawało się, że fakt, iż człowiek tam się urodził, naznacza go na całe życie. A Hanna miała rację. Frankie z pewnością rozpozna agentkę FBI wśród codziennych gości restauracji, którzy wpadają na lunch.

- Wiem, że nie mogłaś sprawdzić poczty - podjęła Hanna, znów poważniejąc. - Mówiłaś, że Tyler obiecał ci coś wysłać. Zgadza się?

- Tak, to prawda. Jeszcze na niego nawrzeszczałam z tego powodu. - Nie mogła teraz o tym myśleć. - Niczego od niego nie dostałam. Mój zegarek powiadamia mnie o nowych mejlach. Chyba że zostało to uznane za spam.

- Mogłabyś podać mi swój adres mejlowy i hasło? Maggie twierdzi, że byłoby dobrze, gdyby jej analityk komputerowy na to spojrział.

- Okej. - Frankie przekazała Hannie informacje. - Więc rozumiem, że skoro zgodziła się ze mną spotkać, nie uważa mnie za wariatkę.

- Nie, nie uważa. Maggie rozmawiała z detektyw z Chicago. Frankie, to poważna sprawa - oznajmiła Hanna głosem pełnym troski. - Nie wiem, jak to powiedzieć, bo każdy sposób jest zły, ale Tyler został postrzelony. To się stało niedaleko domu jego przyjaciela.

- O mój Boże! Jak on się czuje? - Ale Frankie już знаła odpowiedź.

- Przykro mi, kochanie, on nie żyje.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Panhandle, Floryda

Brodie nie chciała przerywać Hannie rozmowy telefonicznej. Hanna poprosiła ją gestem, żeby weszła do kuchni, a potem wskazała świeżo upieczone ciasteczka. To ten zapach ściągnął Brodie z góry. Wciąż nie mogła przywyknąć do takich rzeczy. Nie tylko ciastek prosto z pieca, teraz ułożonych na blacie, lecz także tego, że jeśli ma się na nie ochotę, po prostu je się bierze.

- Postaraj się wyspać, kochanie - powiedziała Hanna do telefonu.

Brodie zauważyła, że Hanna do kilku osób zwraca się „kochanie”, ale do niej zwykła mówić „Kwiatuszkę”.

- Do zobaczenia jutro. - Rozłączywszy się, Hanna spojrzała na Brodie. - Nie wiem jak ty, ale ja wypiję szklanekę mleka i zjem ciasteczko. Dołączysz do mnie? - Gdy Brodie kiwnęła głową, dodała: - No to weź dwa małe talerzyki, a ja wezmę mleko.

Brodie umyła ręce nad zlewem. Bywały takie dni, kiedy zastanawiała się, czy kiedykolwiek poczuje się dość czysta. Na szczęście nikt jej z tego powodu nie dokuczał, poza Thomasem, młodszym synem Hanny, który robił to tylko dlatego, że nie chciał, by ktoś od niego oczekiwał, że będzie mył ręce.

Ciasteczka były wciąż ciepłe, czekolada kleista, a brzegi chrupiące.

- To była twoja przyjaciółka Frankie? - spytała Brodie.

Hanna przytaknęła.

Podczas kolacji opowiadała Brodie o przyjaciółce z dzieciństwa, która znalazła się w jakimś kłopotcie i prawdopodobnie pomieszka u nich parę dni. Isaac i Thomas nazywali ją ciocią Frankie i byli podekscytowani, natomiast Hanna martwiła się, jak zareaguje Brodie.

To kolejna rzecz, do której Brodie nie przywykła, to znaczy nie przywykła do ludzi, którzy pytają ją o zdanie i dla których jej zdanie jest ważne. Najpierw Ryder spytał ją, czy nie ma nic przeciw jego wyjazdowi, a teraz to. Brodie wolałaby, żeby się nią tak bardzo nie przejmowali. Nie chciała być ciężarem.

Przypomniał jej się dzień przyjazdu do domu brata. Podczas lunchu wszyscy rozmawiali, zadawali jej uprzejme pytania, ale przede wszystkim po prostu prowadzili rozmowę. W pewnym momencie Brodie zdała sobie sprawę, że zamilkli, patrząc na jej talerz. Rozłożyła swoją kanapkę, osobno odłożyła chleb, pomidora, sałatę, ser i indyka. Potem uważnie położyła je z powrotem na

kromkę chleba i zaczęła odrywać kawałki wielkości kęsa. W pierwszej chwili pomyślała, że może nie powinna robić tego palcami. Czy dlatego tak się na nią gapią? Ale przecież wszyscy trzymali swoje kanapki w ręce.

W końcu to Hanna spytała ją, czy wszystko jest w porządku.

- Może wolałabyś coś innego? - zaproponowała.

Brodie nie wyobrażała sobie nic bardziej smacznego niż ta kanapka. Chleb był świeży, nie widziała w nim zielonej pleśni ani śladów robactwa, a do tego w kanapce był też majonez. Iris często ukrywała leki w jedzeniu, czasami przemycała je w tym, co Brodie lubiała najbardziej. A potem fatalnie się czuła po tych tabletkach. Nie dość, że kręciło jej się w głowie, jakby była pijana, to jeszcze miała wrażenie, jakby jej ciało odłączyło się od umysłu.

- Przepraszam - powiedziała w końcu, gdy stwierdziła, że nigdy nie będzie potrafiła tego wyjaśnić. Jej palce znieruchomiały. Wlepiła wzrok w swój talerz, czując rumieniec zażenowania. Zaraz potem usłyszała śmiech i miała chęć schować się pod stołem.

- No, wygląda na to, że zapoczątkowałaś nowy zwyczaj - powiedział Ryder.

Kiedy Brodie podniosła wzrok, zobaczyła, że Isaac i Thomas zaczęli dzielić kanapki na mniejsze kawałki, które wkładali do ust. Dopiero po chwili dotarło do niej, że chłopcy wcale z niej nie kpią. Nowy sposób jedzenia lunchu sprawiał im widoczną przyjemność.

Brodie miała świadomość, że w ciągu tygodni, które minęły od tamtego czasu, w pewnym sensie stała się bohaterem - dziwnym, niekonwencjonalnym bohaterem - dla synów Hanny. I nie chodziło tylko o to, że dostali pozwolenie na łamanie chleba i jedzenie palcami. Były też inne historie. Dwa dni temu własną ręką zabiła pajaka na ścianie ich sypialni.

Chłopcom szczeka opadła, wytrzeszczyli oczy, a Brodie natychmiast zapytała:

- Co? Był jadowity?

Choć w sumie doskonale wiedziała, że nie był. Dorastała na Południu, znała na pamięć wszystkie jadowite pajaki oraz węże. Przydało jej się to, kiedy ją zamykano i więziono w wolno stojących szopach, a później w piwnicy.

Była w tym ironia, że Isaac i Thomas uznali ją za bohaterkę. Nie mieli pojęcia, jak bardzo Brodie na nich polegała. Jednej z pierwszych lekcji dobrych manier udzielił jej właśnie Issac. Kopnął ją pod stołem, kiedy nie poszła za jego przykładem i nie powiedziała „Dziękuję”. Brodie musiała przyznać, choć niechętnie, że najlepiej czuje się w towarzystwie chłopców. Nie traktowali jej jak kogoś, kto może się rozpaść na tysiące maleńkich kawałków. Chociaż

skończyła dwadzieścia siedem lat, miała świadomość, że jej umysł i manieri były bliższe poziomowi synów Hanny niż jej rówieśników.

Teraz, gdy siedziała naprzeciw Hanny przy stole, widziała, że ona wciąż martwi się o przyjaciółkę. Słyszała więcej z ich rozmowy, niż była gotowa przyznać, ale pragnęła jakoś poprawić humor Hannie, która tak bardzo się starała, żeby ona czuła się tu jak w domu.

- Pieczesz najlepsze ciastka - powiedziała.

- Dziękuję, Kwiatuszk. To także ulubione ciastka twojego brata.

- Odzywał się do ciebie?

- Wcześniej, teraz nie. W wiadomościach pokazywali, jakie tam są straszne zniszczenia. Dobry Boże, to cud prawdziwy, że więcej ludzi nie zginęło.

- Ryder i Grace są bohaterami, prawda?

- Grace jest naprawdę wyjątkowym małym psem. A twój brat... cóż, bez dwóch zdań ma rękę do psów. Zna się na nich lepiej niż na ludziach. I czuje się z nimi zdecydowanie lepiej niż z ludźmi.

- Jason mówi, że psy są bardziej godne zaufania niż ludzie.

Hanna spojrzała na nią, jakby się nad czymś zastanawiała, a potem powiedziała:

- Tak, pewnie ma rację.

- Czy Jason i Scout też pojechali?

- Tak, Kwiatuszk. Zostałyśmy same z chłopcami. - Hanna urwała, po czym dodała: - Do jutra, kiedy przyjedzie twoja mama.

Brodie wyjrzała przez okno, czując na sobie wzrok Hanny. Nie chciała myśleć o matce. Ta myśl budziła w niej nudności. Przypominała jej wszystkie kłamstwa, które usłyszała od Iris Malone. Przez lata Brodie nie miała pojęcia, że to kłamstwa. I wciąż, z jakiegoś powodu, nie była w stanie powstrzymać tej fizycznej reakcji swojego ciała.

Na zewnątrz ciemne chmury przesłoniły zachodzące słońce. Brodie zauważyła, że zbierają się z tej samej strony co rano. Czyli z tej strony, w którą udali się Creed i Jason.

- Będą bezpieczni?

Spodziewała się, że Hanna ją uspokoi, ale już była spięta i zatroskana o swoją przyjaciółkę, więc Brodie nie powinna się dziwić, kiedy Hanna odpowiedziała:

- Modłę się do Boga, żeby byli.

Coś w tonie Hanny obudziło w niej niepokój. Jej puls mocno przyspieszył. Rozglądała się nerwowo po kuchni. Zdała sobie sprawę, że nie wie, gdzie jest Kotka. Jak mogła stracić ją z oczu?

- Jest tutaj - odezwała się Hanna, która od razu wiedziała, czego szuka Brodie. Podniosła futrzaną kulkę spod stołu i posadziła na jej kolanach. - Zastanawiałaś się nad imieniem?

- Imieniem? - Brodie głaskała miękkie futro, szukając w nim ukojenia. Na początku, kiedy znalazła kotkę, wpadała w panikę za każdym razem, gdy znikająca jej z oczu. Nigdy nie miała nikogo, kogo by tak kochała, więc sama myśl o tym, że mogłaby ją stracić, była niczym bolesny cios w brzuch.

- Myślę, że zasługuje na lepsze imię niż Kotka - powiedziała Hanna.

Brodie starała się pozbyć napięcia, które usztywniło jej ramiona. Imię Kotka było w porządku. Z nią było wszystko w porządku. Znajdowała się w ciepłym bezpiecznym domu, jadła ciasteczka w towarzystwie godnej zaufania kobiety, która na pewno jej nie skrzywdzi.

- Jak wymyśliliście imię Grace? - spytała.

- To było proste. - Hanna machnęła ręką, jakby oganiała się od muchy. - Kiedy Ryder ją znalazł, była wychudzona, skóra i kości. Biedactwo wyglądała, jakby była bita. Jak ją pierwszy raz zobaczyłam, powiedziałam Ryderowi, że ten pies żyje tylko dzięki cudownej łasce. Znasz taką pieśń *Amazing Grace*? Niemal od razu zaczęliśmy ją wołać Grace. Co ci pierwsze przyszło do głowy, jak zobaczyłaś kotkę?

- Ucieszyłam się, że to nie szczur.

Hanna patrzyła na nią przez moment, a potem parsknęła śmiechem. Brodie przyłapała się na tym, że też się uśmiecha. Uwielbiała dźwięk śmiechu Hanny. Jakby słuchała muzyki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Południowa Alabama

Creed odetchnął z ulgą na widok SUV-a Jasona, który właśnie omijał barykady.

Dwaj wolontariusze i jeden funkcjonariusz zabrali małego Garnera. Na foteliku samochodowym dziecka widniały imiona Michael i Elizabeth oraz nazwisko Garner, a także ich adres w Richmond w stanie Wirginia. Sykes potwierdził, że prawo jazdy, które znaleźli przy pasażerze wraku samochodu, zostało wystawione na Michaela Garnera. W tym momencie mogli tylko zakładać, że za kierownicą siedziała Elizabeth.

Grace poddała wolontariuszy dokładnej inspekcji, zanim była wystarczająco usatysfakcjonowana, by przekazać im dziecko. Od tamtej chwili Creed i Grace chodzili po polu, jako punkt startu obierając zgnieciony samochód i poruszając się w promieniu około trzystu metrów. Ale najpierw dwukrotnie przeszli wzdłuż linii powalonych sosen.

Grace stwarzała pozory, że pracuje, jednak nie wykryła żadnego nowego zapachu. Creed obawiał się, że za bardzo się przegrzała i zbyt podekscytowała płaczącym dzieckiem. W takim upale i przy takiej wilgotności powietrza zawsze bacznie obserwował swoje psy. Pozwalał Grace szukać przez dwadzieścia minut, po których musiała odpoczywać pół godziny. Zwykle denerwowała się przerwami, lecz tym razem wydawała się znużona.

Zaprowadził ją w miejsce, gdzie rosła trawa i nie wały się żadne rupiecie, i wyjął miskę do wody. Grace leniwie usiadła i patrzyła ponad jego ramieniem. Była rozkojarzona, wciągała powietrze, potem znów wstała. Creed widział, że jest pobudzona.

Obejrzał się przez ramię i zobaczył powód jej zaniepokojenia.

Grace czuła zbliżającą się burzę.

Różne typy pogody mają swoje charakterystyczne zapachy, a Grace była niczym psi barometr. Nie bała się tak jak inne psy z ośrodka Creeda, za to wraz ze spadkiem ciśnienia robiła się niespokojna, potrafiła wyczuć każdą zmianę w statycznym polu elektrycznym. Na podstawie pozycji jej ogona i opuszczonych uszu Creed widział, że zaczęła się denerwować. Nadciągająca burza była już blisko.

Creed wciąż miał nadzieję, że Jason i Scout na nowo przeszukają pole. Nie podobał mu się pomysł, żeby zostawić Elizabeth Garner gdzieś na tym polu na łasce kolejnej ulewy i wichury. Nie liczyło się

już, czy kobieta wciąż żyje, po prostu chciał ją znaleźć. Ale chmury w szybkim tempie gasiły światło dzienne, które powinno im towarzyszyć jeszcze przez parę godzin.

Szeryf Krenshaw pomachał do Creeda i ruszył do niego. Po drodze rozchlapwał ustępującą wodę.

- Musimy wycofać służby! - zawołał. Nie był zadowolony z tego powodu, za to widać było, jak bardzo jest wykończony. Ręce trzymał głęboko w kieszeniach dżinsów. - Zarezerwowałem dla was pokoje.

- Wskazał za siebie na drogę międzystanową. - Jedźcie na północ w stronę Montgomery. To jakieś osiem kilometrów.

- To miło z pana strony, szeryfie. Nie musiał pan tego robić.

- Tylko w ten sposób mogę podziękować. Gdyby nie pan, nie znaleźlibyśmy tego dzieciaka.

- Grace go znalazła.

- Tak, to prawda. - Krenshaw posłał psu szczery uśmiech, ale Grace wierciła się na końcu smyczy. - Odkryła kolejny zapach?

- Nie, czuje burzę.

- Niech pan posłucha. Sykes powiedział, że przeszedł pan to pole wszerz i wzdłuż, szukając zaginionego kierowcy.

Creed potarł zarośniętą już brodę. Gdzieś w tyle głowy słyszał mantrę: „Rozpacz należy do rodziny, groza do opiekunów psów poszukujących”. Czy zrobił wystarczająco dużo? Czy jest możliwe, że coś przeoczył?

- Teraz - podjął szeryf - musi pan zająć się sobą i psem. Ale mam nadzieję, że jutro pan tu zostanie. Meteorolodzy przepowiadają diabelnie ciężki weekend. Byłbym wdzięczny, gdyby pan był w pobliżu ze swoją załogą i do dyspozycji, jakby co, jeśli się da.

- Nie ma sprawy. - Creed patrzył na Jasona i Scouta. Mimo ciemniejącego nieba Jason otworzył bagażnik i wyjmował sprzęt. - Może zrobimy jeszcze jedną rundę. Nowy pies może coś wywęchać. - Dał znak Jasonowi, kiedy ten obejrzał się na niego.

- Tylko się pośpieszcie, wie pan, jak tu jest. W jednej chwili świeci słońce, a po minucie rozpętuje się piekło.

Scout już do nich biegł. Po paru godzinach spędzonych w samochodzie tylko czekał, by wziąć się do pracy. Wyglądał jak radosny niezdiscyplinowany głupek, gdy ciągnął za sobą Jasona, a przecież młody labrador przeszedł długą drogę. Podobnie jak jego opiekun. Dwaj odmieńcy tworzyli zgraną parę.

Creed zerknął na Krenshawa i zobaczył, że wlepia wzrok w protezę Jasona. Chłopak nosił ją od sześciu miesięcy. Czasami Creed widział, że Jason czuje się z nią równie niekomfortowo, co z wiszącym pustym rękawem.

Proteza była supernowoczesnym najnowszym osiągnięciem

DARPA, Agencji Zaawansowanych Projektów Badawczych w Obszarze Obronności, ale docierała do Jasona partiami. Obecna wersja protezy nie ukrywała czarnego metalu. Przypominający skórę materiał oraz dodatkowe sensory miały dopiero nadejść, więc na razie Jason wyglądał jak bioniczny człowiek ze smukłą czarną robotyczną ręką. Synowie Hanny nazywali go Transformerem. Creed widział, że Jasonowi się to podoba. Ale potem chłopak wychodził gdzieś z domu i dosłownie się kulił, jakby się przed czymś bronił. Dopiero po pewnym czasie Creed zrozumiał, że pretensje, jakie Jason zdawał się mieć do całego świata, nie dotyczą tylko straconej ręki.

Creed przedstawił szeryfowi Jasona i Scouta. Grace podeszła przywitać się z labradorem, po czym, stając przed Jasonem, tak długo machała ogonem, aż się pochylił, żeby ją pogłaskać. Znajdowali się nieopodal wraku samochodu, Jason już wędrował po nim spojrzeniem.

Creed szybko mu wyjaśnił:

- Pasażer znajdował się w środku, przypięty pasem, ale nie było kierowcy. Może uda wam się znaleźć jakiś zapach na siedzeniu czy podłodze. Może nawet na kierownicy. - Ciało Michaela Garnera zostało wydobyte z auta. Creed wiedział, że pozostałe w aucie zapachy mogą zdezorientować psa.

W tym samym momencie zwrócił uwagę, że wlew baku jest otwarty. Tornado fatalnie potraktowało ten samochód, otwarcie baku nie było największym zaskoczeniem, ale korek wlewu wisiał na swoim wieszaczku. Czy ciśnienie tornada mogło wypchnąć korek z baku?

Creed odwrócił się i spojrzał na skrzyżowanie drogi międzystanowej znajdujące się za lekkim wzniesieniem terenu. Pierwsi ratownicy, funkcjonariusze policji i wolontariusze powoli się ewakuowali. Tam, gdzie wcześniej stały budynki - stacja benzynowa, sklep ogólnospożywczy i przydrożna restauracja - teraz widniały sterty cegieł, porwanych na strzępy płyt gipsowo-kartonowych, pustaków i kantówek. Samochody pomocy drogowej oraz przyczepa były załadowane zgniecionymi wrakami pojazdów.

- Szeryfie, czy jest tam ktoś, kto był tu podczas nawałnicy?

- Właściciel stacji benzynowej. Stara się uratować część swoich zapasów przed kolejną ulewą.

- Pozwoli pan, że zadam mu kilka pytań?

- A o co chodzi?

- Mam pewne przeczucie.

Creed sądził, że szeryf będzie się domagał dokładniejszych wyjaśnień, ale ten powiedział tylko:

- W takim razie chodźmy.

Na niebieskiej koszuli z plamami potu, którą miał na sobie mężczyzna, widniało wyhaftowane imię Roscoe. Jego spodnie i czapkę bejsbolową pokrywała warstwa szarego pyłu. Zadrapania na rękach wyglądały, jakby ten facet mocował się z tygrysem, żeby wydostać się z jego klatki. Kiedy witał się z Creedem i szeryfem, wciąż miał ten szklisty wzrok, jaki Creed widział u innych osób, które były o włos od śmierci i miały tę świadomość.

Roscoe pakował do plastikowych pojemników paczkowane artykuły spożywcze z półek, które zdawały się nietknięte przez burzę. Torebki chipsów i batony wciąż leżały na gondoli, żadne opakowanie nie zostało rozerwane. Półka stała otoczona przez rozrzucone cegły, płytki sufitowe i fragmenty płyt kartonowo-gipsowych. Przy każdym kroku Creed słyszał chrzęst szkła pod stopami, dlatego był zadowolony, że zamknął Grace w dziupie.

Roscoe nie trzeba było namawiać do mówienia.

- Tu u nas nie ma syren - zaczął opowieść. - Moje budynki stoją frontem na wschód. Nie widzieliśmy, że to przekleństwo się zbliża. Zrywa się wiatr. Potem grzmi, błyska się, leje. Takie małe piekło. Prawdziwe szaleństwo. Ludzie zjeżdżają z międzystanowej, tankują. Biegają do środka, żeby coś kupić. - Zdjął czapkę bejsbolówkę i przeciągnął ręką po spoconym czole. Włożył znów czapkę i podjął: - Potem się uspokaja. Wiecie, jak to jest. Robi się taka dziwna, upiorna cisza. A potem znów nagle podmuch wiatru, fruwanie różne przedmioty. Wir wszystko porywa i rzuca porwane rzeczy kilometr dalej. Jest tak silny, że wypycha drzwi, wybija szyby, rozbija szkło. - Pokręcił głową i wskazał na coś, co wcześniej musiało być frontem budynku. - Krzyczałem, żeby ludzie weszli do środka. Kazałem im przejść na tył budynku i schować się w toaletach. Są zbudowane z pustaków.

Obejrzał się na toalety, których przynajmniej fragment się zachował. Drzwi wisiały na zawiasach we framudze, która nie tkwiła już w żadnej ścianie.

Nagle silnik w dziupie Creeda obudził się do życia dosłownie trzy metry od nich. Szeryf spojrział na Creeda, a potem znów na samochód.

- Ten pański pies potrafi też prowadzić samochód?

- To system alarmowy przeciw przegrzaniu. Jest wyposażony we własny dodatkowy akumulator - wyjaśnił Creed. - Włącza zapłon i klimatyzację, kiedy temperatura wewnątrz osiąga pewną wysokość. - By wrócić do tematu, powiedział do Roscoe: - Rozumiem, że panowała panika i chaos, ale pamięta pan może kobietę... - Urwał, bo uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, jak

kobieta wygląda. Imię ani nazwisko tu nie pomoże. Nie wiedzieli nawet, czy był to zwykły samochód, czy SUV. Część farby odpadła. Pamiętał, że widział znak forda. A jedyna pozostała opona była mała. – Mogła jechać białym fordem sedanem – powiedział w końcu. – Tablice rejestracyjne z Wirginii. Była z mężczyzną i małym dzieckiem.

- To pan znalazł dziecko? – spytał Roscoe.

- Tak, a właściwie mój pies.

- A teraz szukacie jego mamy?

- Mamy nadzieję ją znaleźć.

- Niech pomyślę. – Roscoe zmrużył oczy, na jego pomarszczonym czole pojawiła się dodatkowa zmarszczka. – Tu było jak w wariatkowie. Kolejki do dystrybutorów. Samochody podjeżdżały po to tylko, żeby schronić się pod markizą. – Parę razy zamrugał i wyciągnął palec, jakby usiłował trafić nim w jakiś obraz. – Momencik. W kolejce do kasy stała jakaś kobieta. Śpieszyła się, żeby odjechać. Zdaje się, że mówiła coś o dziecku.

- Udało jej się odjechać? – spytał szeryf.

Roscoe milczał. Wciąż myślał. Zdjął znów czapkę i przeciągnął ręką po przyklejonych do głowy włosach. Naciągnął czapkę na głowę i przesunął ją do tyłu, a później znów na czoło, jakby to pomagało mu się skoncentrować.

- Wie pan co, no nie mam pewności. – Spojrzał na szeryfa. – Pierwsi ratownicy zabrali stąd pięć osób. Może była jedną nich?

Szeryf przeniósł wzrok z Roscoe na Creeda. Odwrócił się. Creed wiedział, że ocenia odległość dzielącą ich od wraku samochodu.

Potem wrócił spojrzeniem do Creeda.

- Czemu pan myśli, że oni tu byli?

- Instynkt, przecucie. I bak jest otwarty. Wiem, że skutki tornada często nas zaskakują, ale czy tornado może odkręcić kurek wlewu?

Szeryf nie odpowiedział. Zamiast tego wyjął telefon z kieszeni na piersi. Kiedy pokonał krótki dystans do wozu patrolowego, zaczął wykrzykiwać polecenia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Panhandle, Floryda

Błyskawica niczym świetlna pajęczyna rozjaśniła ścianę pokoju Brodie. Zaraz potem rozległ się grzmot. Krople deszczu zaczęły stukać o dach, stuk, stuk. Ten dźwięk brzmiał kojąco jak kołysanka, która pomagała zasnąć.

Brodie podciągnęła koc pod brodę, choć wiatr wpadający między zasłonami był ciepły i wilgotny. Koc był taki mięciutki, podobnie jak różowe i puchate skarpetki. Dzięki nim jej stopy zapominały o zimnie i wilgotnym betonie, o wszystkich skaleczeniach i zadrapaniach, które pokornie znosiła. Czekając na jej przyjazd, Ryder kupił jej całą szufladę nowych skarpetek.

Szuflada pełna skarpetek była tylko jednym z luksusów związanych z mieszkaniem w tym domu, otoczonym pięknym lasem. Nie marzyła tu, nie chodziła brudna ani głodna. Nie było tu szcurów ani odrażających zapachów. Zamiast tego powiew świeżego powietrza przynosił ze sobą woń kwitnących kwiatów i zmoczonych deszczem sosen. Brodie czuła i słyszała uspokajające mruczenie Kotki zwiniętej w zagłębieniu jej kolan.

Już tęskniła za Ryderem. Sama świadomość jego bliskiej obecności sprawiała, że czuła się bezpieczna. Kiedy wyjeżdżał, coś było nie tak. Lubiała Hannę i ufała jej. Lubiała też Jasona i doktor Avelyn. Wszyscy otaczali ją serdecznością. Ale to przy Ryderze czuła się bezpieczna. Siedział obok niej, kiedy się przebudziła w szpitalnym pokoju w Omaha. Działo się to w październiku. Ryder obiecał, że nie pozwoli, by cokolwiek jej się stało.

W ciemności widziała koszyk, który Hanna zostawiła na stole przy oknie. Powieki miała ciężkie, ale łatwiej jej się zasypiało, kiedy myślała o wszystkich dobrych rzeczach, które ją otaczały. Tego dnia w koszyku znajdowały się dwa banany, jabłko i pomarańcza.

Wkrótce po przyjeździe Brodie zaczęła znajdować w swoim pokoju koszyk z jedzeniem, ilekroć Hanna przynosiła jej czyste ręczniki czy pościel na zmianę. W koszyku zwykle były owoce. Czasami także świeżo upieczona babeczka czy kilka kruchych ciastek, każde osobno zapakowane i obwiązane wstążką. Przypominały Brodie gotowe zestawy prezentowe wręczane ze specjalnej okazji. Teraz nie było specjalnych okazji, a prezenty wciąż się pojawiały.

Wspomniała kiedyś o tych koszykach Ryderowi, kiedy jeszcze martwiła się, że może smakołyki nie są przeznaczone tylko dla niej.

Odpowiedział jej:

- Hanna uważa, że jedzenie to pokarm nie tylko dla naszego ciała, lecz także dla duszy. Pewnie w ten sposób chce cię zapewnić, że w tym domu nigdy nie będziesz głodna.

Brodie nie do końca zrozumiała, o co chodzi z tą duszą, za to bardzo dobrze wiedziała, czym jest głód. Iris Malone dziesiątki razy pozbawiała ją pożywienia za karę. A kiedy już coś jej dawała do jedzenia, często były w tym ukryte narkotyczne leki.

Te leki wprowadzały zamęt w jej głowie. Widziała po nich jak przez mgłę, a bywało, że obezwładniały ją do tego stopnia, iż czuła się jak sparaliżowana. Niemal za każdym razem powodowały nudności, i było to jeszcze gorsze niż głód. Brodie nadal uważnie przyglądała się jedzeniu, nieświadomie sprawdzała, czy nie znajdzie kapsułek, tabletek albo proszku, którego nie powinno tam być. I nie chodziło o to, że nie ufa Hannie. To było tak, jakby jej palce działały niezależnie od jej woli.

Myślała, że jej stan się poprawia, tymczasem w ciągu ostatnich dni umysł płatał jej figle. Zdawało się, że wspomnienia, że te wszystkie koszmary coś w niej uruchamiają. Odsunięcie niechcianych myśli, które napływały bez uprzedzenia, wymagało od niej ogromnego skupienia i wysiłku. Pojawiały się też głosy.

Przez długi czas po tym, jak została uratowana, wciąż słyszała głos Iris, i to tak blisko, i był taki prawdziwy. Brzmiał dokładnie tak, jak tyle razy wcześniej, gdy Iris pouczała ją ze szczytu piwnicznych schodów albo zza zamkniętych drzwi. Ale ostatnio słyszała inny głos, nie głos Iris. To była jakaś wersja jej własnego głosu, który szeptem przypominał jej o różnych rzeczach, budził w niej podejrzenia, kwestionował jej osądy.

Tej nocy Brodie słuchała odgłosów burzy. Zamknęła oczy, gdy błyskawica tańczyła na suficie. Grzmot pozostał gdzieś daleko - cichy i łagodny pomruk, który nie mógł nikogo skrzywdzić. Za to deszcz padał gęściej, gwałtowniejszemu stukaniu kropli towarzyszył szum wody płynącej w rynnach pionowych i odpływowych.

Brodie nie miała pojęcia, jak długo spała, gdy nagle coś ją przestraszyło. Przebudziła się raptownie. Rozejrzała się, czuła czyjaś obecność. Kolejna błyskawica rozświetliła pokój. Na widok dziecka stojącego w otwartych drzwiach Brodie usiadła sztywno.

- Isaac? Thomas?

Następna błyskawica pokazała jej, że to nie żaden z dwóch chłopców, lecz dziewczynka o długich strąkowatych włosach. Na przodzie sukienki widniały plamy. Buty miała powalane błotem. Gestem poprosiła Brodie, by poszła jej śladem.

- Charlotte? - Brodie ledwie rozpoznała swój głos w tym szepcie.

- Czego chcesz?

Tym razem huk grzmotu obudził ją na dobre. Brodie usiadła. Była zlnana potem. Jej raptowny ruch przestraszył Kotkę. Rzuciła wzrokiem w stronę drzwi i wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć. Drzwi były zamknięte. Wygrzebała się z łóżka, szybkim krokiem podeszła do nich i przekręciła gałkę. Gałka się poddała. Ulga była tak wielka, tak wszechobejmująca, że Brodie poczuła przejmujące zimno.

Otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. W holu nie było nikogo. Jej tętno szalało. Na palcach ruszyła w stronę schodów, po drodze kurczowo trzymając się balustrady. Oddychała ciężko. Nie, nie oddychała, ona dyszała, jeszcze moment i będzie miała atak hiperwentylacji. Mijając kolejne drzwi i nadstawiając uszu, żałowała, że nie może wstrzymać oddechu. Gdzieś w tyle głowy pamiętała, jak szła innym holem pogrążonym w ciemności i ciszy. Każde z mijanych drzwi uchylały się odrobinę, tyle tylko, by czyjeś oczy mogły na nią spojrzeć. Jedne z drzwi uchyliły się nieco więcej, a Brodie zobaczyła patrzącą na nią dziewczynkę.

- Kim jesteś? - tak wtedy zapytała.

- Na imię mam Charlotte, a ty kim jesteś?

Potem otworzyły się następne drzwi, za którymi była następna mała dziewczynka. W dalszej części korytarza za trzecimi drzwiami widniała trzecia para oczu.

Brodie potrząsnęła głową, próbując pozbyć się tych obrazów. Ledwie trzymała się na nogach, skradając się obok zamkniętych drzwi. Piżamę miała mokrą od potu, drżała na całym ciele od zimnej wilgoci. Dotarła do szczytu schodów i nogi się pod nią ugięły. Na dole schodów pojawił się jakiś cień. Serce Brodie zatrzymało się na moment. Uniosła rękę i znów chwyciła się balustrady, ścisnęła ją z nadzieją, że wystarczy jej siły, by się ruszyć. Powinna się ruszyć. Musi się ukryć. Ale w dalszej części korytarza, za plecami, już słyszała otwierające się drzwi.

- Brodie? - zawołał ktoś z dołu. - Nic ci nie jest, Kwiatuszku?

To była Hanna, nie Iris. Iris Malone siedziała w więzieniu tysiące kilometrów stąd.

Ulga pozwoliła Brodie rozprostować zaciśnięte na balustradzie palce i usiąść na górnym stopniu. Coś ją przestraszyło, ocierając się o jej bok, aż poczuła miękkie futro. Kotka weszła jej na kolana.

Za jej plecami rozległy się kroki i zanim się odwróciła, Issac usiadł na stopniu obok niej.

- Kwiatuszku, nie ma takich zamkniętych drzwi, których nie dałoby się otworzyć! - zawołała z dołu Hanna.

Nie chodziło o drzwi, chodziło o to, co jest po drugiej stronie. O przyglądające się badawczo oczy. O dziewczynki, które wyglądały

dokładnie tak samo jak ona. I wszystkie miały na imię Charlotte. Tak jak ona.

Potem nagle uświadomiła sobie, o czym mówiła Hanna. Coś podobnego przydarzyło się jej jednej z pierwszych nocy w tym domu. Obudziła się i nie miała pojęcia, gdzie jest. Wybiegła z pokoju, zbiegła po schodach prosto do frontowych drzwi, gorączkowo szukała zamków, ciągnęła, szarpała, przekręcała gałki.

Następnego dnia Ryder oprowadził ją po całym domu. Pokazał jej wszystkie drzwi i wytłumaczył, jak otwiera się każdy z zamków zasuwkowych i każdy zamek z gałką.

- Wszystko w porządku? - spytała znów Hanna, nie wchodząc po schodach. Dawała jej przestrzeń. Nieprzywykła do uścisków Brodie z początku wzdrygała się przy każdym dotyku. Prawdę mówiąc, przywykła tylko do takiego dotyku, który wiązał się z bólem.

Przytaknęła skinieniem głowy, że wszystko w porządku. Próbowwała się wyciszyć i oddychać. Usiłowała uspokoić walące serce. Potem uprzytomniła sobie, że w ciemności Hanna może nie widzieć jej kiwnięcia głową. Poczula, że Isaac oparł się o jej ramię. Coś otarło się o nią z drugiej strony. To Thomas wcisnął się między nią a balustradę i przecierał zaspane oczy.

Brodie miała nadzieję, że Hanna nie będzie miała jej za złe, że obudziła chłopców.

- Nic mi nie jest - powiedziała.

Zanim próbowała coś wyjaśnić, Isaac spytał:

- Nie możesz spać?

Powiedział to jak do kolegi.

Brodie spojrzała na niego i kiwnęła głową.

- Przez potwory? - spytał Thomas z drugiej strony.

Zaskoczył ją tym pytaniem. Co on mógł wiedzieć o potworach?

- Kiedy boimy się potworów, które chowają się w szafie albo pod łóżkiem, mama każe nam śpiewać.

- Śpiewać? - Brodie była pewna, że się przesłyszała. Chłopiec miał głos tak samo zaspany jak oczy.

- Coś wesołego - dodał Isaac, wyciągnął rękę i zaczął głaskać Kotkę.

- No - powiedział znów Thomas. - Potwory nie lubią, jak dzieci są szczęśliwe. One chcą, żebyśmy się bali.

- Wiesz, co jeszcze pomaga? - Isaac podniósł wzrok. Szczerze i z powagą pragnął jej pomóc.

- Co? - spytała Brodie.

- Mleko i ciasteczka.

- To prawda - przyznał Thomas. - Mamo, Brodie potrzebuje mleka i ciasteczka.

Brodie zdała sobie sprawę, że już się nie trzęsie. Kotka mruzczała pod jej dotykiem. Może to głupie, ale nagle otoczona tymi dwoma chłopcami, z Kotką na kolanach, poczuła się bezpieczna. Jej oczy przywykły już do mroku i ciągłych rozbłysków na zewnątrz. W końcu na dole dojrzała twarz Hanny. Choć Hanna miała zmarszczone czoło, Brodie widziała, że się uśmiecha.

DZIEŃ DRUGI

Sobota, 9 marca

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Na południe od Montgomery, Atlanta

Creed zdziwił się, widząc mniej więcej dziesięcioro gości na śniadaniu w hotelu. Poprzedniego wieczoru powiedział szeryfowi, że nie chce zajmować dwóch pokoi i zabierać miejsca osobom poszkodowanym przez tornado. Szeryf zapewnił go, że większość ratowników, którzy udzielali pierwszej pomocy oraz ochotników, mieszka w pobliżu albo ma tu rodziny. Zapelniony w połowie parking świadczył o tym, że podróżnych jest tu niewielu. Jednak gdy tylko Creed i Grace weszli do restauracji, natychmiast pośpieszył ku nim kierownik sali.

- Przepraszam pana, ale psom nie wolno przebywać w miejscach ogólnodostępnych.

- To pies poszukujący.

Kierownik spuścił wzrok na Grace, a ona pomachała ogonem, jakby chciała pokazać mu swoją kamizelkę.

- Przykro mi, zasady to zasady.

Był jakieś dziesięć lat starszy od Creeda i o głowę niższy, ale patrzył na niego, podnosząc wzrok z niezachwianą determinacją przedstawiciela władzy. Nie zważał na to, że przyciągnął uwagę wszystkich gości. W sali zapadła taka cisza, że stuknięcie widelca o talerz zabrzmiało jak grzmot. Zanim Creed odpowiedział, zza rogu wyszedł Jason w towarzystwie Scouta. Mężczyzna tak szybko odwrócił głowę, że Creed omal się nie zaśmiał.

- Dzień dobry - powiedział do nich Jason, a gdy zauważył, że wszyscy goście na nich patrzą, przystanął.

- Psom nie wolno... - Kierownik sali urwał, gdy jego wzrok trafił na błysk czarnego metalu protezy Jasona na końcu rękawa koszuli.

Creed był ciekaw, czy to zmieni jego opinię.

- Psom nie wolno przebywać w miejscach ogólnodostępnych.

Nie, nie zmieniło nawet na jotę.

- Hej, chwileczkę! - zawołała jedna z kobiet siedząca przy pobliskim stoliku. - To pan znalazł wczoraj to niemowlę?

- Tak, proszę pani. - Creed wskazał na Grace. - To znaczy ona je znalazła.

- Pokazują was we wszystkich wiadomościach - powiedziała, wyciągając rękę w stronę jednego z trzech telewizorów na ścianie. - Ktoś nagrał to telefonem.

Creed był zaskoczony.

- W czym problem? - odezwał się inny z gości, starszy dżentelmen

siedzący z trzema innymi osobami. Pytanie wyrażone zdecydowanym tonem skierowane było do kierownika sali.

- Psom nie wolno przebywać w miejscach ogólnodostępnych - powtórzył kierownik, ale tym razem ciszej.

- Nie wydaje mi się, żeby komuś z nas przeszkadzały - powiedziała kobieta, rozglądając się dokoła. - Czy ktoś z państwa ma coś przeciw, żeby ci panowie i ich psy zjedli z nami śniadanie?

Creed obserwował kierownika kątem oka, kiedy goście głośno zaprosili ich do stolika. Kark mężczyzny poczerwieniał, podkreślony przez biel kołnierzyka koszuli.

- No to... tylko wyjątkowo - oznajmił i wymaszerował z sali.

- Dziękuję państwu - powiedział Creed i pomachał.

- Ktoś musi stanąć w obronie bohaterów - odparła kobieta.

Creed był wdzięczny, kiedy wszyscy wrócili do jedzenia i do swoich spraw. Nie chciał rozmawiać o małym Garnerze. Śpieszył się, żeby coś zjeść i ruszać do pracy.

Jason znalazł stolik przy oknie, z dala od pozostałych gości. Creed usiadł i powiedział, żeby Jason pierwszy się obsłużył, a on zajmie się psami. Widział, że chłopak patrzył tęsknie na bufet, gdy kierownik sali chciał ich wyprosić. Ku jego zaskoczeniu, Jason przyniósł mu kubek kawy i postawił go na stoliku, a potem najkrótszą drogą ruszył po jedzenie. Czasami Creed wciąż nie mógł się nadziwić, jak bardzo młody weteran się zmienił.

Kiedy spotkali się po raz pierwszy, Jason miał przeogromny żal do całego świata, że doznał takiej krzywdy. Ładunek wybuchowy oderwał mu połowę ręki, więc odesłano go do domu. To doświadczenie zrodziło w nim też agresję i powodowało stany depresyjne. Przyznał się nawet Creedowi do myśli samobójczych i z dumą mówił o tym, że zebrał wystarczająco dużo leków, by odebrać sobie życie.

Choć bardzo się różnili, Creed rozumiał Jasona. On też został odesłany z Afganistanu do domu po wybuchu miny pułapki. Sam, bez swojego psiego partnera, za którym tęsknił - jedynej dobrej rzeczy w tamtym czasie - był zły i przygnębiony. Gdy poznał Hannę, właśnie po pijaku wdał się w bójkę z trzema kolesiami w barze, gdzie pracowała. Hanna go uratowała. Najpierw mu nagadała, a potem go wysłuchała. Pomogła mu znaleźć cel w życiu.

Kiedy Creed dostrzegł w Jasonie siebie sprzed lat, domyślił się, że młody weteran też tego potrzebuje. Podarował mu szczeniaka. Powiedział, że jeśli Jason nie zamierza żyć, będzie musiał oddać psa. Takie traktowanie szczeniaka, który szybko przyzwyczaja się do człowieka i ciężko przeżywa rozstanie, jest bardzo nie w porządku. Creed był boleśnie szczery, mówił, jakby mu nie

zależało, co Jason ze sobą zrobi. To jego decyzja. Ale na pewno nie pozwoli Jasonowi opuścić szczeniaka, którym obiecał się zaopiekować i którego miał szkolić.

Creed pochylił się i pogłaskał czarnego labradora, siedzącego przy jego nogach i czekającego na swojego opiekuna. Scout i Jason tworzyli zgrany zespół. Obaj byli praktyczni i pełni energii. Creed często nazywał Scouta osiołkiem, ale mówił tak pieszczotliwie. Psy poszukujące powinny charakteryzować się nadzwyczajną ciekawością i uzależnieniem od przygód. To, co zwyczajnych właścicieli psów doprowadza do szału albo, co gorsza, skłania do pozbycia się zwierzaka, było tym, czego Creed szukał u swoich podopiecznych.

Creed zobaczył, że Jason wraca z wyładowaną po brzegi tacą i szerokim uśmiechem na twarzy. To była kolejna rzecz, która łączyła tę parę. Opiekun i pies byli wiecznie głodni i uwielbiali jeść. A przy tym byli szczupli i muskularni. Dzięki ciężkiej pracy nie mieli ani grama zbędnego tłuszczu.

- Czy coś tam w ogóle zostało? - spytał Creed, kiedy Jason rozładował tacę na stoliku.

Przyniósł kilka mniejszych i większych talerzy, które na siebie zachodziły, wypełnionych jajecznicą, bekonem, bułeczkami, a także wysoką szklankę soku pomarańczowego i szklankę mleka.

- Bardzo zabawne.

Psy zostały nakarmione przed wyjściem ze swoich pokoi, ale Scout się oblizywał, wlepiął wzrok w rękę Jasona, jak zawsze pełen nadziei, że spadnie mu jakiś kęs.

- Zjesz też coś? - spytał Jason, gotowy zabrać się do jedzenia, a jednak chciał być uprzejmy i czekał. Było oczywiste, że dla niego to coś nowego.

Creed uniósł kubek.

- Zjem, tylko najpierw napiję się kawy.

Widząc, że Jason wciąż się waha, dodał:

- Jedz, nie czekaj na mnie.

Jason odezwał się między kęsami:

- Martwisz się o Brodie.

To było stwierdzenie, nie pytanie.

- Hanna powiedziała, że wczoraj w nocy miała koszmary. I kolejny atak paniki. Znalazła ją u szczytu schodów, jakby się szykowała, żeby zbiec na dół i wybiec z domu.

Jason przełknął, po czym powiedział:

- Dawno tego nie robiła.

- Tylko w pierwszym tygodniu. W Omaha zdarzało jej się to dość często.

Creed przeniósł wzrok za okno. Niebo było błękitne, bez cienia burz zapowiadanych na popołudnie. Pomyślał, że taka właśnie jest Brodie. Kiwa głową i mówi to, co należy powiedzieć. Nie boi się żadnej z tych rzeczy, których mogłaby się bać: robactwa, pajaków, szcurów... nawet burzy. Za to łamie chleb na maleńkie kawałeczki, czasami nieświadoma, że robi to jakby w gorączce. Skraca nożyczkami włosy, aż sterczą jej nierówne. Bez końca myje ręce, jakby były na nich plamy widoczne tylko dla jej oczu. Choć udawała, że jej niebo jest błękitne, w jej wnętrzu wciąż trwała burza.

Creed wiedział, że każdy inaczej przeżywa syndrom stresu pourazowego - sam radził sobie ze swoim na własnych warunkach. Ale wiedział też, że może się do człowieka zakraść w najmniej spodziewanym momencie. Kiedy myślisz, że masz to już za sobą. Gdy czujesz się bezpiecznie i pewnie.

- W Omaha ciągle się bałem, że ucieknę ze szpitala i coś jej się stanie. - Odwrócił się i ze zdziwieniem zobaczył, że Jason przestał jeść i go słucha. - Nie mogli zamykać drzwi na klucz. To tylko pogarszało sprawę. Podobnie było z Molly. Pamiętasz, jak próbowaliśmy ją wsadzić do klatki?

Jason skinął głową.

- Waliła łbem o kraty tak długo, aż zaczęła krwawić.

Molly była mieszkańcem znalezionym w Karolinie Północnej po przejściu lawiny błotnej. Samochód, w którym została uwięziona, zalała potężna błotna masa. Molly przeżyła jako jedyna ze wszystkich pasażerów tego auta. To o jej losie Jason opowiadał Brodie. Teraz Creed uprzytomnił sobie, że Molly i Brodie mają coś wspólnego. Zamknięte w małych pomieszczeniach obie cierpią na ataki paniki.

- Wiesz co? - odezwał się znów Jason, kiedy nabrał plasterek bekonu na widelec i zabrał się znów do jedzenia. - Myślę, że ona jest o wiele silniejsza, niż nam wszystkim się zdaje. Przetrwała szesnaście ciężkich lat. My dwaj nawet nie dokończyliśmy służby. - Urwał, żeby zjeść parę kęsów, ale też sprawdzał reakcję Creeda, po czym wyraźnie usatysfakcjonowany podjął: - Pamiętasz, co do mnie powiedziała, jak mnie pierwszy raz zobaczyła?

Creed tak się przejmował tym, jak Brodie odnajdzie się w nowym otoczeniu, że nie zwracał uwagi na pierwsze wymienione między nimi słowa. Pokręcił głową.

Jason uniósł rękę z protezą i poruszył palcami.

- Ludzie zwykle gapią się zafascynowani albo przerażeni. Albo jedno i drugie. Mówią: „O mój Boże” albo „Co, do diabła”.

Creed uśmiechnął się. Chłopak przebył długą drogę, by nauczyć się tak traktować swoją protezę, ale nie chciał mu o tym

przypominać. Zamiast tego skupił się na tym, co ma do powiedzenia.

- Brodie - kontynuował Jason, uciekając wzrokiem i patrząc ponad ramieniem Creeda, który jednak zdążył dostrzec błysk w jego oczach i zdumiał się siłą emanujących z niego emocji. Jednak Jason je zdusił i mówił dalej: - Brodie spytała mnie, czy to naprawdę bardzo boli. Ona wyczuwa różne rzeczy, ma intuicję. Widzi coś, czego my już nawet nie zauważamy, bo dla nas to takie normalne. - Potarł brodę zdrową ręką.

Creed rozumiał, co Jason ma na myśli. Dwa tygodnie wcześniej, podczas jednego z pierwszych ciepłych wieczorów od jej przyjazdu na Florydę, Brodie namówiła go do wyciągnięcia śpiworów, żeby mogli całą noc patrzeć na gwiazdy. To samo robili w dzieciństwie na podwórku za domem. Prosiła go, żeby jej wskazał różne gwiazdozbiory, choć od lat nie wracał do tego choćby myślą.

Gdy telefon zaczął dzwonić, Creed wyjął go z kieszeni i choć nie znał tego numeru, to odebrał.

- Creed, słucham.

- Tu szeryf Krenshaw. Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale chciałem pana złapać, zanim pan wyruszy. Znaleźliśmy panią Garner.

Creed poczuł, że zaciska zęby. Liczył na to, że jego milczenie zachęci szeryfa do mówienia. Czuł na sobie wzrok Grace, wyczuła jego napięcie.

- Okazuje się, że miał pan rację. Podjechali zatankować na tej stacji benzynowej, ona poszła zapłacić, a kiedy chciała wrócić do samochodu, nagle walnęło. Normalnie ją z nóg zważyło.

Przynajmniej jej ciało nie leżało gdzieś na polu zaplątane w kupę odpadów. Tak właśnie myślał Creed, kiedy szeryf mówił dalej. O mały włos nie przeoczył tego fragmentu, gdy Krenshaw oznajmił, że pani Garner straciła przytomność.

- Zaraz - powiedział Creed. - To ona żyje?

- Tak, i pytała o dziecko, kiedy na chwilę odzyskiwała przytomność, a potem znów ją traciła. Zawieźli ją do szpitala, jest już po operacji, miała obrażenia wewnętrzne. Stan nadal jest krytyczny, ale w szpitalu mają nadzieję, że z tego wyjdzie. Pomaga jej świadomość, że jej synek ocalał, to wzmacnia jej wolę przeżycia.

- Świetna wiadomość.

- Dziś po południu znów ma być ostro. Nie miałbym panu za złe, gdyby pan pojechał do domu, ale byłbym wdzięczny, gdybyście obaj jeszcze zostali. Zarezerwowałem wasze pokoje na cały weekend.

Jason właśnie kończył bułeczki i sos. Creed poczuł, że też zgłodniał.

Nie chciał dłużej przebywać z dala od domu. Wiedział, że Jason ma rację, jeśli chodzi o Brodie. Była silna, ale zarazem potwornie bezbronna. Więc to pewnie nie przypadek, że koszmar przyśnił jej się pierwszej nocy jego nieobecności.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Birmingham, Alabama

Willis Dean spał na kanapie w swoim gabinecie. Nie pierwszy raz spędzał noc w pracy, ale po raz pierwszy czuł, że musi to zrobić. To nie był problem. Trzymał tu ubranie na zmianę i przybory toaletowe. Golenie sprawiło mu trochę kłopotu, nieźle się pozacinał. Będzie musiał zakryć to makijażem. I oczywiście kręgosłup bezwzględnie dawał mu znać, że nie jest już młodzieniaszkiem.

Zaraz po przebudzeniu sprawdził mejle i SMS-y. Nie czekał jednak na te od Krajowej Służby Meteorologicznej, których miał już sześć. Chodziło mu o wiadomość, której nie otrzymał.

Czego się spodziewał? Naprawdę wierzył, że syn może mieć rację? Że Beth zmieni zdanie?

Po raz pierwszy podczas swojego małżeństwa nie zawiadomił ani nie uprzedził żony, że spędzi noc poza domem. Zawsze dzwonił. Po tylu latach to był odruch. Do tego stopnia, że dwa razy przyłapał się na tym, że pisze do niej wiadomość, więc musiał ją potem skasować.

Nie miał pojęcia, jak się zachować w tej sytuacji.

Kiedy stwierdził, że Beth nie napisała do niego ani się nie nagrała, żałował, że jednak się do niej nie odezwał. Nie mógł jej mieć za złe, że nie wysiła się na elementarną uprzejmość, skoro on tego nie robił.

Ale potem jakiś głos z tyłu głowy powiedział mu: „Przecież to nie ty prosiłeś o rozwód”.

Najwyraźniej sporo musi się nauczyć o nowym świecie, do którego wkracza.

Kiedy dotarł do swojego biurka w redakcji pogody, myślami był już tam, gdzie powinien.

Na monitorze w rogu widział Mię, która właśnie była na antenie. Całe popołudnie, a pewnie i przez cały wieczór mieli się zmieniać. To, co nazywali redakcją pogody, stanowiło tak naprawdę niewielkie pomieszczenie sąsiadujące ze studiem. Dawało im to trochę prywatności i pozwalało cicho ze sobą rozmawiać, komunikować się z łowcami burz online i prowadzić rozmowy telefoniczne.

Przez duże oszklone okno mieli widok na studio. Jeśli chciał, Willis mógł popatrzeć na Mię stojącą na tle zielonego ekranu, ale na monitorze telewizyjnym widział dokładnie, co Mia pokazuje na mapie pogody.

Natychmiast zaczął przeglądać najnowsze doniesienia. W taki

dzień jak ten wciąż będą napływać i nieustannie się zmieniać. Nie przypominał sobie takiej pogody na początku marca. Wilgotne masy powietrza płynące z Zatoki Meksykańskiej były zbyt ciepłe jak na tę porę roku, wręcz gorące, zaś zatoka niskiego ciśnienia z Gór Skalistych przynosiła powietrze jak na tę porę roku o wiele za chłodne. Poprzedniego dnia te dwie masy powietrza zderzyły się ze sobą. Zachowywały się niczym zupa w garnku, do którego wrzucamy różne składniki, które z początku gotują się na wolnym ogniu, a potem zaczynają wrzeć.

Dla całej Tennessee Valley wydano na ten weekend ostrzeżenie o groźnych burzach, z których mogą powstać tornada. Dodatkowym zagrożeniem było to, że te masy powietrza dotrą nad Missisipi, Alabamę i Georgię, i pewnie dopiero tam sytuacja się uspokoi. Willis wiedział, co to znaczy. Czekają ich kilka dni gwałtownych nawałnic.

Wszystkie mapy i modele komputerowe potwierdzały możliwość pojawienia się silnych tornad o szerokim zasięgu. Willis zerknął na monitory. Na zachód od nich, zaraz za granicą z Missisipi, radar już pokazywał, że to nie żarty. Na mapie radarów wyskakiwały żółte plamy i zielone plamy z odrobiną czerwieni, zaczęła się tworzyć linia szkwałów.

Mię zastąpił przed kamerami prezenter wiadomości. Willis podniósł wzrok i zobaczył, że Mia wzięła dwie butelki wody. Weszła z nimi do ich pokoju i usiadła obok niego.

- Czy te liczby są poprawne? - spytał.

- Tak, to jakieś szaleństwo, co? Uskok wiatru jest poza skalą. - Podała mu butelkę wody. - Cieszę się, że mamy weekend, nie znoszę, kiedy musimy się martwić o dzieciaki, które idą do szkoły.

- Tyle że w weekendy ludzie mniej nas oglądają. Jak niebo jest niebieskie, niczym się nie przejmują.

- Willis, zaczniesz mówić jak zblazowany. - Uśmiechnęła się, ale nie spojrzała na niego, po czym dodała: - Poza tym w ogóle rzadko zwracają na nas uwagę.

Rzucił jej spojrzenie i zobaczył, że uśmiechnęła się szerzej. Nie spuszczała wzroku z monitorów. Trudno innym wyjaśnić więź łączącą prawdziwych fanatyków meteorologii. Tylko oni rozumieją ten skok adrenaliny, jaki wywołują w nich superkomórki burzowe. Willis czuł to od dziecka, większość prawdziwych fanatyków - a Mia bezsprzecznie się do nich zaliczała - także to czuje. Jednak wytłumaczenie tego laikowi jest bardzo trudne i nieraz wprawia w zakłopotanie. Bo jak można aż tak ekscytować się zjawiskiem, które niesie ze sobą tyle śmierci i zniszczeń?

- Krajowa Służba Meteorologiczna określiła siłę wczorajszego porannego tornada na EF4 - powiedziała Mia.

- Dzięki Bogu, że nie trzymało się długo ziemi. Smith Crossing byłoby dokładnie na jego drodze.

- Słyszałeś o dziecku, które znaleźli żywe?

- Co? Nie. - Nie zamierzał przyznawać się, że noc spędził w redakcji. Wieczorem nie jechał do domu ani rano nie jechał do pracy, a właśnie wtedy zwykle słuchał radia.

- Dziesięcioletniego chłopca wyrzuciło z samochodu rodziców. Znalazł go opiekun z psem poszukującym pod powalonymi sosnami.

- Poważnie?

- Pokazywaliśmy wideo, które przysłał nam jakiś motocyklista. Zrobił je z międzystanowej. Obraz jest trochę ziarnisty, ale za każdym razem, jak to oglądam, mam łzy w oczach.

Monitor, gdzie pojawiały się najnowsze wiadomości, dźwiękiem dał im sygnał, że Krajowa Służba Meteorologiczna wydała kolejne ostrzeżenie. Oboje się odwrócili.

- Ostrzeżenie przed tornadem - stwierdził Willis. - No to ruszamy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Atlanta, Georgia

Maggie wybrała samolot wylatujący wcześniej rano, żeby mieć zapas czasu na podróż samochodem z Atlanty do Montgomery, która powinna trwać dwie i pół godziny. Mogła poczekać w Atlancie i przesiąść się na drugi samolot, ale marcowy dzień był tak piękny. To tylko jeden z powodów, dla których wybrała samochód. Drugim było to, że nie znosiła latać.

Początkowo miała nadzieję, że spotkają się na lotnisku w Atlancie, lecz Frankie Russo przestraszyła się, bo zdawało jej się, że ktoś jechał za nią na lotnisko w Chicago. Hanna powiedziała jej, że Frankie wynajęła samochód, poprzedniego wieczoru pojechała do Nashville i tym razem nikt jej nie śledził.

Maggie nie pytała, skąd bierze się pewność Frankie, że nikt nie deptał jej po piętach. Hanna już wystarczająco martwiła się o przyjaciółkę. Poprzedniego dnia, kiedy przekazała jej przez telefon, czego dowiedziała się o Tylerze Gatesie i Deaconie Kaye'u, przyjaciółka zamilkła na tak długo, że Maggie w końcu musiała spytać:

- Hej, wszystko w porządku?

- Biedni chłopcy - odparła Hanna. - Oni faktycznie przypadkiem natknęli się na jakiś szwindel, co?

Po paru rozmowach telefonicznych Maggie dysponowała już adresem mejlowym Frankie i jej hasłem, które agent Alonzo niedługo powinien otrzymać. Hanna zorganizowała też spotkanie Maggie i Frankie na obrzeżach Montgomery w stanie Alabama. Maggie miało to oszczędzić dwie do trzech godzin jazdy. Wiedziała, że Hanna myśli praktycznie, ale nie mogła się pozbyć rozczarowania. Gdyby pojechała aż do Panhandle na Florydzie do ośrodka K9 CrimeScents, mogłaby spotkać się z Ryderem.

Hanna najwyraźniej to wyczuła, gdyż z własnej inicjatywy poinformowała Maggie, że Ryder i Jason pracują na terenie dotkniętym przez tornado.

- To na południe od Montgomery - powiedziała Hanna. - Jestem pewna, że bardzo chętnie by cię zobaczył.

Maggie zastanowiła się, czy to prawda, czy tylko życzenie Hanny. Zdawała sobie sprawę, że sama go odtrąciła. Im stawali się sobie bliżsi, tym bardziej go odpychała. A jednak na samą myśl, że miałyby okazję go zobaczyć, jej tętno się rozszalało, a dłonie spociły. Myślała o tym wszystkim, podczas gdy Hanna dokładnie

wyjaśniała, gdzie odbędzie się spotkanie z Frankie Russo.

- To restauracja typu „mięso plus trzy”, nazywa się Niebiańskie Smaki. Jest tam duży parking naprzeciw postoju dla ciężarówek. Na południe od Montgomery. Tuż przy międzystanowej. Zasmakują ci ich bułeczki - mówiła Hanna, jakby to miało być zwyczajne spotkanie dwóch koleżanek na lunchu.

Maggie zanotowała wszystkie wskazówki i instrukcje, i dopiero wtedy przyszło jej do głowy, żeby spytać:

- Rozumiem, że to restauracja, ale co to znaczy „mięso plus trzy”?

- Och, kochanie, wybacz. Wybierasz mięso i trzy dodatki. To prawdziwy skrawek nieba. A skoro już o tym mowa, koniecznie spróbuj ich karmelków albo ciasta z orzechami pekan.

Na wspomnienie tej rozmowy z minionego wieczoru Maggie uśmiechała się jeszcze tego ranka. Hanna była fantastyczną kucharką, która szczerze wierzyła, że jej kulinarne dzieła ulecą zboląle dusze i rozwiążą większość problemów. Na myśl o smażonym kurczaku i fasoli czarne oko ślinka napłynęła Maggie do ust. Będzie musiała zadowolić się jedzeniem na lotnisku albo w jakimś barze po drodze.

Zanim wybrała się po wypożyczony samochód, znalazła stolik w kącie jednej z małych kafejek w terminalu. Zamówiła bajgla, serek śmietankowy, świeże borówki amerykańskie i dietetyczną pepsi. Chciała sprawdzić swoje wiadomości. Agent Alonzo otrzymał od niej długą listę życzeń i była bardzo ciekawa, jakie zrobił postępy.

Jeden z wielu telewizorów rozmieszczonych w całym terminalu wisiał jakieś trzy metry przed nią. Pomyślała, żeby zmienić stolik, ale podobało jej się w tym kącie. Widziała wejście i siedziała tyłem do ściany, co dla doświadczonego agenta FBI stanowi istotne kwestie. Uważała, że po wielu latach pracy ma prawo nazwać się doświadczoną agentką, a nie znużoną czy ulegającą paranoi.

Potem jej wzrok padł na napisy przesuwające się na dole ekranu. Tekst brzmiał następująco:

Prezes jednej z większych firm produkujących artykuły spożywcze oraz senatorowie podpisali umowę dotyczącą globalnej inicjatywy mającej na celu walkę z głodem na świecie.

Maggie przełączyła telefon z trybu samolotowego i natychmiast zauważyła zwiędłą i prostą wiadomość od Alonza:

Zadzwoń, jak tylko wylądujesz.

Wyjęła bezprzewodowe słuchawki, kiedy kelnerka przyniosła jej talerz.

- Borówki wyglądają pięknie - powiedziała do niej Maggie.

- Chcemy, żeby nasi klienci byli zadowoleni. Ale obawiam się, że

musi pani wystarczyć dietetyczna cola, nie mamy pepsi. Proszę zrozumieć, jest pani w Atlancie.

- W porządku. Dziękuję.

Wybierając numer Alonza, wyjęła butelkę wody z torby podróżnej i znów przeniosła wzrok na ekran telewizora. Wciąż trwała konferencja z prezesem firmy i senatorami. W napisach pojawiła się nazwa firmy: Carson Foods. No jasne. Zanim odwróciła wzrok, zobaczyła twarz osoby stojącej obok senatorów i za prezesem firmy. Rozpoznała ją. Nie powinna się dziwić, widząc swojego szefa, zastępcę dyrektora Raymonda Kunzego.

- Cześć, Maggie - odezwał się Alonzo.

- Właśnie sobie uświadomiłam, że jest sobota.

- Pewnie dlatego żadne z nas nie jest w stałym związku.

Wiedziała, że to miał być żart. Czemu zatem trochę zabolęło?

- Oglądałeś wiadomości? Prezes Carson Foods jest właśnie w telewizji.

- Ta ich wspaniała globalna inicjatywa... Wygląda na to, że są hojni i wspaniałomyślni, co? A prawdę mówiąc, chcą na tym zarobić miliardy.

- Jest z nimi zastępca dyrektora Kunze.

- Dziwisz się, Maggie? Jego ziomek, senator John Quincy, sponsoruje tę inicjatywę.

- Nie chcę, żebyś miał problemy z Kunzem. Robię przysługę przyjacielce, ale ty...

- Daj spokój, Maggie, naprawdę się tym nie przejmuj. Mogę ci już powiedzieć, że coś tu śmierdzi. - Urwał, a ona słyszała, jak się przemieszcza. - Wczoraj wieczorem zrobiłem małe czary-mary. Nie pytaj jak ani co, okej?

- Okej.

- Mogę śledzić telefon Tylera Gatesa.

- Wiemy już, gdzie był Tyler, zanim został zastrzelony. Frankie powiedziała, że był w domu Deacona Kaye'a.

- Maggie, nie mówię o tym, gdzie on był. Mogę śledzić jego telefon od chwili, kiedy ktoś go przejął.

Dopiero po paru sekundach dotarło do niej, co powiedział Alonzo.

- Okej - odparła, czekając na więcej.

- Pamiętasz, jak ci mówiłem, że mordercy mogli ukraść telefon, bo to skarbnica informacji. Dawalby im dostęp do mejli Gatesa, jego SMS-ów, kontaktów, wszystkich jego kont, zwłaszcza w mediach społecznościowych, do aplikacji, których używał.

- Okej, ale czy trzymaliby telefon włączony? Wyłączony trudniej wysledzić.

- To prawda, jednak oni go nie wyłączyli. Po co mieliby to robić?

Gdyby go wyłączyli, musieliby główkować, jakie jest hasło dostępu, żeby go znów włączyć. Po co stwarzać sobie dodatkowy problem, kiedy mogli go nie wyłączać? Od czasu do czasu ładują tylko baterię.

- Jeżeli nie podasz mi dokładnego adresu w Chicago, gdzie mieszkają ci dranie, nie wiem, co daje nam śledzenie telefonu - stwierdziła Maggie, smarując bajgiel serem.

- Tylko że oni nie są w Chicago.

- Ale znów, jeśli nie mamy adresu...

- Maggie, posłuchaj mnie przez chwilę. Nie podam ci dokładnego adresu, ale mogę zawęzić teren, gdzie przebywają, do jednego z dwóch hoteli, które stoją naprzeciw siebie na tej samej ulicy. Słuchaj uważnie, stoją naprzeciw siebie w Brentwood w stanie Tennessee.

- W Brentwood?

- To przedmieście Nashville. Tuż przy międzystanowej numer sześćdziesiąt pięć.

Maggie odłożyła nóż, opierając go o talerz, i usiadła prosto. Wzięła głęboki oddech, czuła się, jakby ktoś pozbawił ją powietrza.

- Oni wciąż ją śledzą - stwierdziła. - Jakim cudem? Mają jego telefon, nie jej.

- Zgaduję, że dzięki dostępowi do jego poczty dostali się do jej skrzynki.

- To możliwe?

Alonzo roześmiał się szczerym, gardłowym śmiechem, aż Maggie musiała ściszyć dźwięk w słuchawkach. W kawiarni robiło się tłoczno, pojawiła się kolejna fala pasażerów. Maggie lustrowała twarze wchodzących, myśląc gorączkowo.

Sprawa okazała się poważniejsza, niż się spodziewała. A do tego czyżby był w nią zamieszany zastępca dyrektora Kunze? Mowy nie ma, żeby mu wyjawiała, nad czym pracuje. Ale co z Frankie Russo? Musi ją ostrzec, powiedzieć, że ma rację, że jest śledzona.

Zerknęła na zegarek. Russo powinna już być w drodze.

Potem żołądek podszedł jej do gardła.

Może już ją zabili.

- Wybacz, Maggie - odezwał się w końcu Alonzo, a ona nawet nie wiedziała, za co ją przeprosza. - Za mało snu i za dużo kofeiny. A odpowiadając na twoje pytanie, tak, to możliwe. Jeśli uzyskali dostęp do jej skrzynki pocztowej, mogli zobaczyć potwierdzenie rezerwacji z hotelu. Nawet jeśli płaciła gotówką, hotel pewnie prosił o ją o adres mejlowy na przykład żeby wysłać jej rachunek. Większość ludzi robi to bez zastanowienia. Podajemy nasze adresy mejlowe równie łatwo, jak numery telefonów. Russo pewnie wcale

się nad tym nie zastanawiała. - Znów urwał, a kiedy ponownie się odezwał, mówił ciszej: - Powiem ci, że jeśli mam rację, to jest to poziom wyrafinowania przekraczający talenty niezbędne do takiego włamania, jakiego dopuścili się Tyler Gates i Deacon Kaye. Ci mordercy to nie są zwyczajni bandyci. To świetni profesjonaliści.

- Sądzisz, że już się nią zajęli? - spytała.

Zamilkł. Cisza trwała tak długo, że Maggie zrozumiała, iż Alonzo o tym nie pomyślał.

- Szczerze? Nie wiem. Ale to już twoja specjalność, agentko O'Dell.

- Muszę się z nią skontaktować. Zadzwoń do mnie, jeśli czegoś się dowiesz.

Hanna podała jej numer telefonu na kartę Frankie, a Maggie wpisała go do swoich kontaktów. Bardzo dawno już nie korzystała z takiego telefonu i nie była pewna, czy telefon na kartę identyfikuje numer dzwoniącego. Frankie może nie odebrać. Znalazła jej numer i wybrała połączenie, modląc się w duchu, żeby Frankie odebrała. Jak ma jej wytłumaczyć, że być może już ją zawiodła?

Słyszała dzwonienie telefonu po drugiej stronie.

Odbierz, Frankie, odbierz, proszę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Alabama

Wczesnym rankiem, właściwie przed świtem, Frankie Russo stała przy oknie i zobaczyła ich - skręcili do luksusowego hotelu. W pierwszej chwili pomyślała, że coś jej się przywidziało. Była śmiertelnie zmęczona. Powieki jej opadały, ledwie widziała na oczy. Po zjedzeniu posiłku, który wieczorem przyniesiono jej do pokoju, poczuła, że jest ledwie żywa, a mimo to nie mogła zmrużyć oka.

I tak o czwartej nad ranem przycupnęła, wypatrując przez okno na trzecim piętrze, zupełnie jakby ich oczekiwała. Wybrała ten hotel, ponieważ był tu tylko jeden wjazd na parking. Teraz, prawie w ciemności, kiedy tylko latarnie oświetlały wnętrze samochodu, Frankie dostrzegła wielką kwadratową głowę kierowcy osadzoną na potężnych barach, które wyglądały jak czołg.

O tej porze na zapełnionym samochodami parkingu nie było żywego ducha. Zamiast jeździć w kółko, czarny sedan zaparkował pod wiatą. Kiedy mężczyzna wysiadł z samochodu, Frankie nie miała już wątpliwości, że to człowiek z blizną na szyi, choć samej blizny stąd nie dostrzegła. Wiedziała za to, że to ten sam człowiek, który zabił Tylera, ten sam, którego zauważyła na lotnisku, gdzie jej szukał. Pasażer na razie nie wysiadł, siedział w cieniu.

Frankie wszystko wcześniej sprawdziła i zaplanowała ucieczkę, zanim w ogóle weszła do hotelowego pokoju. Zaplanowała nawet porę. Nie rozpakowywała torby, po prysznicu nie włożyła piżamy, tylko przebrała się w czyste ubrania. Kiedy zobaczyła samochód, wsunęła stopy w buty i pozbierała kilka przedmiotów, które zostawiła na biurku i w łazience. Jeszcze raz zerknęła przez okno. Samochód wciąż stał przed wejściem od frontu.

Chwilę później Frankie zbiegała schodami do drzwi na tyłach budynku. Zaparkowała forda eskorta ledwie kilka kroków dalej, z głównego wejścia nie było go widać. Dzięki jednemu wjazdowi na parking mogła ich obserwować, ale wiedziała, że będzie musiała wyjechać stąd inną drogą. Na tyłach hotelu znalazła niewielkie wzniesienie porośnięte ozdobnymi roślinami, które łączyło hotelowy parking z parkingiem sąsiedniego budynku. Tak jak miała nadzieję, jej mały SUV pokonał ten teren, nie niszcząc żadnych roślin. Po niespełna dziesięciu minutach znalazła się na drodze międzystanowej.

W tym momencie od Montgomery dzieliła ją godzina drogi. Wciąż z całej siły zaciskała palce na kierownicy. Nie przestawała

obserwować tylnego i bocznych lusterek. Wiedziała, że jej jedyna przewaga polega na tym, że ich wyprzedziła. Nie miała pojęcia, kiedy odkryją, że opuściła hotel, ale była pewna, że to odkryją.

Czy miała godzinę przewagi? Dwie godziny? Dwadzieścia minut? I jak, do diabła, ją znaleźli?

Gdy tylko mogła znów oddychać, przypominała sobie wszystko, co robiła, usiłując dojść do tego, czy mimowolnie dała im jakąś wskazówkę. Jak to możliwe? Jeśli byli w stanie wyśledzić jej telefon, mogli wiedzieć, że jest w okolicy Nashville, ale jak odgadli, który hotel wybrała?

Nikommu prócz Hanny tego nie mówiła. A Hanna nikomu by tego nie zdradziła. Poza... Czy Hanna przekazała to tej agentce FBI?

Frankie wróciła myślą do słów swojej asystentki na temat mężczyzn, którzy czekali na nią w agencji. Twierdzili, że to oficjalna sprawa. Czy to mogli być jacyś funkcjonariusze?

Nie, powiedziała sobie. Potrząsnęła głową i spojrzała sobie w oczy w tylnym lusterku. Agentka FBI była przyjaciółką Hanny. Hanna jej ufała.

- Jesteś skołowana z tego niewyspania. Daj spokój, Frankie - skarciła się na głos. - Policja nie strzela do hakerów komputerowych na ulicy.

Kiedy po raz ostatni zatrzymała się na stacji benzynowej - tylko po benzynę - wysłała do Hanny SMS-a z informacją, że jest w drodze. Nic więcej nie napisała. Hanna już i tak była chora ze zmartwienia, a ona nie chciała jej dokładać trosk. Poza tym przyjaciółka nie mogła zrobić dla niej nic więcej.

Frankie była w takiej paranoi, że nawet nie włączyła telefonu na kartę. Co gorsza, na horyzoncie, na zachodzie, zbierały się ciemne burzowe chmury. Było ciepło i parno, ale deszcz zmył wszystko do czysta. Po długiej zimie w Chicago powinna się cieszyć piękną zielenią przetykaną barwnymi plamami wzdłuż drogi. Jednak nie była w stanie patrzeć gdzie indziej, niż tylko w lusterka samochodu.

Wiedziała, że gdzieś tam są i jadą za nią.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Panhandle, Floryda

Brodie poważnie obawiała się wizyty matki, ale obiecała Ryderowi, że się na nią zgodzi. Teraz, gdy przyszła na to pora, nie chciała nawet o tym myśleć.

- Musisz dać mamie trochę luzu - poradził Ryder.

- A czemu ty nie jesteś z nią blisko? - chciała wiedzieć.

Cisza, która zapadła, powiedziała jej więcej, niż wyraziłyby jego słowa.

Pierwsze dni pobytu w szpitalu w Omaha pamiętała jak przez mgłę. Była odwodniona, niedożywiona i zmagająca się ze skutkami leków o działaniu narkotycznym. Pamiętała, jak się budziła i widziała siedzącego przy jej łóżku Rydera, ale z początku często nie była nawet pewna, kto to jest. Widziała mężczyznę, a nie czternastoletniego chłopca, którego zostawiła przed laty. Na domiar złego dręczyły ją koszmary i słyszała głos Iris Malone, który wciąż nie chciał jej opuścić.

Po raz pierwszy Brodie zobaczyła matkę na ekranie telewizora, gdy prowadziła swój poranny program. Ryder skakał po kanałach szpitalnej telewizji, aż go znalazł. To była kolejna rzecz, która nie dawała jej spokoju. Czemu matka nazywa się Olivia James, a nie Olivia Creed? Zadała to pytanie Ryderowi, a w odpowiedzi usłyszała, że musi spytać o to matkę.

Ale dlaczego jej brat nie był z nią blisko?

Ryder odparł:

- To długa historia. Nie ma z tobą nic wspólnego.

- Jesteś pewien?

- Tak. Poza tym to już nieważne. Ona chce być częścią naszego życia. Powinnaś przynajmniej dać jej szansę.

Po wszystkim, co Ryder dla niej zrobił, Brodie zgodziła się spróbować. Nawet terapeutka pochwaliła ten pomysł i dodała:

- Pani matka nie jest złą kobietą, jak przedstawiała ją Iris Malone.

Brodie wiedziała, że Iris ją okłamywała, tyle że to wcale nie ułatwiało wymazania z pamięci tego wszystkiego, co wbijała jej do głowy przez minione szesnaście lat. Nie pomagał też fakt, że kłamstwa Iris karmiły się poczuciem winy Brodie. Przecież była nieposłuszną córką. Nic dziwnego, że rodzice byli na nią źli. Nic dziwnego, że chcieli ją ukarać.

Koszmar ostatniej nocy i deszcz wyraźnie przywołały wspomnienie tamtego dnia. Zbyt wyraźnie. Czasami wydawało jej

się, że od tamtej pory minęły całe wieki. Innym znów razem, że to było wczoraj.

Tamtego dnia też padało. Czytali z Ryderem nowe książki podarowane im przez babcię, tata zaś słuchał radiowej transmisji meczu futbolu amerykańskiego. Całą drogę był w kiepskim humorze. Mama została z babcią, więc Brodie doszła do wniosku, że tata tak się denerwuje, bo wracają do domu bez niej.

Zatrzymali się na parkingu, ponieważ Brodie chciała skorzystać z toalety. Może to głupie, ale do tej pory pamięta, jak radośnie i beztrudnie przeskakiwała przez kałuże z nową książką pod pachą. Tylnie czerwone światła i przednie reflektory samochodów mrugały i połyskiwały w deszczu – czerwone i pomarańczowe, żółte i zielone. Nie bała się ani trochę.

Kiedy wyszła z kabiny, przy umywalce stała jakaś dziewczynka. Chuda o długich, prostych i strąkowatych włosach. W pierwszej chwili Brodie pomyślała, że dziewczynka jest chora. Była taka blada i smutna. Powiedziała, że ma na imię Charlotte i spytała, czy Brodie miałyby ochotę zobaczyć jej nowego szczeniaczka.

Brodie zbyt późno zdała sobie sprawę, że to powinien być dla niej sygnał ostrzegawczy. Czemu dziewczynka wyglądała tak smętnie, skoro właśnie dostała nowego szczeniaka? Może wcale go nie chciała. Może zamierzała się go pozbyć i oddać go Brodie? Ale chwilę później oczarowana rozglądała się po kamperze, w którym mieszkała Charlotte. Dziewczynka wspięła się do środka po schodkach, a Brodie weszła zaraz za nią. Wewnątrz wyglądało to jak prawdziwy dom, choć na kółkach. Było tam tak ładnie. Uśmiechnięta kobieta zaprosiła ją dalej. Pokazała jej, że można tam oglądać telewizję, siedząc na sofie – „Chodź, usiądź sobie” – i gotować posiłki, patrząc przez okno na mijaną wiejską okolicę.

Brodie nigdy jeszcze nie była w takim kamperze. Iris zaproponowała jej krótką przejażdżkę, żeby poczuła, jak wygląda taka jazda. Brodie nie zwracała wielkiej uwagi na mężczyznę za kierownicą ani na chłopca siedzącego na miejscu pasażera. Prawie zapomniała o szczeniaku Charlotte, którego nigdzie nie było widać.

Kiedy Iris wyciągnęła telefon i powiedziała, że zadzwoni do rodziców Brodie, żeby spytać, czy wyrażają na to zgodę, Brodie tylko skinęła głową, pijąc koktajl mleczny, który kobieta przygotowała dla niej i dla Charlotte.

Pamiętała, że była zafascynowana jazdą. A gdy w końcu zastanowiła się, skąd kobieta zna jej rodziców, była już senna, tak senna, że ledwie poruszała rękami.

To była jej wina. Jej niemądra decyzja. Iris Malone powtarzała to Brodie tyle razy, że taka musiała być prawda.

Kiedy Iris oznajmiła, że rodzice już jej nie chcą, Brodie jej uwierzyła. Mimo to chciała z nimi porozmawiać. Błagała Iris, żeby pozwoliła jej wyjaśnić rodzicom, co się wydarzyło, i przeprosić ich, ale Iris stwierdziła, że już na to za późno. Że nie życzą sobie nigdy więcej jej widzieć.

- Powiedzieli mi, żebym cię zatrzymała - rzekła Iris. - Ale ty jesteś tak nieznośna, że nie wiem, czy tego chcę.

Kiedy rodzice po nią nie przyjeżdżali, Brodie wiedziała już, że to musi być prawda. Iris twierdziła, że poinstruowała ich dokładnie, dokąd mają po nią przyjechać. Kiedy się ma jedenaście lat, wierzy się dorosłym. W końcu czemu mieliby kłamać?

Dziesiątki razy Iris Malone rozmawiała z matką Brodie przez telefon. Teraz Brodie wiedziała, że Iris udawała. Ale wówczas słyszała tylko rozmowę z jednej strony i wierzyła, że to dzieje się naprawdę. Iris robiła to tak przekonująco, że Brodie, kiedy jej słuchała, dostawała skurczów żołądka i zalewała się łzami. A gdy wreszcie sobie uprzytomniła, że Iris jest złą kobietą, zapomniała już, co było prawdą, a co kłamstwem. Była zbyt przerażona, zbyt głodna, zbyt zmęczona albo zbyt zziębnięta. Nie pamiętała, czy jest Brodie, czy może Charlotte. Po jakimś czasie stało jej się to obojętne.

W pewnym momencie nawet jej ulżyło, że uwolniła się od Brodie. Bo Brodie była przestraszona beksą i nieznośną egoistką, która nie słucha swoich rodziców. Za to Charlotte... Ona była dzielna i silna.

Kiedy Ryder po raz pierwszy, jeszcze w szpitalu, powiedział jej, że razem z matką przez lata jeździli po kraju, szukając jej wszędzie, Brodie nie była pewna, czy może mu wierzyć.

Natychmiast to dostrzegł i stwierdził:

- Coś ci powiem. Obiecuję, że nigdy cię nie okłamię.

- Bez względu na wszystko? - spytała.

- Bez względu na wszystko.

- Nawet jeśli prawda będzie bolesna?

Wciąż pamiętała wyraz jego twarzy: połączenie smutku, troski i mnóstwo wahania.

- Prawda nie może wyrządzić tyle krzywdy, ile wyrządziły już kłamstwa - oznajmiła mu tamtego dnia, nie mając pojęcia o cierpieniu i smutku, które narodzą się po tym, co musiał jej powiedzieć.

Ich babcia zmarła zaledwie parę miesięcy po porwaniu Brodie.

- To nie była twoja wina - zapewniał Ryder. - Babcia była ciężko chora, kiedy ostatnio ją odwiedziliśmy, pamiętasz?

- A tata? - spytała. - Co się z nim stało?

Tej historii nie opowiedział jej od razu. Jak znalazł ich ojca z kulką

w skroni.

- Mama go obwiniała, prawda? - spytała Brodie.
- Nie musiała tego robić, sam się obwiniął.
- Czy dlatego się rozwiedli?
- Musisz ją spytać.

Z początku to było dla niej zbyt wiele, nie mogła tego wszystkiego pojąć. Jej zniknięcie miało druzgocące konsekwencje dla rodziny, dla wszystkich, których kochała, i automatycznie chciała wziąć całą winę na siebie. To była jej wina. Sama wszystkiemu była winna. Iris Malone wbiła jej to do głowy. Okazała się tak głupia, że poszła za obcą dziewczynką o imieniu Charlotte.

W tym momencie Brodie wpadło do głowy coś, o czym wcześniej nie pomyślała. Może ma szczęście, że Ryder o nic jej nie wini. Że wbrew wszystkim kłamstwom Iris matka nie ma jej za złe, że wtedy się oddaliła i wsiadła do tamtego kampera.

Ale jak mogła sama siebie nie winić?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Na południe od Montgomery, Alabama

Maggie czuła, że napięcie usztywnia jej plecy. Zmieniając pas, wyregulowała siedzenie w wynajętym samochodzie. Telefon na kartę Frankie Russo nie odpowiadał. Maggie nagrała jej kilka wiadomości głosowych, ale najwyraźniej Russo ich nie odsłuchiwała.

Albo nie sprawdzała wiadomości, albo nie była w stanie tego zrobić.

Jeśli agent Alonzo się nie mylił, mężczyzna, który zamordował Tylera Gatesa i zabrał jego telefon, przed świtem dotarł do tego samego hotelu, gdzie zatrzymała się Russo. Jeśli zdołała uciec, musiała się starać, żeby w drodze z Nashville do Montgomery morderca nie przerwał jej podróży sfingowanym wypadkiem samochodowym. Maggie wiedziała, że tę odległość pokonuje się w cztery godziny.

Zerknęła na panel nawigacji. Za dziesięć minut dotrze do restauracji. A więc niedługo wszystkiego się dowie. Problem w tym, że nie wiedziała, co robić, jeśli Frankie się nie pojawi.

Przez większą część podróży z Atlanty Maggie właśnie to rozważała, analizując rozmaite ewentualności.

Jeśli Russo nie odpowie na jej telefon do chwili, kiedy Maggie przekroczy granicę Georgii i Alabamy, zadzwoni do Hanny.

Minęła już tę granicę.

Potem postanowiła, że zadzwoni do Hanny dopiero wtedy, jeśli Russo nie oddzwoni do momentu, kiedy ona zatrzyma się na stacji benzynowej, żeby napełnić bak. Za każdym razem Maggie sama odводziła się od własnego planu, mówiąc sobie, że nie ma powodu niepokoić Hanny, dopóki czegoś się nie dowie. Szczerze mówiąc, martwiła się, że już zawiodła Hannę.

Podczas ostatniego postoju Maggie zadzwoniła do Rydera. Usiłowała mówić tak zwyczajnie, jak to tylko możliwe. Z powodu rozmaitych domysłów dotyczących Russo tętno jej szalało. Tak w każdym razie sobie to tłumaczyła.

- Hanna wspomniała, że pracujesz niedaleko Montgomery. Jesteś tam jeszcze?

- Tak, wciąż tu tkwimy z Jasonem. Podobno zapowiada się dzisiaj pogodowe szaleństwo.

Słyszac, że Jason jest z Ryderem, Maggie poczuła rozczarowanie, a zaraz potem ulgę. W następnej chwili chciała się kopnąć. Ta ulga tylko potwierdzała, że jest wielkim tchórzem. Gwen miała rację.

- Spotykam się z przyjaciółką Hanny na lunchu w restauracji na południe od Montgomery, później pojedzie do was. Jeśli macie z Jasonem czas, może wpadniecie na kawę, zanim ruszę do Atlanty?

- Dobry pomysł.

W jego głosie nie słyszała wahania. Wydawał się szczerze ucieszony. Podała mu adres Niebiańskich Smaków i rozłączyła się. Nadal nie miała pojęcia, co pocnie, jeśli Frankie nie przyjedzie. Potem pomyślała, że Ryder będzie mógł jej pomóc ją odnaleźć. Ta świadomość podniosła ją na duchu. Mierzyli się już razem z o wiele trudniejszymi zadaniami.

Teraz, pokonując zjazdy i ulice, pozwoliła sobie na odrobinę ekscytacji. Chciała zobaczyć Rydera. Kilka miesięcy temu wmówiła sobie, że musi dać mu czas i przestrzeń, żeby pomógł siostrze uporać się z jej problemami. Prawdę mówiąc, sama miała pewien problem z poradzeniem sobie z własnymi uczuciami... z zaprzeczeniem tym uczuciom. Była dobra, niemal zbyt dobra, w segregowaniu swoich emocji i umieszczaniu niektórych z nich w szczelnie zamkniętych szufladkach, po to, by radzić sobie z tym wszystkim, czego doświadczała na miejscach zbrodni. Ze wszystkimi negatywnymi skutkami pracy nad profilami psychologicznymi szaleńców i seryjnych morderców. Mówiła sobie to, co chciała słyszeć. Ale Gwen miała rację. Maggie wiedziała, że jest nie w porządku wobec Rydera.

O mały włos nie minęła wejścia do restauracji. Spodziewała się podrzędnego baru wciśniętego gdzieś na tyłach ruchliwego skrzyżowania, jednak restauracja Niebiańskie Smaki okazała się dużym wolno stojącym budynkiem. Po drugiej stronie ulicy osiemnastokątne ciężarówki z przyczepą zajmowały wszystkie wolne miejsca, napełniając baki na stacji benzynowej z minimarketem. Niektóre parkowały z boku, a kierowcy wybrali się do restauracji.

Maggie przyjechała przed czasem i stanęła w odległym rogu w cieniu pięknej kwitnącej magnolii. Kiedy otworzyła okno, uderzyło ją upalne i parne powietrze, które natychmiast zaparowało okulary przeciwsłoneczne. Zamknęła okno i zapaliła znów silnik, żeby czekać przy włączonej klimatyzacji.

Podczas całej podróży obserwowała, jak błękitne niebo zasnuwa coraz więcej chmur, a teraz chmury zaczynały wyglądać coraz groźniej. Niewiele widziało się już błękitu, ale to nie był pierwszy pobyt Maggie na Południu. Występowały tu gwałtowne burze z ulewami, które szybko mijały. W niektórych okresach roku zdarzały się codziennie. Maggie nie włączyła radia, ponieważ nie chciała przeoczyć telefonu od Russo.

Sprawdziła swoją komórkę. Nie miała żadnej nowej wiadomości od agenta Alonza ani od Frankie Russo. Wyświetliła ściągnięte zdjęcie Russo i porównywała je z kobietami wchodzącymi do restauracji. Więcej gości opuszczało budynek, niż do niego wchodziło. Hanna mądrze wybrała godzinę spotkania.

Kilka samochodów wyjechało z parkingu. Kierowca ciężarówki zostawił swoje auto na stacji benzynowej i przeszedł na drugą stronę do restauracji. Na parkingu pojawił się za to czarny sedan, jeździł powoli wzdłuż alejek, jakby kierowca szukał miejsca. A przecież miejsc tam nie brakowało. Maggie uniosła wyżej telefon, żeby ktoś, kto zwróci na nią uwagę, pomyślał, że czyta wiadomości. Kiedy samochód przeciął jej alejkę, zrobiła kilka zdjęć, na jednym udało jej się uchwycić profil kierowcy, na drugim tablicę rejestracyjną.

Obserwowała sedana, który zrobił ostatnią pętlę, a potem, jakby nigdy nic, wyjechał z parkingu. Odprowadzała go wzrokiem aż do wjazdu na drogę międzystanową. Z tego, co zdołała zobaczyć, auto skręciło na północ.

Może to nic nie znaczy. Może to był podróżny, który zablądził, lub ktoś, kto zmienił zdanie i zrezygnował z wizyty w restauracji. Wyświetliła zdjęcie z tablicą rejestracyjną i przesłała je do agenta Alonza. Zajęło jej to nie więcej niż minutę, a jednak gdy znów podniosła wzrok, ujrzała małego SUV-a, który właśnie pojawił się na parkingu i robił dokładnie to samo co tamten sedan.

Samochód jeździł wzdłuż alejek w tę i z powrotem, a kobieta za kierownicą kręciła głową z boku na bok, jakby szukała najlepszego miejsca. Wreszcie zdecydowała się zaparkować w odległym rogu. Dopiero kiedy się tam cofała, Maggie zrozumiała, że stamtąd jest widok na cały parking.

Maggie usiadła prosto, uniosła znów rękę z telefonem, zasłaniając twarz. To nie było konieczne. Kobieta nie patrzyła w jej stronę, wysiadając z samochodu. Miała kołtun ciemnych włosów. Była ubrana w niebieskie dzinsy, T-shirt i buty do biegania. Miała też ogromne okulary przeciwsłoneczne. Odwróciła głowę w stronę ulicy, potem spojrzała na stację benzynową naprzeciw restauracji. Zdecydowanie za kimś się rozglądała, ale szła naprzód pewnym krokiem. Może wiedziała, że ktoś ją obserwuje.

Maggie odprowadziła ją wzrokiem aż do drzwi restauracji, po czym szepnęła:

- Tak się cieszę, że widzę cię żywą, Frankie Russo.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Niebiańskie Smaki Na południe od Montgomery, Alabama

Frankie Russo odnosiła wrażenie, że wszystkie końcówki jej nerwów są w stanie czujności. Od wyjazdu z Nashville funkcjonowała na adrenalinie. Jej umysł pracował nieustająco, nie chciał się wyłączyć. Powieki miała ciężkie niczym ołowiane żaluzje. Wilgotne powietrze skręciło jej włosy, zamieniając je w falujący kołtun. W pewnym momencie, kiedy spojrzała na siebie w tylnym lusterku, nie rozpoznała osoby, która na nią patrzy. Za to gdy tylko przekroczyła próg restauracji, zapach świeżo pieczonego chleba i smażonych na maśle potraw przywołał dobre uczucia i dobre wspomnienia.

Całą drogę powtarzała sobie, że musi dotrzeć do Niebiańskich Smaków. Po prostu tu dotrzeć. Szybko jednak uświadomiła sobie, że to miejsce oferowało zdecydowanie fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Nie wolno jej usnąć czujności. Nie tutaj. Jeszcze nie.

Hostessa zaprowadziła Frankie do stolika na środku sali.

- Czy mogłabym zamiast tego usiąść w tamtym boksie przy oknie?

Hostessa wyglądała na niezadowoloną. Frankie widziała, że w boksie wciąż stały brudne talerze. Właśnie minęła pora lunchu, kiedy gości nie brakowało.

- Od wschodu słońca siedziałam za kierownicą - oznajmiła Frankie, przybierając znajomy południowy akcent. - Dobrze mi zrobi, jak usiądę przy oknie.

- Proszę, o ile pani poczeka, aż sprzątnę ze stolika.

- Oczywiście.

Po najwyżej dwóch minutach Frankie mogła zająć miejsce w boksie. Kelnerka podała jej menu, stawiając przed nią szklanek wody i smażone pikle z ogórków w panierce.

- Co mogę ci podać, kochana?

Choć wydawało się to dziwne, kelnerka wyglądała znajomo, aż Frankie zastanowiła się, czy pracowała tu, gdy były z Hanną dziećmi. Kobieta mogła mieć pięćdziesiąt kilka lat, była wysoka i chuda, z głębokimi zmarszczkami wokół ust i w kącikach oczu. Mocno zaznaczone brwi nadawały jej wygląd wiecznie zniecierpliwionej. Frankie spojrzała na jej plakietkę z imieniem.

- Czekam na przyjaciółkę, Rito, ale chętnie napiję się kawy.

- Zaraz podam, kochana.

Frankie sięgnęła po smażonego ogórka i przyjrzała się pozostałym gościom. Wybór tego boksu był dobrą decyzją. Siedząc tyłem do ściany, miała dogodny widok na wszystkich przy stolikach, a także tych, którzy dopiero wchodzili do restauracji. Kilka osób zmierzało zapłacić rachunek. Co najmniej dziesięć siedziało przy stolikach i właśnie jadło albo czekało na zamówienie. Boks w pobliżu drzwi zajmował potężny mężczyzna w czapce bejsbolówce. Dobrze ubrany starszy pan jadł kawałek ciasta przy ladzie baru. Przy stoliku obok tego, gdzie hostessa chciała posadzić Frankie, siedziały dwie kobiety, którym właśnie podano lunch. Na stoliku pary w średnim wieku w drugim kącie sali zostały już tylko filiżanki z kawą. Mężczyzna wyciągnął rękę ponad stolikiem i dotknął dłoni kobiety. Ona mocno się zaczerwieniła i zbyt szeroko uśmiechnęła. To musiała być nowa znajomość.

Kiedy Frankie przekonała się, że mężczyzny z blizną tu nie ma – jeszcze nie ma – załapała ją fala ulgi. Natychmiast jednak jej niepokój wzrósł odrobinę, gdy zdała sobie sprawę, że nie ma także agentki FBI.

Rita przyniosła jej kawę i mały przykryty koszyk.

- Coś do przegryzienia – powiedziała – zanim pani przyjaciółka się zjawi.

Frankie uniosła płócienną serwetkę i poczuła zapach maślanych ciepłych bułeczek. Ślinka napłynęła jej do ust. Skończyła smażonego ogórka i wyciągnęła jedną z bułeczek spod serwetki. W oknie ujrzała swoje odbicie, jednocześnie lustrując parking.

Przeczesała palcami włosy, starając się wygładzić niesforne loki. Ta restauracja i jej odbicie w szybie przypomniały Frankie pierwsze lato, które spędziła z Hanną i jej dziadkami. Babcia Hanny próbowała ujarzmić jej włosy wstążkami i spinkami. W końcu ją ubłagała, żeby zaplotła włosy w cienkie warkoczyki zaczesane rzadkami do tyłu, takie same, jakie nosiła Hanna.

Gdy ojciec zobaczył ją w tej fryzurze, roześmiał się, ale jakoś tak serdecznie. Nigdy wcześniej ani później nie słyszała, żeby się tak śmiał. Na samą myśl o tym uśmiechnęła się pod nosem.

Jej ojciec tak bardzo lubił i szanował dziadka Hanny, że byłby szczęśliwy, gdy dziadkowie Hanny na stałe zajmowali się Frankie. Zresztą tak byłoby lepiej. Zamiast tego Frankie musiała żyć z żalem i rozpaczą ojca, wciąż wypatrując, kiedy znów będzie mogła uciec do Hanny.

Po raz pierwszy zwróciła uwagę, że słońce całkiem zniknęło. Podczas ostatniej godziny podróży obserwowała, jak chmury burzowe zbierają się na zachodzie. Mimo to słońce prażyło nieubłaganie. Temperatura zbliżała się do 32 stopni Celsjusza,

a z powodu wilgotności powietrza człowiek czuł się, jakby powoli się gotował. Wewnątrz wypożyczonego SUV-a właściwie tego nie zauważała, ale wystarczyło, że wysiadła zatankować. Wyjeżdżała z Chicago w kurtce, nie myśląc o tym, że dwadzieścia cztery godziny później będzie marzyła o krótkich spodenkach.

W drzwiach pojawili się kobieta i mężczyzna. Frankie sądziła, że są razem do momentu, kiedy mężczyzna usiadł przy barze, zaś kobieta wciąż stała i czekała. Po chwili podszedł do niej nastoletni chłopak, a zaraz potem hostessa, żeby zaprowadzić ich do stolika.

Mężczyzna miał na sobie spodnie khaki i zieloną koszulkę polo od modnego projektanta, z niewielkim logo na kieszonce na piersi. Miał pięćdziesiąt kilka lat, może był tuż po sześćdziesiątce. Kiedy Frankie zaczynała pracę w agencji reklamowej i miała obsesję na punkcie profilu demograficznego ludności, potrafiła lepiej ocenić wiek. Jedno nie ulegało wątpliwości: ten gość miał w sobie coś, co budziło jej niepokój. Nie była jednak w stanie określić, co to takiego. Z jakiegoś powodu sprawiał wrażenie, jakby tu nie pasował. Nie wyglądał na kogoś, kto wpadł do tej knajpy na sobotni lunch. Może była wyczerpana, ale intuicja już kilka razy uratowała jej tyłek. Zanim przyjrzała mu się dokładniej, spostrzegła, że do restauracji weszła kolejna kobieta.

Frankie wystarczył jeden rzut okiem. To była agentka FBI.

Miała sięgające ramion kasztanowe włosy, nosiła niebieskie dżinsy i buty na płaskim obcasie, była dosyć wysoka. Pod cienką bluzką koszulową z kołnierzykiem miała T-shirt z dekoltem w kształcie litery V. Dość szeroka koszula była rozpięta, kobieta podwinęła rękawy i nie schowała jej do spodni, żeby ukryć pod nią kaburę z bronią. Nikt, kto by się specjalnie nie przypatrywał i nie spodziewał tego ujrzeć, nie dojrzałby pasa ani broni.

Kobieta rozejrzała się po sali, zdjęła okulary przeciwsłoneczne i odczekała chwilę, by jej oczy przyzwyczyły się do zmiany światła. Zlokalizowanie Frankie nie zajęło jej więcej niż sekundę czy dwie, zaraz potem ruszyła prosto w jej kierunku. Usiadła w boksie naprzeciw Frankie, położyła ręce na stoliku i splótła palce.

Potem się uśmiechnęła i powiedziała:

- Cześć, Frankie, jestem Maggie O'Dell.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Panhandle, Floryda

Ryder powiedział Brodie, że ich matka siedziała przy niej w szpitalu w Omaha. Brodie tego nie pamiętała. Podpięta do kroplówek i podłączona do rozmaitych urządzeń monitorujących, żyła jak w delirycznej gorączce. Ryder powiedział też, że spała nerwowo, ni stąd, ni zowąd się podrywała, szeroko otwierała oczy, wymachiwała pięściami i kopała nogami, nie mając pojęcia, gdzie się znajduje. W całym tym chaosie jedno wydawało się niezaprzeczone. Obecność matki wprawiała Brodie w tak wielką panikę, że po kilku dniach lekarze poprosili ją, żeby wyjechała.

Brodie nic z tego nie pamiętała, za to nigdy nie zapomni ostatnich dni spędzonych w zamknięciu i odosobnieniu. Te chwile niczym zapętłony koszmar odtwarzały się w kółko w jej pamięci. Choć leżała w zlanym potem szpitalnym łóżku, zdawało jej się, że nadal tkwi uwięziona w domu Bożego Narodzenia, gdzie przetrzymywała ją Iris Malone.

Stary zaniedbany budynek na farmie, niespełna półtora kilometra od domu Iris, stał opuszczony, odkąd Iris i jej brat Eli Dunn przenieśli swoją matkę do ośrodka opiekuńczego. Stara kobieta uwielbiała Boże Narodzenie, jej dom wciąż wyglądał tak, jak go zostawiła, nietknięty przez całe lata, już na zawsze udekorowany i gotowy na święta.

Dla Iris Malone dom Bożego Narodzenia był ostatnim przystankiem dla wszystkich Charlotte, których chciała się pozbyć. Zostawiała je tam swojemu bratu, żeby je stamtąd zabrał i zrobił z nimi, co tylko zechce. Eli niektóre z nich sprzedał, inne zamordował, a potem ukrył ich ciała.

Iris Malone twierdziła, że nie miała pojęcia, co jej brat robił z tymi dziewczynkami. Teraz, gdy Eli już nie żył – podobnie jak jej syn Aaron – Iris mogła mówić, co chciała, bo nikt nie był w stanie udowodnić jej kłamstwa.

Przez ostatnie lata uwięzienia, a zwłaszcza przez ostatnie dni, Brodie cierpiała wielki głód. Lekarze z Omaha twierdzili, że trzeba wiele czasu, żeby jej wyniszczony organizm doszedł do siebie. Kiedy ją znaleziono, była też w dużym stopniu odwodniona. Doktor Rockwood próbowała wytłumaczyć Brodie, jak jej umysł starał się to kompensować, okresowo się wyłączając nawet na długi czas.

Nazywała to trybem przetrwania.

Brodie wiedziała tylko, że niemal pięć miesięcy później nadal,

ilekroć pomyślała o matce, ogarniała ją panika. Rozumiała, że tak naprawdę matka nie jest niczemu winna. Chodziło o kłamstwa Iris Malone, które tak mocno zakorzeniły się i utrwaliły w umyśle Brodie. Wracały do niej bez wysiłku i bez ostrzeżenia.

„Jesteś nieznośną dziewczynką, dlatego twoi rodzice już cię nie chcą. Twoja matka powiedziała mi, żebym cię zatrzymała. Nie chce cię więcej widzieć”.

Ta kobieta była tak przekonująca, że Brodie nigdy nie wątpiła w jej słowa. Powtarzała je wiele razy, nawet trzymając słuchawkę przy uchu, jakby faktycznie rozmawiała z matką Brodie.

Brodie wiedziała, że nie powinna wciąż karać matki, trzymając ją na dystans. Matka okazała jej tyle cierpliwości, stosowała się do reguł ustanowionych przez lekarzy, a potem do życzeń Brodie. Wiedziała, że to nie w porządku, a jednak wciąż nie mogła powstrzymać nudności. Matka była ostatnim ogniwem, ostatnim przypomnieniem nikczemnych manipulacji Iris Malone.

Brodie oglądała matkę w telewizji z nadzieją, że ten obraz przywoła jakieś dobre wspomnienia. Jej program, *Stylowe życie z Olivią James*, był emitowany codziennie, a Hanna rzadko opuszczała któryś odcinek. Jednak kobieta na ekranie telewizyjnym zachowywała się i mówiła tak poprawnie, że Brodie ledwie ją rozpoznawała. Podpowiadała, jaką bieliznę pościelową wybrać, jak udekorować dom, podawała przepisy na pyszne dania, sama w ciągu godziny na antenie przygotowywała kulinarne arcydzieła.

Olivia James była celebrytką, na ekranie wyglądała na dużo wyższą i młodszą niż kobieta, która stała w kuchni Hanny. Owszem, ta była równie elegancka, spowita w strój z barwnego miękkiego materiału. Brodie prawie miała ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć jej rękawa. Prawie.

- Witaj, Brodie - powiedziała Olivia, a uśmiech uniósł kąciki jej warg. Przypominała Brodie babcię. Tak, ta starsza wersja matki bardzo przypominała babcię.

Brodie nie była w stanie wydusić słowa, więc tylko skinęła głową.

Hanna obiecała, że z nimi zostanie, bo matka i córka zgodnie uznały, że potrzebują mediatora.

Hanna odwróciła się od blatu i pokazała im, żeby usiadły przy stole. Instynktownie wybrały miejsca naprzeciw siebie. Po przeciwnych stronach.

Uwagę Brodie rozpraszało pudełko stojące na brzegu stołu. Było otwarte. Trochę niechętnie zajrzała do środka, po czym wstała, żeby się lepiej przyjrzeć.

W pierwszej chwili pomyślała, że to ciekawa menażeria: zabawki, filmy, książki. Jej uwagę przyciągnął biały smok. Nagle zdała sobie

sprawę, że to nie jest jakiś tam biały smok. To był jej smok Puff, Magiczny Smok, jeden z jej ulubionych pluszowych Beanie Babies.

Zaczęła przyglądać się reszcie, teraz już z uwagą. Stojąc nad pudełkiem, Brodie widziała w środku karty z wizerunkiem Pokemonów, kolejne Beanie Babies, książki o Harrym Potterze, książki Lemony'ego Snicketa, fioletowego pluszowego psa z różowymi uszami. Dotknęła go.

Niewiele myśląc, powiedziała:

- Eliza i szczeniak niespodzianka. - Futerko było wciąż miękkie jak wata cukrowa. Podniosła wzrok na Hannę i dodała: - Każdy taki pies miał wewnątrz szczeniaczki. Nie wiedziałaś, ile ich jest, dopóki nie wyjęłaś go z pudełka i nie zajrzałaś do jego brzucha. Mogły być dwa, trzy albo cztery. Moja Eliza miała pięć. - Jej ręce znieruchomiały, wyraźnie się zawahała.

- Śmiało - powiedziała Olivia.

Brodie wyjęła wypchanego psa z pudełka i odwróciła go. Ostrożnie rozpięła rzepy na brzuchu zabawki. Delikatnie wyciągnęła wszystkie pięć szczeniaczek. Zaciekawiona Kotka otarła się o jej nogi, więc Brodie pochyliła się i pokazała jej zabawkę. Kiedy znów się wyprostowała, spojrzała w oczy Olivii i spytała:

- Trzymałaś to wszystko?

- Oczywiście. Jest tego dużo więcej, ale przywiozłam tylko twoje ulubione rzeczy.

Brodie dotknęła grzbietów książek o Harrym Potterze, przypominając sobie, jak z Ryderem czytali je na głos na zmianę. Nie pamiętała, że było aż tyle tomów.

Matka odezwała się, jakby odgadła jej myśli:

- Kupowałam kolejne tomy, kiedy się ukazywały. Ryder nie chciał ich czytać bez ciebie, ale sądziłam... miałam nadzieję...

- Nie mogę uwierzyć, że to wszystko przechowałam.

- To część twojego życia. Po prostu nie byłam w stanie rozstać się z niczym, co mi ciebie przypominało.

Tym razem, kiedy Brodie spojrzała na matkę, w jej oczach dojrzała łzy. Przez wszystkie te lata, gdy Iris Malone ją okłamywała, Brodie ani razu nie pomyślała o bólu i poczuciu straty, jakich doświadczała matka. Zamiast tego spędzała bezsenne noce i przepełnione żalem tygodnie, zastanawiając się, czemu rodzice po nią nie przyjechali. Rozmawiali przez telefon z Iris, lecz ani razu nie poprosili jej do telefonu. Była zdruzgotana, zagubiona i zraniona, do głębi przekonana, że ją porzucili.

- Przepraszam - wyszeptła, spuszczaając wzrok i patrząc na Kotkę, wciąż ścisnęła w ręce pluszowego psa. Nie wiedziała, co

więcej powiedzieć.

- Nie masz za co przepraszać. Absolutnie.

Brodie podniosła wzrok i zobaczyła, że matka ociera oczy ze starannością, z niemal zimnym opanowaniem, które zdawało się przeciwieństwem emocji, jakie właśnie okazała. Nie mogła uciec od myśli, że cieszy się, iż matka nie próbowała jej uściskać. Było jeszcze za wcześnie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Na południe od Montgomery, Alabama

Creed i Jason załadowali cały sprzęt do dżipa i postawili klatkę Scouta obok klatki Grace. Choć Scout był trzy razy większy od Grace, wiedział, że to ona jest szefem. Kiedy wsiadał na tył samochodu, machał ogonem i zachowywał się z pokorą. Zawahał się nawet ze dwa razy, jakby czekał na jej pozwolenie.

- Cemu mnie ze sobą zabierasz? - spytał Jason.
- Co? Nie masz ochoty jechać?
- Czy wy dwoje... no wiesz... nie wolicie być sami?
- Wypijemy kawę, a potem ona jedzie do Atlanty. Co ty sobie wyobrażałeś? Że umówiliśmy się na bara-bara?

Zerknął na chłopaka. Jason odwrócił głowę i patrzył przez okno, ale Creed widział jego uśmiech w odbiciu w szybie.

- A ta przyjaciółka Hanny to fajna laska?
- Jest dla ciebie za stara.
- Czy Maggie nie jest od ciebie starsza?
Creed rzucił mu spojrzenie, a Jason uniósł rękę.
- Hej, tylko próbuję prowadzić rozmowę.
- Czy ktoś ci kiedyś mówił, że jesteś w tym wyjątkowo kiepski?
- Prawdę mówiąc, wszyscy i bez przerwy.

Całą noc padało. Ulice były mokre, a powietrze ciężkie od wilgoci. Zrobiło się parno. Po załadowaniu sprzętu, zanim Creed włączył klimatyzację, czuł, że T-shirt lepi mu się do pleców. Po niebie toczyły się szare chmury. Złowieszcze i nabrzmiałe wisiały tak nisko, że wyglądały, jakby lada moment mogły zahaczyć o wierzchołki drzew.

Kiedy Creed zjechał rampą na drogę międzystanową, Jason przestawiał stacje w radiu.

- Mamy już ostrzeżenie o tornadzie - powiedział, gdy znalazł stację nadającą prognozę pogody.
- Szeryf Krenshaw uprzedzał, że cały weekend ma być burzowy.
- Obaj byliśmy w Afganistanie. Czy może być gorzej?

Creed nie odpowiedział. Pamiętał samochód Garnerów. Był w takim stanie, jakby trafił na minę pułapkę. Ze stacji benzynowej została sterta cegieł i desek. Sosny łamały się na pół. Creed widział zaatakowane przez mózdzierze afgańskie wioski, z których pozostały jedynie puste ruiny domów. Trudno było jednak pojąć, że zniszczenia, które niedawno oglądali na tej ziemi, są dziełem wiatru, a nie ładunków wybuchowych.

Po niespełna dziesięciu minutach jazdy zobaczyli ciemne chmury zbierające się na zachodzie. W tej części droga międzystanowa została przedzielona szerokim pasem rozdzielczym zarośniętym wysokimi drzewami liściastymi tak gęsto, że nie sposób było dostrzec, co znajduje się po drugiej stronie. Tylko od czasu do czasu w szparze między drzewami Creed widział pasy ruchu prowadzące w przeciwnym kierunku.

Za nimi zrobiło się już na tyle ciemno, żeby jadące z tyłu samochody włączyły reflektory. Creed co rusz zerkał w lusterka i za każdym razem odnosił wrażenie, że szara masa podkradła się bliżej, pochłaniając ostatnie skrawki błękitu.

Wyciągnął szyję, aż mógł dojrzeć Grace. Przycisnęła nos do metalowej kraty drzwi klatki.

- Wszystko w porządku, Grace? - spytał.

Jason odwrócił się na siedzeniu.

- Pewnie czują burzę - powiedział.

- Ona na pewno czuje.

Jason patrzył przez tylną szybę.

- Człowieku, za nami robi się naprawdę nieciekawie.

W tym samym momencie program został przerwany i z radia huknęło ostrzeżenie. Automatyczny głos informował, że zaobserwowano tornado na ziemi, około dziesięciu kilometrów od Hayneville, które przesuwają się na północny wschód. Ostrzeżenie dotyczyło hrabstwa Lowndes.

- Gdzie jest Hayneville? - spytał Jason, wyjmując telefon i wpisując współrzędne. - Wygląda na to, że hrabstwo Lowndes jest za Butler. Czy nie tam byliśmy wczoraj? A teraz jesteśmy - spojrzał znów na telefon - w hrabstwie Montgomery. To musi być za nami.

Pilna informacja dobiegła końca i przyszła pora na normalną prognozę pogody, podczas której powtórzono ostrzeżenie. Creed zwiększył głośność.

- Mieszkańcy Hayneville, musicie poszukać schronienia. Zejdźcie na najniższy poziom waszego domu. Zjedźcie z drogi i wejdźcie do jakiegoś budynku. Jeśli jesteście w przyczepie, idźcie do sąsiadów. Nie zbliżajcie się do okien. Zakryjcie czymś głowy. Mieszkańcy hrabstwa Montgomery, musicie się przygotować na tornado. Krajowa Służba Meteorologiczna nie wydała jeszcze ostrzeżenia dla waszego hrabstwa, ale jeśli przebywacie w południowej części hrabstwa Montgomery, spodziewajcie się, że tornado ruszy w waszą stronę.

Jason odwrócił się i spojrzał przez tylną szybę.

- Zrobiło się naprawdę ciemno.

Creed zerknął w boczne lusterko w momencie, gdy przestrzeń

przebieła błyskawica od chmury do ziemi i rozświetliła całe niebo.

Sąsiednim pasem przetoczyła się z hukiem osiemnastokołowa ciężarówka z przyczepą. Creed zaczął wypatrywać zjazdu. Nie było widać żadnego znaku, który wskazywałby drogę ucieczki na trasie kilku najbliższych kilometrów.

- Może powinniśmy zjechać z międzystanowej - rzekł Jason, jakby czytał w jego myślach.

- Część bocznych dróg wije się we wszystkich kierunkach. To może nie być dobry pomysł. Moglibyśmy wpakować się w pułapkę.

Przemknęła kolejna ciężarówka, jechała tak szybko, że pęd powietrza omal nie pchnął dżipa na bok. Nie zważali na ostrzeżenia czy próbowali prześcignąć burzę?

- To może powinieneś dodać gazu - powiedział Jason.

Creed nadal nie widział niczego po lewej stronie. Ciągły pas drzew przesłaniał horyzont. Zauważył jednak czarne chmury nad wierzchołkami drzew. Kotłowały się tak samo, jak przewracało się w jego żołądku.

Nagle zaczęło lać. To nie były kropelki deszczu. Żadne tam bębnienie o szyby. To była ściana wody, wycieraczki za nią nie nadążały. Creed widział przed sobą tylko rozmyte tylne światła samochodów, które jechały przed nim. Po lewej stronie ruch nie ustawał. Drzewa blokujące horyzont zaczęły się kołysać.

Pierwszy stukot gradu kazał mu mocniej zacisnąć dłonie na kierownicy, aż knykcie mu pobieły. Walenie o dach, które nastąpiło zaraz potem, brzmiało, jakby gradowe kule miały przebić metal. Creed martwił się, że stłuką przednią szybę.

- Skurczysyn - rzucił Jason.

Creed czuł jego napięcie. Chciał go uspokoić, ale przecież wiedział, że chłopak ma prawo się bać. Mieli problem, nie musiał nawet patrzeć na Grace, by wiedzieć, że to prawda.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Creed zastanawiał się, jak to możliwe. Im szybciej jechał, tym bardziej mroczniało niebo. Za nimi zapadła już kompletna ciemność. Wciąż nie widział niczego na zachód od nich. Drzewa na pasie rozdzielczym w dalszym ciągu przesłaniały mu widok.

- Wygląda na potężną nawałnicę - stwierdził Jason. Siedział wciąż odwrócony do tyłu, naciągając pas, żeby jak najwięcej zobaczyć przez tylną szybę. - Nie widzę niczego, co przypominałoby tornado. Może wcale nie jest blisko nas.

Mimo wszystko Creed pogłośnił radio, gdy prezenter pogody podawał całą listę ostrzeżeń przed tornadami w innych hrabstwach. Willis Dean nieustająco przypominał:

- Nawet jeśli nie wymienię waszego hrabstwa, obserwujcie niebo. Warunki pogodowe zmieniają się bardzo szybko.

Creed zerknął na kompas na desce rozdzielczej dżipa. W radiu powiedzieli, że tornado przemieszcza się na północny wschód. A oni właśnie tam się kierowali. W chwili, kiedy pomyślał, że jadą drogą tornado, deszcz ustał. Zdawało się, że niebo przed nimi pojaśniało.

Poczuł, że znów może oddychać. Niedługo miał się skończyć zarośnięty drzewami pas rozdzielczy. Zresztą Creed już widział między drzewami światła paru samochodów podążających pasem prowadzącym na południe. Nie naciskał już tak mocno na pedał gazu.

- Lada moment powinniśmy mieć lepszą widoczność - powiedział do Jasona i wskazał na niezarośnięty pas rozdzielczy.

Drzewa nareszcie zniknęły. Naprawdę widzieli więcej i lepiej.

- O mój Boże. Jest tam - szepnął Jason.

Creed zerknął w tamtą stronę. Zamrugnął, jakby nie wierzył własnym oczom. Drzewa to zasłaniały. Trudno było pomylić z czymś innym ten czarny wirujący klin wyłaniający się z szarej masy. Przysięgłby, że czuje jego energię. Błyskawica rozświetliła podstawę powietrznego wiru.

- Widać fruwające w powietrzu porwane z ziemi przedmioty. To potężne tornado - powiedział Jason.

Radio zatrzeszczało, nadając głośny komunikat ostrzegający przed tornadem, które już dotknęło ziemi.

Jason ściszył radio.

- Tak, bez kitu.

Creed nacisnął pedał gazu.

- Ryder, co ty, do diabła, robisz?

- Próbuje je prześcignąć.
- Kieruje się prosto na nas. Musisz dodać gazu.
- Właśnie to robię.
- Musisz przyspieszyć. Naciśnij ten cholerny gaz.

Creed zerknął w dół. Jechał już 150 na godzinę.

- O mój Boże, nie uciekniemy. - Jason oparł rękę na desce rozdzielczej. - Zatrzymaj się.

- Nie możemy się zatrzymać. Znajdziemy się w samym środku tornada.

Ale choć silnik dżipa wyrabiał już 160 na godzinę, Creed słyszał ryk nawałnicy. Powietrzny klin wirował, pluł i kierował się prosto na nich. Już prawie ich dopadł.

Kolejna ciężarówka przetoczyła się obok nich. Creed nie widział, żeby za nimi jechały jakieś inne pojazdy.

- Nie dasz rady! - Jason przekrzykiwał porywy wiatru, które zaczęły rzucać dżipem.

Znów pojawił się deszcz, tym razem z góry leciały z nim drobne gałązki, sosnowe igły i rozmaite odpadki, które trafiały w przednią szybę.

- Musimy zawrócić - stwierdził Jason. - Zawracaj, do diabła.

- Nie mogę. - Między pasami prowadzącymi na północ i na południe stały barierki, a także wciąż rosły drzewa i krzewy, choć nie tak gęsto jak wcześniej. Nie mógł tego wszystkiego staranować.

- Uderzy w nas!

Jason znów krzyczał, a Creed i tak ledwie go słyszał, bo huk odbijał się echem po całym samochodzie. Nagle odniósł wrażenie, że bębny w uszach mu popękają i już wiedział, że są w samym środku nawałnicy.

Creed nacisnął hamulce z całej siły. Dżip wpadł w poślizg na mokrym asfalcie. Zacisnął palce na kierownicy. To nie był dobry moment, żeby stracić nad nią kontrolę.

- Co, do diabła?! - zawołał Jason.

Creed nie pozwolił dżipowi się zatrzymać. Samochód wciąż ślizgał się na asfalcie, kiedy Creed włączył wsteczny bieg. Autem szarpnęło. Creed wbił w podłogę pedał gazu.

Serce waliło mu w piersi. Patrzył przed siebie, a dżip pędził na wstecznym. Nie mógł odwrócić wzroku od czarnej masy, która wciąż wirowała i toczyła się w ich stronę. Wszędzie dokoła fruwały rozmaite resztki i rupiecie. Creed patrzył na kamerę cofania i nie spuszczał nogi z gazu. Na jego pasie widniała tylko jedna para reflektorów, a on nadal nie zwalniał. Samochód zjechał mu z drogi na pas awaryjny. Innych aut tam nie było.

Czarny klin wciąż nabierał masy i mocy. Różne przedmioty waliły

w dach i maskę dżipa.

- Przechodzi na drugą stronę! - zawołał Jason. - Patrz, przekracza międzystanową. - Jason wskazywał ręką z protezą, drugą ręką wciąż opierał na desce rozdzielczej. - O mój Boże, dokładnie tam, gdzie byliśmy.

Creed nieco zwolnił, ale wciąż cofał dżipa.

- Ten samochód stoi za blisko - powiedział. Auto, które zjechało mu z drogi, dotąd nie ruszyło się z miejsca. - Co z nimi nie tak, do cholery? Widzisz, kto siedzi za kierownicą?

- Nie, do diabła. Nie spuszcza z oczu tej bestii.

W deszczu wszystko było zamazane. Creed widział jednak przełamane na pół słupy elektryczne. Linie wysokiego napięcia wisiały luźno, smagane wiatrem. Jakiś billboard leciał w powietrzu. Stalowy słup, na którym wcześniej go umocowano, był zgięty w pół.

- Patrz na to. - Jason wskazał na coś, co trzepotało w czarnym wirze. - O rany, to dach. Cały dach! Najpierw tornado go porwało, a teraz wypluje.

Znajdowali się już na tyle daleko, żeby fruwające przedmioty w nich nie uderzały. Creed w końcu zatrzymał samochód, ale stopę nadal miał na hamulcu. Nie chciał zmieniać biegu. Zależało mu na tym, by w każdej chwili mógł jechać dalej.

- Niewykluczone, że tornado ruszyło na Montgomery - odezwał się Jason. - I nie wygląda na to, żeby miało oderwać się od ziemi. Boże, ależ to potęga.

Creed w końcu zaparkował, ale zostawił silnik na biegu jałowym. Odpiął pas i odwrócił się do psów. Oba dyszały, miały szeroko otwarte oczy. Grace zaczęła drapać w kratę, gdy tylko zobaczyła, że zwrócił na nie uwagę. Wyciągnął rękę i podsunął jej dwa palce.

- W porządku, dziewczyno? A ty, Scout? Już dobrze. Wszystko jest dobrze.

- O rany, patrz na to, uderzyło w tamten budynek.

W chwili, gdy Creed obejrzał się przez ramię, piętrowy budynek z pustaków eksplodował, ciskając dokoła cegły i odłamki szkła. Skrzynie do transportu i przyczepy zgmiotły się jak puszk. Niektóre zostały zassane przez czarną wirującą masę. Lampy wzdłuż i wewnątrz niewielkiego kompleksu przemysłowego zamrugały i zgasły. W powietrze uniósł się dach kolejnego budynku.

W oddali na czarnym niebie zapaliło się niebiesko-zielone światło.

- Transformator musiał wylecieć w powietrze - stwierdził Jason.

Patrzyli w milczeniu. Zdawało się, że tornado, przemieszczając się z zachodu na wschód, wchłonęło horyzont na północ od nich. Na moment wewnątrz wiru błysnęło na dość długo, by pokazać, jak obraca się wokół własnej osi. Tornado wyglądało jak żywa

oddychająca istota i dopiero kiedy się od nich oddalało, Creed sobie uprzytomnił, jakie było głośne, wręcz ogłuszające. Teraz już nie musieli do siebie krzyczeć.

Wtedy właśnie Creed powiedział:

- Zrób mi przysługę. Kiedy będziesz opowiadał o tym Hannie, nie mów jej, jak niewiele brakowało, by nas wessało do środka.

- Dobra, jasne - odparł Jason. - Hej, a co się stało z tamtym samochodem?

Creed odwrócił się twarzą do przedniej szyby dżipa. Samochód, który zjechał im z drogi na pas awaryjny, zniknął.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Birmingham, Alabama

- Hej, ludzie, to jest potęga - mówił do kamery Willis Dean. - Jeśli jesteście w Hope Hull, poszukajcie szybko schronienia. Hrabstwo Montgomery, zaraz usłyszycie syreny. Wszyscy, którzy jesteście w tej chwili na południe od miasta - schrońcie się w bezpiecznym miejscu.

Zerkał na monitor, żeby wiedzieć, gdzie wskazywać. Radar dosłownie eksplodował wściekłymi czerwonymi i żółtymi plamami.

- To jest tornado. Jeden z naszych łowców burz obserwował je wcześniej, jak zbliżało się do drogi międzystanowej numer sześćdziesiąt pięć. Pokażemy wam materiały wideo, gdy tylko je dostaniemy. To bardzo niebezpieczne tornado, otoczone deszczem, więc nie dajcie się oszukać. Chwilami może wyglądać jak potężna i rozległa burza z piorunami. Nie dajcie się zmylić, w tej nawałnicy jest tornado! Więc jeśli jesteście na zakupach czy na lunchu, przejdźcie do pomieszczenia, które znajduje się w środkowej części budynku. Odejdźcie od okien. Zakryjcie głowy. Nie próbujcie omijać go samochodem. To bardzo groźne tornado.

Mia przyniosła nową listę ostrzeżeń, a Willis przekazał jej pałeczkę. Do tej pory zmieniali się bez problemu, jedno schodziło z anteny, drugie wchodziło. Kiedy Willis był młodszy, siłą musieli odciągać go sprzed kamery, teraz rozumiał konieczność uzupełnienia paliwa, odświeżenia się i wolnej chwili, by przejrzeć wszystkie nadchodzące w szybkim tempie informacje. Stawką było ludzkie życie. Nie mogli niczego przeoczyć ani pominąć.

Otrzymywali już zdjęcia dotychczasowych zniszczeń, kiedy kolejne hrabstwa zaczęły zgłaszać pojawienie się tornad w ich okolicy. Otaczało ich wrogie niebo.

Willis wszedł do pokoju redakcji pogody. Paul podał mu plik wydrukowanych wiadomości. Potem wskazał na obraz z jednej z miejskich kamer. Do wizjera podkradała się ciężka niekształtna masa.

- No! Która to kamera? - spytał Willis.

- Na lotnisku, skierowana na południe w stronę międzystanowej numer sześćdziesiąt pięć.

- Gary i zespół się odzywali?

- Gary się zameldował, ale ten nowy milczy.

Willis podniósł wzrok na Paula.

- To on jechał wzdłuż tornada, tak?

- Tak. - Paul wzruszył ramionami. - Może zniszczyło mu sprzęt.
- Jego telefon komórkowy by działał.
- Mia właśnie dostała informację. Przewróciła się wieża.

Willis troszczył się o współpracujących z nimi łowców burz. W większości byli to ochotnicy. Nadal wielu z nich szkolił.

- Postaraj się go złapać, okej?
- Jasne - odparł Paul i wyszedł.

Willis był zły, że nie może sobie przypomnieć, jak nazywa się ten chłopak. Miał to na końcu języka. Pamiętał, że w maju robi dyplom na Uniwersytecie Auburn, ale nie dorastał na Południu. Przyjechał tu do college'u z Kansas.

- Kansas... Simon.

Teraz Willis sobie przypominał, bo próbował wytłumaczyć Simonowi, czym Tornado Alley różni się od Dixie Alley, choć oba obszary często nawiedzane są przez tornada. Chłopak już jako nastolatek gnał przez Kansas i Nebraskę, by je ścigać.

- Na równinach - mówił mu Willis - widać je z daleka. Widzisz, jak się tworzą i odpadają z chmur. Tutaj kryją je drzewa. A dość długo także deszcz.

Simon pokiwał głową i powiedział:

- Chyba już nie jestem w Kansas, Dorotko.

Dorotka z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*. To był wielokrotnie powtarzany żart.

Na monitorze z wiadomościami Krajowej Służby Meteorologicznej pojawiło się kolejne ostrzeżenie. I na jednym się nie skończyło.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Niebiańskie Smaki

- Obaj byli w samochodzie? - spytała Maggie.

- Tak mi się zdaje. Ten potężny z blizną na szyi siedział za kierownicą.

- Widziała pani bliznę?

- Nie, ale rozpoznałam jego profil. - Frankie zniżyła głos i pochyliła się bardziej nad stolikiem. - Ma charakterystyczną kwadratową głowę i szerokie bary.

- Czy on tu jest?

Maggie dojrzała cień strachu w jej oczach, zanim Frankie szybko rozejrzała się po sali. Po zaledwie kilku sekundach skupiła wzrok na drzwiach wejściowych.

- Nie, nie ma go.

Maggie starała się, żeby jedzenie nie rozpraszało jej uwagi, mimo to udało jej się jakoś zjeść połowę porcji kurczaka z przypieczoną skórką. Kelnerka namówiła ją, żeby wzięła do tego kaszę kukurydzianą z serem gotowaną na mleku i rosole. Kasza już też prawie zniknęła z jej talerza.

- Świetnie tu karmią - powiedziała do Frankie, która przeżuwała frytki ze słodkich ziemniaków, za to ledwie tknęła suma w panierce z orzechów pekan.

- Bywałyśmy tu z Hanną w dzieciństwie - z uśmiechem odparła Frankie.

Po raz pierwszy, odkąd usiadła przy stoliku, Maggie zobaczyła ją nieco zrelaksowaną.

- A ten drugi mężczyzna? - spytała cicho i spokojnie, żeby Frankie nie wpadła znów w panikę.

- Nigdy go nie widziałam.

- Nawet przez moment na ekranie telefonu, jak rozmawiała pani z Tylerem?

- Nie wydaje mi się.

- Proszę się zastanowić. Proszę sobie przypomnieć waszą rozmowę. Niech pani zamknie oczy, jeśli to pani pomoże. Proszę wziąć głęboki oddech, odprężyć się i spokojnie postarać się odtworzyć w myśli waszą rozmowę.

Frankie zamknęła oczy, ale nie było mowy o tym, żeby się odprężyła. Ściągnęła brwi, wyglądała, jakby zacisnęła zęby. Kiedy podeszła kelnerka, żeby dolać jej kawy, Frankie natychmiast podniosła powieki. Była bardzo zdenerwowana.

Kelnerka zerknęła na nią i spytała:

- Wszystko w porządku, kochana?

- Właśnie rozmawiamy o jodze i medytacji - wyjaśniła Frankie, wracając do południowego akcentu, którego użyła, zamawiając lunch. - Nie jestem w tym zbyt dobra. - Uśmiechnęła się siłą woli.

- Jesteś zmęczona, kochana. Tyle godzin za kółkiem. - Kelnerka napełniła kubek Frankie do pełna i spytała Maggie, czy podać jej drugą colę. - Dajcie mi znać, gdybyście czegoś jeszcze chciały - powiedziała i przeszła do innego stolika.

Podczas tej krótkiej wymiany zdań z kelnerką Maggie przekonała się, jak bardzo zmęczona jest Frankie.

Gdy Frankie zauważyła, że agentka jej się przypatruje, odsunęła lok z twarzy i zaciesała go za ucho.

- Jak byli u mnie biurze - podjęła - moja asystentka odniosła wrażenie, że zachowują się jak oficjele. Nie pamiętam, jak to dokładnie określiła. Czy ci mężczyźni mogą być z policji? W końcu Tyler i Deacon włamali się do systemu komputerowego korporacji.

- Jest z tym jeden problem. - Maggie urwała i zerknęła na najbliższy stolik. Siedzące przy nim starsze kobiety śmiały się z czegoś, przegryzając. - Policjanci nie mają zwyczaju zabijając podejrzanych na ulicy.

Maggie natychmiast pożałowała, że tak wypaliła. Frankie pobladła i gwałtownie przeniosła wzrok za okno. Maggie powiodła spojrzeniem w tę samą stronę. Obie lustrowały parking. Maggie nie mogła nie zauważyć, jak bardzo w ciągu kilku ostatnich minut pociemniało niebo.

Zapaliły się narożne latarnie. Po drugiej stronie ulicy świeciły się lampy nad dystrybutorami paliwa, większość kierowców włączyła reflektory w swoich samochodach. Wszystko z powodu tego nagłego mroku. Poza tym jednak było spokojnie. Nawet drzewa stały nieruchomo, a powietrze ani drgnęło.

Odezwała się komórka Maggie leżąca obok niej na stoliku. Dostała nową wiadomość od agenta Alonza. Frankie w końcu zaczęła jeść swoją rybę, udając, że nie jest zainteresowana. Maggie sięgnęła po telefon i trzymała go tak, by nikt prócz niej nie mógł przeczytać wiadomości. Miała nadzieję, że Alonzo znalazł właściciela czarnego sedana, choć nie widziała, żeby samochód tu wrócił. Wypatrywała, czy nie pojawił się przy stacji benzynowej.

Wiadomość Alonza składała się z trzech słów:

On tam jest.

Maggie starała się zachować obojętny wyraz twarzy. Czuła na sobie wzrok Frankie. Nie podniosła głowy. Wciąż patrzyła na ekran telefonu. Napisała:

Wewnątrz?

Alonzo wiedział, gdzie jest Maggie. Mówił, że jest w stanie śledzić mężczyznę na tyle, na ile pozwala mu jego urządzenie. Z taką dokładnością, z jaką to możliwe. Jednak tego ranka, gdy jej oświadczył, że morderca jest tam gdzie Frankie, nie był w stanie określić, czy chodzi o ten sam hotel, czy drugi, stojący tuż obok.

Odpowiedział niemal natychmiast:

Nie wiem, w promieniu 300 m.

Maggie znów wyjrzała przez okno, zanim się powstrzymała.

- O co chodzi? - chciała wiedzieć Frankie.

- Mówiła pani komuś, że pani tu jedzie?

- Tylko Hannie. Co się dzieje?

- Napisała jej pani SMS-a?

- Tak, i rozmawiałam z nią.

- Korzystała pani ze swojego telefonu czy na kartę? - Maggie mówiła spokojnie, ale już widziała, że Frankie jest wyraźnie podminowana. Ilekroć Maggie lustrowała parking, Frankie robiła to samo.

- Chyba z tego na kartę. Mejlę mogę sprawdzić w zegarku.

- W zegarku?

Frankie pokazała jej nadgarstek i wyjaśniła:

- To smartwatch.

- Łączy panią z kontem pocztowym?

- Z mejlami i SMS-ami.

Maggie tego nie skomentowała. Milczała, widząc, jak Frankie nagle sobie coś uprzytamnia.

- Och nie - szepnęła, patrząc w oczy Maggie. - Mogą to śledzić? - Przesuwała pasek zegarka w tę i z powrotem, aż skóra jej poczerwieniała.

Maggie wyciągnęła rękę i ujęła jej dłoń.

- To Bluetooth - powiedziała. - Więc to możliwe.

- I sądzi pani, że oni tu są, tak?

- Tylko spokojnie, okej? - Maggie zauważyła, że wiatr przybrał na sile, w szyby zaczęły uderzać duże krople deszczu.

- Ludzie...

Niski korpulentny mężczyzna przeszedł na środek restauracji. Jego łysa głowa lśniła od potu. Machał rękami, żeby zwrócić na siebie uwagę. Maggie nie miała pojęcia, skąd się tu wziął. Miał na sobie poplamiony fartuch.

- Słuchajcie, ludzie - zaczął ponownie, a wszyscy zamilkli. - Nazywam się Hank, jestem szefem kuchni. Muszę wam przekazać, że mamy ostrzeżenie przed tornadem. Nie ma potrzeby panikować - dodał.

Kiedy to mówił, Maggie zauważyła dwie kelnerki, które pośpiesznie krążyły po sali, zabierając talerze i donosząc zamówione dania; przypominały jej zabiegane stewardesy, kiedy pilot wydaje ostrzeżenie przed turbulencjami.

- Mamy niewielką piwnicę, bez żadnych wygod, ale może byście tam wszyscy zeszli. Przynajmniej do czasu, kiedy powiedzą, że jesteśmy bezpieczni. Jest tam. - Hank wskazał na tył restauracji i ruszył w tamtą stronę, lecz nikt nie poszedł jego śladem.

Maggie spojrzała na Frankie, ale ona tak pilnie obserwowała parking, że najpewniej słowa Hanka w ogóle do niej nie dotarły. Natomiast Maggie już widziała, że wiatr naprawdę się wzmógł. Drzewa się kołysały, a deszcz zamienił się w ulewę.

Rozległ się grzmot. Zabrzmiał bez ostrzeżenia, nie skradał się powoli, nabierając po drodze mocy. Na ciemnym niebie pojawiła się błyskawica, a w restauracji zamrugwały lampy. Kolejny huk poderwał na nogi niemal wszystkich gości.

- Proszę wszystkich państwa tędy - ponaglał Hank, a kelnerki zaczęły namawiać ludzi do zejścia na dół.

- Och nie! - To był kierowca ciężarówki, który siedział w boksie obok drzwi. Skoczył na równe nogi i ruszył przed siebie. Ledwie się odwrócił, oszklone drzwi wejściowe eksplodowały.

- Wynośmy się stąd! - zawołała Maggie, biegnąc przez salę i ciągnąc za sobą innych.

Obejrzała się przez ramię, szukając wzrokiem Frankie, i zobaczyła, że pomaga dwóm starszym kobietom, które siedziały przy sąsiednim stoliku. Nastolatek to ciągnął, to popychał towarzyszącą mu kobietę sparaliżowaną przeraźliwym hukiem, który rozległ się za roztrzaskami drzwiami. Hank już zniknął z widoku, ale wciąż krzyczał na gości, żeby się pośpieszyli. Maggie ledwie słyszała jego głos zagłuszany przez wichurę.

Para, która zapewne była na pierwszej randce, zaczęła biec na tył sali. On był trzy kroki z przodu i oglądał się, ale na nią nie czekał. Mężczyzna w koszulce polo także zmierzał na tył restauracji. Zatrzymał się, by wziąć pod ramię jakąś kobietę i pociągnął ją za sobą.

Z kolei kierowca ciężarówki pomagał jednej z kelnerek. Pokazał Frankie, żeby się pośpieszyła razem z dwoma kobietami.

- Ruszaj się! - krzyknęła Maggie do Frankie, gdy ta przystanęła, jakby chciała na nią poczekać.

Maggie odwróciła się, żeby zabrać ze sobą drugą kelnerkę. Nigdzie jej nie widziała. Może już się ukryła? Czy to możliwe? Popatrzyła na kuchnię widoczną za ladą. Grill stał opuszczony, nikogo tam nie było. Może kelnerka już zeszła na dół?

- Rita?! -zawołała Maggie, lecz wyjący wiatr połknął jej głos.

Zobaczyła starszego mężczyznę, tego z przyprószonymi siwizną włosami, który siedział przy końcu baru. Z jakiegoś powodu wybrał miejsce niedaleko stolika Maggie i Frankie. Wyglądał, jakby czegoś szukał.

- Musimy zejść na dół! - zawołała do niego.

Chyba jej nie usłyszał.

Poleciały szyby w oknach, znów błysnęło i huknęło. To przypominało eksplozję. Lampy mrugały. Kiedy talerze uniosły się, Maggie zdawało się, że bębni jej popękały. Nie zdążyła się schylić i jeden z talerzy trafił ją w czoło. Straciła równowagę. Zaczęła się czołgać, krew spływała jej po twarzy. Zamglonym wzrokiem spojrzała w stronę drzwi. Na zewnątrz drzewa kołysały się jak szalone, a za nimi chmura czarnego dymu pluła popiołem.

Maggie zdała sobie sprawę, co to może być, i serce zaczęło walić jej w piersiach. To nie był dym ani popiół. To było tornado, które wypluwało wessany po drodze gruz, różne przedmioty i mnóstwo śmieci, i kierowało się prosto na restaurację. Z trudem podniosła się na nogi, walcząc z wiatrem, bombardowana tym, co wiatr ze sobą niósł. Szła po omacku przy ścianie z nadzieją, że przemieszczą się we właściwym kierunku. Krzesła i stoliki ślizgały się po podłodze, kolejne naczynia rozbijały się o ściany.

- Dalej! - zawołał jakiś niski głos. - Pośpiesz się!

Coś walnęło o dach i rozległ się trzask odrywającego się od czegoś metalu. Nad głową Maggie nagle powiało, ale nie miała odwagi podnieść wzroku. Tuż przed nią potężny mężczyzna wyciągnął do niej rękę. Był to kierowca ciężarówki.

- Szybciej! - krzyknęła Frankie zza jego pleców.

Maggie wyciągnęła do nich ręce. Mężczyzna chwycił ją za nadgarstek i ciągnął przez resztę drogi. Potykała się na betonowych stopniach, schodząc w ciemność. Zobaczyła, że starszy mężczyzna dotarł tu przed nią. Był tam podest. Przycisnęła rękę do zimnego betonu. Zanim się odwróciła, by pokonać kolejne schody, drzwi nad jej głową zatrzasnęły się.

Maggie nie mogła uciec przed myślą, że schodzą na dół po to, by zostać tam pogrzebani.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Nad ich głowami szalała nawałnica. Maggie odnosiła wrażenie, że budynek jest rozrywany na kawałki. Najpierw rozległy się przerażająco głośne trzaski, potem cała struktura zaczęła wibrować. Słyszeli pękające drewno i tłukące się szkło. Deski podłogi jęczały zbyt blisko nad ich głowami. Huk grzmotów nabierał mocy. Samotna żarówka spowijała piwnicę w półmroku.

Kilka osób zebranych wokół Maggie wyjęło telefony komórkowe. Ich twarze były upiornie sine. Hank oświetlał schody latarką, ustawiając promień światła w stronę drzwi na górze, jakby się spodziewał, że burza się do nich włamie.

Kiedy jej oczy przywykły do półmroku, Maggie rozejrzała się wokół siebie. Podłoga była betonowa, a ściany z pustaków. Na środku widniały dwa stalowe słupy przytwierdzone do belek stropowych i podłogi. Wzdłuż jednej ze ścian stały półki, na nich pudła. W odległym kącie wciśnięto starą zamrażarkę. Restauracja nad ich głowami miała nie więcej niż 200 metrów kwadratowych, zaś to pomieszczenie najwyżej jedną czwartą tego.

Właśnie w tym momencie po głośnym huku posypało się na nich z góry. Maggie podniosła wzrok i zobaczyła, jaki niewysoki jest sufit. Wyeksponowane drewniane belki znajdowały się na tyle nisko, że mogła wyciągnąć rękę i dotknąć ich czubkami palców.

Tak blisko. Zbyt blisko.

Zaatakowały ją nudności. Musi spokojnie oddychać, inaczej nie wygra z klaustrofobią. Jakiś czas temu pewien morderca zamknął ją w starej, otwieranej od góry zamrażarce, podobnej do tej, która stała tu w kącie. Od tamtej pory Maggie z trudem tolerowała małe zamknięte przestrzenie, nie wspominając o małych przestrzeniach, na których wraz z nią przebywają inni spanikowani ludzie. Jej puls szalał. Serce tak jej waliło, że czuła ból w piersi. A jednak była wdzięczna losowi, że znajduje się tu, na dole, a nie na górze.

Na górze szalała burza, demolując wszystko dokoła. Przesuwane po podłodze meble skrzypiały, wiatr ciskał na nie porwane w innych miejscach duże przedmioty. Z góry spadało coraz więcej gruzu i rupieci. Ciągły huk nie pozwalał słyszeć niczego więcej. Brzmiało to tak, jakby człowiek znajdował się pod powierzchnią asfaltowego pasa startowego, na którym samolot właśnie uruchomił silniki. Maggie nic poza tym nie słyszała, ale widziała poruszające się wargi jednej ze starszych kobiet, która miała złożone dłonie. Modliła się.

Przez krótki moment Maggie pozazdrościła jej wiary. Jej ojcu nie

brakowało wiary, kiedy wbiegł do płonącego budynku. Był strażakiem. Kiedy Maggie była mała, podarował jej medalik, identyczny jak ten, który sam nosił. Obiecał jej, że jeśli się z nim nie rozstanie, medalik ochroni ją przed złem. Przez krótki czas nosiła go na łańcuszku na szyi z szacunku dla ojca i przez pamięć o nim, a nie dlatego, że była wierząca. Bo ostatecznie medalik jej nie ochronił. Zdjęła go i nigdy więcej nie założyła od dnia, kiedy zobaczyła prawdziwe zło i zrozumiała, że jedyny metal, jaki jest w stanie je pokonać, to metalowa kula.

Ale w takich momentach jak ten żałowała, że nie posiada daru wiary, ponieważ to, co działo się na górze, brzmiało jak symfonia diabła. Jak dzieło demona, który okłada ich pięściami, a jednocześnie szarpie i rozdziera, usiłując porwać ich z kryjówki.

Maggie próbowała skupić uwagę na pozostałych osobach przebywających w tej zamkniętej przestrzeni. Frankie kucała obok niej. Na ławce staruszka, która się modliła, przytulała swoją przyjaciółkę. Nastolatek pozwolił, żeby kobieta, przypuszczalnie jego matka, otoczyła go ramieniem.

Starszy mężczyzna, który wcześniej siedział przy barze, trzymał się drewnianej półki, jednego z niewielu solidnych mebli w tym pomieszczeniu. Na górze w restauracji Maggie odniosła wrażenie, jakby już kiedyś go spotkała, a już szczególnie w jego opanowaniu było coś znajomego. Może był emerytowanym funkcjonariuszem? Cienie nie pozwalały jej przyjrzeć się jego twarzy, widziała tylko, że przyciska do brody zakrwawione chusteczki higieniczne. Nieopodal stała jedna z kelnerek i też trzymała się drewnianej półki.

W odległym kącie para w średnim wieku opierała się plecami o ścianę. Maggie zdawało się wcześniej, że to kochankowie. Teraz jednak nie pocieszali się nawzajem. Prawdę mówiąc, stali na odległość ramienia.

Mężczyzna w koszulce polo i spodniach khaki też był wcześniej przy barze. Teraz trzymał się blisko schodów.

Kierowca ciężarówki zgubił bejsbolówkę, a jego rozwichrzone cienkie kosmyki wyglądały równie dziko, jak jego oczy. Stał obok Hanka, patrząc w górę schodów, jakby był gotów otworzyć drzwi pchnięciem, gdy tylko nawałnica ucichnie. Ale trzymał się za rękę. W półmroku Maggie dojrzała powiększającą się plamę krwi na jego koszuli. Kiedy się odwrócił, zobaczyła, że coś mu wystaje z ramienia.

Przypomniała sobie o swoim czole i dotknęła otwartej rany. Potem jeszcze coś sobie uprzytomniła. Rozejrzała się, patrząc po twarzach, zaglądając w odległe kąty. Nie było drugiej kelnerki, tej, która ją obsługiwała. Szukała jej na górze i miała nadzieję, że zeszła już do

piwnicy. Ale tu jej nie było.

Maggie słyszała, jak nad ich głowami wałą się ściany, kiedy nawałnica zaatakowała je z pełną siłą. I z ciężkim sercem pomyślała o Ricie. Cokolwiek działo się na górze, nie było szansy, żeby Rita to przeżyła.

Gdy Maggie pomyślała, że gorzej już być nie może, coś nad nimi eksplodowało, belki zatrzeszczały i jęknęły, betonowa ściana zawibrowała. Kolejny huk roztrzaskał żarówkę, pogrążając ich w ciemności. Cichy jęk urósł w wysoki przeraźliwy pisk.

Potem nagle z sufitu zaczęło sypać im się na głowę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Creed ostrożnie manewrował dżipem, bo linie wysokiego napięcia zwisały z połamanych słupów. Starali się dotrzeć do kompleksu przemysłowego, w który, jak wcześniej widzieli, uderzyło tornado. Na drogę międzystanową przewróciła się gigantyczna wieża przekaźnikowa, więc musieli się cofnąć i poszukać innego zjazdu.

Creed jechał boczną drogą, w osłupieniu patrząc na to, co rozpościera się przed jego oczami. Droga była zasypana gałęziami. Wszędzie walały się pustaki i cegły. Wysokie na parę pięter transformatory leżały powyginane na ziemi. W okolicy, gdzie wcześniej drzewa przesłaniały im tornado, teraz widział wszystko aż po horyzont.

Gdy zwolnił, opuścili szyby w oknach i nasłuchiwali, czy ktoś nie wzywa pomocy, ale ryk burzy zastąpiła upiorna cisza. W tej ciszy słyszeli dzwonienie kawałków metalu zwisających z nielicznych drzew, które wciąż stały.

- O rany, patrz tam - odezwał się Jason, wskazując na prawo. Parę przecznic dalej zaczynała się dzielnica mieszkaniowa.

Na drugim końcu zajmującego trzy przecznice osiedla Creed dojrzał mrugające światła ekip ratunkowych. O ile wzrok go nie mylił, z budynków zostały gołe fundamenty, a obok każdego z nich leżała sterta gruzu. Gdyby nie betonowe płyty fundamentów, trudno byłoby określić, gdzie kończy się jeden budynek, a zaczyna drugi.

Wokół kręcili się ludzie. Niektórzy sprawiali wrażenie kompletnie zagubionych, wielu krwawiło. Na ulicach pojawili się pierwsi ratownicy. Powietrze wypełniły syreny. Trawniki były zasypane dość szczególnym konfetti: odłamkami szkła, zabawkami, butami, książkami, talerzami obiadowymi i poskręcany płótnem z siatki. Na końcu jednego podjazdu pojawiła się lodówka z nierdzewnej stali. Stała prosto, nietknięta, jakby ktoś właśnie dostarczył ją właścicielom.

Po drugiej stronie ulicy ucierpiał jedynie narożny budynek. Ściana fasadowa zniknęła, przez co wyglądał jak domek dla lalek. Meble, dywany, ozdoby wiszące na ścianach pozostały na swoim miejscu. Creed ze zdumieniem zobaczył, że nawet poduszki na kanapach tkwiły nieporuszone.

Ścieżka tornada była bardzo wyraźna. Po prawej stronie wszystkie drzewa zostały wyrwane z korzeniami, pozbawione liści i kory albo rzucone na coś, co wcześniej było budynkiem. Na potężnych dębach po drugiej stronie ulicy nie brakowało ani

gałązki. Drzewa magnolii zachowały kwiaty w rozkwicie. Jedynym śladem tornada była różowa pianka izolacyjna, która uczepiła się liści i wyglądała jak kwiaty kwitnącej wiśni.

Creed patrzył na to z dziwnym odrętwieniem. Cofnął dżipa i wjechał na pusty parking, zjeżdżając z drogi wozom strażackim.

- Powinniśmy wziąć psy - powiedział do Jasona - i przeszukać teren. Może ktoś utknął w jakiejś pułapce.

Kiedy Jason nie odpowiadał, Creed zerknął na jego profil. Patrząc przez okulary przeciwsłoneczne, widział, że chłopak wlepia wzrok w przednią szybę. Jedną ręką masował łokieć drugiej. Creed znał ten gest, Jason nabrał tego zwyczaju, kiedy amputowano mu rękę. Creed nie widział, żeby robił coś podobnego, odkąd miał nową protezę.

- W porządku?

Jason zamrugał parę razy, po czym odwrócił się do Creeda i powiedział:

- Wygląda jak strefa wojenna.

- Tak, racja, z tą istotną różnicą - odparł Creed - że my z Rufusem zwykle pojawialiśmy się przed eksplozją.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Panhandle, Floryda

Hanna oszczędziła Brodie nerwów związanych z lunchem z matką.

To by dopiero było przedstawienie.

Brodie mogła sobie tylko wyobrażać minę Olivii James, gdyby zaczęła dzielić swoje jedzenie na malusieńkie kawałeczki. Przecież ona uczyła, jakich naczyń i sztucców należy używać do określonych potraw. Brodie pamiętała odcinek programu w całości poświęcony ułożeniu sztucców, a były w tym aż cztery różne widelce.

Kiedy usiadły naprzeciw siebie przy kuchennym stole, Brodie nie wiedziała, co zrobić z rękami. W pewnej chwili podniosła z podłogi Kotkę i usiłowała posadzić ją sobie na kolanach. Ale nawet Kotka musiała czuć dezaprobatę Olivii. Dlatego zeskoczyła na podłogę i czmychnęła, jak często jej się zdarzało, gdy nie miała ochoty na coś lub na kogoś, kto ją denerwował.

Brodie szybko się nauczyła, że Kotka nie jest tak lojalna, jak psy Hanny i Rydera. Mimo to dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Trudno było to wytłumaczyć, ale nic tak jej nie uspokajało, jak właśnie Kotka.

Zwierzátko pojawiło się w domu Bożego Narodzenia razem z dwiema papierowymi torbami pełnymi jedzenia. Brodie nie była pewna, czy osoba, która je zostawiła, przyniosła także kota, ale to bez znaczenia. Niezależnie od tego, czy było to celowe działanie, czy tylko przypadek, Brodie od razu uznała kota za prezent, tak samo jak jedzenie.

Teraz chętnie głaskałaby miękkie kocie futerko, lecz zamiast tego schowała ręce pod stołem i wykręcała palce.

Na szczęście Hanna wypełniła ciszę. Jej głos był spokojny, opanowany i miły dla ucha. Mówiła o przepisach, o burzach, a także o Ryderze i Jasonie. Opowiadała Olivii o Thomasie i Isaacu, a Brodie żałowała, że ich z nimi nie ma. Chłopcy rozumieliby jej dyskomfort, ale byłiby też niecierpliwi i chcieliby się bawić zabawkami z pudełka.

Z początku Brodie starała się nadążać za Hanną, słuchała i kiwała głową, teraz jednak serce waliło jej zbyt mocno, a w uszach słyszała szum krwi. Zerknęła na matkę, żeby sprawdzić, czy też to słyszy. Wargi Olivii James były zbyt idealnie pomalowane szminką. Paznokcie miała elegancko przycięte i też pomalowane. Lakier nigdzie nie odprysł. Skórki były powycinane, nie ogryzione.

Brodie spuściła wzrok na swoje schowane pod stołem paznokcie. Kilka było niemal w połowie ogryzionych. Z trudem powściągała chęć zajęcia się skórką przy kciuku. A ponieważ nie mogła unieść ręki, żeby ją odgryźć, zaczęła szarpać ją palcami.

Olivia James miała też ładne włosy ze złocistymi pasemkami równej długości. Sięgające brody końcówki lekko się podwijały. Brodie powstrzymała się przed wsunięciem palców w swoje krótko ostrzyżone włosy. Dopiero od niedawna starała się nie wycinać z nich całych kosmyków, choć trudno jej było zwalczyć ten nawyk. Uważała, że długie włosy przyciągają uwagę i były jednym z powodów, dla których została porwana. Iris chciała zastąpić swoją córkę Charlotte inną dziewczynką, a Charlotte miała długie włosy.

Brodie nie znosiła długich brudnych straków klejących się do karku jak stryczek. Gdy tylko w ręce wpadły jej nożyczki, zabrała się do skracania włosów i nie przestała, aż były tak krótkie, że miejscami prześwitywała skóra.

Tamte nożyczki... Teraz sobie przypomniwała. Ujrzała ten obraz w przebłysku. Wbiła metalowe ostrza głęboko w kark Aarona. Wciąż słyszała jego przeraźliwe krzyki zagłuszające nawet szum krwi w jej uszach. Wciąż czuła jego ciepłą krew, która zbryzgała jej twarz. Nie próbowała wyciągnąć ostrzy, tylko przeciwnie, wepchnęła je głębiej.

Lekko potrząsnęła głową, żeby pozbyć się tych obrazów. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Hanna i matka patrzą na nią.

Kiedy Hanna zamilkła?

Brodie widziała jej zmarszczone z troski czoło. Matka miała taką minę, jakby oglądała jakiś horror i nie wiedziała, co nastąpi dalej. Brodie chciała jej powiedzieć, że właśnie w coś takiego się pakuje. Nie była już niewinną małą dziewczynką. Nie obchodziły jej ładne rzeczy ani stare zabawki. Zamiast tego cieszyła się z szuflady pełnej skarpetek, z ciepłych koców i ciastek z kawałkami czekolady. Chciała powiedzieć matce, że jest tak dziwna, jak wygląda, z zapadniętymi policzkami i chudymi nogami. Że nie spełnia oczekiwań. Że je rękami, które wciąż są spierzchnięte i mają blizny, a manikiur robi sobie zębami.

To, co ostatecznie oznajmiła zamiast tego wyznania, zaskoczyło ją w tym samym stopniu co Hannę i matkę.

- Zabiłam człowieka - wypaliła.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Na południe od Montgomery, Alabama

Creed i Jason wyciągali sprzęt i szykowali się do pracy. Wzięli kaski i dodatkowe baterie do latarek, które mieli schowane w przygotowanych wcześniej niewielkich plecakach. Creed wcisnął jeszcze do plecaka dodatkowe butelki z wodą, na wypadek gdyby ktoś jej potrzebował. Założyli okulary przeciwsłoneczne z boczną ochroną, żeby zabezpieczyć oczy przed spadającymi z góry różnymi odpadami, ale mieli też gogle dla siebie i dla psów.

Grace gogle nie przeszkadzały, za to nie chciała się przekonać do ochronnych butów. Psy, które się u nich pojawiały, w większości zostały przez kogoś porzucone. W rezultacie miały rozmaite problemy. Creed brał to wszystko pod uwagę, kiedy zaczynał je szkolić. Ostatnio żałował, że nie starał się bardziej, namawiając Grace do noszenia ochronnego obuwia.

Kiedy Jason wkładał Scoutowi buty, Creed posmarował łapy Grace oddychającym woskowym balsamem. Na to mu pozwalała, a balsam chronił jej poduszki przed gorącym asfaltem i toksynami. Nie stanowił jednak skutecznego zabezpieczenia przed ostrymi obiektami, tak jak buty Scouta. Creed mierzył Grace wszelkie dostępne rodzaje psich butów, także takie, które powinny jej mniej przeszkadzać, polecane przez doktor Avelyn. Grace pozwalała sobie włożyć buty. Nie szarpała ich zębami ani nie ściągała w żaden inny sposób. Nie, po prostu siedziała. Nie ruszała się z miejsca. Nie chciała się ruszyć.

Założyli psom kamizelki i przypięli im krótkie smycze. Creed sprawdził odbiorniki GPS-u, chciał się upewnić, że baterie są naładowane, zanim schowa je do zamykanych na zamek błyskawiczny kieszeni w psich kamizelkach.

Jason i Scout ruszyli w dół ulicy. Creed i Grace poszli drugą ulicą. Umówili się, że spotkają się za godzinę przy samochodzie. Psy będą potrzebowały przerwy. Słońce prażyło, powietrze było gęste. Dodatkowa wilgoć po burzy nie pozwalała normalnie oddychać.

Creeda zawsze zdumiewała reakcja ludzi na widok psów w miejscach katastrofy. Psy przywracały ich życiu normalność. Niektórzy nawet przystawali i pytali, czy mogą pogłaskać Grace, choć w oczach mieli przerażenie i krew na ubraniu. Obecność Grace, jej podskakiwanie i szczerą radość z pracy dawała także Creedowi poczucie spokoju. Mimo to, kiedy szli przez te bardzo osobiste ruiny obcych ludzi, był spięty. Czuł się jak intruz i nic nie

mógł na to poradzić.

Ratownicy, którzy pierwsi pojawiają się na miejscu katastrof naturalnych, przede wszystkim szukają potrzebujących pomocy na powierzchni. Dokonują selekcji rannych, wysyłają ich do szpitali. Creed i Grace musieli skupić się na tych, którzy zostali uwięzieni, zakopani czy przygnieceni gruzami ich własnych domów.

Czas nigdy nie był po ich stronie. Budynki naruszone przez tornado w każdej chwili mogą się zawalić, a oni musieli martwić się nie tylko stanem budynków, lecz także leżącymi na ziemi przewodami wysokiego napięcia, nieszczelnymi instalacjami gazowymi i podtopieniami. Zagrożające życiu urazy mogą szybko zamienić akcję ratunkową w poszukiwanie ciał.

- Ona musi tu być! - krzyczała jakaś kobieta.

Dwaj mężczyźni chwiali się na szczycie sterty gruzów, które parę godzin temu były domem. Rozgarniali warstwy płyt dachowych, belek i płyt gipsowo-kartonowych. Zrzucali na dół pogięte ramy okien z fragmentami szyb, które rozbijały się na chodniku. Młodszy mężczyzna zatrzymał się i pomachał do Creeda.

- Panie Creed! Zastępca szeryfa Mitch Huston. Byłem wczoraj na międzystanowej.

Creed nie rozpoznał go bez munduru. Zresztą były tam dziesiątki ratowników i funkcjonariuszy, a on spotkał się tylko z kilkoma, ale udawał, że pamięta Mitcha.

- Pan tu mieszka?

- Tak - odparł Huston. - Po drugiej stronie ulicy. Mieliśmy wprost niewiarygodne szczęście... - Z zakłopotaniem wskazał na budynki, które uniknęły zniszczenia. Już dopadało go poczucie winy ocalonego. - To moi sąsiedzi, Bud i Alice.

- Moja mama jest w tych gruzach - powiedziała kobieta do Creeda, pokazując ręką, w której trzymała telefon komórkowy. - Była w domu, rozmawiałam z nią przez telefon, jak uderzyło tornado. Ona gdzieś tu jest.

Postukała w ekran telefonu i po kilku sekundach wszyscy znieruchomieli, słysząc stłumiony dźwięk dzwonka, który dobiegał z głębi, spod sterty gruzu. Było oczywiste, że już to robili, to znaczy wybierali numer i nasłuchiwali, aż telefon zadzwoni. Wiedzieli, gdzie mają szukać, ale i tak wszyscy patrzyli na Creeda i czekali.

Powoli podszedł bliżej. Z tylnej części budynku także została sterta połamanych desek oraz płyt gipsowo-kartonowych. Creed znalazł kłęb ubrań i butów, ostrożnie wyciągnął z niego płócienną tenisówkę, uniósł ją i pokazał Alice, a ona oniemiała owładnięta emocjami. Skinęła tylko głową, zanim Creed spytał, czy to but jej matki.

- Hej, proszę pana! - wołał do niego z góry Bud. - Bez urazy, ale przydałaby nam się tu dodatkowa para rąk. Zdaje się, że dzwoni dokładnie pod nami.

- Chwileczkę! - zawołał Creed, przykucnął przed Grace i podsunął jej tenisówkę. Powąchała ją z zewnątrz, potem wsadziła nos do środka. Mógł wybrać każdą inną część ubioru kobiety. Jeśli nosiła to niedawno, na ubraniu zostały komórki skóry z indywidualnym zapachem. Ale Creed zawsze mówił swoim treserom, żeby wybierali buty, jeśli mają taką możliwość. Niewiele osób pierze swoje buty, dlatego zapach utrzymuje się na nich dłużej.

Czuł na sobie wzrok całej trójki. Zazwyczaj nalegał, żeby członkowie rodziny usunęli się na bok, kiedy pies zabiera się do pracy, bo emocje najbliższych mogą rozproszyć jego uwagę. Zdarza się też, że ktoś wchodzi mu w paradę albo zadaje zbyt wiele pytań. Jednak ostatniej jesieni Creed był właśnie jednym z takich członków rodziny i bronił swojego prawa do aktywności. Przeszukiwali groby ofiar pewnego szaleńca, wierząc, że znajdą tam również szczątki jego siostry. Creed wiedział zatem, jak to jest być odsuniętym na bok. Podejrzewał, że Grace da im sygnał i wskaże to miejsce, gdzie już zaczęli kopać, potwierdzając, że tam znajduje się matka Alice.

Jednak Grace wcale tego nie zrobiła.

Uniosła nos, zatoczyła kółko, na koniec odwróciła się plecami do sterty gruzów i pociągnęła Creeda w przeciwnym kierunku.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Frankie poczuła ciężar, który się na nią zwałił, ale nie miała pojęcia, co to takiego. W ciemności słycać było przepychanki i szarpaninę. Kiedy ludzie znaleźli swoje telefony, pojawił się blask niebieskiego światła. Ktoś płakał, i było to lepsze niż krzyki sprzed chwili. A to, że znów słyszała, powinno przynieść jej ulgę, bo świadczyło o tym, że burza minęła. Prawdę mówiąc, ucichła tak nagle, że Frankie nie mogła uwierzyć, że to już koniec.

- Nic pani nie jest? - spytał ktoś.

Zanim Frankie się odezwała, odpowiedział inny kobiecy głos, a ona zdała sobie sprawę, że to nie ją pytano.

Czy ktoś w ogóle ją tu widzi? Było tak ciemno, że prawie nic nie widziała. Leżała plecami na zimnej betonowej podłodze. Kiedy się przewróciła? Gdy próbowała się ruszyć, jej nogę przeszył ból.

- O mój Boże, ty krwawisz.

Tym razem głos był zbyt odległy, więc nawet nie pomyślała, że może o nią chodzić. Czowała się tak, jakby była wykluczona z otaczającego ją chaosu.

Pojawiło się więcej białego i niebieskiego światła z telefonów.

- Nie mam sygnału - powiedziała jakaś kobieta.

Potem nagle promień światła padł prosto na twarz Frankie.

- Frankie? Nic ci nie jest?

To była Maggie O'Dell. Frankie nie widziała osoby po drugiej stronie oślepiającego światła, ale rozpoznała głos. W końcu światło przeniosło się niżej.

- Możesz się ruszyć?

- Jestem zaklinowana - odparła Frankie, unosząc głowę, żeby zobaczyć coś w świetle.

Żołądek podszedł jej do gardła razem z posmakiem żółci. Jej nogi przygniatał jeden ze stalowych słupów podtrzymujących sufit piwnicy. Wyglądało na to, że zaważyła się na nią także część budynku. W panice szarpnęła się gwałtownie, usiłowała wydostać się z pułapki.

- Nie ruszaj się - powiedziała Maggie z ręką na jej ramieniu. - Hej, potrzebuję pomocy! - wrzasnęła.

Frankie wskazała na jej czoło.

- Krwawisz.

- To nic poważnego. - Maggie otarła ranę palcami, a zakrwawione palce wytarła w dzinsy. - Wystarczy parę szwów.

Starszy mężczyzna, który, jak Frankie pamiętała, siedział przy

barze, zanim nadeszła burza, pierwszy odpowiedział na prośbę o pomoc. Tyle że teraz miał zakrwawioną brodę, a w przyprószonych siwizną włosach okrucy szkła i pył. Jego biała koszula ze starannie podwiniętymi rękawami była podarta i zaplamiona.

- Myśli pan, że uda nam się to podnieść? - Maggie nie czekała na jego odpowiedź, tylko machała ręką, przywołując kolejną osobę.

Mężczyzna przykucnął i patrzył na Frankie, jakby było dla niego ważne, żeby znać tożsamość osoby, której ma pomóc, zanim choćby zerknie na stalowy słup. Frankie zgadywała, że był po sześćdziesiątce. Z bliska widziała, że skórę miał zniszczoną od nadmiaru słońca, a włosów zdecydowanie więcej siwych niż czarnych. Za to jego przedramiona wyglądały na młode i silne. A jednak cicho westchnęła z ulgą, gdy nad ramieniem Maggie pojawił się potężny mężczyzna.

To był kierowca ciężarówki, który już wcześniej jej pomógł. Miał dobre oczy i mięśnie, które obiecywały, że podniesie przygniatający człowieka samochód. Ale po jego ręce strużką spływała krew, a ramię wisiało pod dziwnym kątem.

- Chwileczkę - powiedziała do niego Maggie, kiedy i ona to zauważyła. - Jak panu na imię?

- Ronald.

- Niech pan się odwróci, Ronaldzie.

Poświeciła latarką w telefonie na jego plecy. Frankie zobaczyła spory odłamek szkła i jej ulgę natychmiast zastąpiła panika. Z jego ramienia wystawał dziesięciocentymetrowy odłamek. Nie poczuła się lepiej, widząc minę Maggie, która była wyraźnie wstrząśnięta. Czy chodziło o krew? Wyglądało to okropnie, ale przecież Maggie była agentką FBI. Czyżby nie widziała gorszych rzeczy?

- Musimy się panem zająć, Ronaldzie - powiedziała Maggie. - Nie może nam pan pomóc. Musi pan usiąść. - Chwyciła za brzeg ławki i przyciągnęła ją bliżej. Potem się odwróciła i zawołała: - Hej, czy ktoś potrafi udzielać pierwszej pomocy? Mamy tu poważną ranę. Potrzebuję też kogoś silnego do pomocy.

- Próbuje otworzyć drzwi! - zawołał ktoś w odpowiedzi.

Frankie zdawało się, że rozpoznała głos Hanka.

Maggie spojrzała na starszego mężczyznę, który wciąż klęczał obok Frankie.

- Jak pan sądzi? - spytała. - Damy radę podnieść to we dwójkę?

- Gdyby chodziło tylko o słup, ale tu jest pełno różnych rupieci. Może lepiej zaczekajmy na ratowników.

- Jak pan się nazywa?

- Przyjaciele mówią do mnie Gus.

- Jestem Maggie. Może jednak spróbujemy, Gus - powiedziała.

Choć Maggie starała się to ukryć, Frankie wychwyciła w jej głosie niepokój, co jeszcze bardziej zwiększyło jej zdenerwowanie. Czy zdaniem Maggie nie mogą czekać na przyjazd ratowników? Ból stał się już prawie nie do zniesienia. Frankie przygryzła dolną wargę. Słup najprawdopodobniej złamał co najmniej jedną z jej nóg, jeśli nie obie.

Gus wzruszył ramionami, a potem kiwnął głową. Przyjrzał się słupowi, szukając miejsca, gdzie mógłby go chwycić. Maggie zrobiła to samo.

- Gotowy, Gus? - spytała. - Policzę do trzech. Raz, dwa, trzy.

Słup ani drgnął. Nie przesunął się ani odrobinę. Tkwił w miejscu.

Frankie starała się skupić na oddechu. Przymierzali się do kolejnej próby. Nabrała powietrza w płuca. Wypuściła powietrze. Wzięła kolejny oddech.

Słup wciąż ani drgnął.

Tym razem Frankie wstrzymała oddech, a następnie wciągnęła powietrze nosem i rzuciła wzrokiem na Maggie. Ona też to poczuła.

Jak mogła nie wpaść w panikę? Tornado uszkodziło rury gazowe i opary gazu wypełniały ich małą zatłoczoną przestrzeń.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Grace ciągnęła Creeda na drugą stronę ulicy. Ogon miała zakręcony do góry. Zastępca szeryfa Huston ześliznął się z góry gruzów, żeby im towarzyszyć. Alice była tuż za nim. Jej mąż Bud został na miejscu i dalej kopał.

- Moja mama była w domu - wołała Alice do ich pleców. - Nie wychodziła z domu. - Mimo to podążała ich śladem.

Grace naciągnęła smycz. Raz krótko obejrzała się na Creeda, żeby się pośpieszył. Creed wzdrygnął się, kiedy biegła po potłuczonym szkłe. Unosiła głowę i sprawdzała zapachy, nie zatrzymując się po drodze. Jej oddech przyspieszył, wlepiła wzrok przed siebie. Creed starał się, by ominęła kałuże benzyny i najeżone gwoździemi kantówki.

- To jest ten mały psiak, który znalazł dziecko - powiedział Huston do Alice. - Porwało je z samochodu i wyrzuciło ponad sześćset metrów dalej.

Creed starał się nie zwracać na nich uwagi. Zastanawiał się, czy nie przystanąć i nie poprosić ich, żeby się wycofali, ale nie chciał zatrzymać Grace i jej rozpraszać. Poza tym zastępca szeryfa powiedział słuszną rzecz. Tornado porywa ludzi i rozrzuca ich dokoła. A równocześnie chciał im wyjaśnić, że rozrzuciło też rzeczy, które należały do matki Alice. Niewykluczone, że Grace idzie ich śladem. Śladem czegoś, na czym prócz krwi pozostał jej zapach.

Grace prowadziła ich między samochodami służb ratunkowych i grupami pierwszych ratowników. Ledwie ich zauważała. Creed obejrzał się przez ramię. Szli na skos wzdłuż linii przecinającej już dwie ulice. Obeszli wielką górę gruzu sięgającą pierwszego piętra. Creed zorientował się, dokąd zmierza Grace. Jason i Scout już tam byli z ekipą strażaków. Grace ciągnęła jeszcze mocniej.

Niewielki park i sześć ocalałych potężnych dębów, które co prawda straciły wszystkie liście i zostały odarte z kory. Scout skakał na pień drugiego z drzew i pedałował przednimi łapami w powietrzu. Potem usiadł. Creed widział, że Jason już wyciąga jego zabawkę ze sznurka, żeby go nagrodzić.

Na tle czerni i brązu połyskiwało coś masywnego i białego. Między grubymi konarami w górze utkwiała wanna.

Creed przystanął i odwrócił się. Uniósł rękę, żeby zatrzymać zastępcę Hustona i Alice.

- Zaczekajcie chwilę - powiedział, po czym odezwał się do Grace:
- Dobra dziewczyna. - Grace już wlepiła w niego wzrok pełna

oczekiwania. Creed otworzył plecak, wymacał małego różowego słonika i podał go Grace. Zadowolona wzięła zabawkę do pyska i naciskała, aż słonik zapiszczał.

- Nie rozumiem - powiedziała Alice.

- Gdzie pani matka ukrywa się zwykle w podobnych sytuacjach? - spytał Creed.

- Niewiele z nas posiada piwnice. My z Budem mamy kryjówkę pod schodami. Mama zwykle idzie do łazienki i... - Urwała i spojrzała ponad jego ramieniem na drzewo. - Nie, to niemożliwe.

Pozwolili strażakom robić, co do nich należy. Czekali, aż dotrze wóz strażacki, omijając leżące na ziemi i wiszące nisko linie wysokiego napięcia. Bez drabiny nie dało się bezpiecznie wspiąć na drzewo i zajrzeć do wanny. A jednak mężczyźni już rzucali linę na gałęzie, które nie dźwigały ciężaru wanny.

Najmłodszy ze strażaków zdejmował strój służbowy, pozbywał się wszystkiego, co mogłoby mu przeszkodzić we wspinaniu się na drzewo.

Potem zwrócił się do Creeda:

- Czy pański pies może określić... - Urwał i sprawdził, czy członkowie rodziny, w tym i Bud, który dołączył do Alice, są odpowiednio daleko. Zastępca Huston już się o to postarał.

Strażak podjął:

- Czy pańskie psy potrafią powiedzieć, czy ona żyje?

To było skomplikowane. Creed nie chciał wdawać się w obszerne wyjaśnienia. Na przykład jak wiele zależy od tego, ile czasu minęło od tornada. Oba psy były wyszkolone do ratowania ludzi, ale nauczono je też znajdować ciała. Zapach żywego człowieka znacząco różni się od zapachu rozkładającego się ciała. A zapach kogoś, kto zmarł zaledwie parę godzin wcześniej?

- Nie, przykro mi - odparł Creed.

- Ale jest pan pewien, że ktoś tam jest? Czy jest możliwe, że ona była w wannie, a potem z niej wyszła, ale zapach pozostał?

- Moim zdaniem wszystko jest możliwe. - Creed widział o wiele dziwniejsze rzeczy, jednak ufał swoim zwierzętom. - Ale oba psy uważają, że ona tam jest.

Strażak kiwnął głową i powiedział do swoich kolegów:

- Okej, zrobmy to.

Był niski i krępy. Kiedy chwycił linę, stało się jasne, czemu został wybrany do tego zadania. Wspinał się niemal bez wysiłku. Migiem podciągnął się na grubą gałąź sąsiadującą z konarami, na których utkwiała wanna.

Creed obserwował jego twarz i już po paru sekundach zrozumiał, że wanna stała się trumną.

Dołączył do Jasona, który stał pod innym dębem, dość daleko, by strażacy i rodzina mogli ocenić sytuację, pracować, opłakiwać zmarłą. Psy odpoczywały w rzadkich plamach cienia. Jason nalał im wody i zabrał zabawki. Oba psy leżały z wyciągniętymi tylnymi łapami. Obserwowały otaczające ich działania i chaos z zaciekawieniem, a jednocześnie z pewną obojętnością, jakby wiedziały, że swoje już zrobiły.

Jason wyjął telefon. Trzymał go w zdrowej ręce i palcami tej samej ręki szukał czegoś w sieci. Jego proteza była zdolna do bardzo precyzyjnych ruchów, ale przywykł do robienia wielu rzeczy jedną ręką. Całkiem jakby zapomniał, że teraz może też posłużyć się drugą.

- Jak się nazywa ta restauracja, gdzie mieliśmy się spotkać z Maggie? - spytał.

- Niebiańskie Smaki. - Creed obejrzał się na Jasona, który wciąż przesuwał coś na ekranie. - Czemu pytasz?

- Jeden ze strażaków mówił, że tornado w nią uderzyło.

- Co?

- Chcę sprawdzić, czy piszą coś na ten temat.

Creed dotknął kieszeni w poszukiwaniu swojego telefonu.

- Jesteś pewien, że podałeś tę nazwę? - spytał z nadzieją, że Jason się przesłyszał.

- Tak, jestem pewien.

Creed znalazł swój telefon i włączył go.

- Skąd ta pewność?

- Bo pomyślałem: Co za ironia, że lokal, który obiecuje niebo w gębie, został uderzony przez tornado.

W końcu telefon Creeda był gotowy do działania.

Napisał wiadomość do Maggie:

Wszystko u ciebie w porządku?

Potem czekał.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Maggie wiedziała, że nie jest w tym dobra. Miejsca zbrodni, ciała ofiar – z tym nie miała problemu. Ale ranni i krwawiący ludzie z kawałkami szkła sterczącymi z ciała albo przygniecieni stalowymi słupami? To był problem. Nie była ratownikiem udzielającym pierwszej pomocy. Pamiętała, na czym polega resuscytacja krążeniowo-oddechowa, ale to wszystko. Od ułatwiającego się gazu kręciło jej się w głowie. Nie była w stanie logicznie myśleć.

Hank do tej pory nie zdołał otworzyć drzwi u szczytu schodów. Coś je blokowało. Kiedy oboje wołali o pomoc, Maggie przekonała się, że wezwanie Hanka spotyka się z większym odzewem. Więcej osób było zainteresowanych otwarciem drzwi niż udzieleniem pomocy rannym.

Dwaj mężczyźni zmienili metodę i próbowali wyważyć drzwi jednym z przewróconych słupów. Ten w modnej drogiej koszulce polo stał u stóp schodów, wciąż zerkając na ekran telefonu. Od chwili gdy zeszli na dół, wyglądał, jakby nie mógł się doczekać, kiedy stąd wyjdzie. Maggie słyszała, jak Hank nazywał go Maxem.

Innemu z mężczyzn Maggie nadała przydomek Kochaś. Być może nie był trafny, gdyż od początku nawałnicy nie kontaktował się z kobietą, którą wydawał się oczarowany podczas lunchu.

Słup, który upadł na Frankie, pociągnął ze sobą kawał sufitu. Przez krótki moment Maggie myślała, że to może być ich ewentualna droga ucieczki, jednak po dokładniejszych oględzinach stwierdziła, że otwór blokuje jakiś metalowy przedmiot. W tym momencie zależało jej przede wszystkim na tym, żeby uwolnić Frankie spod stalowego słupa. Im dłużej będzie przygniatał jej nogi, tym większe prawdopodobieństwo, że Frankie je straci. Jednak zdawać by się mogło, że Gus nie śpieszył się aż tak jak Maggie.

– Myślę, że mógłbym pomóc – zaoferował się Ronald, kierowca ciężarówki. – Mam przecież drugą rękę.

To był kolejny problem Maggie. Czy ma zostawić odłamek szkła w ciele Ronalda? Wiedziała z doświadczenia, że wyciągnięcie z ciała noża prowadzi do tego, że ofiara szybko się wykrwawia. Czy to samo dotyczy cholernie dużego kawałka szkła?

I gdzie, do diabła, podzieli się wszyscy pozostali? Starsza kobieta stała obok schodów i wciąż się modliła. A partnerka Kochasia? O ile Maggie dobrze widziała, pisała SMS-a. Może, oby tak było, ściągnie pomoc.

W końcu podeszła do nich kelnerka i spojrzała na Ronalda. Zdjęła

swój fartuch i starała się wytrzeć krew spływającą mu po ręce.

Powiedziała do Maggie:

- Myśli pani, że on potrzebuje opaski uciskowej?

Maggie dojrzała jej imię na plakietce i spytała:

- Potrafi pani to zrobić, Val?

- Tak, proszę pani - odparła kelnerka i zaczęła drzeć swój fartuch.

Była młodsza, niż Maggie się wydawało, miała dwadzieścia kilka lat. Ta druga kelnerka była starsza. Ta, która zwracała się do nich per kochana. Ta, której Maggie nie uratowała.

Uklękła obok Frankie. Jej czoło pokryły krople potu. Oczy miała zamknięte i aż do krwi przygryzała wargę. Maggie spojrzała wzdłuż słupa na Gusa. Wydawał się zadowolony, że ona tu dyryguje. Oparty o ścianę patrzył i czekał.

Nagle zdała sobie sprawę, że ma mokre stopy. Włosy Frankie też były mokre. Gdzieś przeciekała woda. Pozostali mogli stać, dla Frankie było to niemożliwe.

Maggie rozejrzała się po zrujnowanej piwnicy. Wstała i odwróciła się, świecąc latarką telefonu po ścianach, półkach, gruzach. Zaczęła przeszukiwać teren. Wraz z fragmentem sufitu z góry spadła stalowa rura długości ponad półtora metra. Maggie chwyciła ją zadowolona, że rura jest dość ciężka i solidna.

- Gus, niech pan tu podejdzie - powiedziała, pokazując mu, żeby stanął po tej samej stronie Frankie co ona. Val właśnie zawiązała Ronaldowi prowizoryczną opaskę uciskową, więc Maggie zawołała:

- Może nam pani pomóc? - Jak najdalej od nóg Frankie wepchnęła rurę pod stalowy słup i dodała: - Val, kiedy z Gusem uniesiemy słup, niech pani wyciągnie spod niego Frankie.

Frankie miała oczy szeroko otwarte i pełne nadziei. Maggie nie mogła jej zawieść.

Val stanęła za Frankie i pomogła jej pochylić się do przodu, by mogła wsunąć ręce pod jej ramiona. Potem Maggie skinęła na Gusa, by do niej dołączył. Mieli ze wszystkich sił naciskać na stalową rurę z nadzieją, że uniesie słup wystarczająco wysoko, by Val uwolniła nogi Frankie.

- Okej, jedziemy - powiedziała Maggie.

Razem z Gusem pchali i naciskali, ale słup uniósł się ledwie kilka centymetrów. To się nie uda. Ale dlaczego miałoby się nie udać? Frankie patrzyła na nich wzrokiem pełnym oczekiwania. Tyle że oni nie dawali rady. Potem nagle na rurze zacisnęła się kolejna ręka.

To był Ronald. Słup zaczął się unosić. Ześliznęło się z niego całe rumowisko i słup uniósł się jeszcze wyżej. Val szarpnęła i ciągnęła dopóty, dopóki nie uwolniła nóg Frankie.

- Musimy ją wyciągnąć z wody - powiedziała Maggie, zanim

zaczęli świętować zwycięstwo.

Przenieśli Frankie na jedną z drewnianych ławek. Kiedy usiadła z plecami opartymi o ścianę, na ławce było dość miejsca na jej wyciągnięte nogi.

- Jak się czujesz? - spytała Maggie.

- Lepiej. - Frankie lekko się uśmiechnęła. Potem wzdrygnęła się gwałtownie i kurczowo chwyciła Maggie za rękę, a jej oczy znów przepełniła panika. - Nadal nie mogę ruszać nogami.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Hanna zasugerowała, żeby Brodie poszła odpocząć. Nie mogła jej powiedzieć, żeby poszła się przespać, tak jak mówiła Isaacowi i Thomasowi, bo dziewczyna była dorosła.

Brodie nie dyskutowała. Co więcej, ucieszyła się, że ma pretekst do wyjścia. Potrzebowała oddechu. Była przekonana, że jeszcze minuta i serce eksploduje jej w piersi.

Znalazła Kotkę i skuliła się z nią na łóżku. Nie sięgnęła jednak po książkę leżącą na nocnej szafce. Opowiadania, wspaniałe przygody były jej ucieczką. Ale od tego nie było ucieczki. Jak ma się pozbyć tych obrazów i wspomnień, kiedy tak ciasno ją otoczyły, tak ciasno oplotły jej umysł, że stały się jej częścią?

Potem jej wzrok padł na dziennik i pióro, które także leżały przy łóżku. Brodie usiadła, sięgnęła po dziennik i zaczęła pisać na pierwszej pustej stronie:

Nazywam się Brodie Creed.

Nazywam się Brodie Creed.

Nazywam się Brodie Creed.

To Brodie była problemem. Była słaba, była płaczką, była strachajłem. Chociaż od lat nie wylała ani jednej łzy.

Nie, nie Brodie. To Charlotte nie wylała ani jednej łzy.

Mocniej chwyciła pióro i napisała:

Na imię mam Charlotte.

Na imię mam Charlotte.

Gdy usłyszała ciche stukanie do drzwi, gwałtownie spuściła nogi z łóżka, gotowa do ucieczki. Reakcja była tak instynktowna, że Brodie nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była głupia, dopóki Hanna nie zajrzała do pokoju.

- Wszystko w porządku, Kwiatuszku?

- Tak.

- Mogę wejść?

- Chyba tak. - Brodie podciągnęła znów nogi i oparła się o poduszki, jakby zagłówek stanowił dla niej oparcie w każdym sensie tego słowa. Przyciskała do piersi dziennik otwarty na stronie, na której pisała. - Mam problem?

- Och, Kwiatuszku, nie, wcale nie.

- Kiedy Ryder wróci do domu?

Hanna uśmiechnęła się do niej, a Brodie nie była pewna, dlaczego to zrobiła.

- Powinien wrócić jutro.

- Nie chcę z nią więcej rozmawiać - oświadczyła Brodie, ale mówiąc to, nie była w stanie patrzeć Hannie w oczy. Nie chciała, żeby Hanna widziała, jaka jest słaba i jaki z niej tchórz.

- Nie musisz, możesz rozmawiać tyle, ile chcesz.

- Czy ona wyjeżdża?

- Jest wyjątkowo paskudna pogoda, dlatego poprosiłam ją, żeby u nas przenocowała. Masz coś przeciw?

Brodie wzruszyła ramionami, jakby nie miało to dla niej żadnego znaczenia. To nie była wina jej matki.

- Nie mogę pozbyć się wspomnień - szepnęła tak cicho, jakby rzeczywiście mówiła tylko do siebie.

Hanna przysiadła na brzegu łóżka i wyciągnęła rękę. Kiedy zrobiła to po raz pierwszy, Brodie nie miała pojęcia, czego się spodziewać. Wsunęła swoją szorstką i pokrytą bliznami dłoń w dłoń Hanny. Dłoń Hanny była miękka, ciepła i gładka, ale też silna i stanowcza.

- Nie jestem ekspertem - powiedziała Hanna - ale powinniśmy spróbować zastąpić twoje złe wspomnienia dobrymi wspomnieniami.

- Ale skąd je wziąć?

- Cóż, zbierasz je za każdym razem, kiedy dobrze się bawisz z Isaakiem i Thomasem. Kiedy czujesz ciepło słońca na twarzy. Pamiętasz, jak spaliście z Ryderem na dworze, żeby obserwować gwiazdy? A Jason bardzo lubi ci opowiadać o psach i pokazywać, co potrafią.

Brodie starała się jej słuchać, naprawdę słuchać. Zdała sobie sprawę, że ściska dłoń Hanny, jakby musiała się czegoś trzymać.

- Kwiatuszkę, tak długo musiałaś być dzielna i silna.

- Charlotte taka była - powiedziała Brodie, zanim pomyślała.

- Charlotte?

- Ona była dzielna. Brodie była zawsze słaba i przestraszona. Cały czas płakała. - Podniosła wzrok, żeby zobaczyć reakcję Hanny.

- To ty jesteś dzielna i silna. Zawsze taka byłaś, Brodie. - Hanna ścisnęła jej dłoń i przekrzywiła głowę, żeby Brodie nie zerwała kontaktu wzrokowego. - Być może kiedyś Brodie się bała, ale nabrała siły. Stała się dzielna i walczyła, ponieważ poznała, co to strach i nie chciała go czuć już nigdy więcej. To Brodie przeżyła. Charlotte to tylko imię, jakim nazywała cię Iris Malone. Nie mogła cię zmienić w Charlotte. Próbowала, prawda? Nieustannie próbowała zrobić z ciebie Charlotte, tak? - Czekala, aż Brodie kiwnie głową. - Próbowала, ale jej się nie udało. Wiesz, dlaczego? Bo Brodie jej na to nie pozwoliła.

Brodie patrzyła na Hannę, aż w końcu skinęła głową.

- Nikt z nas, w tym twoja matka, nie oczekuje, że będziesz wciąż tamtą małą dziewczynką - mówiła dalej Hanna. - Ale nie musisz jej odpychać. Ona nadal jest częścią ciebie. Zawdzięczasz jej miłość do książek, dobroć dla zwierząt, fascynację gwiazdami. Musisz przestać się obwiniać. To nie była twoja wina. Niczemu nie jesteś winna.

- Tak mówi doktor Rockwood.

- Może w poniedziałek dowiemy się, czy nie mogłabyś spotykać się z nią raz w tygodniu.

- Ona jest w Omaha.

- Powiedziała, że mogłybyście rozmawiać online, przez telefon albo komputer. Albo mogłabyś na jakiś czas pojechać do Omaha.

Brodie natychmiast potrząsnęła głową i oznajmiła:

- Nie, nie chcę wyjeżdżać z domu.

Hanna uśmiechnęła się po raz kolejny, i tym razem Brodie ściągnęła brwi. Zastanawiała się, które z jej słów wywołały uśmiech Hanny.

- Już drugi raz nazwałaś ten dom swoim domem. - Hanna znów ścisnęła jej dłoń, a Brodie sobie uprzytomniła, że nie trzyma jej ręki tak mocno jak chwilę wcześniej. - A teraz odpocznij trochę. Może później, ale tylko jeśli będziesz miała na to ochotę, obejrzysz stare nagrania wideo, które przywiozła twoja mama. Z dobrymi wspomnieniami. Chciałabyś je zobaczyć?

- Z Isaakiem i Thomasem?

- Oczywiście, ale, mój Boże, musisz być przygotowana na to, że będą z ciebie podkpiwać. - Hanna wstała, a Brodie puściła jej rękę.

- Odpocznij. Przygotuję dla nas coś specjalnego do przegryzania podczas oglądania filmów.

Brodie odprowadziła ją wzrokiem, głaszcząc Kotkę. Potem nagle przypomniała sobie o notesie, który drugą ręką wciąż przyciskała do piersi. Spojrzała na zapisane przez siebie słowa i wyrwała tę kartkę. Ale zamiast ją zgnieść i wyrzucić, złożyła ją starannie na pół, chroniąc zapisane słowa. Potem złożyła ją jeszcze raz i schowała na dnie szuflady nocnej szafki.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Na południe od Montgomery, Alabama

Telefon Creeda odezwał się po raz kolejny. Zerknął na ekran i miał ochotę rzucić nim o ścianę budynku. Wracali do dżipa. Między wysyłaniem kolejnych wiadomości do Maggie, które „nie zostały dostarczone do adresata”, Creed posprzeczał się z Jasonem. Chłopak chciał, żeby Creed sam pojechał do restauracji, a jemu pozwolił zostać ze Scoutem na miejscu i kontynuować poszukiwania. Scout wywiesił język bokiem. Oba psy dyszały. Duchota była przytłaczająca. Creed chciał, żeby oba psy wsiadły do dżipa.

- Nie mogę ryzykować i zostawiać cię tu ze Scoutem, kiedy nie masz w samochodzie klimatyzacji i nie będzie mógł odpocząć - rzekł Creed.

Wiedział, że nie musi przypominać Jasonowi, że czasami psy nie są w stanie wychłodzić się samodzielnie. Choć pocą się poduszkami, dyszenie to ich jedyny sposób na cyrkulację powietrza i ochłodzenie organizmu. A ponieważ psy poszukujące oddychają szybciej podczas pracy, istnieje ryzyko, że szybko się odwodnią albo spotka je jeszcze coś gorszego. Przegrzany pies w bardzo krótkim czasie może doznać udaru cieplnego, który uszkodzi jego mózg, serce, wątrobę i system nerwowy. Creed nie wybaczyłby sobie, gdyby stracił psa z powodu przegrzania i wyczerpania. To dlatego we wszystkich ich samochodach zamontował dodatkowy system alarmowy jako pomocniczy środek ostrożności. Opiekunowie psów mieli zawsze przy sobie wszystko, co niezbędne do zastrzyków podskórnych, na wypadek gdyby musieli szybko nawodnić psa.

Creed wiedział, że Jason chce dobrze. Chciał się upewnić, że nie ma więcej zaginionych. W końcu Creed przekonał go, żeby dał jednemu ze strażaków wizytówkę ze swoim telefonem i telefonem Creeda. Znajdowali się kilka kilometrów od restauracji i mogli tu wrócić. Ale już obiecując to, Creed dostrzegł na horyzoncie gęstniejące ciemne chmury, które zapowiadały kolejne burze.

Gotowy do odjazdu, uruchamiając silnik, napisał ostatnią wiadomość do Maggie.

- Przecież widzieliśmy, że wieża przekaźnikowa zwała się na międzystanową - powiedział Jason.

- Dopiero co szukałeś czegoś w sieci.

Jason wyjął swój telefon.

- Internet działał bardzo powoli. I tak naprawdę nie mam

połączenia, nie dostałem nic nowego. Mam numer Maggie w kontaktach, będę próbował się dodzwonić.

Creed wpisał adres restauracji do GPS-u. Miał przeczucie, że będą musieli poszukać więcej niż jednej drogi dojazdu, i to bez pomocy GPS-u czy map. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że restauracja faktycznie znajduje się niedaleko, jakieś pięć kilometrów stąd, a według GPS-u powinni tam dotrzeć w niespełna pięć minut.

- Pierwsze służby na pewno już tam są - rzekł Jason. - Powiedział mi o tym ten strażak. - Zerknął za zegarek. - Jakies pół godziny temu. Może już wszystkich wydostali.

- Miejmy nadzieję.

Jason włączył radio. Nadawano kolejne ostrzeżenia pogodowe i porady, jak się zachować. Pogłodził je.

- Mówi Willis Dean z WALC-TV w Birmingham w stanie Alabama. Proszę was, zachowajcie szczególną ostrożność dziś po południu i wieczorem. Wiem, że w niektórych z was tornado już uderzyło. Nadchodzą do nas raporty dotyczące zniszczeń, prześlemy wam informacje, gdy tylko je otrzymamy. Ale, kochani, choć było już bardzo źle, nie wolno nam uśpić czujności. Rozwija się kolejna linia nawałnic.

Gdy odezwał się telefon Creeda, Jason ściszył radio. Creed podał mu swój telefon, omijając kolejne leżące na ziemi linie wysokiego napięcia.

- To Hanna - powiedział Jason. - Pyta, czy u nas wszystko w porządku. Pewnie właśnie usłyszała o zniszczeniach.

Po kolejnym sygnale Creed spojrział na telefon z nadzieją.

- Znów Hanna. Pisze, że doktor Avelyn i Penelope Clemence przyjadą, żeby pomóc. Pyta, w jakim hotelu się zatrzymaliśmy. Odpiszę jej ze swojego telefonu.

Oddał Creedowi telefon i zaczął pisać SMS-a.

- Czyli mamy zasięg, skoro jej wiadomości doszły.

- Napiszę też znów do Maggie.

- Dzięki.

- Szkody muszą być dużo większe i zajmować większy obszar niż to, co widzimy, skoro doktor Avelyn tu jedzie - stwierdził Jason.

Creed wiedział, że doktor Avelyn należy do międzynarodowej grupy weterynarzy, którzy współpracują z lokalnymi władzami w miejscach dotkniętych przez katastrofy naturalne i zajmują się poszkodowanymi zwierzętami. Penelope Clemence pomagała połączyć zagubione psy z ich właścicielami. Ratowanie porzuconych psów i znajdowanie im domów stało się jej prawdziwą misją, współpracowała też ze schroniskami, szukając dla nich funduszy. Jej

zasługą było to, że w kilkunastu schroniskach w kraju nie wolno było zabijać zwierząt. Creed zawdzięczał Penelope niektóre ze swoich najlepszych psów poszukujących.

Wkrótce po opuszczeniu dzielnicy mieszkaniowej Creed zorientował się, że czeka ich trudna podróż. Góra gruzu i śmieci blokowała im drogę.

- Chyba musimy pojechać długim objazdem.

Dwadzieścia cztery minuty później nadal nie otrzymali żadnej odpowiedzi od Maggie, choć wreszcie dostali potwierdzenie, że jedna z ich wiadomości dotarła do adresata. Mrugające światła samochodów służb ratunkowych były widoczne z odległości około kilometra. Samochody stały wzdłuż obu poboczy autostrady. Tylko kilku udało się dotrzeć na miejsce, które było wcześniej parkingiem. Załoga HAZMAT, służby zajmujące się substancjami niebezpiecznymi, ubrana w ochronne kombinezony, krzątała się na stacji benzynowej po drugiej stronie ulicy. Osiemnastokołowe ciężarówki z przyczepami leżały przewrócone na bok, wszędzie dokoła można było zobaczyć wywrócone do góry nogami samochody - niektóre zgniecione jak puszki.

- Gdzie jest restauracja? - spytał Jason, gdy odezwał się telefon Creeda.

W końcu przyszła wiadomość od Maggie:

Nie poddajemy się. Mam nadzieję, że ratownicy nas stąd wydobędą.

Creed zlustrował okolicę. Choć dystrybutory paliwa zostały zniszczone, a samochody rozrzucone jak bierki, sam budynek stacji benzynowej zbudowany z pustaków zdołał się zachować. Creed dostrzegł auto patrolowe szeryfa, a zaraz potem rozpoznał Krenshawa. Zaparkował, zostawił silnik na biegu jałowym i włączył klimatyzację.

- Spytam szeryfa Krenshawa. Zaraz wracam.

Sięgnął po czapkę z emblematem K9 CrimeScents i włożył ją na głowę. Zwykle służyła mu za przepustkę, dzięki niej wchodził na ogrodzony teren i pokonywał rozmaite barykady. Okazało się, że jej nie potrzebował. Krenshaw dojrzał go i pomachał do niego.

- Panie Creed, dobrze pana znów widzieć. Mamy tu niezły bigos.

- Słyszeliśmy, że tornado uderzyło w restaurację.

- Ano tak. Grupa ludzi jest uwięziona w piwnicy.

- Służby już do nich dotarły?

Szeryf pokręcił głową i skrzywił się.

- Sami ratownicy nie dadzą rady. Czekają na ciężki sprzęt do robót ziemnych, ale obawiam się, że kolejne nawałnice dotrą tu szybciej.

Niebo już zaczęło ciemnieć.

- W tej piwnicy są dwie moje znajome.

- Bez żartów? - Szeryf skrzywił się jeszcze bardziej. - Przykro mi to słyszeć. Miał pan z nimi kontakt?

- Wreszcie dostałem SMS-a.

- Może pan je uprzedzi, że nadchodzą kolejne nawałnice. Ale nie mówiłbym im, jak źle to wygląda. Po co odbierać ludziom nadzieję. To okropne.

- A jak źle to wygląda, szeryfie?

Krenshaw wskazał parking zasypany ziemią i dziwną kotłowaną różnymi przedmiotów. W pierwszej chwili Creed nie zorientował się, że był tu jakiś budynek. Potem wypatrzył betonowe fundamenty i jedną ścianę sterczącą z gruzowiska. Wszyscy zajmowali się osiemnastokątową ciężarówką, która wylądowała na miejscu, gdzie wcześniej była restauracja. Rozerwana przyczepa leżała przewrócona na bok.

To nie wszystko. Nawałnica zrzuciła z przyczepy ogromne niebieskie pojemniki. Creed widział, że członkowie HAZMAT bacznie je oglądają.

- Co w nich jest? - spytał, a ucisk w żołądku mówił mu, że nie chce poznać odpowiedzi.

Krenshaw wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wiem. Usiłuję dodzwonić się do tej firmy. Kierowca nie przeżył. Ale jedno panu powiem, bo to wiem na pewno. Chemikalia są drugim pod względem wielkości artykułem eksportowym Alabamy. Mam tylko nadzieję, że te pojemniki nie są uszkodzone.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY

Birmingham, Alabama

Willisowi nie podobało się, jak mapa radarów ożywa. Nie wierzył własnym oczom. Będące częścią superkomórek burzowych, rozpalone czerwienią i zakrzywione jak hak radary pojawiały się w mgnieniu oka. Łowcy burz zgłosili już cztery tornada, które sięgnęły ziemi, a to wcale nie było wszystko, co Willis obserwował na mapie radarów. Za granicą stanu, w Missisipi, formowała się kolejna linia nawałnic. Przesuwała się na północny wschód. Willis nie widział czegoś podobnego od 2011 roku.

Tornado, które zgłosił wcześniej Simon, uderzyło w kompleks przemysłowy. Napływały zdjęcia osiedla mieszkaniowego, gdzie domy zostały kompletnie zmiecione z powierzchni ziemi. To samo tornado sunęło dalej przez stację paliw i restaurację, po czym zwolniło i przemknęło południowym skrajem Montgomery. Z ostatnich doniesień wynikało, że bestia jest wciąż na ziemi i przetrząsa stan.

Choć była to bardzo gwałtowna nawałnica, nie była jedyną. Naprawdę trudno było za nimi nadążyć. Gdy tylko jedno ostrzeżenie wygasało, pojawiała się kolejna superkomórka. Redakcja wiadomości mierzyła się z tym samym wyzwaniem, co redakcja pogody. Setki zdjęć, transmisje wideo na żywo i opisy zniszczeń zalewały ich strony w mediach społecznościowych. Reporterzy usiłowali dotrzeć do niektórych z uszkodzonych miejsc. Były ofiary śmiertelne, choć lepiej z tym poczekać na oficjalne potwierdzenie władz. Prawdziwe wyzwanie stanowiło oddzielenie tego, co jest prawdą, od tego, co jest plotką, a tych nie brakuje w chwilach chaosu.

Willis podniósł wzrok znad monitorów. Paul podał mu nowy wydruk.

- Podobno grupa ludzi została uwięziona pod ruinami restauracji.
- Paul usiadł i wskazał ekrany telewizorów. Jeden z prezenterów właśnie o tym mówił.

Willis spojrzał na ekran, zamrugał i przyjrzał się baczniej.

- To ciężarówka z przyczepą?
- Uderzyło też w postój ciężarówek. Znam to miejsce. Jest niedaleko drogi międzystanowej. Jedliśmy tam z żoną.

Willis potrząsnął głową.

- Simon się odezwał?

Kątem oka widział, że Paul się skrzywił i odwrócił wzrok.

- Jeszcze nie.

- Nie czekaj zbyt długo, Paul. Wyślij kogoś, żeby sprawdził, co się stało.

- Drogi są zablokowane. Zresztą dokąd mam ich wysłać?

- Do ostatniego miejsca, z którego dzwonił Simon. Proszę, zrób to. Mam złe przeczucia. To było pierwsze tornado w Alabamie tego dzieciaka. Nie powinniśmy go wysłać.

- Myśmy go nie wysłali, Willis. On sam pojechał. My wysyłamy tylko zespoły.

Willis odwrócił się i spojrzał na kolegę. Paul pracował w pogodzie od dwudziestu paru lat, był weteranem, większość z tych lat spędził w tej stacji.

- Mamy setki obserwatorów i łowców burz, Willis. Nie możemy brać za wszystkich odpowiedzialności.

Willis powstrzymał się przed przypomnieniem Paulowi, że jest był szefem. Zamiast tego powiedział tylko:

- Wyślij kogoś, Paul.

Potem odwrócił się z krzesłem do ekranów z mapami radarów.

Ledwie Paul go opuścił, jedna ze stażystek stanęła w drzwiach.

- Panie Dean, ma pan rozmowę na pierwszej linii.

- Nie mogę teraz odbierać żadnych telefonów.

- Wiem, przepraszam. - Była wyraźnie zakłopotana. - To jest telefon w redakcji wiadomości. Powiedzieli mi, że to naprawdę ważne. Powiedzieli, że to pańska żona.

- Niech im przekáže, o co chodzi.

Czemu, na Boga, dzwoni do niego w środku ataku nawałnic i tornad? Zirytował się. Więcej niż zirytował. Podczas wszystkich tych lat, które spędzili razem, nigdy mu nie przeszkadzała w pracy. Nagle coś go zastanowiło. Nie miałyby śmiałości przeszkadzać, gdyby nie...

Postukał w jeden z ekranów, aż wyświetlił mu okolice jego domu. Nie, w pobliżu nie było żadnego tornada. Choć niektóre z burz z piorunami były gwałtowne.

Wstał i pośpieszył do drzwi. Nie mógł sobie przypomnieć imienia młodej stażystki. Nieważne, już sobie poszła. Przeniósł wzrok na telefon na ścianie i zobaczył, że linia numer jeden mruga.

- Weź się w garść, Willis - powiedział do siebie i sięgnął po słuchawkę. - Beth, jestem trochę zajęty - oznajmił.

- Bardzo przepraszam, Willis. Bardzo cię przepraszam. - Jej głos brzmiał, jakby dzwoniła z końca świata. Był przytłumiony, z jakimś dziwnym gulgotem w tle, jakby znajdowała się pod wodą. - Jestem uwięziona w pułapce.

- Beth, ledwo cię słyszę.

- Byłam w Niebiańskich Smakach.
- Co to jest? - Nie miał pojęcia, o czym ona mówi.
- Restauracja. Tornado w nas uderzyło.

Willis natychmiast przeniósł wzrok na ekran telewizora. Wciąż pokazywali tę ciężarówkę. Byli tam ludzie z HAZMAT.

- Jesteśmy tu uwięzieni, Willis. Bardzo się boję.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY

Niebiańskie Smaki

Maggie rozpaczliwie próbowała ulżyć Frankie. Ramię Ronalda przestało krwawić, Val się nim opiekowała. Gus dołączył do Maxa i Kochasia, przekonując ich, żeby wypróbowali inną taktykę niż wersja siłowa, która nie przyniosła rezultatu. W końcu Maggie udało się przyciągnąć uwagę Hanka.

- Czy da się jakoś powstrzymać ten wyciek gazu? - chciała wiedzieć. Czuła już jego smak i zapach. Jak tak dalej pójdzie, umrą z powodu zatrucia, zanim ktoś zdoła ich stąd wyciągnąć.

- Rura musiała pęknąć - odparł. - W kuchni jest gazowy grill.

- A co z wyłączeniem awaryjnym?

- Jeśli rura jest naruszona, to bez znaczenia. Naszą jedyną szansą jest wydostanie się przez te drzwi.

Maggie wskazała na labirynt rur na suficie, między belkami.

- Mógłby je pan sprawdzić?

Poświecił latarką na rury, najpierw te nietknięte, a potem te naruszone. Jego łysina lśniła od potu. Na dole było gorąco i duszno. T-shirt Maggie przykleił się do niej jak druga skóra, ale póki mogła oddychać, nie przejmowała się tym.

- Tutaj - powiedział. - Tu jest gaz.

- Jest pan pewien?

Poświecił latarką wzdłuż rury, przestępując śmieci i omijając dwie starsze kobiety. Maggie zauważyła, że ich stopy zanurzone są w wodzie. Jak bardzo podniósł się jej poziom?

- O rety - powiedziała jedna z kobiet. - Rura gazowa pękła?

Hank je zignorował i ruszył ostrożnie do odległego narożnika za zamrażarką.

- Tutaj. - Wskazał na zawór. - Tu jest odcięcie gazu. Niech pani to potrzyma - powiedział do Maggie i rzucił jej latarkę. - Proszę tu świecić.

Wspiął się na zamrażarkę, żeby sięgnąć do zaworu. Pokazał Maggie, żeby skierowała światło latarki prosto na zawór, bo chciał najpierw przeczytać znajdującą się tam informację. Potem chwycił zawór i pociągnął go w dół.

- I tak musimy zabezpieczyć pęknięte rury - powiedział. - Bo w nich wciąż jest gaz.

Zeskoczył z zamrażarki i wziął od Maggie latarkę. Zaczął przeglądać pudełka na półkach i przedmioty pozostawione na stole roboczym. Wybrał stamtąd kilka rzeczy i wrócił pod rurę.

- Niech pani to jeszcze potrzyma. - Podał znów Maggie latarkę.

Świeciła na rurę, podczas gdy Hank wepchnął w szczelinę jakąś szmatę. Potem zaczął owijać rurę taśmą klejącą, aż szmaty nie było widać. Czy to może być takie proste?

- Tu jest druga dziura. - Hank pokazał jej, gdzie ma poświecić.

Powtórzyli to trzy razy. Maggie nie była w stanie powiedzieć, czy to działa. Nozdrza miała wypełnione oparami gazu. W piersi czuła ból.

- Odetną dopływ gazu - powiedziała starsza kobieta siedząca z przyjaciółką.

Hank znów ją zignorował, za to Maggie spytała:

- To standardowa procedura?

- Tak mi się zdaje, zależy od tego, jak silne było tornado. Może zniszczyło też sieć gazową.

- Dziękuję, a tak przy okazji jestem Maggie. Jak sobie panie radzicie?

Jedna z kobiet otoczyła ramieniem tę drugą o pobladłej twarzy.

- Damy radę. Jestem Clara, a to jest Adele.

Maggie przeniosła wzrok na Hanka. Wciąż stał obok niej. Spodziewała się, że będzie mu śpieszno do mężczyzn przy drzwiach, on tymczasem przyglądał się ich kryjówce, omiatając ją światłem latarki. Trafiał na dziurę w suficie tam, gdzie wcześniej był przytwierdzony przewrócony słup nośny. Maggie zobaczyła, że Hank szeroko otwiera oczy.

- Co tam jest? - spytała.

Hank przesunął promień światła w tę i z powrotem, jakby sam chciał się zorientować w sytuacji.

- Jesteśmy dokładnie pod kuchnią - oświadczył. - To musi być grill albo zmywarka.

Maggie czekała na dalsze wyjaśnienia. Widziała, jak Hank porusza szczęką, przyglądając się bacznie sufitowi.

W końcu się odezwał:

- Właśnie sobie uświadomiłem, że mamy nad głową niezły ciężar.

Zaczął świecić latarką dokoła, świecił ludziom w oczy. Szukał czegoś albo kogoś.

- Rity tu nie ma - rzekł trochę spanikowany. - Nie widzę też Ann Marie ani Sofii.

Maggie zdała sobie sprawę, że dopiero w tym momencie przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić, czy wszyscy jego współpracownicy zeszli na dół.

Val, druga kelnerka, usłyszała jego słowa. Powiedziała do Hanka, siedząc wciąż obok Ronalda:

- Wie pan, że Ann Marie śmiertelnie boi się schodzić na dół.

Pewnie poszły od razu do toalety. Chyba tam zawsze kazano nam się schronić?

Maggie widziała, jak ci dwoje wymieniają spojrzenia. Hank podniósł wzrok, poświecił na sufit nad zamrażarką, jakby mógł zobaczyć, czy kobiety na górze są bezpieczne.

Maggie wciąż czuła się winna z powodu Rity. Jakim cudem nie widziała dwóch pozostałych kobiet? Nie mogła o tym myśleć. Nic już nie mogła dla nich zrobić. Miała nadzieję, że są bezpieczne.

- Czy jest tu na dole druga latarka? - spytała.

- Nie mam pojęcia - odparł Hank. - Ten cały śmietnik należał do poprzedniego właściciela. My nigdy tu nie schodziliśmy.

- Mogę się rozejrzeć?

- Jasne. - Pokazał na jej telefon. - Udało się pani coś wysłać? Mój nie działa, ale ma już pięć lat.

- Dostałam jedną wiadomość. Nie wiem, czy moje dotarły.

- Trzeba próbować. - Kobieta, którą Maggie nazwała Kochasią, bo stanowiła parę z Kochasiem, pisała wiadomości, odkąd nawałnica ustała. - Udało mi się raz nawiązać połączenie.

- Rozmawiała pani z kimś? - spytała Maggie.

- Tak, ale krótko, rozmowę przerwało.

- No to będę próbować. Dajcie znać, jeśli będziecie miały jakieś wiadomości - powiedział Hank i ruszył na schody, zabierając ze sobą źródło najjaśniejszego światła.

- Jestem Maggie - powiedziała Maggie do kobiety.

Kobieta po raz pierwszy podniosła wzrok znad telefonu.

W jasnym białym świetle Maggie widziała zmarszczki śmiechu w kącikach jej warg i oczu. Pewnie zbliżała się do pięćdziesiątki, może nawet już do niej dotarła. Była ładna, miała jasnoniebieskie oczy i jasne sięgające brody włosy.

- A ja Beth - odparła w końcu. Dostrzegła kaburę pod rozpiętą koszulą Maggie. - Jest pani policjantką?

Maggie rozejrzała się, potem się nachyliła i zniżyła głos.

- Jestem z FBI. Będę wdzięczna, jeśli zachowa to pani dla siebie.

- Nie ma sprawy. Każdy ma swoje tajemnice.

To były dziwne słowa, ale Maggie pomyślała, że Beth może być w szoku. Po tym, co wszyscy tu przeszli, wahania emocji nie były niczym zaskakującym. Maggie też zmagala się ze swoją klaustrofobią.

- Może będziemy wymieniać się informacjami - powiedziała Maggie. - Jeśli uda nam się połączyć.

- Jasne. - Beth wróciła do swojego telefonu.

W jej tonie było coś, co powiedziało Maggie, że raczej nie dotrzyma obietnicy. W końcu dotąd nie wspomniała nikomu, że

rozmawiała z kimś przez telefon. Maggie wiedziała, że w tak trudnej sytuacji jeden człowiek skupia się wyłącznie na sobie, inny zaś ryzykuje ból od wbitego w ramię kawałka szkła, żeby pomóc bliźniemu. Nie miała prawa nikogo oceniać, ale szybko się przekonała, na kim może polegać, a na kim nie.

Zawróciła do półek przy ścianie i włączyła latarkę w telefonie. Musi oszczędzać baterię. Może na stole roboczym, gdzie Hank znalazł taśmę klejącą, znajdzie też latarkę. Niestety nie miała szczęścia. Poświeciła na pudełka. Na niektórych znajdowały się nalepki z opisem. Większość była zaklejona taśmą. Obejrzała się na Frankie, żeby sprawdzić, jak się czuje. W półmroku widziała malujący się na jej twarzy ból.

Przesunęła parę pudełek. Potem z tyłu znalazła jedno, które zainteresowało ją na tyle, że je wyciągnęła. Zerwała taśmę klejącą i poświeciła do środka. Wyjęła jedną ze znajdujących się tam butelek i popatrzyła na etykietę. Conecuh Ridge. Clyde Mays Alabama Style Whiskey. Zawartość alkoholu 85 procent.

Nareszcie znalazła coś, co może pozwoli Frankie nie myśleć o bólu.

ROZDZIAŁ PIEĆDZIESIĄTY DRUGI

Creed zaproponował, że z Jasonem, Grace i Scoutem obejdą ten teren. Stacja paliw i restauracja znajdowały się tuż przy drodze międzystanowej numer 65, więc podróżnych zjawiało się tu wielu. Tak jak poprzedniego dnia trudno było ocenić, czy kogoś brakuje i czy ktoś znajduje się w pułapce tych gruzowisk.

Szeryf Krenshaw poinformował Creeda, że cała załoga stacji paliw się uratowała. Kilku kierowców i szoferów ciężarówek zabrano do lokalnego szpitala. Niektórych opatrywano na miejscu.

- Obawiam się, że nie mogę panu na to pozwolić - rzekł Krenshaw. - To zbyt niebezpieczne. Mnóstwo rozlanej benzyny. Dwie osiemnastokółowe ciężarówki są doszczętnie rozwalone.

- A co z restauracją? - spytał Creed. Chciał podejść bliżej, przekonać się, co z niej pozostało. - Jest pan pewien, że wszyscy ukryli się bezpiecznie w piwnicy?

- Prawdę mówiąc, wyciągnięto już trzy osoby z czegoś, co było toaletą.

- Były w stanie powiedzieć, ilu ludzi utknęło na dole?

Krenshaw patrzył na niego przez chwilę, jakby nie rozumiał, o co pyta Creed. Potem nagle Creed zobaczył, że do szeryfa dotarły wreszcie jego słowa.

- Wybacz, synu. Powinien powiedzieć, że są trzy ofiary śmiertelne.

Puls Creeda przyspieszył jak szalony. Nie spytał Maggie o Frankie. Ale na pewno sama by mu napisała, gdyby coś się stało. A może napisała, tylko wiadomość jeszcze do niego nie dotarła?

- Był pan w stanie porozmawiać ze swoimi znajomymi? - spytał Krenshaw.

- Niezupełnie. Dostałem jednego SMS-a.

- Jeden z kurierów przywiezie stację ruchomą. - Szeryf wyciągnął szyję i spojrzał na drogę dojazdową. - Powinien niedługo tu być. A może przygotowują coś nieco dalej. Przywożą też generatory.

- Mielście kontakt z kimś, kto jest tam na dole? - spytał Creed.

- Zdaje się, że oni dzwonili na 911, ale rozmowy urywało, zanim operator uzyskał jakieś informacje. Nie wiedząc, kto tam jest, nie dysponujemy numerami, na które moglibyśmy zadzwonić. Lada chwila pojawią się rodziny. A wie pan, jak to jest. Czasami więcej przeszkadzają, niż pomagają. Rozpuszczają plotki i trudno nad tym zapanować.

Szeryf wciąż przyglądał się drodze. Nagle znów spojrzał na

Creeda.

- Właściwie gdyby się pan dodzwonił do swojej znajomej, mógłby pan dla nas zdobyć jakieś informacje. Najbardziej mnie martwi, że nie zdążymy nic zrobić przed burzami, które się zbliżają.

Creed zerknął na niebo na zachodzie. Widział napływające szare masy, błyskawica je rozświetliła, podkreślając ich ruch i warstwy.

- Hej, proszę pana! - zawołał Krenshaw do kogoś za plecami Creeda. - Tu wolno wchodzić tylko służbom ratowniczym.

Creed odwrócił się i zobaczył potężnego mężczyznę w okularach przeciwsłonecznych Ray Ban, ciemnych spodniach, białej przepoconej koszuli i najbardziej błyszczących butach, jakie widział na miejscu katastrofy. Zamiast odpowiedzieć szeryfowi, mężczyzna uniósł rękę z czapką bejsbolówką i z pewnym wysiłkiem włożył ją na głowę. Napis na granatowej czapce zaskoczył Creeda. Zdziwił też Krenshawa.

- Co, do diabła, robi tu FEMA?

- To nie pierwsza nawałnica w tej okolicy - powiedział przedstawiciel Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego FEMA, jakby to wszystko wyjaśniało.

Na Creedzie robił wrażenie urzędnika federalnego. Ale jako były żołnierz piechoty morskiej Creed widział w nim też byłego wojskowego. Było coś takiego w jego postawie. Wyższy od Creeda, miał szeroką klatkę piersiową i kwadratowe ramiona, a do tego kwadratową głowę. Zza kołnierzyka koszuli wystawała paskudna blizna, co zdawało się potwierdzać przypuszczenia Creeda. Uznał jednak, że to sprawa szeryfa.

- Później pogadamy - powiedział i ruszył do dżipa.

Kiedy się odwrócił, wymacał telefon i spojrział na ekran z nadzieją, że ujrzy nową wiadomość od Maggie. Zobaczył, że ma zasięg. Zamiast pisać SMS-a, wybrał jej numer.

Słyszał sygnał telefonu. To było więcej, niż udało mu się uzyskać do tej pory. Mimo wszystko spodziewał się, że połączenie zostanie przerwane, kiedy ktoś się odezwał.

- Maggie?

- Tak, tak! Ryder? Nie do wiary, że udało ci się połączyć.

- Jeden z kurierów przywiózł stację przenośną, więc może być łatwiej, dopóki nie będzie przeciążona. Jak się czujesz?

- Świetnie - odparła i roześmiała się.

Dobrze było słyszeć jej śmiech, nawet jeśli było w nim napięcie.

- Posłuchaj, Maggie, czy jest tam z tobą Frankie?

- Tak.

Creed odetchnął z ulgą. Hanna byłaby niepokieszona, gdyby się okazało, że Frankie jest jedną z ofiar śmiertelnych wydobytych

z gruzów. Ale jego ulga nie trwała długo.

- Jest ranna - powiedziała Maggie, zniżając głos. - Poważnie ranna. Jeden ze słupów podtrzymujących sufit spadł jej na nogi. Udało nam się ją spod niego wyciągnąć.

- Jest przytomna?

- Tak, ale bardzo cierpi. Ryder, jak sądzisz, jak szybko będą mogli otworzyć nam drzwi?

Creed wrócił spojrzeniem do gruzowiska, które wcześniej było restauracją, i osiemnastokątowej ciężarówce przewróconej na drzwi, o których wspomniała Maggie. Potem zerknął znów na niebo. Był środek popołudnia, a robiło się tak ciemno, że w pojazdach podróżujących bocznymi drogami automatycznie zapalały się reflektory.

Ile mógł jej powiedzieć? Ile powinien jej powiedzieć?

- Ryder? - spytała, gdy milczał zbyt długo. - Pewnie jest bardzo źle.

- Zanim dotrą do drzwi, muszą usunąć sporo rzeczy. Ile osób jest z tobą na dole?

- Zaraz ci powiem. - Zaczęła wymieniać ich na głos: - Ja, Frankie, Clara i Adele, Ronald, Val, kobieta z synem, Beth, Max, Hank, Kochaś i Gus. Ile to jest? - Creed usłyszał, że ktoś jej podpowiedział. - Trzyście. Ronaldowi wbił się w ramię kawał szkła, ale już nie krwawi.

- Ktoś jeszcze jest ranny?

- Reszta ma skaleczenia i zadrapania.

- A ty?

- Nic mi nie jest. - Odpowiedziała za szybko, jakby chciała przekonać nie tylko jego, lecz także siebie. - Posłuchaj, Ryder, gaz się tu ulatnia. Chyba zamknęliśmy zawór, ale ktoś powiedział, że mogliby odciąć dopływ gazu.

- Sprawdzę to.

- I woda się wlewa.

- Jak wysoko sięga?

- Nie tak wysoko. Mnie sięga prawie do kostek. Masz pojęcie, jak długo to potrwa, zanim nas stąd wydobędą? Powiedz mi to wprost, jestem dużą dziewczynką. - Zanim odpowiedział, dodała: - Dużą dziewczynką, która cierpi na klaustrofobię.

Creed zbyt dobrze pamiętał, jak to jest, gdy człowiek zostanie zakopany pod powierzchnią ziemi. Znalazł się kiedyś w lawinie błotnej. Niewiele trzeba, żeby wpaść w panikę. Na samą myśl o warstwach ziemi nad głową wciąż zalewał się potem. Maggie wystarczy jej klaustrofobia, nie musi sobie wyobrażać przewróconej osiemnastokątowej ciężarówce nad ich głowami, która nie tylko

zagroza ich wyjściu, lecz także stanowi ryzyko, że cały ten ciężar na nich runie.

- Ściągają ciężki sprzęt, żeby usunąć gruzy. Ale zbliżają się kolejne burze, więc niewykluczone, że będą musieli trochę poczekać. - Mówiąc to, widział, jak ratownicy dają sobie znaki. Ładowali swój sprzęt.

- Jak groźne?

- Nie wiem.

- Kolejne tornado?

Usłyszał cień paniki w jej głosie.

- Nie słyszałem prognozy. Wracam do dżipa. Jason będzie coś wiedział.

- Ryder, moim zdaniem nie wytrzymamy kolejnego tornada. Hank mówi, że nad nami jest cały sprzęt kuchenny, no wiesz, grill, zmywarka, ogromna lodówka.

Creed skrzywił się i w myśli dodał przewróconą ciężarówkę i niebieskie beczki.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY TRZECI

Frankie poczuła się lepiej. Dużo lepiej. Przynajmniej ból już tak jej nie dokuczał. Oparła się o zimną betonową ścianę i starała się korzystać z chwili tymczasowej ulgi.

W starej zamrażarce Maggie znalazła zapakowane zamrożone mięso. Na białym papierze do pakowania widniał stempel z datą: 2013. Przyniosła Frankie kilka takich paczek różnych rozmiarów. Przekazała je także innym potrzebującym, mówiąc przy tym, że najlepsze kawałki zachowała dla Frankie.

- Antrykot na tę nogę - powiedziała do Frankie, ostrożnie kładąc cudownie zimny pakunek na rozpaloną nogę - a wołowina zrazowa na tę.

Najlepszym prezentem była jednak butelka whiskey.

W pierwszej chwili Frankie spojrzała na Maggie, przewracając oczami. Ale potem zauważyła zmianę na twarzy Maggie, kiedy ta czytała wiadomość.

- Co się stało? - spytała Frankie.

- To może chwilę potrwać. Ryder pisze, że ratownicy muszą się wycofać. Nadchodzą kolejne burze.

- I deszcz przeszkodzi im w tym, żeby nas uratować?

Maggie milczała. Frankie znała odpowiedź. Wyciągnęła rękę po butelkę.

To było cztery łyki wcześniej. Może pięć.

Już nie czuła piekącego bólu, tylko miłe ciepło i lekki szum w głowie.

Maggie znalazła stary stołek o trzech nogach i usiadła obok Frankie. Choć Frankie opierała plecy o zimną betonową ścianę, wciąż była zlane potem. Nogi miała wyciągnięte przed siebie i obłożone pakunkami z mięsem, które pozbawiały ją resztek bólu.

- Więc ty i Ryder - zaczęła Frankie. Wszystkie zahamowania rozpierzchły się w ciemności. Staraly się oszczędzać baterie telefonów. - Czy ty i Ryder, no wiesz, robicie to?

Nie widziała twarzy Maggie, tylko jej profil. Mimo to Frankie się roześmiała. Dawno nie śmiała się już tak głośno. Dość głośno, by inni podnieśli głowy znad swoich telefonów.

Zanim Maggie jej odpowiedziała, Frankie dodała:

- O mój Boże, przysięgam, że słyszę, jak się zaczerwieniłaś.

- To niedokładnie tak.

- Ale robicie to?

- Chyba przesadziłaś ze swoim lekarstwem.

- Zawsze uważałam, że Creed jest słodki - wyznała Frankie. - Wiesz, że Hanna musiała mu zakazać sprowadzania kobiet do mieszkania nad psiarnią. Jej synowie widzieli je, jak wychodziły wcześniej rano, i zaczęli zadawać pytania.

- Chcesz powiedzieć, że jest kobieciarzem?

- Nie, nie, mówię, że jest chodliwym towarem. - Wyrzuciła przed siebie rękę, żeby klepnąć Maggie w ramię. - Oczywiście zauważyłaś, o mój Boże, właśnie nazwałam cię Shirley. - Zachichotała i prychnęła. Nie chichotała, odkąd była małą dziewczynką. Tak, trochę się narąbała. - Pozwól, że powiem to inaczej. - Frankie starała się skupić. Whiskey naprawdę nieźle zakręciła jej w głowie. - Oczywiście na pewno zauważyłaś, jak kobiety na niego patrzą, kiedy wchodzi do pokoju. I wiesz, co jest w tym najlepsze? On nawet nie zauważa, jak na niego patrzą. Zwykle ma ze sobą psa i myśli, że patrzą na psa.

Frankie zamilkła, a potem spoważniała. Nie będzie myśleć o Gordonie i jego niewierności. Ani o Tylerze. O mój Boże, Tyler. Jak to możliwe, że on nie żyje? Potrząsnęła głową.

- O co chodzi? - spytała Maggie.

- Uciekam od wczorajszego ranka. Dosłownie uciekam, żeby uratować życie. Byłabym naprawdę wkurzona, gdybym umarła przez jakieś durne tornado.

- Nie umrzesz. Jeśli tylko mam coś do powiedzenia w tym temacie - oznajmiła Maggie, nie patrząc na nią.

Frankie poczuła łyzy pod powiekami. Nie chciała płakać, ale to była najmiłsza rzecz, jaką ktoś jej powiedział od dłuższego czasu. Oczywiście Maggie musiała to zepsuć, dodając:

- Hanna by mnie zabiła, gdybym pozwoliła ci umrzeć.

Frankie to rozbawiło. Wypiła kolejny łyk whiskey. Nie za duży. Nie chciała, żeby ten miły szumek w głowie minął.

- Hanna tak działa na ludzi. Długo ich znasz?

- Parę lat. Poznałam Rydera i Grace na miejscu zbrodni. Potrzebowaliśmy ich, żeby nam pomogli znaleźć ciała. Seryjny morderca zamienił swoją farmę w cmentarz.

- No, to ich specjalność. To była miłość od pierwszego wejrzenia? - Frankie znów zachichotała i tym razem Maggie zabrała jej butelkę.

- Nic podobnego. Od tamtej pory pracowaliśmy razem przy trzech sprawach, poza tym się nie widzimy. Mieszkam w Wirginii, on na Florydzie. - Maggie lekko wzruszyła ramionami. - Co można poradzić? Jest jak jest.

- Czyli się lubicie. Bardzo, bardzo się lubicie, tak? I zrobiliście to? Maggie jęknęła.

- Raz. Tylko raz. - Po tym wyznaniu wytarła szyjkę butelki

i pociągnęła łyk.

- W czym problem? - spytała Frankie.

- Po pierwsze, właśnie się dowiedziałam, że sypia z wieloma kobietami, więc nasza wspólna noc pewnie nie znaczy dla niego tak wiele, jak myślałam.

Pomimo miłego rauszu Frankie słyszała w jej głosie rozczarowanie.

- Wątpię, żeby to była prawda. Wiem na pewno, że nie sypia z kobietami, z którymi pracuje. Poznałaś panią weterynarz? Pytałam Hannę, czy coś jest między nią a Ryderem, a Hanna się oburzyła. Powiedziała, że co do tego jest zasadniczy. Myślę, że samo to, że dla ciebie złamał zasady, sporo znaczy.

Na chwilę zamilkły, a Frankie zdała sobie sprawę, że to ciągle stukanie dobiega od strony mężczyzn, którzy na zmianę usiłovali wyważyć drzwi u szczytu schodów. Zdawało się, że wszyscy trzymają się z dala od Frankie i Maggie. Zerkali tylko na Frankie, a ona zastanawiała się, czy nie chcą pamiętać, jak poważnie została ranna.

- Fatalnie radzę sobie w związkach - powiedziała Maggie cicho, niemal szeptem, jakby się spowiadała. Frankie pomyślała, że to pewnie na skutek whiskey. - Mój ojciec był strażakiem. Zginął w pożarze, jak miałam dwanaście lat. Moja matka... powiedzmy, że nie była dla mnie najlepszym wzorem, jeśli chodzi o mężczyzn, jakich sobie wybierała. I tak naprawdę wciąż jest alkoholiczką o skłonnościach samobójczych.

Maggie zamilkła. Frankie chwilę czekała, aż zrozumiała, że to koniec. Coś jej mówiło, że Maggie nie było łatwo się tym podzielić i że dotarła do nieprzekraczalnej granicy.

- Chyba coś nas łączy - powiedziała Frankie. - Moja mama też miała skłonności samobójcze. Za trzecim razem jej się udało.

- Och, Frankie, tak mi przykro, nie miałam pojęcia.

- Chcesz powiedzieć, że nie ma tego w mojej teczce w FBI? - zażartowała. - W porządku. To było dawno temu. Miałam dziewięć lat. Nie widziałam tego. Ojciec znalazł ją wcześniej rano. Przecięła sobie żyły w wannie. Karetka ją zabrała.

- Moja mama zaczęła się kaleczyć, gdy byłam nastolatką. Nie wyobrażam sobie, jak bym to zniosła, mając dziewięć lat.

- Prawdę mówiąc, wiesz, co było najtrudniejsze? Ojciec kazał mi iść tego dnia do szkoły. Nie było nikogo, kto by się mną zaopiekował, a on musiał jechać do szpitala, gdzie pojechała karetka. Myślałam, że mama tylko się zraniła. Za pierwszym razem byłam za mała, żeby coś pamiętać. Za drugim wzięła po prostu garść pigulek. Myślałam, że śpi.

Frankie już bardzo dawno nikomu tego nie mówiła.

- Byłyśmy z Hanną najlepszymi przyjaciółkami. Ona od razu wiedziała, gdy coś było nie tak. Już wtedy potrafiła wyczuć ludzkie emocje. Spytała swoich dziadków, czy mogę do niej przyjść po lekcjach. Mój tata bardzo się ucieszył, kiedy do niego zadzwonili, żeby zapytać, co on na to. Wiesz, dopiero następnego dnia powiedział mi, że mama nie przeżyła. A dopiero jak byłam w college'u, dowiedziałam się, że zmarła w karetce. Całe lata miałam mu za złe, że nie pozwolił mi pojechać do szpitala, żeby ją odwiedzić. Pożegnać się z nią. Czemu mi po prostu nie powiedział, że ona już nie żyła?

Widziała, że Maggie na nią patrzy.

- Pamiętam, że go o to spytałam i wiesz, co odpowiedział?

Maggie w milczeniu słuchała.

- Powiedział, że nie chciał, żebym ją widziała w takim stanie. Żebym ją taką zapamiętała. Nie pozwolił mi też pójść na pogrzeb. Pewnie miał jakiś powód. No, ale co mogło się zdarzyć? Była moją matką. Chciałam się z nią pożegnać.

Telefon Maggie zaczął dzwonić, a one niemal podskoczyły na ten dźwięk.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY CZWARTY

Creed przekazał Krenshawowi informacje, które usłyszał od Maggie. Kiedy dotarł do dżipa, zatrzymał go zastępca szeryfa.

- Wynosimy się stąd - powiedział, wskazując na czarny wał za ich plecami. - Podobno pojawiły się już dwa tornada. Wrócimy natychmiast, jak to się skończy.

- Dokąd mamy jechać? - spytał Jason nad dachem dżipa. Miał otwarty bagażnik i czegoś szukał.

- Kierujcie się na południe. Tak mi powiedziano. Ta nawałnica idzie na północny wschód. Ale to cała linia burz. Macie się gdzie schronić? Jakąś rodzinę w pobliżu?

- Nasz hotel jest z piętnaście kilometrów na południe.

Zastępca zerknął na zegarek.

- To może być najlepsze miejsce. Zaprosiłbym was, żebyście z nami pojechali, ale to nie będzie ani bliżej, ani bezpieczniej niż wasz hotel. Muszę lecieć. Powodzenia. - Stuknął knykciami w dach dżipa i ruszył do kolejnej załogi, żeby ich ostrzec.

Samochody zakładów użyteczności publicznej, wozy strażackie, auta służb ratunkowych jechały jeden za drugim, manewrując ciasnymi ulicami, i opuszczały ogrodzony teren. Nawet załoga HAZMAT pakowała manatki.

- Nie chcę zostawiać Maggie - powiedział Creed do Jasona.

- Tak, wiem, ale jak w nas walnie, w ogóle jej nie pomożemy.

Creed wciąż nie wrzucał biegu. Jason podjął:

- To nic złego, że wrócimy do hotelu. Napelnimy bak, nakarmimy psy. Obejrzymy je dokładnie. Wyciągnąłem szkło z poduszki Grace.

Ta informacja przyciągnęła uwagę Creeda.

- Nic jej nie jest? - Czemu sam jej nie obejrzał? Co z nim nie tak?

- Będzie dobrze, wyczyściłem ranę, opatrzyłem, ale na dziś ma już dosyć.

Coraz więcej samochodów odjeżdżało. Creed widział ciąg tylnych świateł, a potem znów przednich reflektorów. Niebo stopniowo ciemniało.

Wrzucił bieg. Ciężarówka, która stała przed nimi, już odjechała. Creed zawrócił i ruszył na południe. Gdy zostawili za sobą samochody służb ratunkowych, zerknął w tylne lusterko. Grace opuściła głowę, za to nadstawiła uszu. Oczy miała szeroko otwarte.

Creeda ogarnęło wszechobejmujące poczucie bezradności. Nie mógł uratować Maggie i Frankie, i zaniedbał psa.

- W porządku, Grace?

Podniosła wzrok i spotkała się z nim spojrzeniem w lusterku. Lekko opuściła uszy, głowę miała wciąż opuszczoną. Czuł się, jakby dostał cios w brzuch. Grace nie czuła się dobrze. Tak się śpieszył, że wcześniej tego nie zauważył. Nie powinien jej wkładać do klatki, nie sprawdzwszy łap.

- Dałeś jej antybiotyki?

- Chciałem, ale pomyślałem, że musi go wziąć z jedzeniem. Akurat jak wróciłeś, miałem coś wyjąć.

Karmili psy suchą karmą, do której należało dolać wody. Creed zastanowił się, czy się nie zatrzymać i nie zająć się Grace, ale nad ich głowami toczyły się chmury. Za nimi błyskawica sięgnęła ziemi. Grzmot nabrał na sile.

- W porządku? - spytał Jason spokojnie.

Creed miał świadomość, że zrobił to bardziej ze względu na psy niż na niego. Doceniał opanowanie chłopaka. Wciąż go zdumiewało, jak bardzo Jason dojrzał w ciągu dwóch lat.

- Gdy już dowieziemy psy bezpiecznie i zajmiemy się nimi, poczuję się lepiej.

Jason pochylił się lekko, patrząc na niebo.

- Dzięki, że zająłeś się Grace - podjął Creed. - Powinienem ją obejrzeć, zanim opuściliśmy ostatnie miejsce poszukiwań.

- Nie ma sprawy.

Creed wybrał boczną drogę, która okrążała zniszczony przez tornado obszar. Jason wskazał na miejsce, gdzie mogli wrócić na międzystanową, na południe od tego fragmentu drogi, gdzie o mały włos nie zostali zassani przez poprzednie tornado.

Błyskawicznie dotarli do hotelu. Wszystkie pojazdy miały włączone światła, okna wszystkich budynków w pobliżu zjazdu były oświetlone, jakby zapadł już wieczór. Drzewa znów zasłaniały niebo na zachodzie. W chwili gdy Creed wjechał na parking, zaczęło mocno padać. Zauważył, że deszczowi nie towarzyszy silny wiatr. Ale wystarczyło, że podniósł wzrok, i zobaczył kotłujące się czarne chmury.

- Wnieśmy sprzęt do środka - powiedział Creed. - Zabierz Scouta.

- Odwrócił się i wyciągnął rękę, żeby podrapać Grace pod brodą. Stała już gotowa do wyjścia. - Ty tu zaczekasz, dziewczyno. Wrócę po ciebie, chcę cię wziąć na ręce.

Wysiadł z dżipa, zostawiając włączoną klimatyzację. Wyciągnęli z bagażnika plecaki i worki marynarskie, a także wszystko to, co było przywiązane czy przymocowane do plecaków. Za ich plecami rozbłysła błyskawica, nad głowami huknęło. Zbyt blisko, by czuć się bezpiecznie. Za to deszcz osłabł.

Jason pomógł Scoutowi wysiąść i przypiął mu smycz. Parking był

prawie pusty. Deszcz ustał. Uwagę Creeda zwróciła nagła cisza. W połowie drogi do drzwi hotelu Jason wskazał na wierzchołki drzew po drugiej stronie drogi międzystanowej.

- Te ptaki chyba nie latały, gdyby zbliżała się burza.

Creed obejrzał się przez ramię. Potem zatrzymał się i odwrócił, żeby się lepiej przyjrzeć. Zrobiło mu się niedobrze.

- To nie ptaki.

- O czym ty mówisz?

- To śmieci.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIĄTY

- Muszę zabrać Grace. - Creed zdjął z ramienia i szyi bagaże i rzucił je na chodnik. - Zabierz Scouta. Wejdźcie do środka. Powiedz, żeby wszyscy przeszli możliwie jak najdalej od drzwi i okien.

- Wiem, co robić. - Jason wziął bagaże Creeda i założył je na ramię.

- Zostaw to. Idź!

Wiatr rósł w siłę. Drzewa się kołysały. Creed słyszał niski i coraz głośniejszy huk po drugiej stronie linii drzew. Czuł wibracje pod stopami. Nagle zza drzew wyłonił się wielki cień.

- Idź, Jason. Już!

Zaczął biec do dżipa.

- Creed!

Creed zatrzymał się i odwrócił.

- Weź to.

Jason rzucił mu kask. Creed włożył go i zapiął pasek pod brodą dokładnie w tej samej chwili, gdy wiatr próbował zerwać mu kask z głowy. Musiał się pochylić i walczyć z wiatrem, kiedy ruszył biegiem przez parking. Słyszał już ten charakterystyczny ryk, wokół fruwały różne przedmioty. Musiał użyć całej swojej siły, żeby otworzyć bagażnik dżipa. Zanurkował do środka, potem się obrócił i chwycił klapę obiema rękami, żeby ją zatrzaskać. Sprawdzał, czy jest szczelnie zamknięta, bo wciąż zdawało mu się, że w samochodzie wiatr huczy zbyt głośno.

Grace odchyliła do tyłu uszy. Pomimo hałasu na zewnątrz, Creed słyszał jej ciche skomlenie.

- Wszystko w porządku, dziewczyno, jestem tu. Nic ci nie będzie. Damy sobie radę.

Wsunął palce między kraty, a ona natychmiast je polizała.

Szybko obejrzał się przez ramię i przekonał się, że okłamał Grace.

Linie wysokiego napięcia tańczyły na wietrze. Gałęzie łamały się z trzaskiem. Niebo jeszcze pociemniało. Trudno było zobaczyć cokolwiek we wnętrzu samochodu. W powietrzu wirowały śmieci i pył. Nie było mowy, żeby przedostali się z auta do hotelu.

Chwycił koc i otworzył tylne drzwi klatki Grace. Przez ułamek sekundy zakwestionował sens zamontowania w klatce dwójga drzwi. Producenci mieli na myśli wygodę. Teraz Creed myślał tylko o tym, że podmuch otworzyłby jedno i drugie drzwi na przestrzał. Owinął Grace kocem, choć mogło jej być za ciepło. Chciała wyjść

z klatki, ale Creed delikatnie ją odepchnął.

- Zostań tu.

Wcisnął też do środka ręcznik, aż Grace była ze wszystkich stron zabezpieczona. Potem zamknął klatkę, upewniając się, że drzwi trzymają się bezpiecznie, i nie zważając na skomlenie psa.

Na zewnątrz lało tak, że nic nie było widać. Poryw wiatru zatrzęsł dżipem. Różne rupiecie spadały na przednią szybę. Grad głośno walił w metal. Z początku było tylko kilka grudek. Potem zdawało się, że piłki golfowe atakują dach i maskę samochodu.

- W porządku - powtarzał Creed, starając się mówić spokojnie.

Zarzucił koc na klatkę, a potem wcisnął się między klatkę a sufit dżipa. Jego tułów leżał na twardej skorupie klatki. Creed miał nadzieję, że osłoni i ochroni psa. Leżał zwrócony twarzą do przedniej szyby, głowę trzymał opuszczoną, jego nogi zwisały w stronę kłapy bagażnika.

W tym momencie nawałnica brzmiała jak rozwścieczona bestia. Creed miał wrażenie, że bębniaki pękają mu w uszach. Nie widział Grace, ale wciąż do niej mówił. Liczył na to, że skupi się na jego głosie, a nie rozdzierającym uszy huku na zewnątrz.

Dżip zaczął się gwałtownie kołysać. Creedowi zdawało się, jakby siedział na byku, który chce zrzucić jeźdźca.

Choć miał spuszczoną głowę, widział płynące obok nich cienie. W okna uderzały rozmaite przedmioty. Dżip zbierał niezłe cięgi. Z trzaskiem łamały się kolejne gałęzie, teraz już tak regularnie, że brzmiało to jak fajerwerki.

Coś pękło nad ich głowami. Rozległ się głośny łoskot i świst. Nagle Creed poczuł deszcz i wiatr wewnątrz samochodu. Szyberdach eksplodował. Gdy po kolejnym łoskocie szkło poleciało na jego kask, bardziej pochylił głowę.

Zacisnął powieki, wciąż trzymając głowę opuszczoną. Ale teraz już nie czuł się tak, jakby ktoś na niego z góry napierał. Wiatr próbował porwać go z samochodu. Creed czuł, jak tornado go zasysa, jak chce go przemieścić.

Trzymał się z całej siły. Mocniej chwycił się przedniego siedzenia, szukając pasa bezpieczeństwa i niezdarnie owinął go sobie wokół nadgarstka. Wrócił myślą do pasażera w samochodzie Garnerów. Nie miał pojęcia, czy przebywanie w samochodzie to ratunek, czy może przekleństwo, ale jedno wiedział na pewno. Nie zostawi Grace. Ta bestia ich nie rozdzieli.

Wokół nich śmigał gwizdzący wiatr. Ciśnienie było tak duże, że Creed był przekonany, iż kask mu nie pomoże, głowa i tak pęknie. Trzymał się, kiedy gorący oddech bestii zasysał go i zerwał mu koszulę z pleców. Potem próbował zrobić to samo z jego skórą.

Ciągnął, szarpał i chłostał. Creed miał wrażenie, że jego gołe plecy są piaskowane, nakłuwane i żądłone przez tysiące pszczoł.

Zacisnął zęby i wciąż się trzymał.

Klatka Grace przesunęła się. Przyciskała jego żebra, wbijała się w nie, grożąc, że odbierze mu dech.

Otworzył oczy, żeby na nią spojrzeć. Błyskawica rozjaśniła ciemności niczym światło stroboskopowe, sprawiając, że wszystko wyglądało, jakby poruszało się w zwolnionym tempie. Śmieci fruwały w powietrzu. Niektóre go uderzały, bo nie chroniła go już przednia szyba. Huk był tak przeraźliwy, że czuł wibracje w całym ciele. Wnętrze dżipa zaczęła wypełniać kurtyna deszczu.

Creed chciał zajrzeć do znajdującej się pod nim klatki. Wciąż była przykryta kocem. Czy drzwi ze stalowej kraty trzymały się, czy wiatr je wypchnął? Czy Grace wciąż z nim jest? Musi z nim być. Czy wiedziałby, gdyby została porwana z klatki?

Lewą rękę miał nadal przymocowaną do pasa bezpieczeństwa. Oparł stopy mocno o metalową ramę dżipa, żeby się zabezpieczyć. Potem uwolnił prawą rękę. Musi się upewnić, czy z Grace wszystko w porządku.

Wiatr nim szarpał. Creed wykręcił rękę na tyle, by wsunąć ją pod koc. Dotknął metalowej kraty. Wsunął palec w oczko kraty i niemal natychmiast poczuł miękki język Grace.

Zalała go ogromna fala ulgi.

Była z nim. Reagowała na niego.

- Trzymaj się, dziewczyno! - krzyknął, choć sam ledwie się słyszał. W końcu chyba zbliżał się koniec tego piekła. - Jeszcze parę minut, wytrzymaj, Grace.

Tornado nad ich głowami obnażało zęby i chwyciło ich w swoje szpony, szturchało Creeda i dźgało go w plecy.

To nie może trwać wiecznie. Był już u kresu wytrzymałości.

Nagle samochodem szarpnęło, jakby trafili na próg zwalniający, jadąc z szybkością około stu kilometrów na godzinę. Creed uderzył o pozostałości dachu, po czym rzuciło go z całej siły, aż odebrało mu dech. Próbował złapać oddech, a wtedy do jego ust dostał się pył, więc zamiast sobie pomóc, tylko się zakrztusił.

Dżip podskoczył. Wpadł w poślizg. Naprzód, do tyłu, na boki.

Potem unieśli się w powietrze.

ROZDZIAŁ PIECDZIESIĄTY SZÓSTY

Niebiańskie Smaki

Maggie usiłowała przeczytać wiadomości i sprawdzić nieodebrane połączenia, które już do niej dochodziły, dając jej o sobie znać serią dźwięków.

Powinna czuć ulgę, że znów ma zasięg, tymczasem każda kolejna wiadomość budziła w niej jeszcze większą bezbronność.

- Stacja mobilna musi być niedaleko - powiedziała do Frankie. - Dostaję mnóstwo zaległych wiadomości.

Frankie nie czuła bólu, jednak Maggie powinna baczniej ją obserwować. Ta kobieta po prostu się upiła. Co zrodziło nowy problem. Maggie uprzytomniła sobie, że alkohol może doprowadzić do odwodnienia. Wcześniej znalazła zgrzewkę wody butelkowanej. Data ważności minęła dwa lata temu, ale wszyscy byli spragnieni w tej duchocie. Przekazała pozostałym butelki, kiedy rozdawała paczuszki z mrożonym mięsem. Regularnie podawała też wodę Frankie, starając się wynagrodzić jej swój błąd.

- Naprawdę lepiej radzę sobie ze zmarłymi - powiedziała głośno Maggie, zanim ugryzła się w język. Wypiła dwa łyki whiskey, licząc na to, że ją to zrelaksuje i przestanie w kółko myśleć o piekielnym gorącu. Z nadzieją, że przestanie zauważać, jak sufit i ściany zbliżają się do nich.

- Nie mogę pić więcej wody - poskarżyła się Frankie. - Będzie mi się chciało siku.

- No i dobrze. To będzie znaczyło, że nie jesteś odwodniona.

W ciemności coś się poruszyło. W ich stronę szła kobieta, która siedziała z nastoletnim chłopcem. Zostawiła go, omijając przewrócone belki i stertę śmieci, która oddzielała Maggie i Frankie od pozostałych. Oświetlała sobie drogę latarką w telefonie i stąpała ostrożnie.

Maggie oceniła ją na jakieś czterdzieści lat. Ciemne sięgające ramion włosy przykleiły jej się do boków głowy. Obficie się pociła. Może to wina niekorzystnego światła, ale Maggie pomyślała, że oczy kobiety są szkliste, a jej cera ziemista.

Gdy znalazła się jakieś trzydzieści centymetrów od nich, przywitała się skinieniem głowy.

- Rozumiem, że jest pani agentką FBI?

Maggie powściągnęła grymas niezadowolenia. Stara dobra Beth - każdy ma swoje tajemnice - dość krótko utrzymała jej słowa w sekrecie.

- Jestem Maggie - powiedziała zamiast potwierdzać czy zaprzeczać. - A to Frankie. A jak pani na imię?

Kobieta wydawała się zbita z pantafelów.

- Stephanie. Nie jestem stąd. - Mówiła szybko, jakby nie miała wiele czasu na powiedzenie tego wszystkiego, co chce powiedzieć. Odsunęła z czoła wilgotne kosmyki. - Jechaliśmy z Nowego Jorku. Od dwóch dni jesteśmy w drodze. Zatrzymaliśmy się tylko na lunch.

Obejrzała się na syna. Siedział pochylony nad telefonem. Maggie uznała, że ma czternaście, może piętnaście lat. Odkąd mieli znów zasięg, wydawał się całkiem zadowolony. Z tego, co pamiętała, to chłopak ciągnął sparaliżowaną ze strachu matkę do piwnicy.

- Nie możemy tu siedzieć - powiedziała Stephanie, zwracając się do Maggie, jakby sprzedawała bilety. - Musimy być w Gulf Shores, w stanie Alabama. Już powinniśmy tam być.

Maggie nie odpowiedziała. Możliwe, że Stephanie była w szoku i nie zdawała sobie sprawy z tego, co mówi. Maggie czekała. Nie była pewna, czego oczekuje od niej Stephanie z Nowego Jorku. Słyszała, jak Frankie parsknęła poirytowanym śmiechem. Stephanie zwróciła na to uwagę.

- Może pani coś zrobić? - spytała znów, mówiąc tym swoim niecierpliwym tonem. - Ci mężczyźni chyba nie wiedzą, co robią. Czy ktoś w ogóle próbuje nas stąd wydostać? Nie wiem, do kogo napisać czy zadzwonić, ale pani na pewno wie.

- Stephanie, tam są ekipy ratowników.

- Och, dzięki Bogu. Tak myślałam.

- Ale musieli się wycofać.

- Co? Nie.

- Do czasu, kiedy kolejne burze przejdą przez tę okolicę. Nie mogli tu zostać, to zbyt niebezpieczne.

- Kolejne burze? - Stephanie pokręciła głową z niedowierzaniem.

- To najbardziej zapadła dziura w tym kraju, w jakiej byłam. Wprost nie do wiary! Kto tak żyje? Przysięgam, że nigdy więcej tu nie przyjadę.

- Stephanie, dam pani znać, gdy dowiem się czegoś więcej - powiedziała Maggie, uświadamiając sobie, że naprawdę lepiej radzi sobie na miejscu zbrodni. Martwi nigdy nie są tacy roszczeniowi.

Zamiast patrzeć, jak Stephanie wraca na miejsce, szurając nogami, Maggie wróciła do swoich wiadomości.

- Zauważyłaś, że nie spytała, jak się czuję? - odezwała się Frankie niezwykle trzeźwo.

- Tak, zauważyłam też, że nie zaproponowałaś jej ani łyka swojej whiskey.

- Nie musiałam. Ona już coś wzięła. Widziałam, jak parę razy

łykała jakieś piguły.

Maggie znów zerknęła na Stephanie. To by wyjaśniało jej szklisty wzrok i nierzeczywiste postrzeganie sytuacji. Ale nie zamierzała się tym przejmować. Przeszła do pierwszej wiadomości od agenta Alonza.

On na pewno tam jest.

Druga wiadomość brzmiała:

Nadal tam jest.

Trzecia natomiast:

Przesyłam mejlem, co znalazłem na temat Carson Foods. Ogromne rządowe wsparcie.

W czwartej napisał:

2 z 4 różnych występujących przeciw nim osób zmarły na skutek „nieszczęśliwych wypadków”. Grzebię głębiej.

Piąta wiadomość:

Maggie, u ciebie w porządku? Właśnie widziałem zniszczenia.

I ostatnia:

Daj mi znać, co u ciebie.

Odpisała mu, informując, że nic jej nie jest, ale utknęła w pułapce pod restauracją.

Odpowiedział natychmiast:

Jasny szlag. Mogę coś zrobić?

Zanim znów do niego napisała, poczuła jakiś zapach. Silniejsze opary gazu? Nie, to było coś innego. Siarka? Dym?

- Co jest?- spytała Frankie zaalarmowana miną Maggie.

- Chyba coś się pali.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY

Maggie zostawiła Frankie, żeby się rozejrzeć. Poziom wody rósł, ale wciąż nie wiedziała, którędy się tu dostaje. W połowie schodów zderzyła się z Hankiem. W blasku latarki jego oczy wyglądały jak wybałuszone, co jeszcze bardziej podkreślały cienie pod oczami.

- Na górze coś się pali - oznajmił tak głośno, że wszyscy musieli to usłyszeć.

Rozległy się okrzyki i jęki, a Stephanie poderwała się na nogi i spytała spanikowana:

- Pali się? O czym pan mówi?

- Piętnaście kilometrów na południe tornado dotknęło ziemi - oznajmiła Beth, nie podnosząc wzroku znad telefonu.

Gus zszedł na dół. Max był tuż za nim. Maggie pomyślała, że nie widzi mężczyzny, którego przezwala Kochasiem. Słyszała go u szczytu schodów, wciąż walił w drzwi. Przypomniała sobie, że schody nie biegną prosto. Tworzyły literę L z jednym podestem pośrodku.

- Co wy robicie z tymi drzwiami? - spytała Maggie. - Może przypadkiem wytworzyliście iskry? Pamiętam, jak pan mówił, że w rurach wciąż może być gaz. - Tak właśnie powiedział jej Hank. - To znaczy, że nad nami też może ulatniać się gaz.

Usiłowała przyjrzeć się twarzy Gusa, myśląc, że w tym momencie Hank jest zbyt zdenerwowany, żeby wyczytać coś z jego twarzy. Spodziewała się, że Gus będzie jego przeciwieństwem. Był spokojny i opanowany, i miał kompletnie nieczytelną minę od chwili, gdy uderzyło tornado. Teraz jednak zaciskał zęby, a dłonie złożył w pięści.

Nieco łatwiej było wyczytać coś z twarzy Maxa. Jego mina mówiła, że jest wkurzony i gotowy wynieść się stąd do diabła. Stukał coś na telefonie nawet wtedy, gdy Maggie czekała na jego odpowiedź.

Ostatecznie to Hank jej odpowiedział, unosząc kącik warg.

- Mówiłem im, żeby uważali. Mogło się coś zapalić.

- Nic się przez nas nie zapaliło - skontrował Max, nie podnosząc wzroku znad telefonu.

- Zrobili tylko taką małą dziurę - podjął Hank. - Nie wiem, jak mogliby wytworzyć iskry.

Maggie obejrzała się na Gusa i zobaczyła, że patrzy na zegarek. Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, że to smartwatch, taki sam, jaki ma Frankie. Gus nie sprawdzał, która godzina. Na

kwadratowym miniaturowym ekranie w przeblysku dojrzała wiadomość. Czytał wiadomości bez konieczności korzystania z telefonu. Wygoda czy chęć zapewnienia sobie dyskrecji?

Nieważne, bo teraz był wyraźnie zdenerwowany. Wyciągnął telefon z tylnej kieszeni i zaczął pisać SMS-a. Kiedy zauważył, że Maggie mu się przygląda, odwrócił się do niej plecami i przeniósł się w ciemny kąt.

Wyjęła swój telefon i wybrała numer Rydera. Jeśli ratownicy wycofali się z powodu nadchodzącej nawałnicy, Ryder może wiedzieć, jakie są dalsze plany. Telefon dzwonił długo, w końcu przełączyło ją na pocztę głosową. Nagrała mu się, prosząc, żeby oddzwonił najszybciej, jak to możliwe.

Wsadziła telefon do tylnej kieszeni spodni. Przestała się już przejmować, czy ktoś widzi jej pas z kaburą i broń wetkniętą pod pachę. Starła się ją ukryć pod luźną koszulą, ale teraz koszula była przepocona, podobnie zresztą jak T-shirt.

Maggie nie znosiła poczucia kompletnej bezsilności. Tak długo, jak długo kontrolowała sytuację i kierowała innymi, panowała nad swoją klaustrofobią. Półmrok i ciemne kąty tylko ją pogłębiały. Po raz pierwszy zwróciła uwagę na coś jeszcze. Oddychała z coraz większym trudem. Powietrze stawało się rozrzedzone.

Szybko wyciągnęła telefon i napisała wiadomość do Rydera. Wysłała ją też do Jasona.

Potem czekała.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

Creed nie pamiętał, kiedy stracił przytomność. Odzyskał ją dość gwałtownie. Wokół niego chłupotała zimna woda. Gdy zamrugnął, zdawało mu się, że powieki ma z papieru ściernego. Oddech sprawiał mu ból.

Starał się nie zamykać oczu. Świat wyglądał jak wywrócony do góry nogami. Pamiętał, że miał pod sobą klatkę z Grace, która wrzynała mu się w żebra. Teraz znajdowała się nad nim. Podłoga dżipa zastąpiła sufit. Była wgnieciona, trzymała go w pułapce. Nie mógł się ruszyć.

- Grace. - To jedno słowo odebrało mu dech.

Próbował unieść głowę, ale zaraz opuścił ją z powrotem. Była za ciężka, nie mógł jej utrzymać. Wciąż miał na głowie kask. Uniósł głowę po raz drugi, chciał zajrzeć do klatki.

Rękę miał uwięzioną przez pas bezpieczeństwa. Przypomniawsobie, że sam owinął go wokół nadgarstka, żeby się zabezpieczyć, ale teraz pas niczym kajdanki trzymał jego rękę i nie pozwalał się ruszyć. Drugą rękę miał wolną, więc obrócił ją tak, by palcami dotknąć metalowej kraty, drzwi do klatki Grace. Były nietknięte. Nie był jednak w stanie sięgnąć na tył klatki i przekonać się, czy drugie drzwi są wciąż na miejscu.

Woda sięgała mu już do szyi, chłupotała blisko uszu. Zaczęła wypełniać wnętrze samochodu, wlewając się do środka przez rozbite szyby.

Creed spróbował wysunąć się spod twardej i przygniatającej go klatki. Powstrzymał go ból. Był przygwożdżony.

Woda była zimna, ale to mu nie przeszkadzało. Przeciwnie, łagodziła pieczenie skóry na plecach. Czy to w ogóle możliwe, czy po prostu był w szoku?

- Grace? - Jego głos zabrzmiał jak skrzek. Zaskoczyły go emocje, które w nim usłyszał.

Jeżeli Grace zniknęła, nigdy sobie tego nie wybaczy. Ufała mu. Wierzyła, że zadba o jej bezpieczeństwo. Była od niego zależna pod tym względem. A on ją zawiódł.

Opuścił znów głowę, nie był w stanie trzymać jej uniesionej. Woda już prawie muskała mu uszy. W piersi czuł ból. Słyszał swój chrypliwy oddech. Oddychał przez usta, a wydawało się, że wciąż brakuje mu powietrza.

Creed zamknął oczy. Może nie ma co się sobą przejmować. Jeśli stracił Grace...

Na zewnątrz samochodu coś się poruszyło. Pod ciężkimi butami chrzęściło szkło i rozbryzgiwała się woda, i Creed usłyszał czyjś krzyk:

- Tutaj!

Otworzył usta, żeby zawołać, ale do ust zaczęła wlewać się woda. Zakrztusił się i wypluł. Wygiął plecy i usiłował zsunąć ciężar z piersi.

Nic się nie poruszyło.

W tym momencie jego klatka piersiowa eksplodowała bólem. Wyciągnął szyję, żeby trzymać twarz nad powierzchnią wody. Ból był nie do zniesienia. Opuścił znów głowę, opryskując sobie twarz, woda po raz kolejny dostała mu się do ust. Gwałtownie uniósł głowę, krztusząc się i plując.

Woda otaczała go już ze wszystkich stron. Przestał słyszeć, co dzieje się na zewnątrz. Kiedy głowa opadła do tyłu, zacisnął powieki i wstrzymał oddech. Woda pluskała na jego twarzy. Był dobrym pływakiem, ale nie mógł płynąć przygnieciony ciężarem samochodu. Nie był dość silny. Nie mógł oddychać, nie wpadając w panikę.

Palce wciąż zaciskał na metalowej kracie. I nagle poczuł miękki język Grace na palcach.

Po raz kolejny gwałtownie uniósł głowę, krztusząc się i dławiąc.

- Grace!

Użył całej siły, jaka mu jeszcze pozostała, żeby się odwrócić, ale i tak nie zobaczył suczki.

Próbował złapać oddech, gdy pojawił się nad nim jakiś cień. Ktoś podnosił klatkę. Poczuł jakieś silne ręce, które chwyciły go za ramiona i zaczęły go wyciągać.

- Grace - powiedział, plując wodą. - Jest w środku.

- Mamy ją - ktoś mu odpowiedział.

Kobiecy głos. Znajomy głos.

Ale Creed nikogo nie widział. Uwolniony z pułapki zdemolowanego dżipa, znalazł się w bolesnej jasności.

Zamrugał. W końcu dojrzał niebo i poczuł trawę pod palącymi plecami. Całkiem jakby leżał na najeżonym igłami łóżku. Zabrakło zimnej wody, która koła piekący ból.

Kątem oka dojrzał w przeblysku czarną metalową rękę, która wciąż trzymała go za ramię. Przekrzywił na bok głowę i zobaczył Jasona. Byli z nim dwaj inni mężczyźni, ale ich nie rozpoznał.

- Witaj - odezwał się skrzypiącym głosem.

- Ty też witaj - odparł Jason i w tych trzech słowach Creed słyszał mieszankę lęku i ulgi.

- A oto i ona - powiedziała kobieta.

Creed rozejrzał się i dostrzegł doktor Avelyn, która właśnie

postawiła Grace. Obok niej stała Penelope Clemence. Delikatnie przytulił Grace. Była mokra, trzęsła się, ale pomachała ogonem.

- Jesteś widokiem, który raduje moje serce - powiedział Creed do lekarki.

- Nigdy nie wiem, co to naprawdę znaczy - odparła doktor Avelyn i przykucnęła obok niego.

- To znaczy: cieszę się, że cię widzę. I ciebie, Penelope.

- Cóż, i nawzajem - powiedziała doktor Avelyn. - Chociaż prawdę mówiąc, Ryder, wyglądasz okropnie.

Zaśmiał się, ale ból szybko go uciszył.

Doktor Avelyn odpięła skórzany pasek pod brodą Creeda i zdjęła mu kask. Poczł powiew świeżego powietrza.

Jęknął i przewrócił się na bok.

Wciąż usiłował złapać oddech, kiedy Jason oznajmił:

- Raczej nie uda nam się ukryć tego przed Hanną.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Birmingham, Alabama

Willis poprosił Mię, żeby została na antenie, a sam próbował zorientować się w szumie napływających masowo informacji. Pomagali im wszyscy, w tym prezenterzy wiadomości, producenci i inni pracownicy. Odbierali telefony, ściągali nagrywane na żywo materiały wideo i raporty o zniszczeniach. Willis starał się śledzić tornada, które dotknęły ziemi. Kiedy ostatnio liczył, było ich pięć. Ledwie Paul wręczył Mii najnowsze ostrzeżenia, Willis dołożył mu kolejne.

A w środku tego wszystkiego Beth nie przestawała do niego wydzwaniać i pisać SMS-ów.

Willis poprosił Paula, żeby na jednym z monitorów ustawił transmisję wideo z miejsca, gdzie mieściła się zniszczona restauracja. Zerkał na niego, ilekroć prznosił spojrzenie z ekranów z radarami na monitory pokazujące materiały z innych kamer rozmieszczonych w mieście. Niektóre zostały już uszkodzone przez poprzednią nawałnicę, ale kilka wciąż pokazywało kotłujące się czarne chmury, które wypełniały wizjery.

- Mamy informację, że tornado uderzyło w hotel - oznajmił Paul, wchodząc do pokoju. W ciągu ostatniej półgodziny głos Paula zrobił się jakiś piskliwy, i ta przepełniona niepokojem modulacja zaczęła działać Willisowi na nerwy.

- Które tornado?

- Przesuwa się w górę międzystanowej numer sześćdziesiąt pięć. Na południe od miejsca, gdzie uderzyło poprzednie.

Willis odwrócił się do ekranu z mapami radarowymi i powiększył tę okolicę.

- Wygląda na to, że sunie tą samą drogą - stwierdził i poczuł kwas w żołądku od nadmiaru kawy.

Przeniósł wzrok na wideo pokazujące ruiny restauracji. Prawie nie zauważył smużki dymu, gdy na ekranie pojawiły się płomienie.

- Co tam się dzieje? - wskazał na ekran.

- W wiadomościach mówili, że to podpalenie.

- Podpalenie?

- Podejrzana sprawa. Była tam ekipa HAZMAT, zanim nadciągające nawałnice zmusiły ich do wycofania. Przyjechali z powodu tych niebieskich beczek.

Willis wstał. To był jeden z wielu monitorów przytwierdzonych wysoko na ścianie. Podeszedł bliżej i podniósł głowę. Na miejscu

walały się dziesiątki beczek. Musiały wypaść z przyczepy.

- O mój Boże - szepnął.

Jeśli zawartość beczek jest łatwopalna, wszystko to może w sekundę stanąć w płomieniach. Nagle zrozumiał, czemu Beth wciąż pisze i dzwoni. Wraz z pozostałymi uwięzionymi tam osobami musiała poczuć dym.

Zaczął szukać swojego telefonu, kiedy nagle na monitorze dostrzegł coś jeszcze. Na niebie nad ruinami restauracji prześlizgiwał się cień. Z szarej masy wyłaniała się czarna kolumna.

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY

Na południe od Montgomery

- Niewykluczone, że doznałeś wstrząśnienia mózgu - powiedziała doktor Avelyn do Creeda.

- Miałem na głowie kask - zaproponował.

To była kiepska wymówka, zwłaszcza że miał świadomość, iż na pewien czas tej podróży, kiedy porwało ich tornado, stracił przytomność. Jednak dyskusja, czy powinien pojechać do szpitala, zakończyła się jego zwycięstwem. Nie zamierzał się tam wybierać. Twierdził, że oddział ratunkowy jest pełen poszkodowanych przez nawałnice, którzy wymagają pomocy lekarskiej, a on ma swojego osobistego lekarza przy sobie.

Doktor Avelyn przewróciła oczami.

- Któregoś dnia będziesz potrzebował lekarza, a nie weterynarza, Ryder.

W końcu jednak zgodziła się z nim, że w szpitalu musiałyby godzinami czekać na swoją kolej.

Teraz leżał w łóżku. Podniósł wzrok. Grace spała mocno wtulona w poduszki. Zażądał, żeby doktor Avelyn najpierw zbadała suczkę. Creed leżał na brzuchu. Samo obrócenie głowy sprawiało mu ból. Nie chciał się przyznać do bólu, nie chciał się także przyznać, że nie ma pojęcia, gdzie się znajdują.

Wiedział, że ich hotel został zniszczony. Doktor Avelyn i Penelope Clemence ledwie zdążyły się zameldować, kiedy tornado uderzyło. Pamiętał jak przez mgłę, że Jason zapakował cały sprzęt do swojego dzipa. Samochód Creeda był najwyraźniej nie do użytku. Pamiętał, że jechali karawaną do innego hotelu w górę drogi. Teraz, choć miał ograniczone pole widzenia - widział głównie dywan i pościel - zauważył, że znaleźli się w lepszych warunkach. Ten pokój był o wiele przyjemniejszy.

Poruszył się gwałtownie i natychmiast skrzywił się z bólu.

- Przepraszam - dobiegł go z góry głos doktor Avelyn.

Przysunęła krzesło od biurka do jego łóżka. Kiedy to rozwiązanie się nie sprawdziło, weszła na łóżko obok niego i zajęła się jego plecami. Creed uparł się, żeby je sfotografowali i pokazali mu, jak wygląda. Siniaki i skaleczenia to było nic. Środkowa część jego pleców była ponakłuwana sosnowymi igłami. Przypominało mu to jeżozwierza. Dziesiątki igieł wbitych w skórę w miejscu, które zostało pozbawione ochrony, gdy wiatr porwał szyberdach. Doktor Avelyn wyciągała je po kolei, każde miejsce nakłucia przemywając

alkoholem. Creed nie był już pewien, co sprawia mu więcej bólu – ukłucie igły czy pieczenie alkoholu.

- Ile już? – pytał co jakiś czas, żeby się zorientować, jak jej idzie.

- Dwadzieścia siedem. Na pewno nie chcesz środka przeciwbólowego?

- Nie trzeba.

- Będziesz musiał wziąć antybiotyki.

- Okej. Co z Grace? – spytał.

- Już się nią zajęłam.

Doktor Avelyn nieraz opatrywała mu rany czy zakładała szwy. Z pełnym zaufaniem powierzył jej zdrowie swoich psów. Czemu zatem nie miałby jej zaufać, gdy sam znalazł się w potrzebie?

- A swoją drogą, jest w całkiem niezłej formie – dodała doktor Avelyn. – Owijając ją kocem i zabezpieczając, prawdopodobnie uratowałeś jej życie.

- Co z jej poduszkami?

- Nie wyglądają tak źle. Jason świetnie sobie poradził, wyciągając okruchy szkła. Nie uszkodziła żadnej poduszki. Ale myślę, że nie powinna tu już pracować. Przez jakiś tydzień musi odpocząć. Sugerowałabym dwa tygodnie, ale znam Grace.

Creed poczuł, że jego mięśnie się napinają.

- Przepraszam, wyjmuję drobne odłamki szkła. Chcesz chwilę odpocząć? Mam zrobić przerwę?

- Nie, rób swoje.

- Wiesz, myślę, że Brodie wpadła na pewien pomysł – powiedziała doktor Avelyn, zabierając się znów do pracy.

Creed wiedział, że chce odwrócić jego uwagę od bólu.

- W zeszłym tygodniu obserwowała mnie, jak czipowałam psy. Zaczipowaliśmy też Kotkę. Brodie chciała wiedzieć, czy czip działałyby też u ludzi. Myślę, że musimy cię zaczipować, żebyśmy mogli cię znaleźć, jak cię zasypie albo odfruniesz.

- Bardzo zabawne. – Pomyślał o pytaniu Brodie. – Sądzisz, że myślała o sobie czy o mnie?

- Nie jestem pewna. Wytłumaczyłam jej, że czip służy tylko do identyfikacji psa i kontaktu z jego właścicielem. Nie pamiętam, co dokładnie mówiła, ale z pewnością zastanawiała się, jak można kogoś śledzić. – Na moment urwała, po czym spytała: – Obawia się, że znów zostanie porwana?

- Mam nadzieję, że nie. To ciekawe, że o to spytała. Kiedy ją znaleźliśmy, miała na kostce specjalne urządzenie służące do śledzenia. Zbyt często próbowała stamtąd uciec, więc w końcu Malone jej to założyła.

- No, no. Nie wiedziałam. Kiedy rozmawialiśmy, nie wydawała się

tym przerażona. Była szczerze zainteresowana, jakby dostrzegała w tym jakieś korzyści.

- Widziałas ją może wczoraj czy dzisiaj? Hanna powiedziała, że wróciły jej koszmary. Zastanawiam się, czy mój wyjazd się do tego przyczynił.

- Nie, nie widziałam jej. Ale ona musi wiedzieć, że poradzi sobie bez ciebie.

- Tak, tyle że w ten weekend przyjechała nasza mama.

- Aha. Jesteś pewien, że nie z tego powodu się zmyłeś? Chociaż nie wyobrażam sobie, żebyś wybrał coś takiego zamiast spotkania matką.

- Poznałś ją?

Przerwało im ciche stukanie do drzwi.

- Proszę - powiedziała doktor Avelyn.

- Jeszcze nie skończyliście? - spytał Jason.

Creed widział, że Jason trzyma tacę. Zanim ją postawił, Creed poczuł smakowity zapach. Chłopak znał się na dobrym jedzeniu.

- Masz jakieś wieści na temat Maggie i Frankie? - Creed uniósł się na łokciach, żeby lepiej widzieć Jasona.

- Może zaczekamy, aż doktor skończy. Przyniosłem ci coś do jedzenia. Trzy kobiety przywiozły srebrnym SUV-em kanapki i inne rzeczy dla ratowników i poszkodowanych. Zaparkowały na hotelowym parkingu.

- Dzięki, ale powiedz mi, co wiesz.

Doktor Avelyn poklepała Creeda w ramię, żeby się położył.

- Okej, więc przede wszystkim Maggie twierdzi, że nic jej nie jest - rzekł Jason.

- Ale?

- Nad nimi wybuchł pożar.

- Co? - Creed obrócił się i spojrzał na Jasona. Nawet Grace uniosła głowę.

- No wiesz, te beczki. Ci z HAZMAT uważają, że jest w nich coś łatwopalnego.

Creed poderwał się na nogi i zaczął wkładać buty, zanim doktor Avelyn miała szansę go zatrzymać.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY PIERWSZY

Niebiańskie Smaki

Maggie cofnęła się na drugą stronę. Powinna być obok Frankie, chociaż instynkt kazał jej trzymać się możliwie najbliżej drzwi. Nieważne. Już w całym pomieszczeniu powietrze było coraz bardziej rozrzedzone. To nie był wybryk jej wyobraźni. Zauważyła, że Frankie ma problem z oddychaniem. Pozostali także krztusili się i kasłali. Wszelkie dziury i szpary, jakie znaleźli, zostały już zatkałe.

Maggie sprawdziła telefon. Brak zasięgu.

- Czy ktoś dostał wiadomości albo odebrał jakiś telefon?! - zawołała.

- Ja - odparła Beth. - Moja ostatnia rozmowa została przerwana.

- Bateria mi padła. To jakieś szaleństwo. Musimy się stąd wydostać. - Maggie rozpoznała głos Stephanie.

Słyszała stukanie i walenie. Mężczyźni nadal usiłowali wyważyć drzwi. Słyszac nagły trzask i huk, obie z Frankie podskoczyły.

- Grzmi. - Ściany zawibrowały od huku. - Ryder mówił, że nadchodzą kolejne burze.

- Och nie - jęknął ktoś, zdając sobie sprawę, co się dzieje.

Kolejny grzmot. Potem świst, a zaraz za nim masowe bębnienie.

Ulewa.

Maggie przekrzywiła głowę, nasłuchując. To na pewno deszcz. To dobrze. Może zgasi ogień.

Wtedy poczuła wartki nurt wody. Strumyczek zamienił się w strumień. Poświeciła w dół latarką telefonu. Clara i Adele zobaczyły to przed Maggie. Pośpieszyły do niej, oddalając się od swojej ławki. Woda spływała po ścianie tuż za nimi.

- Przejdźmy na drugą stronę! - zawołała Maggie. - Hank!

Ale to Gus pojawił się pierwszy.

- Dostaje się przez ścianę - powiedział. - Możemy tędy wyjść?

- To solidne pustaki - odparł Hank.

- Ale woda...

- Po drugiej stronie jest ziemia - upierał się Hank, choć woda wciąż spływała między pustakami.

Maggie zdawało się, że słyszy w górze szum silników. Ryder wspominał, że mieli sprowadzić ciężki sprzęt do robót ziemnych, żeby usunąć zalegający nad nimi gruz.

- No i znów to samo - zawołał Hank. - Kryjcie się!

Maggie zdała sobie sprawę, jak bardzo się pomyliła, kiedy deski podłogi nad ich głowami zaczęły drzeć. To nie był ciężki sprzęt. To

było kolejne tornado.

ROZDZIAŁ SZEŚCIDIESIĄTY DRUGI

- Mógłbyś jechać szybciej? - poprosił Creed Jasona, oglądając się, żeby się upewnić, że Grace i Scout mają się dobrze. Oba psy spuściły głowy, ale wlepiły wzrok w swoich właścicieli.

Doktor Avelyn pożyczyła im klatkę dla Grace, kiedy stało się jasne, że pies nie zostanie bez Creeda. A było też oczywiste, że Creed nie zostanie na miejscu, niezależnie od opinii lekarki.

W bocznym lusterku Creed widział, że niebo za nimi się rozjaśnia, za to oni jechali prosto w ciemność. Miał nadzieję, że jadą śladem nawalnicy, a nie w sam jej środek.

- Weź mój telefon. - Jason podał mu komórkę. - Poszukaj mapy radarów. Nie chcę, żeby dobrał się do nas kolejny sukinsyn.

Nie mogli znaleźć komórki Creeda. Wiatr zerwał z niego nie tylko koszulę, lecz także zegarek z GPS-em, prezent od Maggie. Przed wyjściem z hotelu Creed włożył czysty T-shirt, a teraz miał ochotę go ściągnąć, bo przyciskał sosnowe igły, które wciąż tkwiły w jego skórze.

Najpierw sprawdził, czy Maggie odpowiedziała na SMS-y Jasona. Ostatnia odpowiedź przyszła przed kwadrans. Creed wysłał jej kolejną wiadomość, a potem szukał prognozy pogody.

- Czemu uważają, że ten ogień to podpalenie? - spytał.

- Szeryf Krenshaw mówił, że tuż przedtem kręcił się tam jakiś gość. Jedna ze stacji telewizyjnych zostawiła tam swoją kamerę, więc mają materiały na żywo.

- Czemu ktoś miałby to zrobić?'

- Wariat, co nie? Całkiem jakby nie chciał, żeby ci ludzie się uratowali.

Creed pogłośnił radio, bo mówiła jakaś pani meteorolog:

- Tornado znów dotknęło ziemi. Wszyscy, którzy znajdują się na południe od Montgomery, powinni szybko poszukać schronienia. Wygląda na to, że tornado przesuwa się tą samą drogą co poprzednie, które uderzyło w Sterling Ridge i restaurację Niebiańskie Smaki. Wiem, że domy niektórych z was zostały już uszkodzone. Idźcie do sąsiadów. Ukryjcie się. Nie próbujcie przed nim uciekać ani na nogach, ani samochodem. Udajcie się w bezpieczne miejsce. Natychmiast.

Creed ściszył radio.

- Znów uderzy w restaurację - powiedział, patrząc przed siebie, jakby spodziewał się, że tornado pojawi się tuż przed nimi.

- Nic na to nie poradzimy - odparł Jason. - Te bestie spadają

z nieba w całej okolicy.

- Co z Brodie i Hanną? - Creed nie mógł uwierzyć, że zapomniał sprawdzić, co u nich słychać.

- W porządku - zapewnił go Jason. - Niedawno rozmawiałem z Hanną. U nich są tylko burze z piorunami i mocno leje. Mają prąd. Oglądają stare rodzinne nagrania wideo, które przywiozła twoja mama.

- Co robią?

- Oglądają stare rodzinne nagrania wideo.

- Nie wiedziałem, że mamy takie nagrania. - Creed przez moment żałował, że go z nimi nie ma i nie może w tym uczestniczyć.

- To ten zjazd? - spytał Jason.

Creed widział połamane słupy elektryczne i sosny. Były nowymi znakami drogowymi na horyzoncie pozbawionym normalnych znaków. Skinął głową.

Jason zjechał, zwolnił i zatrzymał się na skrzyżowaniu, choć nie było tu już żadnego znaku drogowego. Znów ruszył, a gdy skręcił, ponownie zwolnił i się zatrzymał. Creed nie pytał, czemu to robi. Byli na tyle daleko od tornada, by czuć się bezpiecznie, a jednocześnie wystarczająco blisko, by widzieć fruwające i wypluwane przez nie tony piasku, gruzu i najprzeróżniejszych rzeczy.

- Sukinsyn - powiedział Jason - Chyba już w nich uderzył.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY TRZECI

Maggie starała się przekrzyknąć grzmot. Machała rękami i kierowała tych, którzy chcieli jej słuchać, w odległą część piwnicy. Chodziło o to, żeby się odsunęli spod trzeszczących nad nimi desek podłogi. Musieli się pośpieszyć.

Brzmiało to tak, jakby tornado porywało przedmioty i rozrzucało je dokoła. Bestia chwytła wszystko w swoje szpony, a potem tym ciskała, jakby z premedytacją usiłowała ich wykończyć.

Z sufitu posypał się deszcz gruzu. Belki jęknęły nad głowami. Maggie nie miała odwagi podnieść wzroku. Wiedziała, że nie ma takiej możliwości, żeby sufit piwnicy utrzymał walący się budynek i cały ten ciężki kuchenny sprzęt.

Gus znalazł stare zakurzone płachty brezentu. Maggie pomogła mu je rozwinąć i starali się nakryć nimi pozostałych. Stephanie krzyczała, kiedy syn usiłował wciągnąć ją pod płachtę. Clara i Adele skuliły się razem. Beth i Val upewnili się, że Ronald i Frankie zostali przesunięci pod ścianę na drewnianych ławkach, żeby nie zalała ich woda.

Gus i Max ustawili drewniane półki pod kątem, tworząc rodzaj zadaszienia, które przyjmowało na siebie główne uderzenie. Potem oddalili się w kierunku schodów, wciąż wierząc, że kiedyś w końcu będzie to najbezpieczniejsza droga ucieczki. Był taki moment, kiedy Maggie się z nimi zgadzała, ale teraz w mglistym półmroku nie uważała, że to bezpieczne miejsce.

Nagle ostatecznie rozpadł się sufit. Maggie znalazła róg płachty i zaczęła się pod nią wczołgiwać. Ujrzała spadający stół. Odchyliła się, przyciskając się do zimnej betonowej ściany, ale jakiś ciężki przedmiot spadł jej na ramię. Przeszył ją ból.

Została dosłownie zbombardowana walącymi się szczątkami. Czuła już wiatr, który smagał i rozrywał cienką płachtę. Błyskawicznie przemokła od deszczu, który lał się na nią z góry. W tym krótkim momencie coś sobie uświadomiła – mogła znów oddychać. Czuła powiew powietrza, ale jakby z wonią spalenizny. Ten powiew niósł ze sobą dziwną mieszankę zapachów sosen i siarki.

Poleciały na nich kolejne śmieci. Betonowe ściany i podłoga wibrowały. Maggie wyobraziła sobie, że ściany pękają, walą się i zamykają ich w pułapce. Zdawało jej się, że słyszy czyjś krzyk, ale szybko zagłuszył go ryk burzy.

Zacisnęła powieki i uklękła, ignorując chlupoczącą wokół niej

zimną wodę. Przypomniała sobie swoją pierwszą myśl, kiedy tu zeszła, i zdała sobie sprawę, że ta myśl staje się rzeczywistością. Zeszli pod ziemię z nadzieją znalezienia schronienia, a tymczasem zostaną pogrzebani żywcem.

ROZDZIAŁ SZEŚCIDIESIĄTY CZWARTY

Creed zacisnął zęby, kiedy Jason jechał za karetką na sygnale. Chłopak zachowywał bezpieczny dystans, zjeżdżając na bok, ilekroć pojawiał się kolejny samochód służb ratunkowych z włączonymi migającymi światłami.

Fakt, że nie siedział za kierownicą, tylko zwiększał jego panikę. Nie chciała go opuścić. Zacisnął dłonie w pięści, rozprostowywał palce tylko na moment, żeby podrapać się po twarzy. Tętno mu szalało, pot spływał strumyczkiem po plecach. Wiedział, że działa na adrenalinie. Ale najwyraźniej nie było jej dość, bo w piersi wciąż czuł ból i przysięgłby, że głowa mu eksploduje drugi raz tego popołudnia.

Wciąż sprawdzał telefon Jasona. Mieli całkiem niezły zasięg, ale nie było nowej wiadomości od Maggie. Wysłał jej kolejnego SMS-a. Wybrał jej numer z nadzieją, że tym razem się uda.

Nic podobnego.

Nie mógł połączyć się z Maggie. Jego umysł wyliczył wszelkie powody tego stanu, co tylko zwiększyło jego i tak już głęboki niepokój.

- Przenośna stacja jest pewnie przeładowana - powiedział do niego Jason, przypominając, że wieża transmisyjna została zniszczona przez pierwsze tornado.

- Ale zasięg jest dobry.

Wiedział, że Jason chce myśleć pozytywnie, a jednak nie mógł nie zauważyć jego pobielających knykci na kierownicy. On też martwił się i denerwował.

Creed wciąż powtarzał sobie to, co powiedziała wcześniej Maggie. Wciąż też słyszał napięcie i strach w jej głosie. Kiedy ją uprzedził o zbliżających się kolejnych nawałnicach, odparła, że jej zdaniem nie przetrwają uderzenia następnego tornada.

Creed i Jason jechali w ślad za burzą, prosto w ciemność. Przednie światła samochodu - ich dżipa i innych pojazdów, które pędziły w tamtą stronę - pozwalały co nieco widzieć. Poza tym w okolicy nie było innych świateł. Pierwsze tornado uszkodziło linie wysokiego napięcia. Chmury burzowe ruszyły naprzód. Niebo zrobiło się czyste, ale pozostało ciemne. Dopiero wtedy Creed zdał sobie sprawę, że słońce już zaszło.

Zmierzch rzucał cienie na zniszczenia, sprawiając, że wszystko wyglądało jeszcze gorzej. Niedługo cała okolica pograży się w kompletnej ciemności. Samochody stały na drodze jeden za

drugim, kierowcy, nie przebijając w środkach, walczyli o lepsze miejsce, starając się zjechać z drogi autom służb ratunkowych. Funkcjonariusze policji stanowej dyrygowali tym chaosem. W blasku samochodowych reflektorów Creed rozpoznał funkcjonariusza Sykesa. Opuścił szybę w oknie dżipa i pomachał do niego. Sykes wyraźnie ucieszył się na widok kogoś znajomego.

- Witam, panie Creed. Panie Seaver - powiedział, pochylając się i zaglądając do dżipa. Przez moment przyjrzał się Creedowi i spytał:

- Co się panu stało?

- Bliskie spotkanie z tornadem, ale nic mi nie jest.

- No cóż, możecie chyba odetchnąć. Nie sądzę, żeby potrzebowali tu psów.

Creed poczuł ucisk w żołądku. Czy to znaczy, że nikomu nic się nie stało, czy że nikt nie przeżył? Wyciągał szyję, żeby zobaczyć coś ponad maskami znajdujących się przed nimi samochodów.

- Dwie nasze znajome zostały uwięzione w piwnicy tej restauracji - poinformował Sykesa.

- Och, tak mi przykro, nie wiedziałem.

- Jest bardzo źle?

Funkcjonariusz wyprostował się i spojrzał w stronę, gdzie mieściła się restauracja.

- Dosyć kiepsko.

- Możemy to zobaczyć? - Creed nie naciskał, ale zanim Sykes odpowiedział, odpiął pas i otworzył drzwi. - Jason, możesz zostać z psami? - powiedział, zamykając drzwi.

Sykes nie oponował. Zamiast tego spojrzał na Jasona i powiedział:

- Jak każą się panu przesunąć, jest wolne miejsce tuż za panem, na wschód.

Creed przypomniał sobie o telefonie i podał go Jasonowi przez okno.

- Na pewno go nie chcesz? - spytał Jason.

- Nie, w porządku. - Creed powstrzymał się przed powiedzeniem dość oczywistych słów. Maggie i Frankie nie pisały SMS-ów ani nie dzwoniły, bo nie mogły tego zrobić. On zaś nie ruszy się stąd, dopóki ich nie znajdzie.

- Chodźmy - rzekł Sykes. - Zaprowadzę pana.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY PIĄTY

Choć nawałnica nagle ustała, Maggie wciąż dzwoniło w uszach. Było ciemno i cicho... tak cicho... aż rozległy się jęki.

Słyszała, jak pozostali wygrzebują się spod gruzów. Różne przedmioty ześlizgiwały się i uderzały z trzaskiem. Ktoś łkał. Kiedy ludzie znów włączyli telefony, pojawiły się smugi jasnego światła.

- Maggie?

To był głos Frankie, ale Maggie jej nie widziała. Potem zrozumiała, dlaczego tak się dzieje. Dopiero teraz poczuła obezwładniający ciężar na plecach. Wygięła plecy. Coś się z nich ześliznęło, lecz jakiś ciężar w dalszym ciągu ją przygniatał.

Nie panikuj, powiedziała sobie.

Pod kolanami miała beton, wokół ud pluskała woda. Ciężar, który ją przygniatał, nie pozwalał podciągnąć pod siebie stóp. Kiedy zaczęła wyciągać ramiona, powstrzymał ją ostry ból w lewej ręce. Spróbowała ponownie, i tym razem ból przeszył ją aż po czubki palców.

- Jest tutaj.

Frankie dawała komuś wskazówki. Potem nagle Maggie poczuła, że ktoś uwalnia ją od ciężaru, warstwa po warstwie. Zmieniła nieco pozycję i prawą ręką sama zaczęła zrzucać z siebie gniotące ją odpadki. Czują je i słyszała, jak spadają, lecz nadal niczego nie widziała. Powoli jej oczy przywykały do ciemności. Kiedy usunięto ostatnią warstwę śmieci, w końcu mogła się podnieść i wyprostować. Z trudem łapała oddech, a kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Hank i Ronald odrzucają na bok deskę podłogową. Obaj byli obsypani pyłem. Po łysej głowie Hanka spływała krew.

- W porządku? - spytał, oślepiając ją światłem latarki. Przesunął promień światła wzdłuż jej ciała, żeby przekonać się, w jakim stanie jest Maggie.

Kiedy chciała mu odpowiedzieć, poczuła, jakby usta i gardło miała wypełnione bawełnianymi wacikami. W końcu tylko skinęła głową. Mężczyźni bez słowa przenieśli się do kolejnej sterty gruzów i rupieci, spod której ktoś inny starał się wyczołgać.

Prawie nie dało się ruszyć, żeby na coś nie wpaść. Maggie podniosła wzrok, czuła napięcie w całym ciele. Widziała tylko mroczną nieprzeniknioną czerń. A jednak przysięgłaby, że poczuła powiew. Powietrze było jakieś inne. Czy to możliwe, że spadł na nich sufit, nie zostawiając nad nimi żadnego otworu? Czy to możliwe, że nawałnica, zasypując ich tym, co znajdowało się wyżej,

znów zamknęła ich w szczelnej pułapce?

- Maggie, nic ci się nie stało?

W półmroku Maggie starała się powieść wzrokiem za głosem Frankie.

Zakasłała i zdołała wychrypieć:

- Nic, a tobie?

- Jestem tutaj.

Maggie zobaczyła, że Frankie macha ręką z drugiej strony drewnianej półki. Sięgnęła po telefon do tylnej kieszeni dzinsów. Jej T-shirt był mokry. Straciła bluzkę koszulową, więc pas z bronią miała na wierzchu. Szybko sprawdziła, czy wiatr nie porwał jej rewolweru. Ale gdy tylko uniosła lewą rękę, żeby poprawić kaburę, znów przeszył ją ból.

- Na pewno nic ci nie jest? - spytała Frankie.

Teraz już więcej z uwięzionych w piwnicy osób włączyło telefony i oświetlało piwnicę latarkami telefonów. Trudno było dojrzeć coś więcej poza rumowiskiem. Poruszając się ostrożnie, Maggie usiłowała dostać się do Frankie, która wciąż siedziała, ale jedna z jej nóg ześliznęła się z drewnianej ławki. Frankie próbowała unieść nogę z wody i położyć ją z powrotem na ławce.

- Pomogę ci - powiedziała Maggie i delikatnie poprawiła nogę Frankie.

Frankie przygryzała dolną wargę aż do krwi. Ból musiał być nieznosny, mimo to wskazała na czoło Maggie i powiedziała:

- Krwawisz.

Maggie otarła spoconą twarz. Kiedy spojrzała na swoje palce, zobaczyła na nich krew. To pewnie z tej rany po pierwszym tornadzie. Później się tym zajmie.

Gdy już zorientowała się w sytuacji, poświeciła latarką telefonu w stronę schodów, żeby przekonać się, czy może w końcu wysadziło drzwi. Przesuwała promień światła na boki, potem w górę i w dół, aż wreszcie do niej dotarło, że schody zniknęły. Ich miejsce zajęło coś ogromnego z nierdzewnej stali.

Wtedy dojrzała wyszarpaną w suficie dziurę. Poczwała płynące stamtąd na dół świeże powietrze, choć po tamtej stronie była tylko ciemność. Wyłączyła latarkę i wlepiła wzrok w ten otwór. Wpatrywała się w niego tak długo, aż nabrała przekonania, że nakrapiana czerń to niebo.

Niebo usiane gwiazdami.

Nagle z góry dobiegł ją jakiś hałas. Jakieś głosy i szum silników.

Proszę, niech to będą silniki, a nie kolejna nawałnica.

Zaczęła rozglądać się za czymś, co pozwoliłoby jej się wspiać, ale szybko zdała sobie sprawę, że nie wie, czy zdoła to zrobić, mając

tylko jedną sprawną rękę.

Potem w górze dojrzała światła.

- Błyska się? - spytała Frankie, która patrzyła w to samo miejsce.

Z drugiej strony sterty gruzów rozległ się krzyk kobiety:

- Och nie, ona chyba nie żyje!

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY SZÓSTY

Im bardziej się zbliżali, tym bardziej to miejsce sprawiało na Creedzie wrażenie, jakby uderzył w nie ogromny meteor. Przed nimi stały ciężarówki z generatorami prądu. Ratownicy i strażacy, świecąc latarkami, starali się rozeznać w sytuacji.

Creed pamiętał, że wcześniej były tu betonowe fundamenty i przynajmniej część grożących zawaleniem ścian. A na środku na samej górze leżała przewrócona osiemnastokątowa ciężarówka z przyczepą, zgnieciona i otoczona przez walające się dokoła niebieskie beczki.

Teraz po ciężarówce i przyczepie nie zostało ani śladu. Nie było też widać absolutnie nic, co przypominałoby restaurację czy choćby fragmenty ścian budynku.

- Był tu pożar - powiedział Creed do Sykesa. Otoczyła ich noc, a w ostrym świetle samochodowych reflektorów nie widział, czy wgłębienie w ziemi jest wypalone. - To dzieło ognia?

- Ktoś próbował to podpalić. Ludzie z HAZMAT zalali pianą rozlane paliwo.

- Ale były tu jakieś beczki. Zawierały coś łatwopalnego? - spytał Creed.

- Pewnie tak sądził podpalacz.

- Ocet i sos pomidorowy - powiedział ktoś za ich plecami.

Odwrócili się i zobaczyli szeryfa Krenshawa.

- W tych beczkach? - spytał Sykes.

- No. Okazuje się, że te niebieskie beczki są z polietylenu czy czegoś tam, w czym można bezpiecznie transportować kwaśne artykuły spożywcze. Ten dupek, który podłożył pod nie ogień, nie miał o tym pojęcia. Prawdę mówiąc, ja też dowiedziałem się dopiero parę godzin temu.

Creed nie mógł zdjąć wzroku z krateru. Powietrze wciąż wypełniał pył. W promieniach światła widać było fruwające śmieci.

- Miał pan wiadomości od swoich znajomych? - zapytał Krenshaw.

- Nie. Nic.

Creed przestąpił z nogi na nogę, chciał już biec w stronę krateru i dobrać się do niego. Zęby go rozboleły, bo zbyt długo i mocno je zaciskał. W żołądku mu się przewracało. Czy ktoś w ogóle mógł tam przeżyć?

Szeryf powiedział, jakby czytał w jego myślach:

- Wyciągnęli już dwa ciała z tego gruzowiska, w tej chwili nic więcej nie wiem, ale powinien pan to wiedzieć.

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY SIÓDMY

Czarny sedan stał dokładnie tam, gdzie miał stać zgodnie z obietnicą Rexa. Ale gdzie, do diabła, był Rex?

Braxton trzymał się w cieniu i krążył między samochodami służb ratunkowych. Wszystkie były puste. Nieustająco wyły syreny. Wiatr niósł ze sobą rozmaitość odpadków. Braxtonowi zdawało się, że w oczach ma szkło. Cała scena wyglądała jak po wybuchu bomby. Przypominała mu jego dawne życie. Salvador, Liban, Kosowo. Po raz drugi w ciągu dwóch dni powiedział sobie, że jest już na to za stary.

Otworzył drzwi od strony kierowcy, sięgnął do środka i przyciskiem otworzył bagażnik. Niebieski worek marynarski leżał wciśnięty w kącie. Braxton wyciągnął po niego rękę, lecz nie od razu go wyjął. Najpierw się rozejrzył. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Otworzył zamykany na suwak worek i znalazł to, czego szukał.

Potrzebował nowej strategii. Jedno, czego nauczył się przed laty, to jak w każdej chwili szybko się zmienić, dostosować i na nowo policzyć zyski i straty. Nauczył się, jak przeżyć w najbardziej niemożliwych okolicznościach.

Selekcja naturalna.

Człowiek, dla którego pracował Braxton, był politykiem i miał klarowną wizję tego, co znaczy to słowo. Przywykł do rządzenia ludźmi. Zatrudniał takich jak Braxton, by po nim sprząkali, żeby sam nigdy nie zabrudził sobie rąk. Był tak daleko od wszelkiej jatki, że krew nie była już dla niego czymś realnym. Jego mały świat był tak urządzony, że wszystko, co kazał zrobić, było zrobione. Żadnych pytań. Żadnych konsekwencji.

Jednak po wszystkich tych latach Braxtonowi nie przyszło nawet do głowy, że za jego lojalność i oddanie ktoś może mu zapłacić zdradą. Nie spodziewał się złotego zegarka, ale zdecydowanie nie oczekiwał, że postawią na nim krzyżyk.

Być może tak traktuje się stare graty, lecz August Braxton nie pozwoli się tak traktować.

ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY ÓSMY

Z jazdy do Birmingham Willis pamiętał tylko gorączkowy pośpiech i kolejne ulewę. Dołączył do ekipy wiadomości, która stała przed wozem transmisyjnym. Z tak bliska gruzowisko wyglądało dużo gorzej niż na ekranach monitorów. Nie był w stanie oderwać od niego oczu.

Reporterzy słyszeli już, że jego żona jest jedną z osób uwięzionych pod gruzami restauracji. Zamiast wymieniać pełne litości spojrzenia, przekazali mu wszystko, czego dowiedzieli się do tej pory. Bardzo to doceniał. Był tak poruszony, że zabrakło mu słów. Z trudem panował nad emocjami. Zanim wyjechał z pracy, Paul powiedział mu, że zlokalizował Simona, młodego łowcę burz. Simona z Kansas. Ktoś znalazł jego zniszczony samochód, a Simona zabrano do szpitala. Jego stan był krytyczny.

Zrobiło się tak chłodno, że Willis żałował, iż nie wziął marynarki. Spuścił podwinięte rękawy koszuli i z wdzięcznością przyjął kubek gorącej kawy, choć wciąż czuł kwas po zbyt dużej ilości spożytej tego dnia kofeiny.

- Podobno są ofiary śmiertelne - powiedziała Chelsea, reporterka wiadomości.

- Ale nie jesteśmy pewni. - Lawrence rzucił jej spojrzenie przez ramię, unosząc wyżej kamerę na statywie.

Powiedzieli Willisowi, że cały czas nagrywają, chociaż wyłączyli dźwięk. Prowadzili transmisję na żywo z akcji ratunkowej, podczas gdy Mia przekazywała stale napływające raporty na temat zniszczeń.

Według ostatnich obliczeń w samej Alabamie do tej pory potwierdzono siedemnaście tornad. Willis wiedział, że pod koniec wieczoru będzie ich więcej. Nie było niczym nadzwyczajnym, że tornado uderzyło w tej okolicy dwa razy w ciągu jednego dnia, ilekroć jednak do tego dochodziło, było to wstrząsające. Słyszeli już o ofiarach, które przeżyły pierwsze tornado, żeby zginąć podczas drugiego. Tak więc Willis spodziewał się, że może to dotyczyć także restauracji.

Wlepiął wzrok w strażaków, którzy właśnie wyciągali dwie osoby po drabinie, którą spuścili w dół krateru. Nie mógł przestać myśleć o ostatniej rozmowie z Beth. Nigdy nie słyszał jej w takim stanie. Była skrajnie przerażona. Jeszcze gorsza była pełna pokory skrucha w jej głosie, jakby uznała, że sobie na to zasłużyła.

- Panie Dean. - Strażak obszedł wóz transmisyjny. Uniósł rękę,

żeby zasłonić obiektyw kamery Lawrence'a, i poprosił, żeby Willis przeszedł z nim na bok.

Willis nerwowo przeczesał palcami rzadniejące włosy. No i stało się. Na pewno znaleźli Beth. Ale skąd wiedzą, że to jego żona?

- Proszę pójść ze mną - powiedział strażak.

Przeprowadził Willisa przez tłum gapiów, uniósł żółtą taśmę okalającą gruzowisko i pokazał, żeby pod nią przeszedł.

- Pańska żona wypatrzyła pana z ekipą telewizyjną.

- Nic jej nie jest?

- Nie ma żadnych złamań. Ma sporo siniaków, kilka draśnień i otarć. Sugerujemy, żeby pojechała na oddział ratunkowy, żeby się upewnić, że nie ma żadnego wewnętrznego krwawienia. Uparła się, że bez pana nie pojedzie.

- Naprawdę? Okej.

Willis nie miał pojęcia, co więcej powiedzieć. Zaczął się trząść i nie wiedział, czy to z zimna. Przez wszystkie te lata, najpierw jako dzieciak zafascynowany zjawiskami atmosferycznymi, potem łowca burz i meteorolog, nigdy nie stracił przez nie nikogo bliskiego. Pomyślał, że wciąż kocha swoją żonę, i to bardzo. Nie był gotowy jej stracić. Ani z powodu nawałnicy, ani z powodu rozwodu.

- Wszystko w porządku, panie Dean?

- Nic mi nie będzie. - Willis wyprostował plecy i ruszył za strażakiem do czekającej na niego karetki.

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Creed nie mógł ustać w miejscu. Trzymał się z tyłu, choć było to wbrew jego instynktowi. Nie był funkcjonariuszem policji. Nie był wyszkolonym ratownikiem udzielającym pierwszej pomocy. Zwykle robił swoje, a potem razem z psem usuwał się na bok, żeby śledczy mogli wykonywać swoją pracę. Ale ta sytuacja była inna, a on czuł się kompletnie bezradny. Pozbawiony telefonu nie mógł nawet zapewnić sobie fałszywego poczucia kontroli, sprawdzając nowe wiadomości, na które jeszcze nie odpowiedział.

Szeryf Krenshaw wyjaśnił mu, że będą robić cyfrowe zdjęcia wyciągniętych z gruzowiska ofiar. Tylko twarze czy co tam z nich zostało. Obiecał Creedowi, że gdy tylko dowie się czegoś więcej, da mu znać.

Funkcjonariusz Sykes także się oddalił, żeby pilnować taśmy odgradzającej miejsce katastrofy. Granicy strefy zniszczeń. Creed widział, że stało się to nie lada wyzwaniem. Parę samochodów stacji telewizyjnych parkowało tak blisko, jak tylko było to możliwe, ekipy ustawiały światła i kamery. Miał wrażenie, że reporterzy robią relację na żywo. Pojawił się także tłum gapiów, w tym rodziny poszkodowanych. Policjanci mieli ręce pełne roboty, kierowali na miejsce strażaków i ratowników oraz pilnowali, żeby intruzi nie przekroczyli granicy zagrożonej strefy.

Creed cały czas nie tracił nadziei, że Maggie wciąż jest tam w dole. A co z Frankie? Wiedział, że została ranna.

Strażacy wyprowadzali kolejną osobę. Spuścili na dół drabinę i pomogli już wyjść trzem osobom, dwóm kobietom i nastoletniemu chłopcu. W jasnym świetle latarek każdy z nich, wychodząc na powierzchnię, wyglądał na przerażonego. Ta kobieta była cała w pył i ziemi. Gdy tylko stanęła na twardym gruncie, ktoś owinął ją kocem i zaprowadził do najbliższego zespołu ratowników.

Potem wychodzili następni, niektórzy potrzebowali więcej pomocy niż inni. Za każdym razem, gdy pokazywała się jakaś głowa, serce Creeda biło mocniej. To było niemal nie do zniesienia. Za każdym razem jego nadzieja gwałtownie rosła, by zaraz potem, kiedy przekonał się, że to nie jest Maggie, równie nagle zgasnąć. Wciąż dokuczał mu pulsujący ból głowy, w piersiach bolało od dachowania. Doktor Avelyn nie wykluczała, że doznał wstrząśnienia mózgu. Kiedy Sykes podszedł spytać Creeda o samopoczucie, przyniósł mu butelkę wody, którą ten przyjął z wdzięcznością.

Stracił już rachubę, ile osób wydobyto z gruzów. Potem nagle

strażacy zaczęli wciągać drabinę do góry.

To nie może być koniec.

Serce zaczęło mu walić. Dotąd usiłował blokować dźwięk syren i nawoływania policjantów i ratowników. Teraz nadstawił uszu, żeby słyszeć, co mówią. Rozglądał się nerwowo w poszukiwaniu Krenshawa czy Sykesa. Zanim dojrzał któregoś z nich, zobaczył, że strażacy zamienili drabinę na nosze. Tym razem Creed poczuł, że nogi się pod nim uginają.

- Hej! - krzyknął ktoś za jego plecami.

- Jason!

- Nie martw się, zostawiłem okna częściowo otwarte, a drzwi zamknąłem. Psom nic nie będzie.

Dopiero w tym momencie Creed zdał sobie sprawę, że temperatura spadła. I to tak, że jego spocone ciało się wychłodziło.

- Słuchałem radia - powiedział Jason.

- Pewnie wiesz więcej niż ja.

- Siedemnaście tornad dotknęło dzisiaj ziemi, i to w samej Alabamie.

Creed rzucił mu zaniepokojone spojrzenie.

- Na Florydzie nie było tornad - dodał Jason, a potem zauważył: - Wynoszą kogoś na noszach.

- Chyba oszaleję.

- Jesteś już po tej stronie taśmy. Czemu nie podejdziesz bliżej?

Creed zdał sobie sprawę, że Jason ma rację. Mimo to stał, jakby wrósł w ziemię. Może potrzebował bezpiecznego dystansu.

- Chodź - rzucił Jason, naciągnął czapkę niżej na czoło i ruszył przed siebie.

- To chyba Frankie - powiedział Creed, dotrzymując mu kroku.

Kiedy nieśli ją do karetki, ktoś oświetlił jej twarz. Creed tak się na niej skupił, że nie zauważył, iż znów spuszczone drabinę po ostatnią osobę, która przeżyła.

- To ona - powiedział Jason.

- Nawet nie znasz Frankie.

- Nie, mówię o Maggie. Właśnie wyszła na powierzchnię.

Tym razem Creed nie czekał na pozwolenie. Ruszył szybko przed siebie, zanim ktoś go zatrzymał. Nie spuszczał wzroku z Maggie, jakby się bał, że jeśli odwróci się choć na moment, to ona zniknie. W połowie drogi Maggie go zauważyła, a kąci jej warg powoli unosiły się w uśmiechu. Uniosła jedno ramię, jakby chciała powiedzieć: „Możesz w to uwierzyć?”.

Ostatnie metry Creed pokonał biegiem, zaś strażak, który prowadził Maggie, na jego widok usunął się na bok. Creed chwycił ją w pasie i ścisnął, unióś ją z ziemi. Zanim ją znów postawił,

całował ją długo i mocno. Usłyszał, jak łapała oddech, a później się zaśmiała.

- Smakujesz whiskey - powiedział, a zaraz potem zobaczył jej rękę zwisającą wzdłuż boku. Trzymała ją drugą ręką. - Jesteś ranna? Nic ci nie jest? Zrobiłem ci krzywdę?

- Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek mnie skrzywdził, Ryderze. - Wciąż się uśmiechała, jednocześnie krzywiąc się z bólu.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Maggie chciała, żeby Ryder pojechał karetką z nią i z Frankie, ale powiedziano im, że nie ma dość miejsca. Kiedy zobaczyła, jak ratownicy zajmują się Frankie, nie dyskutowała.

Ryder obiecał, że przyjadą z Jasonem do szpitala i tam się z nimi spotkają. Maggie dotknęła siniaków i draśnięć na jego twarzy, patrząc mu w oczy.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Teraz tak - odparł z uśmiechem, ujął jej dłoń i pocałował, a potem się wycofał i pozwolił im zamknąć drzwi karetki.

Zajechawszy na oddział ratunkowy, Maggie żałowała, że nie pozwolili jej zostać z Frankie. Pewnie by pozwolili, gdyby lepiej ukryła własne obrażenia.

Ryder przysłał jej SMS-a. Jechali z Jasonem do szpitala, ale droga była zatkana samochodami służb ratunkowych.

Odpisała mu, żeby się nie śpieszył. Żeby uważał. Szpital był zatłoczony. Najprawdopodobniej by ich odprawili, żeby zrobić miejsce dla ofiar nawałnic i personelu oddziału. Pielęgniarka powiedziała jej, że nawet w holu dokonują wstępnej selekcji pacjentów.

Z zasięgiem było różnie. Kiedy nie można było się dodzwonić, wymieniali się SMS-ami:

Frankie jest już na intensywnej terapii.

A ty?

Zajmują się moją ręką.

Nie miała jednak szansy poinformować Rydera, jak poważny jest stan Frankie. Ratownicy i lekarz z oddziału próbowali jej wytłumaczyć, na czym polega zespół zmiążdżenia. Maggie sądziła, że postąpiła słusznie, jak najszybciej uwalniając Frankie spod ciężaru stalowego słupa. Okazało się, że to nie takie proste. Uderzenie, ucisk i ciężar już i tak uszkodziły mięsień. Kiedy siła ucisku zniknęła, rozpoczęła się reakcja kaskadowa. Z komórek uszkodzonej tkanki zostały uwolnione toksyny. Uwalnianie składników komórek mięśniowych może ostatecznie doprowadzić do niewydolności nerek, zaprzestania pracy innych organów, a nawet do ataku serca.

Podczas studiów licencjackich Maggie miała zajęcia z udzielania pierwszej pomocy przedmedycznej. Mimo to, kiedy siedziała na dole w ciemnej dusznej piwnicy, nic podobnego nie przyszło jej do głowy. Ale prawda była taka, że od lat miała do czynienia głównie

z martwymi, a nie żywymi.

Przez cały czas, kiedy zajmowano się jej ręką, myślała o tym, co mogła zrobić inaczej. W końcu, gdy znów została sama, czekając na prześwietlenie i na to, co nastąpi dalej, wyciągnęła komórkę i zaczęła czytać wiadomości od agenta Alonza. Dołączył też wideo od detektyw Jacks z Chicago, a Maggie zastanawiała się, czy je obejrzeć, czy raczej oszczędzać baterię.

Alonzo napisał:

To są zdjęcia z kamery nadzorującej. Nie najlepsze, ale pokazują napastników Gatesa.

Napisała mu, że uratowano ją spod gruzów piwnicy restauracji. Ją i Frankie. Potem spytała:

Możesz nadal śledzić komórkę Gatesa?

Jeśli mężczyźni, którzy ścigali Frankie, byli na miejscu katastrofy, to wiedzą, do którego szpitala została zabrana. Rozejrzała się po małym pokoju na oddziale, szukając swojej broni. Nie kazali jej zdjąć T-shirtu i oddać broni, ale musiała zdjąć pas z kaburą. Nagle bez pasa poczuła się naga.

Telefon dał jej znać, że nadeszła odpowiedź od Alonza:

Zgubiłem go, jak uderzyło tornado.

Nie powinna się dziwić. Trudno było przeprowadzić jakąkolwiek rozmowę przez telefon, bo niemal wszystkie rozmowy przerywało.

Zadzwoń, jak będziesz mogła. Ciekawy rozwój wypadków.

Czemu ludzie to robią? Teraz chciała tylko zadzwonić do Alonza. Najpierw jednak spojrzy na to wideo, jeśli jej się uda.

Łączyła się powoli. Kilka sekund po rozpoczęciu nagranie się zatrzymało, a potem znów ruszyło. Typowe zdjęcia z kamery nadzorującej. Ziarniste, ale dość płynne. Bez dźwięku. Widziała mężczyzn zbliżających się z przeciwległej strony. Frankie miała rację. Jeden z nich był potężny. Kwadratowa głowa na kwadratowych ramionach, bez szyi.

Obaj byli w strojach do biegania. Gates zatrzymał się, zaczął z nimi rozmawiać. Kilka sekund później uniósł rękę. Przy jego czole pojawiła się broń, Gates gwałtownie odchylił do tyłu głowę, a potem upadł na chodnik. Latarnia uliczna częściowo zasłaniała widok. Drugi mężczyzna przekrzywił głowę i coś pokazywał. Pewnie zobaczył słuchawkę w uchu Gatesa.

Ten potężny przyklęknął i zabrał Gatesowi telefon, a ten drugi nieco się wycofał. Maggie do tej chwili nie zwracała uwagi na tego drugiego mężczyznę, ale teraz przypatrywała się uważnie, jak odwrócił głowę i ruszył dalej ulicą.

Zatrzymała nagranie i znów je puściła. Powiększyła obraz, zmniejszyła i puściła raz jeszcze. Po trzecim razie wiedziała, że się

nie myli. I że musi natychmiast znaleźć Frankie.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZISIĄTY PIERWSZY

Frankie pamiętała, jak strażak przypinał ją do noszy. Miał piękne niebieskie oczy i niski spokojny głos, a wszystko, co mówił, brzmiało fascynująco. Pamiętała zimne nocne powietrze i to, jak świetnie czuła się na powietrzu, nawet jeśli miała dreszcze. Ale po tym, jak załadowano ją na tył karetki, w pewnym momencie gdzieś odpłynęła. Wiedziała, że Maggie wcisnęła się obok niej. Słyszała jej odpowiedzi na pytania ratownika.

- Jak długo była przygnieciona? O jakim ciężarze mówimy? - chciał wiedzieć mężczyzna.

Później pojawił się koc, najpierw się wydał, a potem ją otulił. Nad jej głową zawisł worek do kroplówki. Prawie nie czuła ukłucia, a nie znosiła igieł. Niemal natychmiast poczuła w żyłach ciepło, i wtedy opadły jej powieki.

Teraz, kiedy usiłowała skupić się na nowym otoczeniu, nie mogła zmusić umysłu do pracy. Słyszała szum urządzeń. Wężyk kroplówki ciągnął się od jej ręki gdzieś do góry i za nią. Nie miała siły odwrócić głowy. Przysypiała i budziła się gwałtownie. Nie była pewna, ile razy. Raz czy dwa pomyślała, że widzi kogoś na krześle w rogu pokoju. Ale może to był sen.

Pielęgniarki, lekarze, technicy medyczni wchodzili i wychodzili. Niektórzy zadawali jej pytania. Inni wykonywali przy niej swoje prace w milczeniu. Ilekroć drzwi się otwierały, słyszała - a czasami widziała w przebłysku - chaos w korytarzu. Potem znów odpływała w sen.

Pod ziemią straciła poczucie czasu. Czy tornado uderzyło dzień wcześniej? A może przed tygodniem?

Obudziła się z zaczerwienionymi oczami, nie czując bólu. Potrzebowała kilku sekund, żeby zauważyć stojącego nad nią mężczyznę. Widziała biały fartuch i czekała na jego pytania. Kiedy wreszcie była w stanie skupić wzrok, wydał jej się znajomy. Przekrzywił głowę i przyglądał się jej. Tak samo patrzył na nią za pierwszym razem, kiedy się spotkali. Jakby nie mógł się zdecydować, czy zawracać sobie nią głowę.

- Cześć, Gus - powiedziała.

Jej głos był tak cichy i słaby, że nie miała pewności, czy ją słyszał, zwłaszcza że nie odpowiedział. Zamiast tego odwrócił się do kogoś, kto stał za jego plecami.

- Zróbmy to szybko - powiedział do potężnego mężczyzny z kwadratową głową na kwadratowych ramionach.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Creed nie był świadomy, jak fatalnie wygląda, dopóki nie wszedł na oddział ratunkowy. Pielęgniarka od razu powiedziała, że zajmą się nim najszybciej, jak to możliwe.

- Nie, nie, nic mi nie jest. Karetka przywiozła tu dwie moje znajome. - Zerknął na nadgarstek, żeby sprawdzić, która godzina, i przypomniał sobie, że tornado zabrało mu zegarek. - Jakąś godzinę temu. Jedna była na noszach. Druga ma złamaną rękę.

- Przepraszam pana, ale ma pan pojęcie, ile osób pasuje dziś wieczorem do tego opisu?

Rozejrzał się sfrustrowany i dojrzał telewizor w poczekalni oddziału. Pokazywano właśnie sceny z akcji ratunkowej. Wskazał na ekran.

- Były wśród osób uwięzionych w gruzowisku restauracji.

- Okej, moment. Pamiętam. Tę z rabdomiolizą przewieźliśmy na intensywną terapię.

- Z czym?

- Intensywna terapia jest na pierwszym piętrze - rzuciła pielęgniarka i pognąła przed siebie korytarzem.

Creed przeciskał się między noszami i wózkami z połamanyymi, krwawiącymi i pobladyymi ofiarami nawałnic. Kiedy dotarł do windy, zdał sobie sprawę, jaki z niego szczęściarz, że ma tylko plecy nakłute sosnowymi igłami.

- Ryder? - W świetle jarzeniówek Maggie wyglądała blado. We włosach wciąż miała okruchy tynku i szkła. Rękę trzymała na temblaku. Rozglądała się nerwowo, jakby kogoś szukała. - Muszę znaleźć Frankie. Rozdzielili nas.

- Podobno jest na pierwszym piętrze na intensywnej terapii.

Maggie nacisnęła przycisk windy, choć już się świecił, bo Creed chwilę wcześniej zrobił to samo. Już ją taką widział. Pomimo wyczerpania była w stanie najwyższej czujności. Coś było nie tak.

- Co jest? - spytał, kiedy drzwi w końcu się otworzyły i szybko wsiadła do windy.

- Ci mężczyźni, którzy próbują ją zabić - powiedziała cicho, niecierpliwie czekając, aż drzwi się zamkną. - Znam jednego z nich.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

To był mężczyzna z blizną. Frankie rozpoznała czoło jaskiniowca, orli nos i czarne oczy. Miał na sobie biały fartuch, tak jak Gus.

Nie mogła się ruszyć. Zaciśnęła palce na balustradzie łóżka. Brakowało jej siły, żeby się podnieść. Nie wiedziała, którym przyciskiem wezwać pomoc.

- Gus, co... co się dzieje? - Jej głos był cichy i słaby. Wysiętek, jakiego wymagało wypowiedzenie tych kilku słów, jeszcze bardziej ją wyczerpał.

Gus odsunął się od łóżka. Już go nie widziała. Wyszedł z pokoju?

Mężczyzna z blizną skrzywił się, patrząc na nią, wbił igłę do niedużej butelki i napełnił strzykawkę.

- Nie, zaraz! Co pan robi?

Serce jej waliło. Próbowwała się podnieść, ale nie mogła przed nim uciec. Z gotową strzykawką spojrział na wenflon na jej ręce, potem na worek kroplówki nad głową, szukając najlepszego miejsca do wkłucia.

Gdzieś w pokoju rozległ się stłumiony trzask. Potężny mężczyzna gwałtownie szarpnął głową. Frankie nie była w stanie przestać patrzeć na strzykawkę, żeby poszukać źródła dźwięku.

Potem podniosła wzrok i zobaczyła, czemu mężczyzna nagle znieruchomiał. Patrzył prosto przed siebie. Strzykawka wypadła mu z ręki. Upadł twarzą naprzód. Zanim legł na podłodze, jego ciało uderzyło o łóżko.

Kiedy Frankie znów podniosła wzrok, zobaczyła, że Gus wciąż trzyma broń. Zamknęła oczy i szykowała się na kolejny strzał. Może jest odurzona lekami. Może obudzi się, oprzytomnieje i przekona się, że to tylko halucynacje.

- Frankie? Nic ci nie jest?

- Co się stało?

Otworzyła oczy i ujrzała Maggie i Rydera, którzy wbiegli do pokoju. Gus zniknął, a może nigdy go tu nie było.

- On nie żyje - usłyszała słowa Rydera, który przyklęknął obok olbrzyma na podłodze.

Więc to prawda. Ale ona wciąż żyła. Spojrzała na Maggie i spotkała się z nią wzrokiem.

- To Gus - szepnęła do niej.

- Wiem - odparła Maggie i powiedziała do Rydera: - Zostań z nią.
- Potem wyszła poszukać Gusa.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

Braxton widział, jak wybiegła najbliższym wyjściem. Potarł brodę i naciągnął czapkę z daszkiem niżej na czoło. Maggie, agentka FBI, miała dobry instynkt. Kręcąc głową, rozglądała się na wszystkie strony. Potem zatrzymała się i obróciła wokół własnej osi, obejmując wzrokiem ten chaos. Szukała go. Jej lewa ręka spoczywała na temblaku. Nie miała już pasa z kaburą ani broni. A mimo to go ściagała.

Karetki z ratownikami torowały sobie drogę, opuszczając podjazdy i robiąc miejsce dla kolejnych przywożonych poszkodowanych. Ranne ofiary nawałnic kuśtykały, poruszając się z pomocą krewnych lub przyjaciół, którzy też krwawili. Braxton widział, że Maggie wciąż się rozgląda. Przyglądała się wszystkim twarzom, zaglądała w ciemne kąty, szybkim krokiem szła wzdłuż stojących na parkingu aut. W pewnym momencie uknęła i zajrzała pod rząd samochodów.

Nie przyszło jej do głowy, żeby sprawdzić mijającą ją karetkę.

Zerknął na nią po raz ostatni w tylnym lusterku, wyjeżdżając ze szpitalnego parkingu. Zostawili z Rexem czarnego sedana dwie przecznice dalej. Kiedy się zorientują, że brakuje jednej karetki, on będzie już jechał sedanem drogą międzystanową.

Teraz kierował się na zatłoczony parking przed apteką. Rugera SR22 z nietkniętym tłumikiem owinął skradzionym białym fartuchem. Później, jak minie dwa czy trzy stany, wrzuci go do wody. Nieważne. Broń nigdy ich do niego nie doprowadzi. Poza tym najpierw miał inne sprawy do załatwienia, a czasu było niewiele. Jeśli to ma się w ogóle udać, musi działać szybko. Inaczej złapią go i wyślą kogoś innego, żeby zlikwidował Francine Russo.

Braxton i Rex zostali wynajęci do tego, żeby zrobić wszystko, co konieczne, by informacja, którą zdobyli Tyler Gates i jego przyjaciel Deacon Kaye nie ujrzała światła dziennego. Jedynym powodem, dla którego Braxton wziął na cel Frankie Russo, było podejrzenie, że widziała kompromitujące mejle i mogła rozpoznać Rexa.

Teraz znała też jego twarz.

Za dzień czy dwa agentka Maggie będzie dokładnie wiedziała, kim jest Braxton. Ale wtedy jego już tu nie będzie. Dobrze się przygotował. W bagażniku miał torbę z paszportami i kartami kredytowymi. W trzech różnych bankach w kraju posiadał skrytki depozytowe, każdą na inne przybrane nazwisko. Przechowywał tam dodatkowe dokumenty i dość gotówki, by spokojnie przeżyć gdzieś

do końca życia. Gdziekolwiek zechce. I to właśnie zamierzał zrobić.

Ale najpierw musiał się upewnić, że nie zostanie zabity albo, co gorsza, ktoś nie wyznaczy ceny za jego głowę. Musi rozegrać to lepiej niż człowiek, który go zatrudnił.

Człowiek, dla którego pracował Braxton i dla którego zabijał, przekroczył granicę, kiedy polecił Rexowi podłożyć ogień na ruinach restauracji. Człowiek, któremu Braxton był oddany i wobec którego był lojalny od prawie dekady, odpłacił mu się za tę lojalność, uznając, że warto poświęcić Braxtona, byle tylko Russo nie wyszła z tego z życiem.

A Rex... Braxton pokręcił głową. Wciąż nie mógł uwierzyć, że Rex go zdradził.

Więc jak najlepiej zapewnić sobie szansę na przeżycie? Musi zrobić wszystko, żeby tajemnice, dla których warto było zabijać, przestały być tajemnicami.

DZIEŃ TRZECI

Niedziela 10 marca

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Maggie pałaszowała właśnie drugiego pączka. Trudno było uwierzyć, że ledwie osiemnaście godzin wcześniej spotkała się z Frankie na lunchu w Niebiańskich Smakach. Wydawało się, że od tamtej chwili minęły całe wieki.

Okolo szóstej nad ranem Jason i Ryder odjechali, żeby zająć się Grace i Scoutem. Potem wrócili z mnóstwem pączków. Ryder wyjął dwa pączki specjalnie dla Maggie. Nie pamiętała, by kiedyś mu wspominała, że najbardziej lubi te z czekoladowym lukrem. Potem znów wyszli, żeby poczęstować pączkami personel i członków rodzin poszkodowanych siedzących w poczekalniach oddziału ratunkowego i intensywnej terapii.

Wcześniej, przed świtem, kiedy Frankie odpoczywała, a u stóp jej łóżka nie leżało już ciało zabitego mężczyzny, i kiedy w końcu zajęto się porządnie ręką Maggie, ona i Ryder usiedli w jednej z poczekalni nieco oddalonej od oddziału intensywnej terapii. Żadne z nich nie mogło zasnąć. Maggie powiedziała Ryderowi o Gusie i o tym, jak go rozpoznała w materiale wideo z ulicznej kamery. Opowiedziała mu o wszystkich odkryciach Alonza, które zapamiętała. Potem Ryder podzielił się z nią informacją uzyskaną od szeryfa Krenshawa na temat pozostałych osób, które tkwiły uwięzione w ruinach restauracji razem z Maggie i Frankie.

Było sześć ofiar śmiertelnych. Kelnerka, która obsługiwała Maggie i Frankie i nie zeszła do piwnicy, została znaleziona razem z dwiema innymi kobietami, pracownicą kuchni i hostessą. Odkryto też przygniecione ciała dwóch niezidentyfikowanych mężczyzn. Spadły na nich razem ze schodami ciężkie sprzęty kuchenne.

- Max i Kochaś - powiedziała Maggie. - Cały czas uważali, że drzwi są jedyną drogą ucieczki.

- Kochaś? - spytał Ryder.

- Nie znam jego imienia. Przed uderzeniem tornada była z nim kobieta, Beth. Będzie mogła go zidentyfikować.

Ostatnią ofiarą była jedna ze starszych kobiet.

- Clara czy Adele? - chciała wiedzieć Maggie, ale Ryder nie potrafił jej odpowiedzieć.

Oglądali razem wschód słońca, co prawda ich horyzontem był jeden ze szpitalnych parkingów. Maggie nie mogła uwierzyć, że niebo jest znów tak niebieskie. Bez jednej chmurki. Telewizor w kącie był ściszony, ale mapa pogody na najbliższy tydzień zapowiadała temperatury od czternastu do osiemnastu stopni. Ani

śladu burz. Maggie pamiętała wściekłość Stephanie z powodu warunków pogodowych i musiała się z nią zgodzić. To było jakieś szaleństwo.

W tej wczesnoporannej ciszy Ryder oznajmił, że muszą z Jasonem wracać na Florydę. A ponieważ jego dżip był kompletnie zniszczony, dysponowali tylko jednym samochodem.

- Co się stało z twoim dżipem? - spytała.

- To długa historia. - Uśmiechnął się i pokręcił głową. Zamiast próbować ją opowiedzieć, rzekł: - Hanna koniecznie chce tu przyjechać, żeby być z Frankie. Przyjaźnią się od lat.

- Wiem - odparła Maggie. - Cieszę się, że Frankie ma kogoś takiego jak Hanna.

Ryder wyjaśnił, że on i Jason zaopiekują się w tym czasie synami Hanny. Nie musiał dodawać, że martwi się o Brodie. Widziała to na jego twarzy. Dopilnował, żeby Maggie otrzymała odpowiednią opiekę. Upewnił się, że jest bezpieczna. Ale miał inne zobowiązania w stosunku do innych ludzi w jego życiu. Nie byłby sobą, mężczyzną, którego znała i który był jej drogi, gdyby jej nie opuścił, żeby zająć się swoją rodziną.

A kiedy tak siedzieli obok siebie, Maggie wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. Bez żadnych deklaracji czy też wyznań. Słowa były zbędne. I wcale nie był to żaden unik. Czuła, że tak jest dobrze.

- Naprawdę musimy przestać spędzać tyle czasu w szpitalach - powiedziała.

Maggie znalazła cichy kąt z gniazdkiem, gdzie mogła naładować pożyczoną baterię do telefonu. Dwie godziny po nieskutecznym poszukiwaniu Gusa bateria w jej telefonie ostatecznie padła.

Zabójstwo mężczyzny obok łóżka Frankie pozwoliło Maggie usprawiedliwić konieczność całodobowej ochrony dla Frankie. Biura szeryfa w kilku hrabstwach wciąż były bardzo zajęte skutkami nawałnic i tornad, więc agent Alonzo załatwił agentów z regionalnego biura FBI w Alabamie. Dwaj mężczyźni przyjechali o trzeciej nad ranem. Maggie była pod wrażeniem. Nie spodziewała się, że Kunze to zaakceptuje. Niecierpliwie czekała na wyjaśnienia Alonza, jak tego dokonał.

Nareszcie miała małą poczekalnię wyłącznie dla siebie. Bez Rydera wydawała się jednak zbyt pusta. Patrzyła na płaski ekran telewizora na ścianie. Przyciszyli głos, ale na dole ekranu przesuwiał się pasek z informacjami. W lokalnych wiadomościach zapowiadano specjalny raport, który zostanie nadany tego wieczoru. Miał zawierać szczegóły od jednego z łowców burz, który przeżył, choć jego samochód został porwany przez tornado.

Kiedy zadzwonił jej telefon, Maggie sięgnęła po niego, przyjmując

dziwną pozycję, żeby nie wyłączyć go z gniazdka.

Zamiast słów powitania Alonzo powiedział:

- Masz tam gdzieś telewizor?

- Tak - odparła. - A co?

- Przełącz na jedną z kablowych stacji informacyjnych.

Maggie sięgnęła po pilota i zaczęła przełączać kanały, aż znalazła to, czego szukała. Prezenter wiadomości mówił o Carson Foods. W górnym rogu ekranu pojawiały się zdjęcia prezesa firmy, dwóch wiceprezesów i senatora Johna Quincy'ego.

- Do redakcji New York Timesa ktoś przysłał anonimowo serię mejli - powiedział jej Alonzo. - W tych mejlach prezes Carson Foods przyznaje się senatorowi Quincy'owi, że poziom glifosatu jest za wysoki. Píše mu też, żeby się tym nie przejmował, ponieważ kontroluje raporty i wyniki testów, więc ich inicjatywa może posuwać się naprzód. Maggie, te mejle wyglądają dokładnie jak te, które odkryli Tyler Gates i jego kumpel.

- Skąd wiesz?

- Bo w tej chwili mam przed sobą to, co Gates przesłał Russo. Musiał to przesłać z opóźnieniem czasowym. Jego mejl z załączonymi plikami pojawił się w jej poczcie dopiero dziś wcześnie rano.

- Myślisz, że Gates wysłał je też do Timesa z opóźnieniem czasowym?

- Niewykluczone. Ale z tego, co słyszę, mają też aktualne kopie wyników badań i inne raporty, których nie ma w poczcie Russo. Twierdzą, że posiadają dowody na to, że Carson Foods majstrowało przy wynikach testów laboratoryjnych. Dysponują też mejlami, gdzie jest napisane wprost, że firma musiała zmienić wyniki, bo inaczej straciłaby miliardy dolarów. Duża partia produktów Carson Foods czeka właśnie na transport w ramach ich nowej inicjatywy. Myślę, że zrobił to ktoś z firmy, kto miał do tego dostęp.

Maggie natychmiast pomyślała o Gusie. Alonzo nie był w stanie dowiedzieć się niczego na temat jego tożsamości. Jedyne, co znali, to numery tablicy rejestracyjnej czarnego sedana, ale Alonzo twierdził, że takie numery nie istnieją w żadnej bazie danych.

W tym momencie na dole ekranu telewizora Maggie zobaczyła napis:

Z ostatniej chwili.

Informacja głosiła, że wydano nakaz wycofania ze sprzedaży w całym kraju produktów Carson Foods, a zwłaszcza płatków śniadaniowych i batonów śniadaniowych. Wymieniono je z nazwy jeden po drugim. Było ich ponad dwanaście rodzajów. Twierdzono, że to największa tego rodzaju akcja w historii.

- Mówi się, że jeszcze dzisiaj prezes Carson Foods złoży rezygnację - podjął Alonzo. - Doszły mnie słuchy, że są naciski na senatora Quincy'ego, żeby zrobił to samo.

Maggie zdała sobie sprawę, że to polityczne skutki, dla uniknięcia których najwyraźniej warto było zabić. A skoro tajemnica wyszła na jaw, Frankie nic już nie grozi.

- Jest jeszcze coś, Maggie - kontynuował Alonzo. - Media do tej pory tego nie wiedzą, a prócz mnie i ciebie nikt tego nie skojarzy.

- Tak?

- Zastępca dyrektora Kunze dziś rano podał się do dymisji.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Creed był zły, że musi rozstać się z Maggie, ale było też dla niego oczywiste, że wróci do domu, żeby Hanna mogła tu przyjechać i wspierać przyjaciółkę. Creed i Hanna od ponad siedmiu lat byli dla siebie jak rodzina. Creed prędzej padłby trupem, niż ją zawiódł. Teraz na dodatek czuł to samo, jeśli chodzi o Brodie.

Kiedy Jason i Creed opuszczali Montgomery, lekarz Frankie wyrażał się o jej stanie z większym optymizmem. Zaczęła odzyskiwać czucie w nogach. Nerki funkcjonowały stabilnie. Creed nie do końca rozumiał wszystkie komplikacje jej stanu, ale wiedział, że obecność Hanny pomoże Frankie w rekonwalescencji.

Nie spodziewał się jednak, że kiedy dotrze do domu, okaże się, że Hanna już wyjechała. Jason zabrał Scouta i Grace na ogrodzone podwórze za domem Hanny. Creed z radością patrzył, jak Grace podskakuje i macha ogonem. Cieszyła się, że jest znów w domu i już próbowała pokazać Scoutowi, kto tu rządzi.

Z uśmiechem na twarzy wszedł tylnym wejściem i w kuchni Hanny ujrzał matkę. Miała na sobie fartuch i kroїła warzywa na stojącej na środku wyspie. Lady i Hunter podeszli przywitać Creeda, po czym pośpiesznie wrócili na swoje miejsca u stóp matki, czekając z nadzieją, że coś im spadnie.

- Mama?

- Nie złość się - zerknęła na niego, po czym wróciła do krojenia. - To ja namówiłam Hannę, żeby wyjechała wcześniej. Chciałam być pewna, że dotrze do Montgomery przed zmrokiem.

Zwrócił uwagę na to, że matka spodziewała się, iż na jej widok wpadnie w złość. A jednocześnie rozumiał, czemu Hanna nie wspomniała, że matka została u nich dłużej. Nie chciała, żeby martwił się o Brodie.

- Nie wiem, co tam szykujesz, ale pachnie nieźle - powiedział.

- Gulasz na jutro. Myśmy już zjedli kolację. A wy, chłopcy, jedliście coś?

- Tak.

Wtedy matka podniosła wzrok i przyjrzała mu się bacznie.

- Ryder, wszystko w porządku?

Odłożyła nóż i obeszła blat, zatrzymała się blisko niego, ale go nie dotknęła, chyba się wystraszyła siniaków i skaleczeń na jego twarzy.

- W porządku, choć wygląda gorzej, niż jest naprawdę. - Chciał zmienić temat. - Gdzie chłopcy i Brodie?

- Oglądają film. Jakiś animowany, który Hanna pozwoliła im obejrzeć.

Patrzyła na niego chwilę dłużej, potem wróciła do deski do krojenia, jakby przygotowywanie posiłków w jego kuchni było dla niej czymś najzupełniej normalnym. To znaczy w kuchni Hanny. Panie szybko i łatwo się zaprzyjaźniły, choć poznały się ledwie ostatniej jesieni.

- Brodie też? - spytał Creed. Coś mu się nie podobało.

- Och, przepraszam. Oglądała film z chłopcami, ale potem wzięła kotkę na spacer. - Podniosła znów wzrok, jakby coś jej umknęło. - Hanna powiedziała, że wszędzie z nią chodzi. Ale czy kota wyprowadza się na spacer?

- Tak, ona wyprowadza. - Mimo wszystko coś go zaniepokoiło. - Po prostu chciałbym ją już zobaczyć. Pójdę jej poszukać.

Wyszedł, zanim matka dostrzegła jego lęk. Nie był pewien, skąd wziął się ten niepokój. Od chwili przyjazdu Brodie wolno było poruszać się po całym ich terenie. Czasami zabierała ze sobą Kotkę. Ostrzegli ją przed niedźwiedziami, lecz nigdy nie chodziła sama do lasu. Była nadzwyczaj ostrożna.

Ale wróciły jej koszmary. Była zestresowana wizytą matki. Najpierw zostawił ją Creed, a teraz Hanna. Jej terapeutka uprzedzała Creeda, że sprawy mogą się pogorszyć nagle, prawie bez uprzedzenia. Miał złe przeczucie, że Brodie opuściła jego dom, bo musiała uciec.

Zauważył światło w hali sportowej. Na dworze nie było jeszcze całkiem ciemno, przez wysoko umieszczone okna nie wpadało tam jednak wiele światła, kiedy słońce zaczynało się zniżać. Gdy tylko otworzył drzwi, usłyszał plusk wody i wpadł w panikę.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był kot siedzący na brzegu basenu i zapatrzony w wodę. Dopiero po kilku sekundach dostrzegł w wodzie Brodie, która była po drugiej stronie basenu. Gdy dojrzał kogoś obok Brodie, natychmiast zaczął zdejmować buty. Był gotów zanurkować, kiedy Brodie zobaczyła go i pomachała. I wtedy zorientował się, kto płynie obok siostry.

Duży pies o grafitowym umaszczeniu wiosłował łapami. Brodie kierowała go na schodki. Creed ruszył w ich stronę, nakazując sobie nie biec. Ale Brodie już pomagała Knightowi, który kulejąc, pokonywał stopnie basenu. Podeszła do Creeda z psem, mocno go obejmując. Creed nie zauważył dotąd, że Brodie ma takie długie ręce. Długie i silne.

Uśmiechała się do niego z dumą.

- Widziałeś, jaki jest dzielny? - spytała.

Uśmiechnął się i kiwnął głową.

Przez ostatnie dwa dni Creed widział tyle zniszczeń i śmierci. Tyle ofiar nawałnic usiłowało pozbić skrawki swojego życia. A on z Grace odkryli cud w postaci małego Garnera. Hanna nazwała cudem to, że Maggie i Frankie wydostały się spod ruin. Nawałnice i tornada dały im się we znaki, a jednak przetrwali.

Teraz, patrząc, jak Brodie wyciera Knighta ręcznikiem i upewnia się, że nic mu nie jest, Creed zrozumiał, że Jason ma rację. Pomimo burzy, jaką zafundowało jej życie, Brodie była silniejsza, niż im się wszystkim wydawało. Silna i dzielna.

Oczywiście, że tak. Ona też była ocalańcem.

OD AUTORKI

Dorastając w Nebrasce, nauczyłam się sporego szacunku do natury. Kiedy mieszka się na terenie Alei Tornad, zagrożenie tornadami to codzienność. Wiem, jak to jest ukrywać się przed nawałnicą. Na własne oczy widziałam jej skutki. Raz nawet prześcignęłam tornado. Nie wstydzę się przyznać, że podobnie jak Hannie Washington, tornado napędza mi niezłego stracha.

Żyjemy w czasach niezwykłego rozwoju technologii. Wystarczy dotknąć palcem przycisk, żeby wysłać wiadomość na drugi koniec świata. Drony pokazują nam z lotu ptaka miejsca, do których inaczej byśmy nie dotarli. Testy DNA dają nam odpowiedzi, których uzyskanie zdawało nam się niemożliwe. Wciąż jednak nie potrafimy przewidzieć, kiedy i gdzie powstanie tornado.

Czy to was dziwi? Mnie tak. Nie zdawałam sobie dotąd sprawy, że radar tak naprawdę nie zauważa tornada. Wykrywa jedynie warunki sprzyjające jego powstaniu. Radar nie jest nawet w stanie potwierdzić istnienia tornada. Meteorolodzy polegają więc na dowodach opartych na bezpośredniej obserwacji. Istnienie tornada zostaje potwierdzone, kiedy łowca lub obserwator burz zobaczy je, obserwuje i w czasie rzeczywistym dostarczy informację na jego temat. Prawdę mówiąc, meteorolodzy przyznają, że superkomórki, z których może powstać tornado, wyglądają dokładnie tak samo jak te, z których tornado nie powstaje.

Czemu więc napisałam o czymś, co napawa mnie lękiem? Tornada zaobserwowano już na wszystkich kontynentach, we wszystkich amerykańskich stanach, każdej godziny dnia i każdego miesiąca w roku. Domyślałam się zatem, że nie jestem odosobniona w swoim lęku. Wyobrażam sobie, że wielu z was doświadczyło tego zjawiska lub znacie kogoś, kto go doświadczył. Być może niektórzy z was, podobnie jak ja, są nim jednocześnie zafascynowani i przerażeni.

Czytelnicy często pytają mnie, skąd biorę pomysły na swoje powieści. W każdej kolejnej staram się poruszyć inny temat: handel ludźmi, zagrożenie ptasią grypą, zatrucie sprzedawanej nam żywności czy codzienne zmagania naszych weteranów. Nie interesują mnie najnowsze trendy dotyczące gatunków literackich ani powielanie obecnych na rynku bestsellerów. Przed wszystkim pragnę, żeby moi czytelnicy mieli przyjemność z lektury moich książek, żeby mogli poczuć bliskość z ich bohaterami, żeby byli gotowi towarzyszyć im w ich przygodach. Jeśli chodzi o serię poświęconą Ryderowi Creedowi, zawsze szukam dla niego nowych

możliwości pokazania licznych talentów jego psów.

Psy potrafią wyczuć burzę, nie tylko zmianę ciśnienia atmosferycznego, czują także ozon z błyskawic w powietrzu oraz inne zapachy związane z tym zjawiskiem atmosferycznym. Przypuszcza się też, że psy są w stanie wyczuć trzęsienie ziemi, zanim do niego dojdzie.

W powieści *Złowrogie niebo* chciałam skupić się na niezwyklej zdolności psów do wyszukiwania ofiar katastrof naturalnych, kiedy liczy się każda sekunda. Niektóre z tych opowieści brzmią naprawdę jak cuda. Nie pamiętam już, ile czytałam relacji o znalezionych po przejściu tornad dzieciach i niemowlętach, nie tylko w gruzach czy wrakach samochodów, czasami też dziesiątki metrów od ich domów, a w jednym wypadku ponad półtora kilometra.

Jeśli uznacie, że jest w tej powieści coś, co brzmi zbyt szaleńczo czy zbyt niewiarygodnie, mogę was zapewnić, że wszystkie opisane tu nieprawdopodobne przypadki, których pisarz może by nie wymyślił, oparte są na faktach. To był jeden z tych wypadków, kiedy moje przygotowania do pracy zdecydowanie przerosły to, co było mi potrzebne. Oglądałam wideo przedstawiające tornada i rozmawiałam z ofiarami. Przeczytałam kilka książek i dziesiątki artykułów na ten temat. Zwykle wypełniam notatkami dwa notatniki. Tym razem miałam ich cztery.

Czemu zatem akcja tej książki nie rozgrywa się w Nebrasce? Z dwóch powodów. Po pierwsze chciałam, żeby Ryder był niedaleko domu przez wzgląd na Brodie. Podczas przygotowań odkryłam tak zwaną Dixie Alley i dowiedziałam się, że Alabama należy do pięciu stanów, gdzie odnotowano najwięcej ofiar śmiertelnych tornad i najwięcej rannych z tego powodu. Już sam widok tornada jest przerażający, więc trudno mi wyobrazić sobie tornado otoczone ulewą i niemal do ostatniej chwili ukryte za lasem.

Drugi powód, dla którego nie wybrałam Nebraski, jest nieco egoistyczny. Sprawy, o których piszę, mają tendencję do tego, by stawać się rzeczywistością. Tak, może brzmi to trochę głupio, ale kiedy kończyłam powieść, tornada uderzyły dokładnie w te miejsca w Alabamie, o których pisałam, i nawet data się zgadzała. Zginęły dwadzieścia trzy osoby. Tak mnie to przerażyło, że zmieniłam miejsce akcji z hrabstwa Lee na hrabstwo Butler. Zmieniłam też czas akcji, z pierwszego tygodnia marca na drugi. Poza tym moje tornado uderza w drogę międzystanową zamiast w małe miasteczko, które wybrałam wcześniej.

Wiele osób, które czytają moje powieści od lat, wie, że lubię wykorzystywać prawdziwe lokalizacje, a często też piszę

o faktycznie istniejących firmach. Jeśli jednak traficie do Montgomery w stanie Alabama, nie znajdziecie tam restauracji o nazwie Niebiańskie Smaki. Wymyśliłam ją. Nie miałam serca doprowadzać do zniszczenia prawdziwej restauracji.

A co z glifosatem w produktach, które spożywamy? Chciałabym, żeby to nie była prawda.

Po pierwsze pozwólcie, że zaznaczę, iż nasi rolnicy robią wszystko, co w ich mocy, żeby dostarczać nam najlepszą i najbezpieczniejszą żywność na świecie. Niektóre z procesów technologicznych służą temu, żeby nas chronić, a także by ułatwić i przyspieszyć cykl produkcyjny. EPA twierdzi, że poziom glifosatu w naszych produktach spożywczych jest bezpieczny, a jednocześnie nie zaprzecza, że w poddanych testom próbkach znaleziono herbicydy - w 63% próbek kukurydzy i 67% ziaren soi. W przypadku pszenicy i owsa także używa się glifosatu jako czynnika wysuszającego przed zbiorami, jednak EPA nie podała żadnych wyników badań na ten temat. EWG (Environmental Working Group) przeprowadziła własne badania i znalazła glifosat w licznych produktach, od granoli przez makarony do batonów śniadaniowych i zbożowych. Jeśli jesteście zainteresowani szczegółami i chcecie zapoznać się z ich listą, odsyłam was do artykułu USA Today :<https://usat.ly/2BdHArq>.

Glifosat jest herbicydem, który Światowa Organizacja Zdrowia ostatnio powiązała z rakiem, jest także wymieniony w pozwach sądowych przeciwko firmie Monsanto, producentowi środka chwastobójczego Roundup.

Na koniec zwracam się do wszystkich czytelników, którzy pisali do mnie zatroskani, że *Instynkt łowcy*, gdzie Brodie zostaje uratowana może okazać się ostatnią powieścią z tej serii. Mam nadzieję, że *Złowrogie niebo* udowodni wam, że zostało jeszcze wiele historii do opowiedzenia. A ja już pracuję nad kolejną: *Hidden Creed*.

Jeśli spodobała wam się ta powieść, proszę powiedzcie o tym waszym bliskim. To największy komplement, jaki autor może usłyszeć od czytelnika.

Na koniec jak zwykle dziękuję za wasze czytelnicze wsparcie.

PODZIĘKOWANIA

Chciałabym podziękować wszystkim moim przyjaciołom, którzy tolerują długie przerwy w naszych kontaktach i dbają o to, żebym twardo chodziła po ziemi. Podziękowania kieruję do Sharon Car, Marlene Haney, Sharon Kator, Amee Rief, Mariceli i Jose Barajas, Martina i Patti Bremmer, Leigh Ann Retelsdorf, Pat Heng, Douga i Lindy Buck, Dana Mackego, Eriki Spindler, dr Elviry Rios, Luann Causey i Christy Cotton.

Specjalne podziękowania dla:

Deb Carlin i Prairie Wind Publishing za doprowadzenie do wydania tej powieści i za jej dystrybucję.

Doktor Enity Larson za odpowiedzi na wszystkie moje pytania dotyczące psów, także w samym środku „babskiej imprezy na mieście”. Chcę także podziękować doktor Larson za to, że pozwoliła mi wykorzystać imiona jej dzieci jako imię i nazwisko mojej pani weterynarz doktor Avelyn Parker.

Po raz kolejny dziękuję Jamesowi Rollinsowi za fantastyczne motto.

Dziękuję Sandy Rockwood, której nazwiskiem nazwałam terapeutkę Brodie. Wiem, że z wdzięcznością przyjmiesz tytuł doktora, jakim i ją i ciebie obdarzyłam.

Moje podziękowania należą się wszystkim księgarzom, bibliotekarzom, prowadzącym kluby książki i blogerom piszącym o książkach za to, że wspominają o moich powieściach i że je polecają.

I oczywiście najszczerze wyrazy wdzięczności przesyłam moim czytelnikom, członkom VIR Club i przyjaciołom z Facebooka. To dla mnie honor, że mając tak ogromny wybór doskonałych dzieł, wciąż wybieracie moje powieści. Wielu z was towarzyszy mi od początku mojej pisarskiej podróży. Bez was nie miałabym z kim dzielić się swoimi szalonymi opowieściami.

Na koniec, choć nie mniej ważne, podziękowania kieruję do mojej paczki: Deb, Duncana, Boomera, Maggie i Hucka. Kocham was całym sercem.

O autorze

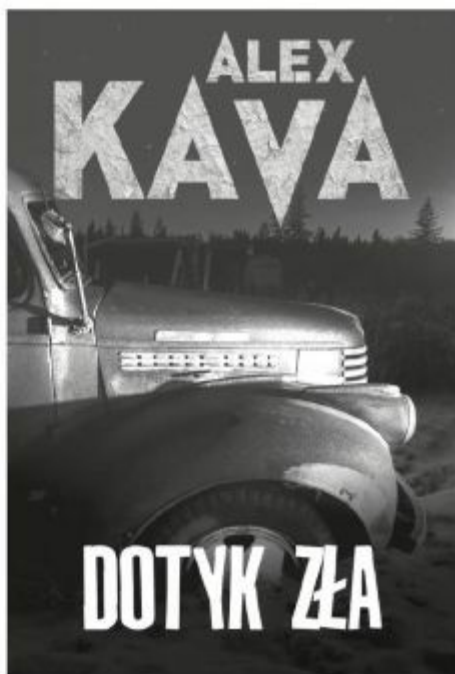
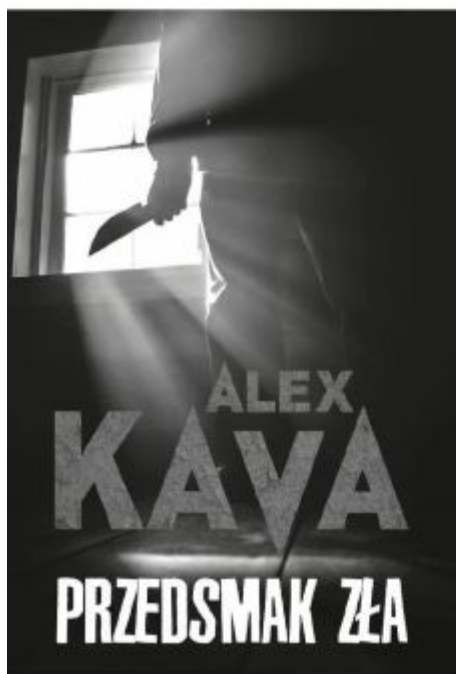
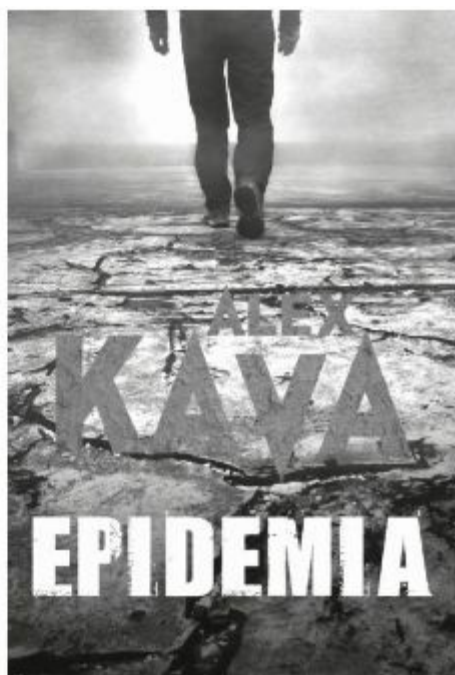
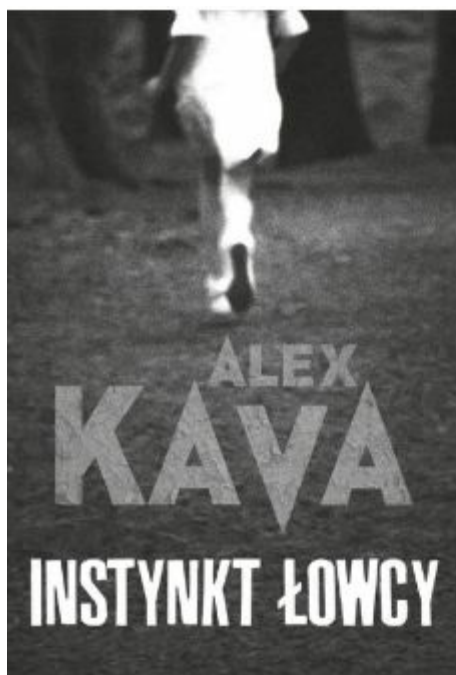


Fot.: Deborah Groh Carlin

Pochodząca z Silver Creek w Nebrasce ALEX KAVA, a właściwie Sharon Kava, to uznana autorka thrillerów psychologicznych, które regularnie goszczą na listach bestsellerów. Jej powieści są podbudowane rzetelną wiedzą psychologiczną, a także znajomością

procedur policyjnych, co dodaje im wiarygodności. Choć stanowią fikcję literacką, często impulsem do ich napisania stawały się prawdziwe zbrodnie i wydarzenia.

POLECAMY RÓWNIEŻ



Tytuł oryginału: *Desperate Creed*

Pierwsze wydanie: Prairie Wind Publishing

Redaktor prowadzący: Alicja Oczko

Opracowanie redakcyjne: Jakub Sosnowski

Korekta: Urszula Gołębiowska

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Ilustracja na okładce: iStock

Copyright © 2019 by S. M. Kava. All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2020

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiejkolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych lub umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN: 9788327648242